

MARK SOŁONIN

A black and white photograph showing the silhouettes of several soldiers standing in a trench. They are holding rifles, and their forms are reflected in the water in the foreground. The background shows a dark, overcast sky.

NIC DOBREGO NA WOJNIE



MARK SOŁONIN

NIC DOBREGO NA WOJNIE

PRZEŁOŻYŁA ANNA PAWŁOWSKA

TRZY PLANY TOWARZYSZA STALINA

Istnieje fakt. O świcie 22 czerwca 1941 roku atak Hitlera na Związek Radziecki był dla towarzysza Stalina strasznym zaskoczeniem. Stalin nie wierzył w możliwość takiego rozwoju wydarzeń. Nawet wieczorem 21 czerwca, gdy z dowództw okręgów nadgranicznych do Moskwy przychodziły szyfrogramy o tym, że Niemcy zdejmują drut kolczasty na granicy i słysząc ryk silników czołgów — nawet wtedy towarzysz Stalin wątpił w wiarygodność tych informacji. Jeszcze rano 22 czerwca Stalin potrzebował kilku godzin na to, żeby ostatecznie przyjąć do wiadomości rzeczywistość.

Radzieckie radio nadawało skoczną niedzielą muzykę i relacje z kołchozów w czasie, gdy radiostacje całego świata transmitowały oświadczenia Hitlera i Ribbentropa. Minister spraw zagranicznych faszystowskich Włoch przed południem bezskutecznie usiłował odnaleźć radzieckiego ambasadora, żeby wręczyć mu oficjalną notę o wypowiedzeniu wojny — w niedzielę 22 czerwca radziecki dyplomata raczył się relaksować na plaży. *Chargé d'affaires* Zjednoczonego Królestwa (angielskiego ambasadora S. Crippsa do tego czasu już *de facto* zmuszono do opuszczenia Moskwy) Baggaley przed południem 22 czerwca nie mógł umówić się na spotkanie z Mołotowem, a zastępca ludowego komisarza spraw zagranicznych Wyszyński wyniośle odrzucił ofertę rozmów na temat udzielenia przez Wielką Brytanię pomocy Związkowi Radzieckiemu, zasłaniając się brakiem instrukcji z góry.

Atak Niemiec zaskoczył lokatorów kremlowskich gabinetów, oszołomił i zaszokował. To jest fakt.

Istnieje jeszcze jeden fakt, a dokładniej — duża grupa faktów. W maju–czerwcu 1941 roku Siły Zbrojne Związku Radzieckiego znajdowały się w stanie tajnego rozwinięcia strategicznego. Przy tym wszystkie elementy rozwinięcia strategicznego (mobilizacja rezerwistów, przegrupowanie strategiczne, ześrodkowanie wojsk, operacyjne rozwinięcie zgrupowań) przeprowadzono w trybie największej, wyjątkowej nawet jak na Stalina tajemnicy.

Oddziały okręgów zachodnich ścigały do granicy podczas nocnych marszów, a za dnia chowały się po lasach; wojska okręgów wewnętrznych

przerzucano na zachód w obitych płytami ze sklejk wagonach, przy czym o miejscu wyładunku (a tym bardziej o celu przegrupowania i zadaniu bojowym) nie wiedzieli nawet dowódcy formacji. Pobór rezerwistów odbywał się poprzez imienne wezwania pod pozorem „szkolenia”. Rząd ZSRR do ostatniej chwili nie zgłaszał Niemcom żadnych zastrzeżeń w związku z koncentracją niemieckich oddziałów przy granicy. Co więcej, oficjalna tuba radzieckiego kierownictwa — agencja TASS — 14 czerwca wydała uspokajające oświadczenie: *„Żadnej wojny między ZSRR i Niemcami nie będzie, strony ściśle trzymają się zapisów paktu o nieagresji: pogłoski o zbliżającej się wojnie są nieudolnie sfabrykowaną propagandą wrogich wobec ZSRR i Niemiec sił”*.

W czerwcu 1941 roku Związek Radziecki przygotowywał się do szeroko zakrojonych działań bojowych, ale jednocześnie na wszelkie możliwe sposoby starał się ukryć prowadzone przygotowania. To drugi fakt.

Przed historykami stało nie lada zadanie: połączyć te dwa fakty w jeden obraz, nadać im spójną interpretację. Po prostu należy znaleźć odpowiedź na pytanie: Skoro Stalin nie spodziewał się niemieckiej agresji, to w jakim celu tysiące eszelonów wojskowych zmierzały ku granicy, na bazie okręgów nadgranicznych powołano dowództwa frontów i już 19 czerwca — dwa dni przed atakiem, którego Stalin się nie spodziewał — dowództwa frontów na rozkaz z Moskwy wyruszyły na polowe stanowiska dowodzenia?

Dwadzieścia lat temu wyczerpującej odpowiedzi na to pytanie udzielił Wiktor Suworow. Założył i uzasadnił będącymi do jego dyspozycji radzieckimi źródłami hipotezę, że Stalin przygotowywał się do wojny. Przygotowywał się od zawsze, od pierwszego dnia zdobycia władzy. Kolektywizacja, industrializacja, wielka czystka — to jedynie różne aspekty wielotorowych działań towarzysza Stalina w celu przeistoczenia Kraju Rad w olbrzymi obóz wojskowy i rozdzielenia budowniczych komunizmu na dwie kategorie: „niewolników” i „mięso armatnie”. W sierpniu 1939 roku Stalin podjął ostateczną decyzję — trzeba pomóc Hitlerowi. Pomóc mu tak, jak stryżek pomaga wisielcowi. Stalin pomógł Hitlerowi rozpętać wojnę przeciwko koalicji państw zachodnich (Anglia, Francja i ich sojusznicy) po to, żeby ta wyniszczająca wojna spustoszyła Europę, po której zgłiszczach armie Stalina miały przejść triumfalnym marszem. W czerwcu 1941 roku

przygotowania do tego marszu zostały przerwane zaskakującym dla oślepionego manią wielkości Stalina atakiem Wehrmachtu.

Później hipoteza Suworowa ukazała najważniejszą cechę teorii naukowej z prawdziwego zdarzenia, a mianowicie: wszystkie nowe fakty i dokumenty mieściły się w ramach koncepcji Suworowa jak naboje w magazynku. Precyzyjnie i klarownie, nie niszcząc konstrukcji, a jedynie zwiększając jej „siłę rażenia”. P. Bobylew, T. Buszujewa, W. Daniłow, W. Kisielew, M. Mieltiuchow, W. Niewieżyn, I. Pawłowa, M. Sołomin, J. Felsztinski — oto bynajmniej nie pełna lista rosyjskich historyków, w których pracach przytoczono setki dokumentów i faktów, potwierdzających hipotezę Suworowa i faktycznie awansujących ją z kategorii „hipotezy” do rangi naukowo udowodnionej prawdy (wbrew modnej obecnie poprawności politycznej uważam, że prawda istnieje, i zadanie nauki historycznej polega właśnie na poszukiwaniu prawdy, a nie tylko „pisanii tekstów”).

Z drugiej strony, w ciągu dwudziestu lat, które upłynęły od ukazania się **Lodolamacza**, nie sformułowano alternatywnych koncepcji. Nie ma ani jednej książki, ani jednego artykułu. Nikt nigdy nie spróbował inaczej wytłumaczyć czy zinterpretować dwóch wymienionych przeze mnie fundamentalnych faktów. Jednak pojawiła się narastająca każdego dnia lawina krytyki Suworowa.

Przestrzeń informacyjna została przepełniona dzikim hałasem, zgiełkiem, skowytami, szyderczym rechotem. Wycięto olbrzymie połacie lasów karelskich, żeby drukować paszkwile, w których z obrzędowymi okrzykami powtarza się standardowy już zbiór „krytyki”. Na wszelkie możliwe sposoby oczerniono osobę Suworowa i jak dwa razy dwa udowodniono, że jest bardzo, bardzo złym człowiekiem. To nie jest nasz człowiek. Podlec. Do nieskończoności powtarza się pretensje z powodu błędów we wskaźnikach produkcji Charkowskiego Zakładu Produkcji Wagonów (faktycznie wytwarzającego czołgi) czy błędnie podanej średnicy lewej tylnej rolki czołgu T-26.

Według wyjątkowo słusznej uwagi D. Chmielnickiego, wytwórcom antysuworowskiej makulatury „nie można nawet zarzucać nieuczciwości — autorzy wyjątkowo sumiennie wykonują zadanie, wykluczające sumienną pracę naukową. Ani w swej formie, ani treści nie może ono zaliczać się do

kategorii literatury naukowo–historycznej. Są to wytwory konsolidujące społeczność ideologiczną”.

„*Nie potrzebuję krytyki, potrzebuję wersji*”. To zdanie, które napisał na jednym z licznych forów internetowych anonimowy gość, wyjątkowo celnie oddaje sytuację historiograficzną, która ukształtowała się do roku 2008. Alternatyw dla hipotezy/teorii Suworowa jak nie było, tak nie ma. Szczególnie godne odnotowania jest grobowe milczenie mistrzów rodzimej „*nauki historycznej*”. Od razu wyjaśniam — pod „*milczeniem*” rozumiem brak w e r s j i, brak logicznej, spójnej, opartej na faktach interpretacji działań Stalina w latach 1939–1941. Hałasu, krzyków i apeli o „*zaprzestanie przepisywania historii na nowo*” co niemiara, niektóre wypowiedzi rosyjskich naukowców sprawiają, że najlepsi rodzimi satyrycy płoną z zazdrości.

Na przykład na łamach gazety „**Krasnaja zwiezda**” (a jest to, gdyby ktoś nie pamiętał, oficjalny organ Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej) towarzysz O. Rzeszewski oznajmia: „*Ta wersja [wersja Suworowa — M.S.] została odrzucona jako bezpodstawna przez większość rosyjskich i zachodnich historyków, niemniej jednak zakorzeniła się na rodzimym gruncie przede wszystkim z tego powodu, że w środkach masowego przekazu praktycznie nie daje się możliwości przeciwstawienia jej posiadanych wiarygodnych dokumentów i faktów*”.

A więc o to chodzi — nie dopuszcza się kierownika wydziału historii wojen i geopolityki Instytutu Historii Powszechnej Rosyjskiej Akademii Nauk, prezydenta Stowarzyszenia Historyków Drugiej Wojny Światowej, doktora nauk historycznych, profesora Rzeszewskiego do redakcji i wydawnictw. Nie może zasłużony uczyony pokazać społeczeństwu „*posiadanych wiarygodnych dokumentów i faktów*”. Ja, historyk–amator z Samary, mogę pokazać, a prezydentowi i profesorowi zamykają usta. Potworność. Po prostu jakaś agentura maczała w tym swe brudne łapska...

I nie tylko towarzysz Rzeszewski ma związane ręce i nogi. W samej tylko Moskwie w stołecznej sekcji Akademii Nauk Wojskowych jest 257 doktorów i 436 kandydatów nauk. Tylko w Moskwie. Z definicji praca doktorska powinna stanowić „*fundamentalne dzieło, wytyczające nowy kierunek w nauce*”. 257 odkryć naukowych! Wybitni naukowcy obfitymi stadami zmierzają do zbadania prawdy. A przecież oprócz doktorów nauk wojskowych na rosyjskich pastwiskach, obficie zraszanych petrodolarami,

żerują nieporównywalnie liczniejsze stada doktorów nauk historycznych. Ostatnio pojawili się też doktorzy socjologii i politologii...

Ogłuszające milczenie oficjalnej nauki historyczno–wojskowej to nie „oznaka zgody” z hipotezą Suworowa. To białe prześcieradło kapitulacji, które powiewa z parapetów generalskich dacz. Mając do dyspozycji wszystkie archiwa Rosji, mając na etacie tłumy opłacanych przez podatnika podwładnych, i tak nie potrafili oni w ciągu 20 lat zaprezentować „*miastu i światu*” ani jednego dokumentu potwierdzającego pacyfistyczne dążenia Stalina.

Jeżeli dyskusja naukowa o ogólnym ukierunkowaniu wojenno–politycznych planów Stalina w chwili obecnej może być uznana za zakończoną, to kwestia planowanego terminu rozpoczęcia ataku na Europę nadal pozostaje otwarta.

I nic dziwnego — dla ukrycia i zmanipulowania informacji związanych z tym zagadnieniem oficjalna radziecka/rosyjska nauka historyczna dołożyła maksimum wysiłków. Nie zapominajmy o tym, że poznanie konkretnych planów i terminów z założenia jest niemożliwe bez dostępu do masy dokumentów najwyższego wojskowo–politycznego kierownictwa ZSRR, do tej pory na głucho zamkniętych przed każdym niezależnym badaczem.

Jak zobaczymy poniżej, te plany zmieniano t r z y r a z y i zadziwiający splot urywków informacji o trzech, bardzo zróżnicowanych, planach Stalina stawia przed historykami nadzwyczaj trudne zadanie. Ci, którzy uważają, że omawianie trudnych do udowodnienia hipotez jest bezproduktywną stratą czasu, nie mają po co kontynuować lektury niniejszego artykułu. Wszystkich pozostałych proszę o pogodzenie się z obecnością w tym tekście zasmucających również mnie słów: „*być może*”, „*widocznie*”, „*prawdopodobnie*”, „*niewykluczone*”, „*można przypuszczać*”...

Pierwszy, pierwotny plan Stalina był w najwyższym stopniu prosty i logiczny. Jest wam dobrze znany, pisano o tym we wszystkich podręcznikach szkolnych: „*Wykorzystać w interesach ZSRR ostre międzyimperialistyczne konflikty*”. Dokładnie tak to wyglądało, ale z jednym ważnym uściśleniem. Wykorzystać konflikty można w różny sposób, dla osiągnięcia różnych celów. Towarzysz Stalin zdecydował, że „*interes ZSRR*” nie polega na walce o pokój na świecie, a na podżeganiu do długotrwałej wyniszczającej wojny w Europie. O tym, że podjęto właśnie taką decyzję, możemy się przekonać na podstawie

jak najbardziej prawdziwych dokumentów. Główne cele polityki zagranicznej Stalin dobitnie określił już 2 września 1935 roku w liście do Mołotowa i Kaganowicza:

Starej Ententy już nie ma. W jej miejsce powstają dwie Ententy: Ententa Włoch i Francji z jednej strony i Ententa Anglii i Niemiec — z drugiej. Im ostrzejsza będzie walka między nimi, tym lepiej dla ZSRR. Możemy sprzedawać zboże jednym i drugim, żeby mogli walczyć. Nie mamy interesu w tym, żeby jedna ze stron od razu pokonała drugą. Korzystniejsze dla nas jest to, żeby walka między nimi trwała możliwie jak najdłużej, ale bez szybkiego zwycięstwa jednej ze stron.

Interesujący dokument. Wynika z niego, między innymi, że wówczas towarzysz Stalin dość słabo orientował się w sytuacji międzynarodowej — w rzeczywistości w Europie powstawały zupełnie inne „ententy” (sojusze wojskowo-polityczne). Ale tok rozumowania Wielkiego Prowokatora jest w najwyższym stopniu jasny.

Pod koniec lata 1939 roku ogólny zarys zaczął się krystalizować w realnych działaniach (pakt z Niemcami, tajny protokół o podziale stref wpływu w Europie Wschodniej, wspólna z Wehrmachtem operacja wojskowa przeciwko Polsce). Fakty znamy bardzo dobrze. Na czym polegał ich sens i cel? Wróćmy do cytatów z dokumentów:

1. *Wojna toczy się między dwiema grupami państw kapitalistycznych. (...) Nie mamy nic przeciwko temu, żeby porządnie wzięli się do walki i osłabili się nawzajem. Byłoby dobrze, gdyby rękami Hitlera zachwiana została pozycja najbogatszych krajów kapitalistycznych (szczególnie Anglii). Hitler, sam tego nie rozumiejąc i nie chcąc, osłabia i destabilizuje system kapitalistyczny. (...) Możemy manewrować, popychać jedną stronę przeciwko drugiej, żeby bardziej zaangażowały się w walkę. Pakt o nieagresji w pewnym stopniu pomaga Niemcom. Następny etap — popchnąć drugą stronę.*

2. *Jeżeli zawrzemy umowę o współpracy z Francją i Wielką Brytanią, Niemcy zrezygnują z Polski i zaczną szukać modus vivendi z państwami zachodnimi. Wojna zostanie zażegnana, a w przyszłości wydarzenia mogą przyjąć niebezpieczny obrót dla ZSRR. Jeżeli przyjmiemy propozycję Niemiec i zawrzemy z nimi pakt o nieagresji, Niemcy oczywiście zaatakują Polskę, a przystąpienie Francji i Anglii do tej wojny będzie nieuniknione. Europę*

Zachodnią ogarną poważne niepokoje i zamieszki. (...) Trzeba zrobić wszystko, żeby ta wojna trwała jak najdłużej w celu osłabienia obu stron. (...) Zachowując stanowisko neutralne i oczekując na sprzyjający moment, ZSRR udzieli pomocy Niemcom i zaopatrzy je w surowce i żywność.

3. *Gdyby ZSRR zawarł pakt z państwami Zachodu, Niemcy nigdy nie rozpętałyby wojny wzniesającej rewolucję światową, do której długo się przygotowywaliśmy. (...) Zawierając pakt z nami, Hitler zamknął sobie drogę do innych państw.*

Z gospodarczego punktu widzenia jest zależny tylko od nas i my pokierujemy jego gospodarką tak, żeby doprowadzić do rewolucji w walczących państwach. Długotrwała wojna doprowadzi do rewolucji w Niemczech i Francji. Nasze dostawy dla Niemców będą takie, że pozostaną oni głodni. (...) W rezultacie umów gospodarczych Hitler otworzył nam drogę na Rzeszę. Jego wojna osłabi Europę, która zostanie naszą łatwą zdobyczą. Ludy zaakceptują każdy reżim, który przyjdzie po wojnie.

4. *Tam, na Zachodzie, trzy największe mocarstwa skoczyły sobie do gardeł, kiedy więc należy rozwiązać sprawę Leningradu, jeśli nie w sytuacji, gdy mają zajęte ręce, a my mamy znakomitą okazję, żeby uderzyć. (...) Jakoś tam walczą, ale wojna jest niemrawa, ni to walczą, ni to w karty grają. Mogą się nagle pogodzić, co nie jest wykluczone.*

Autentyczność tekstów nr 1 i 4 nie budzi najmniejszej wątpliwości. Jest to sporządzony przez G. Dmitrowa (i obecnie znajdujący się w RGASPI¹) zapis wystąpienia Stalina z 7 września 1939 roku (dokładnie tydzień po wybuchu wojny) na spotkaniu z kierownictwem Komitetu Wykonawczego Kominternu oraz przemówienie Stalina na ostatnim posiedzeniu narady najwyższego dowództwa Armii Czerwonej z 17 kwietnia 1940 roku. We wrześniu Stalin snuje optymistyczne wizje („możemy manewrować, popychać jedną stronę przeciwko drugiej, żeby bardziej zaangażowały się w walkę”), w kwietniu pojawiają się nutki niepokoju („mogą się nagle pogodzić, co nie jest wykluczone”), ale ogólna idea pozostaje niezmienna.

Dużo trudniej jest ocenić autentyczność tekstów nr 2 i 3. Numer 2 to tak zwane „przemówienie Stalina na posiedzeniu Biura Politycznego KC 19

¹ — RGASPI — Rosyjskie Archiwum Państwowe Historii Społeczno–Politycznej, dawne archiwum KC KPZR.

sierpnia 1939 roku”. Po raz pierwszy upubliczniła je francuska agencja Havas 28 listopada 1939 roku. Cytowany przeze mnie wariant został opublikowany w 1994 roku przez rosyjską historyczkę T. Buszujewą. Ten tekst jest „*potrójnie zdobyczym dokumentem*” — w Centrum Gromadzenia Dokumentacji i Badań Historii Najnowszej (dawne Archiwum Zbiorów Specjalnych) Buszujewą odnalazła zdobyty przez Armię Czerwoną, zdobyty przez Niemców dokument francuskiego Sztabu Generalnego, rzekomo zdobyty u francuskich komunistów.

Oryginału stenogramu przemówienia Stalina z 19 sierpnia nigdy nikt nie widział; nie ma nawet podstaw, by sądzić, że takie przemówienie zostało wygłoszone. W „*teczkach specjalnych*” Biura Politycznego (dokładniej mówiąc — w tym, co udostępniono pod tą nazwą) z 19 sierpnia znajduje się tylko jedna decyzja, na dodatek wydana w mało istotnej sprawie (o odroczeniu poboru pracowników budowy linii kolejowej Akmolinsk–Kartały). Wygląda to dość dziwnie. W 1939 roku Biuro Polityczne podejmowało średnio (wliczając w to dni wolne od pracy i święta) 8 decyzji dziennie. Sierpień 1939 roku był bardzo gorący — rozpatrywano około dwudziestu spraw dziennie (przy tym należy mieć na uwadze, że posiedzeń jako takich było bardzo mało — decyzje podjęte przez Stalina w wąskim gronie wybranych przez niego „*towarzyszy*” po prostu ogłaszano jako „*decyzje Biura Politycznego*”). Czyżby 19 sierpnia Biuro Polityczne zadowolilo się jedynie trzeciorzędnym zagadnieniem?

Nie ma powodów, by się spierać o to, że „*francuski dokument*” (tak go nazwiemy) to nie stenogram, a zniekształcone przez wielokrotny przekład powtórzenie czegoś. Czego dokładnie — trzeba ustalić, ale widoczne podobieństwo wymowy z notatką Dmitrowa, można powiedzieć, rzuca się w oczy.

Znacznie ciekawszy i wiarygodniejszy moim zdaniem jest dokument nr 3 („*czeski dokument*”). To sprawozdanie grupy czeskich antyfaszystów ze spotkania z kierownikiem wydziału Europy Środkowej Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych ZSRR A.M. Aleksandrowem, w którym uczestniczyli w październiku 1939 roku. Dokument został przekazany do konsulatu generalnego USA w Pradze, a następnie bezpiecznie wylądował w archiwum Departamentu Stanu do 1978 roku, gdy po raz pierwszy opublikował go amerykański historyk czeskiego pochodzenia J. Kalvoda.

Główną zaletą „*czeskiego dokumentu*” są dokładnie podane daty: konsul generalny w Pradze otrzymał tekst 17 listopada 1939 roku, przetłumaczono go na angielski 20 listopada. To bardzo ważne — dokument, prawie dosłownie powtarzający sformułowania tak zwanego „*przemówienia Stalina*”, sporządzono p r z e d publikacją agencji Havas (28 listopada).

Oczywiście teoretycznie można to wytłumaczyć w ten sposób, że oba teksty stworzył ten sam fałszerz. Ale w takim przypadku prezentowana przez tego „*falszerza*” znajomość faktów nie może nie budzić skrajnego zdumienia.

W „*czeskim dokumencie*” znajduje się uwaga A.M. Aleksandrowa, że „*nie możemy sobie pozwolić na przegraną Niemiec*”. To zdanie ma długą i dość wiarygodną historię. Wypowiedział je Stalin późnym wieczorem 23 sierpnia 1939 roku podczas rozmowy z Ribbentropem. 18 października 1939 roku Ribbentrop postanowił wykorzystać to zdanie w swoim publicznym wystąpieniu i jako lojalny partner Stalina wcześniej wysłał tekst do Moskwy do uzgodnienia. W wersji Ribbentropa słowa Stalina brzmią tak: „*Związek Radziecki jest zainteresowany tym, żeby Niemcy, które są jego sąsiadem, były silne, i w przypadku próby sił pomiędzy Niemcami i demokracjami zachodnimi interesy ZSRR i Niemiec będą oczywiście się pokrywać. Związek Radziecki nigdy nie będzie chciał widzieć Niemiec w trudnej sytuacji*”. Towarzysz Stalin ze zrozumieniem odniósł się do życzenia Ribbentropa, żeby publicznie postraszyć angielskich i francuskich plutokratów, i poprosił jedynie o złagodzenie sformułowania. W uzgodnionym wariancie słowa Stalina brzmią tak: „*Związek Radziecki jest zainteresowany istnieniem silnych Niemiec. Dlatego Związek Radziecki nie może zaakceptować działań państw zachodnich, stwarzających warunki do osłabienia Niemiec i stawiających je w trudnej sytuacji*”.

Przed publikacją w 1948 roku niemieckiej korespondencji dyplomatycznej przez Departament Stanu USA w znanym zbiorze zdobycznych dokumentów niemieckiego MSZ (*Nazi–Soviet Relations*) nikt nie wiedział o istnieniu tych listów, więc jak udało się „*falszerzowi*” tak dokładnie przekazać myśli Stalina?

Podstępny „*falszerz*” postępuje bardzo sprytnie: jeden tekst przekazuje do prasy, do czołowej francuskiej agencji informacyjnej Havas, przy tym powołując się, ni mniej, ni więcej, na przemówienie Stalina; drugiego tekstu, w którym nawiązuje do wypowiedzi radzieckiego urzędnika średniego

szczebla, nie pokazuje prasie, lecz przekazuje go do konsulatu generalnego dalekiego (nie tylko geograficznie, ale w tamtym czasie również politycznie) od Europy państwa. To wszystko jest bardzo dziwne. Znacznie bardziej logiczna wydaje mi się hipoteza, że „czeski dokument” jest w pełni wiarygodny i autentyczny, a i „francuski” — tak zwane „przemówienie Stalina” — również nie pojawił się znikąd, a jest streszczeniem instrukcji, którą kierownictwo Kominternu otrzymało w Moskwie na bardzo wysokim szczeblu.

Gdyby zamienić rytualne słowo „rewolucja” — niezbędne do rozmów w Kominternie — na znacznie bardziej stosowne do sytuacji słowa „zniszczenie, chaos i anarchia”, to prosty jak wszystko, co genialne, plan Stalina ukaże się nam w całej okazałości. Jesienią 1939 roku właśnie Niemcy wydawały się Stalinowi słabszą stroną konfliktu, właśnie im postanowił udzielić wszechstronnej politycznej, psychologicznej, gospodarczej pomocy po to, żeby upragniona ogólnoeuropejska wojna nie zakończyła się na samym początku z powodu szybkiej klęski Niemiec.

O ile prosty i zrozumiały jest ogólny plan geopolityczny, o tyle mglisty i nieokreślony wydaje się nam wojenno-strategiczny składnik „planu Stalina nr 1”. Gdzie, na jakich kierunkach operacyjnych, planowano rozszerzenie „światowego frontu socjalizmu”?

Niezwykły dokument (niezwykły głównie dlatego, że go w porę nie zniszczono) zachował się w Rosyjskim Państwowym Archiwum Wojskowym. 5 marca 1940 roku zastępca szefa Wydziału Specjalnego Zarządu Głównego Bezpieczeństwa Państwowego NKWD ZSRR major Osietrow pisze notatkę służbową do ludowego komisarza obrony Woroszyłowa:

31 stycznia dowódca Syberyjskiego Okręgu Wojskowego komandarm 2 rangi Kalinin wygłosił w okręgowym klubie Armii Czerwonej referat o sytuacji międzynarodowej. (...) Kalinin oznajmił o nieuchronności wielkiej wojny wiosną 1940 roku, w której weźmie udział ZSRR w bloku z Niemcami, Japonią i Włochami przeciwko blokowi angielsko-francuskiemu. (...) Działania wojenne z Anglią, Francją i ich sojusznikami będą miały charakter długotrwały.

W ostatnich zdaniach notatki zastępca głównego „tajniaka” NKWD ZSRR wyciąga w najwyższym stopniu dziwny wniosek: „Wielu dowódców

uważa wystąpienie tow. Kalinina za zawile, a taki sposób wyjaśnienia sytuacji międzynarodowej za politycznie szkodliwy”. Jak mamy rozumieć tę mglistość i powściągliwość w ocenie? Od kiedy to czekiści zasłaniają się zdaniem „wielu dowódców” — szczególnie po tym, jak NKWD z powodzeniem zamknęło i rozstrzelało wiele tysięcy dowódców Armii Czerwonej?

Można przypuszczać, że 5 marca 1940 roku towarzysz Osietrow sam do końca nie wiedział, jak teraz należy „wyjaśnić sytuację międzynarodową”, z kim i przeciwko komu będzie walczył Związek Radziecki, ale na wszelki wypadek postanowił poinformować Woroszyłowa, żeby uniknąć odpowiedzialności. Jeśli wziąć pod uwagę następstwa — 4 czerwca 1940 roku S.A. Kalinin uzyskał stopień generała lejtnanta i nadal z powodzeniem dowodził swoim okręgiem — referat dla dowódców Armii Czerwonej, otwarcie mówiący o „nieuchronności wojny przeciwko blokowi angielsko-francuskiemu”, co więcej w sojuszu z hitlerowskimi Niemcami i faszystowskimi Włochami, wcale nie został odebrany jako szkalowanie niezmiennie pokojowej polityki zagranicznej ZSRR.

11 maja 1940 roku komisarz dywizji Szabalin kieruje notatkę służbową do szefa Głównego Zarządu Politycznego Armii Czerwonej Mechlisa, w której z dużym zaniepokojeniem przypomina o „konieczności dokładnego przyjrzenia się organizacji oddziałów Armii Czerwonej z punktu widzenia przygotowania do prowadzenia wojny na bliskowschodnim teatrze”.

21 czerwca 1940 roku generał pułkownik D. Pawłow zreferował ludowemu komisarzowi obrony marszałkowi Timoszence swoje stanowisko w sprawie ewentualnego wykorzystania sił zbrojnych trzech podbitych krajów nadbałtyckich: „Po czystce wśród oficerów i wzmocnieniu oddziałów naszymi dowódcami dopuszczam możliwość w pierwszym okresie — w najbliższym czasie — wykorzystania w wojnie oddziałów armii litewskiej i estońskiej — poza Bałtyckim SOW, na przykład — w walce z Rumunami, Afgańczykami i Japończykami”. W najbliższym czasie.

20 sierpnia 1940 roku kierownik Domu Armii Czerwonej w Briańsku (w stopniu starszego politruka) wygłosił referat „**O sytuacji międzynarodowej**”, gdzie między innymi powiedział:

Zrobimy wszystko, żeby Anglia i Niemcy zaczęły walczyć.

(...) Niech postrzelają, a później zobaczymy — jak będzie wyglądała sytuacja, skąd zaczniemy [podkreślenie moje — M.S.]. Zadbamy o nasze interesy. Kwestia Dardaneli i Bosforu rozwiąże się w najbliższych dniach.

Pułkownik Armand (Tilton), uczestnik wojny w Hiszpanii, jeden z pierwszych Bohaterów Związku Radzieckiego (odznaczony 31 grudnia 1936 roku), jesienią 1940 roku — słuchacz Akademii im. Frunzego, w Moskwie podczas publicznego odczytu powiedział:

Finlandia będzie radziecka. Granice ZSRR mogą znajdować się na brzegu Morza Adriatyckiego. Jeżeli Hindusi powiedzą, że są braćmi Słowian i chcą być razem [z nami], nie będziemy mieli nic przeciwko.

Do wojny z Anglią i jej sojusznikami przygotowywali się nie tylko radzieccy generałowie, ale również admirałowie.

W notatce dowódcy Powietrznej Floty Czarnomorskiej dotyczącej planu operacyjnego (dokument powstał nie wcześniej niż 27 marca 1940 roku) czytamy: „Przypuszczalny nieprzyjaciel: Anglia, Francja, Rumunia, Turcja. Zadania lotnictwa: zaatakować okręty w wodach morza Marmara, cieśninie Bosfor, postawić zagrody minowe w Bosforze”.

Raport dowódcy Powietrznej Floty Czarnomorskiej dla Głównego Sztabu Morskiego o planie rozwoju 1940–1941 zakładał następujący rozwój wypadków:

Zadania lotnictwa według teatrów działań wojennych:

- 1. Morze Czarne. Potężne uderzenia bombowe na bazy: Konstanca, Izmańl, Warna (...).*
- 2. Morze Egejskie: Saloniki, Smyrna (...).*
- 3. Morze Śródziemne: Aleksandria, Hajfa, Kanał Sueski, Malta, Brindisi (...).*

Systematycznymi uderzeniami na Kanał Sueski pozbawić Anglię i państwa śródziemnomorskie możliwości normalnej eksploatacji tego szlaku komunikacyjnego.

W tym samym czasie wiosną 1940 roku Zarząd Główny Sił Powietrznych Robotniczo–Chłopskiej Armii Czerwonej przygotował dokument na 19 stronach pod tytułem: „Opis marszrut w Indiach nr 1 (przełęcz Barochil, Chitral) i nr 4 (przełęcz Killio, Gilhit, Srinagar)”. Na 34 stronach

sporządzono „Wykaz obiektów wojskowo–przemysłowych” Turcji, Iranu, Afganistanu, Iraku, Syrii, Palestyny, Egiptu i Indii. Prawie wszystkie wymienione państwa to kolonie lub półkolonie Wielkiej Brytanii i Francji.

Olbrzymia uwaga skierowana na południowy teatr działań wojennych bynajmniej nie świadczyła o tym, że w radzieckich sztabach zapomniano o północy Europy. Na przykład szef sztabu Floty Bałtyckiej kontradmirał J. Pantielejew 5 lipca 1940 roku w notatce dla Głównego Sztabu Morskiego proponował:

Przejęcie Wysp Alandzkich niezależnie od sytuacji na Bałtyku i natychmiast (...). Natarcie naszych sił lądowych na północ od bazy Hanko i na zachód od Wyborga [w tłumaczeniu z języka wojskowego na ludzki oznacza to natarcie na Helsinki — M.S.]. (...) Natychmiast, w tym samym roku, zdobyć Wyspy Alandzkie oraz zapewnić możliwość realnej kontroli nad wszystkimi fińskimi bazami w Zatoce Fińskiej dowolnymi środkami — z wojną włącznie.

Nie był gorszy od przełożonego dowódca eskadry Floty Bałtyckiej kontradmirał N. Nieswicki. 10 lipca skierował do Głównego Sztabu Morskiego notatkę służbową z propozycją „rozwiązania kwestii istnienia niezależnej Szwecji i Finlandii na rzecz ZSRR oraz stworzenia z Bałtyku morza wewnętrznego”. We wrześniu 1940 roku „kwestia istnienia niezależnej Szwecji i Finlandii” znalazła odzwierciedlenie w konkretnych planach: dowódca Sił Powietrznych Floty Bałtyckiej generał major Jermaczenkow skierował do dowódcy Floty Bałtyckiej kontradmirała Tribuca notatkę dotyczącą planu operacji 1940 r. Zadania lotnictwa floty zostały tam sformułowane w następujący sposób:

Samodzielnymi działaniami lotnictwa Floty Bałtyckiej i Nadbałtyckiego SOW zniszczyć okręty i transporty na morzu oraz uniemożliwić stacjonowanie marynarki nieprzyjaciela w Sztokholmie, Karlskronie, Norrköping, Faro, Helsinkach, Turku, Raumie, Pori, Klajpedzie, Gdańsku, Gdyni, Szczecinie, Kilonii [wymieniono bałtyckie porty Szwecji, Finlandii, okupowanej przez Niemców Polski oraz Niemiec — M.S.]. (...) Współdziałając z flotami, lotnictwo zapewnia zdobycie Wysp Alandzkich poprzez uderzenia z powietrza i wysadzenie desantu.

Przygotowania do wykonania tak wspaniałych planów prowadzono na wielu kierunkach, w tym również po linii wywiadu. Na przykład szef wydziału rozpoznania sztabu Sił Powietrznych Floty Bałtyckiej kapitan Siemiszyn pisze do szefa 2 sekcji 1 wydziału sztabu lotnictwa marynarki wojennej majora Klimaszyna:

Donoszę o stanie przygotowania rozpoznania Sztabu Lotnictwa Floty Bałtyckiej na 1 sierpnia 1940 roku. (...) Akta celów są zakładane i uzupełniane wpływającymi danymi, między innymi powielono obiekt Sztokholm w 20 egz. i rozesłano do jednostek. Opracowano obiekty Kalmar i Karlskrona. Łącznie dla lotnictwa założono akt celów — 270, w tym w Szwecji — 91, w Niemczech — 90, w Finlandii — 36.

14 sierpnia major Klimaszyn kieruje do kapitana Siemiszyna następujące polecenia:

Do 1 września 1940 roku zameldujcie — na jakie cele założono akta w Finlandii, Szwecji i czy wszystkie pulki je mają [podkreślenie moje — M.S.]. Jednocześnie proszę powiadomić, czy dostaliście obiekt Sztokholm z wydziału rozpoznania Floty Bałtyckiej i jakie są w nim braki. Forsujcie opracowanie akt, żeby zakończyć je w najbliższym czasie.

Oczywiście lotnictwo nie było jedynym i nawet nie najważniejszym instrumentem „rozwiązania kwestii istnienia niezależnej Szwecji” czy zablokowania Kanału Sueskiego. Jakoś u nas zapomniano o wielkim programie budowy marynarki wojennej, którego realizację rozpoczęto w ZSRR pod koniec lat 30. W 1938 roku podjęto decyzję budowy w ciągu 10 lat 15 (!!!) pancerników, 35 ciężkich i 20 lekkich krążowników, 145 liderów i niszczycieli. Później ten program nieco zmniejszono — w ciągu 7 lat planowano zbudować „jedynie” 6 pancerników, 21 lekkich krążowników, 98 liderów i niszczycieli.

Na liście wojskowego wyposażenia, sprzętu i uzbrojenia, zakupionych w latach 1939–1940 w Niemczech, niemal połowę stanowiły liczne typy artylerii morskiej (specjalne odporne na korozję działa dla łodzi podwodnych), uzbrojenie minowe i torpedowe, systemy hydroakustyczne, pokładowe samoloty zwiadowcze i katapulty do nich, wały śrubowe i turbinowe, silniki

wysokoprężne i stal pancerna dla okrętów, i wreszcie najnowszy krążownik *Lützow*, którego budowę ukończono później w Leningradzie.

Z 25 miliardów rubli, przeznaczonych w 1940 roku na podstawie planu zamówień uzbrojenia i sprzętu bojowego, prawie jedną czwartą (5,8 miliarda) przeznaczono dla Ludowego Komisariatu Marynarki Wojennej. Wartość kosztorysowa jednego pancernika typu *Sowietskij Sojuz* („projekt 23”) w 1940 roku wynosiła miliard 180 milionów rubli.

Ze względu na to, że cena w warunkach radzieckiej antyrynkowej gospodarki była kategorią dość umowną, odnotujmy, że jeden *Sowietskij Sojuz* powinien był kosztować skarb państwa tyle, co 80 tysięcy dział przeciwpancernych kalibru 45 mm, 3 tysiące średnich czołgów T-34/76 czy 3,2 tysiąca lekkich bombowców SB. Na szczęście na budowę pancerników wydano (nie licząc wydatków na prace badawczo-rozwojowe) jedynie „*marne*” 600 milionów rubli. W lipcu 1941 roku wszystkie prace związane z budową pancerników i ciężkich krążowników wstrzymano, a ich kadłuby zakonserwowano — do wojny z Niemcami te olbrzymie potwory były zupełnie nieprzydatne.

Na początku wojny światowej wielkie mocarstwo morskie Wielka Brytania posiadało 58 okrętów podwodnych, Niemcy — 57, Włochy — 68, Japonia — 63. Jako olbrzymie mocarstwo lądowe ZSRR miał (co prawda nie we wrześniu 1939 roku, a w czerwcu 1941 roku) 267 okrętów podwodnych. Pytanie — blokadę morską jakiego kraju miała przeprowadzić ta gigantyczna flota podwodna?

Szereg historyków lotnictwa (W. Bielołoń, A. Stiepanow) zwrócił uwagę na zdecydowanie „*antyangielski*” kierunek rozwoju radzieckiego lotnictwa na przełomie lat 30. i 40. Już posiadając w produkcji seryjnej i na uzbrojeniu jednostek liniowych bombowiec DB-3F, który mógł z obciążeniem bombowym 1 tony pokonać 3300 km (najlepszy wówczas niemiecki He-111 miał zasięg nie więcej niż 2700 km), Stalin w styczniu 1939 roku wydał konstruktorom polecenie stworzenia bombowca o zasięgu 5000 km. Po co? Do jakich rubieży planowały lot „*sokoły Stalina*”? Z Mińska do Berlina jest 1000 km, z Mińska do Hamburga — 1200 km, z Kijowa do Monachium — 1400 km, z Władywostoku do Tokio — 1200 km. Zasięg seryjnego DB-3F był wystarczający do zbombardowania każdego z wymienionych celów. Jednak do ataku na Wyspy Brytyjskie rzeczywiście potrzebowano bombowca

o znacznie większym zasięgu (z Mińska do Londynu jest 1900 km, do Manchesteru — 2000 km).

Te wszystkie waleczne marzenia, słodkie sny o zrobieniu z Bałtyku „morza wewnętrznego” i zdobyciu przełęczy w Himalajach na szlaku do Oceanu Indyjskiego, rozpadły się jak domek z kart latem 1940 roku. W ciągu miesiąca została rozgromiona Francja. Angielski Korpus Ekspedycyjny ledwo zdążył uciec, pozostawiając na plażach Dunkierki góry ciężkiego uzbrojenia. Nowo powstały Wehrmacht z zawrotną szybkością stawał się najpotężniejszą armią świata. Większa część kontynentalnej Europy Zachodniej znalazła się pod kontrolą Hitlera. Ta oszałamiająca rzeczywistość zmusiła Stalina do zasadniczej zmiany strategicznego planu wojny.

Plan nr 2 to plan wojny z Niemcami. Nie razem z Niemcami, a przeciwko Niemcom.

W odróżnieniu od planu nr 1, którego treści można jedynie się domyślać z okrucich informacji, można dzisiaj dość szczegółowo odtworzyć plan nr 2. W pierwszej połowie lat 90. odtajniono i opublikowano w licznych zbiorach następujące dokumenty:

— Raport ludowego komisarza obrony ZSRR i szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej dla KC WKP(b) oraz I.W. Stalina i W.M. Mołotowa „*O założeniach rozwinięcia strategicznego Sił Zbrojnych ZSRR na zachodzie i na wschodzie*”, b.n., nie później niż 16 sierpnia 1940 roku.

— Dokument o takiej samej nazwie, ale już z numerem (103202) i dokładną datą zaaprobowania (18 września 1940 roku).

— Raport ludowego komisarza obrony ZSRR i szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej dla KC WKP(b) oraz I.W. Stalina i W.M. Mołotowa nr 103313 (dokument zaczyna się słowami „*Przedstawiam Wam do akceptacji kluczowe wnioski z Waszych zaleceń z 5 października 1940 roku dotyczących planów rozwinięcia strategicznego Sił Zbrojnych ZSRR na 1941 rok*”, w związku z czym zazwyczaj jest określany jako „*poprawiony październikowy plan rozwinięcia strategicznego*”).

— Raport szefa sztabu Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego odnośnie do decyzji Rady Wojennej Frontu Południowo-Zachodniego, dotyczącej planu rozwinięcia operacyjnego na 1940 rok, b.n., nie później niż grudzień 1940 roku.

— Raport ludowego komisarza obrony ZSRR i szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej dla KC WKP(b) oraz I.W. Stalina i W.M. Mołotowa „*Poprawione założenia rozwinięcia strategicznego Sił Zbrojnych ZSRR na zachodzie i na wschodzie*”, b.n., z 11 marca 1941 roku.

— Dyrektywa ludowego komisarza obrony ZSRR i szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej dla dowództwa Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego w sprawie opracowania planu rozwinięcia operacyjnego oddziałów okręgu, b.n., kwiecień 1941 roku.

— Opinie na temat rozwinięcia strategicznego Sił Zbrojnych Związku Radzieckiego w przypadku wojny z Niemcami i ich sojusznikami, b.n., nie wcześniej niż 15 maja 1941 roku.

Ściśle rzecz biorąc, informacji do zbadania jest pod dostatkiem. Do dyspozycji historyków znajduje się pięć wariantów ogólnego planu rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej i materiały planów operacyjnych dwóch najważniejszych frontów: Południowo–Zachodniego i Zachodniego. Jakie wnioski możemy wyciągnąć na podstawie dostępnych dokumentów?

Po pierwsze, operacyjny plan wojny z Niemcami istniał i wielomiesięczna praca nad nim trwała co najmniej od sierpnia 1940 roku, pomimo paktu o nieagresji. Dziwne, że trzeba to szczególnie akcentować, ale niektórzy rodzimi propagandyści w swej nadgorliwości posuwali się do stwierdzeń, że „*naiwny i ufny*” Stalin zamienił pracę nad planami wojenno–operacyjnymi w kontemplację autografu Ribbentropa.

Po drugie, od sierpnia 1940 roku we wspomnianych planach rozwinięcia strategicznego Anglia nie jest już uznawana za prawdopodobnego nieprzyjaciela ZSRR; jako główny nieprzyjaciel niezmiennie są podawane Niemcy, którym przypuszczalnie mogły pomóc Włochy, Węgry, Rumunia i Finlandia.

Po trzecie, wszystkie odtajnione w tej chwili plany rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej są faktycznie jednym dokumentem, tylko nieznacznie zmienianym w kolejnych wariantach. Podobieństwo wszystkich planów widoczne jest nie tylko w założeniach, ale również w treści tekstów. Wszystkie bez wyjątku dokumenty są opisem planu przygotowania i przeprowadzenia strategicznej operacji ofensywnej, przeprowadzanej poza granicami ZSRR. Toponimia teatru przypuszczalnych działań wojennych zawiera nazwy wschodniopruskich, polskich i słowackich miast i rzek:

1. *Współdziałając z 4. Armią Frontu Zachodniego, zdecydowanie rozgromić lubelsko–sandomierskie zgrupowanie nieprzyjaciela i wyjść na Wisłę. Dalsze uderzenie w kierunkach na Kielce–Piotrków oraz Kraków, opanować rejon Kielce–Piotrków i wyjść na rz. Pilica i górny bieg rz. Odra.*

2. *Początkowe zadanie strategiczne — rozgromić, współdziałając z 4. Armią Frontu Zachodniego, siły zbrojne Niemiec w rejonach Lublin, Tomaszów, Kielce, Radom oraz Rzeszów, Jasło, Kraków i wyjść w 30 dniu operacji na front rz. Pilica, Piotrków, Opole, Prudnik, odcinając Niemcy od południowych sojuszników.*

3. *Głównymi siłami Frontu Południowo–Zachodniego, współdziałając z lewym skrzydłem Frontu Zachodniego, przeprowadzić uderzenie i zdecydowanie rozgromić lubelsko–radomsko–sandomiersko–krakowskie zgrupowanie nieprzyjaciela, sforsować Wisłę, opanować Kraków i Warszawę oraz wyjść na linię Warszawa, Łódź, Kluczbork, Opole.*

4. *Wraz z rozpoczęciem przez armie Frontu Południowo–Zachodniego natarcia uderzyć lewym skrzydłem frontu na ogólnym kierunku na Siedlce, Radom, wspomagając Front Południowo–Zachodni w rozgromieniu lubelsko–radomskiego zgrupowania nieprzyjaciela. Początkowe zadanie frontu — opanować rejon Siedlec, Lukowa oraz zdobyć przeprawy przez Wisłę; następnie skierować działania na Radom w celu całkowitego okrążenia lubelskiego zgrupowania nieprzyjaciela, współdziałając z Frontem Południowo–Zachodnim.*

5. *Główne uderzenie siłami Frontu Południowo–Zachodniego w kierunku Kraków, Katowice, i odcięcie Niemiec od ich południowych sojuszników; wspomagające uderzenie lewym skrzydłem Frontu Zachodniego w kierunku Siedlec, Dęblina, w celu związania zgrupowania warszawskiego i współdziałania z Frontem Południowo–Zachodnim w rozgromieniu lubelskiego zgrupowania nieprzyjaciela.*

Przytoczone powyżej fragmenty pochodzą z pięciu różnych dokumentów (planów). Jak się mówi, „znajdź pięć różnic”. Już tylko ta wyraźna zgodność założeń (i nawet detali) wszystkich wariantów planu strategicznej operacji ofensywnej, przeprowadzanej na zachód od granicy państwowej ZSRR, ukazuje absolutną nedorzeczność sformułowań „plan Żukowa”, „majowy plan Żukowa”... Plan rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej mógł być wyłącznie planem Stalina. Od sierpnia 1940 roku do maja 1941 roku nad

różnymi wariantami tego planu pracowali ludowy komisarz obrony ZSRR Timoszenko i trzech kolejni szefowie Sztabu Generalnego — Szaposznikow, Mierieckow i Żukow.

Po czwarte, jedynie sierpniowy (1940 r.) dokument ustala wybór kierunku rozwinięcia głównych sił Armii Czerwonej w zależności od przypuszczalnych planów nieprzyjaciela (*„gdy główne uderzenie Niemców zostanie skierowane na północ od ujścia Sanu, należy główne siły Armii Czerwonej rozwinąć na północ od Polesia. (...) Głównym celem naszych wojsk jest zadanie klęski niemieckim siłom skoncentrowanym w Prusach Wschodnich oraz w rejonie Warszawy; wspomagającym uderzeniem należy rozgromić ugrupowanie nieprzyjaciela w rejonie Lublin, Hrubieszów, Tomaszów, Sandomierz”*).

Bardzo ogólnie tę logikę można jeszcze nazwać planowaniem kontruderzenia. Natomiast wszystkie kolejne warianty planu rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej ustalają geografie planowanych działań bojowych przy uwzględnieniu wojenno–operacyjnych i politycznych korzyści dla nacierającej Armii Czerwonej. Ocena ewentualnych planów niemieckiego dowództwa (rozwinięcie przez Niemców najpotężniejszego ugrupowania na północ lub na południe od bagien Polesia) kilka razy się zmienia, ale to w żaden sposób nie wpływa na wybór kierunku głównego uderzenia Armii Czerwonej.

Następny dokument, **„O założeniach rozwinięcia strategicznego Sił Zbrojnych ZSRR na zachodzie i na wschodzie”**, został stworzony przez ludowego komisarza obrony marszałka Timoszenkę i nowego szefa Sztabu Generalnego generała armii Mierieckowa 18 września 1940 roku (16 września spędzili oni w gabinecie Stalina cztery i pół godziny). Ozdobiony wszystkimi stosownymi w takim przypadku nadrukami (*„Ścisłe tajne specjalnego znaczenia”*, *„Do rąk własnych”*, *„Sporządzono w jednym egzemplarzu”*) dokument został przedłożony Stalinowi.

Po szczegółowym omówieniu (3, 4, 5 października Timoszenko i Mierieckow spędzili w gabinecie gospodarza po trzy i pół godziny) pojawiła się Notatka nr 103 313. Dokument zaczyna się od słów *„Przedstawiam Wam do akceptacji kluczowe wnioski z Waszych zaleceń z 5 października 1940 roku (...)”* Te wnioski zostały sformułowane w następujący sposób:

Na Zachodzie główne ugrupowanie posiadać w składzie Frontu Południowo–Zachodniego, żeby potężnym uderzeniem w kierunku Lublin i

Kraków i dalej na Wrocław w pierwszym etapie wojny odciąć Niemcy od krajów bałkańskich, pozbawić je bardzo ważnego zaplecza ekonomicznego oraz wywierać decydujący wpływ na kraje bałkańskie, zapobiegając ich udziałowi w wojnie (...).

Wrześniowy plan rozwinięcia strategicznego (razem z uzupełnieniami i zaleceniami z 5 października) to bardzo obszerny (ponad 6700 słów) dokument, w którym szczegółowo omówiono ugrupowanie radzieckich wojsk, kolejność i termin jego koncentracji, skład i cele ugrupowań Sił Powietrznych, plany operacyjne pierwszych operacji, uszczegółowione do poziomu frontów. Można przypuszczać, że „w części ich dotyczącej” zostali zapoznani z dokumentami dowódcy nadgranicznych okręgów wojskowych (przyszłych frontów). To przypuszczenie opiera się na tym, że nie później niż w grudniu 1940 roku (dokładnej daty na dokumencie nie podano) w sztabie Kijowskiego Okręgu Wojskowego sporządzono bardzo szczegółowy, rozplanowany dosłownie na dni, sprecyzowany do poziomu zadań każdej armii plan rozwinięcia Frontu Południowo–Zachodniego.

Jak należało się spodziewać, plan rozwinięcia operacyjnego wojsk Frontu Południowo–Zachodniego w założeniach dokładnie odpowiadał Wielkiemu Planowi Naczelnego Dowództwa:

Początkowy cel strategiczny — rozgromić, współdziałając z 4. Armią Frontu Zachodniego, siły zbrojne Niemiec w rejonach Lublin, Tomaszów, Kielce, Radom oraz Rzeszów, Jasło, Kraków i wyjść w 30 dniu operacji na linię rz. Pilica, Piotrków, Opole, Prudnik, odcinając Niemcy od południowych sojuszników. Jednocześnie trwale zabezpieczyć granicę państwową z Węgrami i Rumunią.

Początkowy cel — współdziałając z 4. Armią Frontu Zachodniego, okrążyć i zniszczyć nieprzyjaciela na wschód od Wisły i w 10 dniu operacji wyjść na rz. Wisła i rozwijać natarcie na kierunkach: Kielce, Piotrków i Kraków.

Stan gotowości do rozpoczęcia natarcia nie później niż w 30 dniu mobilizacji.

Cele lotnictwa przyszłego frontu zostały rozpisane dosłownie na dni:

1 dzień działań. Dwa kolejne naloty na lotniska nieprzyjaciela, znajdujące się w strefie o głębokości 150–160 km. Siły: 16 pbdz [pułków bombowych dalekiego zasięgu], 30 pis [pułków lotnictwa szturmowego], 10 pm [pułków myśliwskich].

2 dzień — powtórzyć uderzenie.

3 i 4 dzień — powtórzyć naloty na lotniska. Pułki bombowe dalekiego zasięgu kierują uderzenie na lotniska znajdujące się na głębokości do 400 km.

W 5, 6, 7 dniu działań uderzenia na mosty przez Wisłę i węzły kolejowe, zgodnie z celami. Siły: 13 pbdz, 24 pls i 10 pm.

Nie mniej szczegółowo zostały sformułowane zadania wojsk lądowych:

6 Armia. (...) Cel — uderzeniem na Tarnogród przełamać front nieprzyjaciela, kierując do wylomu armię konno–zmechanizowaną. Do końca 3 dnia operacji opanować północne wyjscia z lasów taniewskich w rejonie Biłgoraju i Jeżewa. Ruchliwe oddziały opanowują przeprawę przy Sandomierzu. Następnie nacierając na Sandomierz, w 10 dniu operacji wyjść na Wisłę.

Rozmieszczenie sił: na odcinku głównego uderzenia — 3 korpusy strzeleckie (9 dywizji strzeleckich), trzy brygady pancerne, siedem pułków artylerii ONI [Odwołu Naczelnego Dowództwa]. Na kierunku Szczepieszyn 1 korpus strzelecki (4 dywizje strzeleckie), 1 pułk artylerii OND. Na lewym brzegu rzeki San — 1 korpus strzelecki (2 dywizje), 1 pułk artylerii OND.

I tak dla każdej z ośmiu armii włączonych do składu Frontu Południowo–Zachodniego.

11 marca 1940 roku Timoszenko i Zuków przekazują Stalinowi „Poprawione założenia rozwinięcia strategicznego Sił Zbrojnych ZSRR na zachodzie i na wschodzie”. Marcowy (1941 r.) wariant Wielkiego Planu zasadniczo nie różni się od dwóch poprzednich. Po raz kolejny wybór kierunku głównego uderzenia został uzasadniony wyłącznie względami natarcia:

Rozwinięcie głównych sił Armii Czerwonej na Zachodzie ze zgrupowaniem głównych sił przeciwko Prusom Wschodnim i na kierunku warszawskim wywołuje poważne obawy, że natarcie na tym froncie może prowadzić do długotrwałych walk, zwiąże nasze siły główne, nie da

wymaganego i szybkiego rezultatu, przyspieszy przystąpienie krajów bałkańskich do wojny przeciwko nam.

Najkorzystniejsze jest rozwinięcie naszych głównych sił na południe od rz. Prypeć, żeby potężnymi uderzeniami na Lublin, Radom i na kierunku krakowskim rozgromić główne siły Niemców i w pierwszym etapie wojny odciąć Niemcy od państw bałkańskich, pozbawić je ważnego zaplecza ekonomicznego i wywierać jednocześnie zdecydowany wpływ na państwa bałkańskie, zapobiegając ich udziałowi w wojnie przeciwko nam.

Marcowy wariant jest interesujący głównie przez to, że po raz pierwszy po omówieniu „*bezpośredniego zadania strategicznego*” (natarcie na Kraków–Katowice) pojawiają się również kierunki dalszych uderzeń:

Kolejnym celem strategicznym dla głównych sił Armii Czerwonej w zależności od sytuacji mogą zostać: rozwinięcie operacji przez Poznań na Berlin, działania na południowy zachód na Pragę i Wiedeń lub uderzenie na północ na Toruń i Gdańsk w celu ominięcia Prus Wschodnich.

Żadnych innych planów rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej oprócz powyższych jeszcze nikt nie odnalazł. Mając do dyspozycji wszystkie archiwa Rosji, przeciwnicy hipotezy Suworowa nie potrafili w ciągu ostatnich 18 lat zaprezentować „*miastu i światu*” ani jednego dokumentu, w którym początek (przynajmniej początek!) radziecko–niemieckiej wojny planowano jako strategiczną operację obronną na terenach ZSRR.

W ciągu ostatnich 18 lat nie znaleziono. We wcześniejszych latach nie zamierzano szukać. Zanim ukazał się **Lodołamacz**, radzieccy historycy bez cienia zażenowania twierdzili, że „*na rozlokowanie oddziałów i pozycji miał wpływ ofensywny charakter planowanych działań strategicznych, (...) założenia rozwinięcia strategicznego i stworzenie ugrupowań wojsk w dużym stopniu odzwierciedlały cele ofensywne*”. Co prawda podobnym oświadczeniom zawsze towarzyszyła dyżurne zastrzeżenie, że „*wskutek nieprawidłowej oceny sytuacji została niesłusznie podjęta błędna decyzja*”.

Na początku stycznia 1941 roku główne idee i rozwiązania operacyjnego planu wojny z Niemcami i ich sojusznikami zostały przeciwiczone podczas dwóch operacyjno–strategicznych gier na mapach, przeprowadzonych przez Sztab Generalny Armii Czerwonej pod kierownictwem ludowego komisarza obrony marszałka Timoszenki. Do udziału w grach zaproszono czterech

marszałków i 49 generałów, zastępców ludowego komisarza obrony i szefa Sztabu Generalnego, dowódców i szefów sztabów zachodnich okręgów wojskowych, szefów (oraz ich zastępców) zarządów głównych i generałów–inspektorów wojsk... Jednym słowem — całe najwyższe dowództwo Armii Czerwonej, tych, którzy w najbliższej przyszłości mieli poprowadzić wojsko do walki.

Przez ponad pół wieku materiały ze styczniowych (1941 r.) gier operacyjno–strategicznych zostały ukryte pod nadrukiem „*Ścisłe tajne*”. Szczególna poufność jednak nie przeszkodziła radzieckim historykom powiedzieć ludowi „*całej prawdy*”. Ta prawda znalazła nawet odzwierciedlenie w słynnym filmie **Wyzwolenie** — tam Żukow zarzuca skazanemu na śmierć dowódcy Frontu Zachodniego Pawłowowi, że ten nie wyciągnął właściwych wniosków ze styczniowej gry, podczas której Wielki Marszałek, dowodząc „*zachodnimi*”, okrążył i rozgromił „*wschodnich*” na Białorusi. I nawet po odtajnieniu i szczegółowym wyjaśnieniu materiałów z gier („**Wojenno–istoriczeskij żurnal**”, nr 7–8, 1993 r.) komentator gazety „**Krasnaja zwiezda**” W. Morozow pisze:

Wiadomo, że Sztab Generalny Armii Czerwonej nawet podczas gier operacyjno–strategicznych nie rozważał takiego [ofensywnego — M.S.] planu. (...) Historia zna grę sztabową innej treści. Nasi najlepsi strategowie, najlepiej przygotowani operatorzy, zastanawiali się, jak skończy się dla ZSRR atak Niemiec, i jak wiadomo, Stalina nie uspokojono, uderzenia — nawet w grze — nie zdołano odeprzeć

(„**Krasnaja zwiezda**”,
13 stycznia 2000 r.).

W rzeczywistości przeprowadzono dwie gry. W pierwszej zajmowano się „*wariantem północnym*” — główne uderzenie z występu białostockiego i Litwy na Prusy Wschodnie. Przypuszczalne działania bojowe toczyły się na terytorium nieprzyjaciela, „*wschodni*” dotarli do Olsztyna i Kętrzyna, ale ogólnie rzecz biorąc, wyznaczone cele ofensywne nie zostały osiągnięte (ani okrążenie głównych sił „*zachodnich*”, ani wyjście do Wisły i Gdańska się nie udało). Natarcie ugrzęzło w zalesionym i bagnistym terenie (okrytym złą sławą już w czasie I wojny światowej Pojezierzu Mazurskim). Gra po raz

kolejny potwierdziła brak możliwości rozwoju „*wariantu północnego*” strategicznej operacji ofensywnej.

W finale gry „*zachodni*”, którymi dowodził Żukow, rzeczywiście usiłowali przejąć inicjatywę i zadali dwa uderzenia na skrzydło i tyły nacierających na Olsztyn „*wschodnich*”, przy tym w rejonie Łomży, Zambrowa, Brześćcia przypuszczalne działania bojowe zostały przeniesione 20–40 km na wschód od granicy państwowej. Do katastrofy, która w rzeczywistości nastąpiła na Białorusi w czerwcu 1941 roku, ten wypad „*zachodnich*” do Łomży i Zambrowa jest podobny tak, jak domowy Mruczek jest podobny do lwa.

Podczas drugiej gry przeciwczono już zaaprobowany i zatwierdzony w październiku 1940 roku jako podstawowy (a propos, również skład zgrupowania „*wschodnich*” podczas drugiej gry był dużo większy niż podczas pierwszej) „*wariant południowy*”. Rozwijając główne siły na występie lwowskim, „*wschodni*” w ciągu pięciu tygodni powinni byli wyjść na linię Wisła, Kraków, Budapeszt, Timișoara, Krajowa, czyli podczas natarcia na głębokość do 250–300 km zająć południową Polskę, Słowację, większość terytorium Węgier i Rumunii.

Druga („*południowa*”) gra zasługuje na szczególną uwagę ze względu na cały szereg powodów. Po pierwsze, w scenariuszu gry zostały odrzucone nawet minimalne listki figowe udawanego pacyfizmu — natarcie „*wschodnich*” rozpoczynało się nie na linii granicy państwowej, a z rejonu Rzeszów–Tarnów, czyli już terytorium Generalnego Gubernatorstwa. Tu należałoby wspomnieć, że w opracowanym później, w maju i czerwcu 1941 roku, planie osłony mobilizacji, ześrodkowania i rozwinięcia wojsk Kijowski Specjalny Okręg Wojskowy miał za zadanie już na etapie rozwinięcia głównego zgrupowania „*być przygotowanym na rozkaz Naczelnego Dowództwa do gwałtownego uderzenia w celu rozgromienia ugrupowań nieprzyjaciela, przeniesienia działań bojowych na jego terytorium i zdobycia dogodnych rubieży*”.

Po drugie (i jest to wyjątkowo istotne dla zrozumienia, jak Stalin i jego otoczenie oceniali wówczas wartość bojową Armii Czerwonej), podczas gry „*wschodni*” mieli do wykonania cztery (!!!) zakrojone na szeroką skalę zadania naraz: rozgromienie głównych sił nieprzyjaciela w rejonie Kraków–Katowice, głęboki wyłom na Budapeszt, zacięta obrona na dwóch kierunkach

kontruderzeń nieprzyjaciela (na Kowel i Stryj), okrążenie uderzeniowej grupy „zachodnich”, forsującej Dniestr w rejonie Chocimia i nacierającej na Wołoczyska, Płoskirów. Wszystkie zadania „wschodni” wykonali celująco, ustępując nieprzyjacielowi w liczbie dywizji strzeleckich (81 do 100) i mając niewielką (30 procent) przewagę w liczebności lotnictwa (tylko w liczebności czołgów „wschodni” mieli zdecydowaną, trzykrotną przewagę).

Po trzecie, chronologię gry określono w godny odnotowania sposób. Nie „w pierwszym, drugim, dziesiątym dniu gry”, a od 8 do 20 sierpnia. Nie dowolnego sierpnia, a konkretnego sierpnia 1941 roku. Ten fakt — wskazanie konkretnego roku — wygląda dość dziwnie; jeżeli wskazanie konkretnego miesiąca jeszcze można wytłumaczyć tym, że zaplanowanie przypuszczalnych „działań bojowych” wymagało właściwego określenia warunków pogodowo-klimatycznych, długości dnia, czasu wschodu i zachodu słońca, to do czego potrzebowano roku?

Tu zajmiemy się jednym z najbardziej skomplikowanych zagadnień okresu przedwojennego. Jeżeli sama idea wielkiej operacji ofensywnej jest zrozumiała i dyskusje są możliwe jedynie na zasadzie omówienia niektórych szczegółów, to ustalenie na podstawie odtajnionych dokumentów dokładnej daty zaplanowanego przejścia Armii Czerwonej do natarcia nie wydaje się możliwe.

Wysunięta przez W. Suworowa i I. Bunicza hipoteza, że Stalin zamierzał rozpocząć operację wtedy, gdy oddziały niemieckie wysadzą desant na Wyspach Brytyjskich, nie znalazła jak na razie potwierdzenia w dostępnych dokumentach. Niewątpliwie hipoteza jest ładna, ale, niestety, sama tylko uroda idei to dla historyka za mało.

Dużo pytań budzi notatka z 11 marca 1941 roku („**Poprawione założenia rozwinięcia strategicznego Sił Zbrojnych ZSRR na zachodzie i na wschodzie**”), gdzie na odwrocie 27 strony cienkim ołówkiem, starannym charakterem pisma (przypuszczalnie ręką szefa Wydziału Operacyjnego Sztabu Generalnego Watutina) dopisano: „*Rozpocząć natarcie 12.6*”. To zdanie nijak się ma do kontekstu (pojawia się po określeniu celu wyznaczonego „*lewym skrzydłem głównego zgrupowania Frontu Południowo-Zachodniego*”) i w ogóle wydaje się nie na miejscu w dokumencie, w którym wszystkie adnotacje chronologiczne są podane w datach umownych, „*przywiązanych*” do pierwszego dnia operacji („*w 3 dniu*

operacji mobilnymi oddziałami opanować Siedlce, a w 5 dniu przeprawy na Wiśle”).

Wnikliwa analiza dokumentu nie pozwala przypuszczać, że zdanie „rozpocząć natarcie 12 czerwca” dotyczy 12 czerwca 1941 roku. Logika rozumowania jest prosta — większość formacji zmechanizowanych (pancernych), wspomnianych w marcowym (1941 r.) planie, po prostu nie istniała. Do składu 4. Armii Frontu Zachodniego zgodnie z planem włączono trzy korpusy zmechanizowane. Tym samym cienkim ołówkiem dopisano ich numery: XIII, XIV i XVII. Ale wówczas o zdecydowanym natarciu siłami tych formacji nie mogło być mowy. XIV Korpus Zmechanizowany zgodnie z zatwierdzonymi w lutym 1941 roku planami kończył formowanie dopiero na początku 1942 roku. Natomiast XIII i XVII w ogóle znajdowały się w początkowym etapie formowania i nawet pod koniec 1941 roku miały zgodnie z planem dysponować około 25–30 procent czołgów.

Ogólnie rzecz biorąc, uruchomiony w lutym 1941 roku program utworzenia gigantycznych sił pancernych w składzie trzydziestu korpusów zmechanizowanych po tysiąc czołgów w każdym i uzbrojenia tej potwornej opancerzonej hordy w „czołgi nowych typów” (KW i T-34/76) mógł zostać ukończony nie wcześniej niż pod koniec 1942 roku (jeśli nie później). Żaden rozsądny człowiek — a Stalin niewątpliwie był osobą wyjątkowo ostrożną — nie rozpocząłby tak wielkiego „kapitalnego remontu” kilka miesięcy przed rozpoczęciem Wielkiej Wojny. Można przypuszczać, że w marcu 1941 roku ten moment został przez niego wyznaczony na początek lata (12 czerwca) 1942 czy nawet 1943 roku...

„*W polu dwie wole*” — mówi stare rosyjskie przysłowie. Dramatyczny rozwój wydarzeń nie pozwolił Stalinowi solidnie przygotować się do wojny w Europie. W którymś momencie wiosną 1941 roku w Moskwie zrozumiano, że Armia Czerwona będzie mogła zaatakować z powodzeniem tylko nie później niż w sierpniu lub wrześniu 1941 roku. W tej nowej rzeczywistości najwyższe kierownictwo wojskowo-polityczne Związku Radzieckiego zmuszone było w pośpiechu skorygować opracowane wcześniej plany.

Ściśle rzecz biorąc, nowy, trzeci plan Stalina z punktu widzenia zadania operacyjnego w niczym nie różnił się od planu nr 2. Wciąż planowano przeprowadzenie szeroko zakrojonej operacji ofensywnej poza granicami państwowymi ZSRR. Majowe (1941 r.) „*Założenia planu rozwinięcia*

strategicznego” w pełni powtarzają wszystkie poprzednie warianty planu wojny z Niemcami co do celów, kierunków głównych uderzeń, terminów i rubieży. W tekście „*Założeń*” pojawia się tylko jeden — ale bardzo znaczący — nowy element. A mianowicie: „*Niemcy mają możliwość wyprzedzenia nas w rozwinięciu i zadania niespodziewanego uderzenia*”. Właśnie dlatego autorzy planu usilnie proponują „*pod żadnym pozorem nie oddawać inicjatywy niemieckiemu dowództwu, wyprzedzić nieprzyjaciela i zaatakować niemiecką armię w chwili, gdy będzie się znajdowała w stadium rozwinięcia i jeszcze nie zdąży zorganizować frontu i współdziałania wojsk*”.

Jeszcze raz zaznaczam, że nie ma żadnych podstaw do dyskusji na temat wyjątkowej agresywności majowych (1941 r.) „*Założeń*” — zamiar wyprzedzenia nieprzyjaciela i nieoddawania mu inicjatywy w działaniach jest jedynie elementarnym wymogiem zdrowego rozsądku i podstaw sztuki operacyjnej. Przewaga pierwszego uderzenia jest zbyt poważną sprawą, żeby z własnej woli obdarzać nią nieprzyjaciela. Zasadniczo nowe jest jedynie to, że w maju 1941 roku radzieckie dowództwo już nie było przekonane o tym, że uda mu się tego dokonać, i dlatego prosiło Stalina o pilne podjęcie wszystkich niezbędnych kroków, „*bez których niemożliwe będzie zadanie niespodziewanego ciosu przeciwnikowi tak z powietrza, jak i na lądzie*”.

Kiedy doszło do tego gwałtownego zwrotu w ocenie sytuacji wojenno-strategicznej?

Może się to wydawać zaskakujące, ale możemy określić czas tego wydarzenia z dokładnością do jednego lub dwóch miesięcy — co przy braku bezpośrednich potwierdzeń w dokumentach można uznać za znakomity rezultat. Nie wcześniej niż 6 kwietnia i nie później niż 24 maja 1941 roku.

6 kwietnia 1941 roku to jeden z najbardziej tajemniczych dni w historii II wojny światowej. Przypomnijmy tło głównych wydarzeń. W nocy z 26 na 27 marca w Belgradzie dokonano przewrotu wojskowego, inspirowanego przez angielskie lub radzieckie służby specjalne. Nowy rząd generała Simowicia oświadczył, że odrzuca niemieckie pretensje, i zwrócił się z prośbą o pomoc do Związku Radzieckiego.

3 kwietnia (czyli już tydzień po przewrocie) jugosłowiańska delegacja prowadziła w Moskwie rozmowy o zawarciu porozumienia o przyjaźni i współpracy ze Stalinem.

Mimo że Niemcy przez ambasadora Schulenburga przekazały Mołotowowi swoją opinię, że *„moment do zawarcia porozumienia z Jugosławią wybrano niefortunnie, co wywołuje niepożądane wrażenie”*, o 2.30 w nocy 6 kwietnia 1941 roku podpisano radziecko–jugosłowiańskie porozumienie. Kilka godzin później samoloty Luftwaffe zbombardowały Belgrad, a wojska niemieckie wkroczyły na terytorium Jugosławii. Związek Radziecki w żaden sposób nie pomógł swojemu nowemu przyjacielowi. 6 kwietnia około godziny 16 czasu moskiewskiego Mołotow przyjął Schulenburga i po wysłuchaniu oficjalnego oświadczenia o ataku Wehrmachtu na Jugosławię ograniczył się jedynie do melancholijnej uwagi: *„To bardzo smutne, że mimo wszelkich starań rozszerzenie wojny w ten sposób okazało się nieuniknione”*.

Co to było? Dlaczego Stalin w tak demonstracyjny sposób *„drażnił”* Hitlera, nie mając zamiaru (jak również praktycznej możliwości!) udzielenia Jugosławii czynnego wsparcia wojskowego? W ciągu wielu lat to pytanie pozostaje w centrum dyskusji historyków. Na razie z pełnym przekonaniem można powiedzieć jedno — po 6 kwietnia 1941 roku zewnętrzny (podkreślimy to słowo trzy razy) aspekt radziecko–niemieckich stosunków wzajemnych gwałtownie się zmienia. Przy tym zmienia się wyłącznie z jednej strony — Moskwa zaczyna demonstracyjnie i natrętnie *„przyjaźnić się”* z Berlinem i jego sojusznikami.

13 kwietnia 1941 roku nastąpiło bardzo ważne wydarzenie o znaczeniu światowym: w Moskwie podpisano pakt o neutralności pomiędzy ZSRR i Japonią — porozumienie, które rozwiązało Stalinowi ręce do działań na Zachodzie. Tego samego dnia wydarzył się również mały epizod na moskiewskim dworcu, który przykuł baczność uwagę polityków i dyplomatów całego świata. W sprawozdaniu, które ambasador Niemiec tego samego dnia z adnotacją *„Pilne! Tajne!”* wysłał do Berlina, ten dziwny epizod został opisany następująco:

Zupełnie niespodziewanie zarówno dla Japończyków, jak i dla Rosjan nagle pojawili się Stalin i Mołotow, wylewnie przywitali Matsuokę oraz obecnych tam Japończyków i życzyli im przyjemnej podróży. Następnie Stalin głośno zapytał o mnie i gdy mnie odszukał, podszedł, uścisnął mnie i powiedział: «Powinniśmy zostać przyjaciółmi i powinniście teraz wszystko dla tego zrobić!». Następnie Stalin odwrócił się do pełniącego obowiązki

niemieckiego attache wojskowego pułkownika Krebsa i upewniwszy się, że jest Niemcem, powiedział do niego: «Pozostaniemy z wami przyjaciółmi bez względu na wszystko».

Goście objęcia przy drzwiach wagonu zostały wkrótce uzupełnione innymi, równie demonstracyjnymi działaniami. W Moskwie zamknięto ambasady i misje dyplomatyczne państw rozgromionych i okupowanych przez Wehrmacht. Nie była wyjątkiem i ambasada Jugosławii, choć na porozumieniu o przyjaźni z tym krajem, można powiedzieć, „jeszcze nie zdążył wyschnąć atrament”. W maju 1941 roku Związek Radziecki posłusznie uznał proniemiecki rząd Iraku, który doszedł do władzy wskutek przewrotu wojskowego. Niezwykle życzliwie rozwiązywano wszelkie aspekty współpracy gospodarczej z Trzecią Rzeszą. W memorandum MSZ Niemiec z 15 maja 1941 roku stwierdzono:

Rozmowy z pierwszym zastępcą ludowego komisarza handlu zagranicznego ZSRR zostały przeprowadzone w duchu konstruktywnej współpracy (...) Mam wrażenie, że moglibyśmy zgłosić Moskwie żądania gospodarcze, nawet wykraczające poza ramy umowy z 10 stycznia 1941 roku. (...) Obecnie ilość surowców zastrzeżonych w umowie jest dostarczana przez Rosjan punktualnie, mimo że wymaga to od nich sporego wysiłku; umowy, szczególnie dotyczące zboża, są wypełniane znakomicie.

Sędziwy hrabia Schulenburg był absolutnie zachwycony i oczarowany życzliwością gościnnych moskiewskich gospodarzy (nawiasem mówiąc, w 1944 roku były ambasador Niemiec w ZSRR został stracony za udział w spisku przeciwko Hitlerowi, więc jego naiwna ufność mogła być nie tak znowu naiwna, jak się wydaje). 24 maja 1941 roku w kolejnym doniesieniu do Berlina pisze:

To, że ta polityka zagraniczna przede wszystkim skierowana jest na zapobieganie konfliktowi z Niemcami, potwierdza pozycja, którą zajął radziecki rząd w o s t a t n i c h t y g o d n i a c h [podkreślenie moje — M.S.] tonem prasy, przedstawiającej wszystkie wydarzenia dotyczące Niemiec w formie niebudzącej zastrzeżeń, oraz przestrzeganiem porozumień gospodarczych.

Tego samego dnia, 24 maja 1941 roku, w gabinecie Stalina odbyła się wielogodzinna narada, w której oprócz Stalina wzięli udział:

- zastępca szefa rządu i ludowy komisarz spraw zagranicznych Mołotow,
- ludowy komisarz obrony Timoszenko,
- szef Sztabu Generalnego Żukow,
- szef Wydziału Operacyjnego Sztabu Generalnego Watutin,
- szef zarządu Głównego Lotnictwa Armii Czerwonej Zygariew,
- dowódcy pięciu zachodnich okręgów nadgranicznych, członkowie rad wojennych i dowódcy lotnictwa tych okręgów.

Innych narad najwyższego kierownictwa wojskowo–politycznego ZSRR na tak wysokim szczeblu nie było — ani kilka miesięcy przed 24 maja, ani po tej dacie aż do wybuchu wojny.

Oto właściwie cała wiedza na ten temat. Nic więcej nie wiemy do dnia dzisiejszego. Oficjalna radziecka (podobnie jak i współczesna rosyjska) historiografia nie powiedziała ani słowa o omawianej kwestii i podjętych 24 maja decyzjach. Niczego nie powiedzieli o nich w swoich wspomnieniach nieliczni uczestnicy narady, którzy dożyli do śmierci Stalina. Odtajnione na początku XXI wieku teczki specjalne protokołów posiedzeń Biura Politycznego KC WKP(b) z maja 1941 roku również nie zawierają nawet najmniejszej wzmianki o naradzie. Jedynie marszałek Wasilewski w rękopisie artykułu, który leżał w archiwum przez prawie 27 lat, wspomina: *„Kilka tygodni przed atakiem faszystowskich Niemiec, dokładnej daty, niestety, nie mogę podać, cała dokumentacja dotycząca planów operacyjnych okręgów została przekazana ze Sztabu Generalnego dowództwu i sztabom właściwych okręgów wojskowych”*.

Jeżeli założymy, że pamięć Wasilewskiego nie zawiodła i właśnie podczas narady 24 maja 1941 roku konkretne treści operacyjnego planu wojny zostały przekazane *„w części ich dotyczącej”* bezpośrednim wykonawcom, czyli dowództwu nadgranicznych okręgów wojskowych (przyszłych frontów), to skala przypuszczalnych dat rozpoczęcia operacji zawęża się praktycznie do dwóch miesięcy: od połowy lipca do końca sierpnia 1941 roku.

Pokrótkę omówmy ten dość oczywisty wniosek.

Przeprowadzenie wielkiej operacji ofensywnej (z głębokością natarcia 300 km już na etapie rozwiązania bezpośredniego zadania strategicznego)

przeciwko najpotężniejszej wówczas armii lądowej świata — niemieckiemu Wehrmachtowi — wymagało przeprowadzenia olbrzymiej liczby powiązanych ze sobą przedsięwzięć, określanych w języku wojskowych słowami „mobilizacja, ześrodkowanie i rozwinięcie wojsk”. Do skutecznego przeprowadzenia tych działań potrzeba czasu. Według obliczeń, znajdujących się w przedwojennych planach radzieckiego dowództwa, dla mobilizacji i ześrodkowania wojsk potrzebowano od 8 dni (dla Floty Północnej, czyli Leningradzkiego Okręgu Wojskowego) do 30 dni (dla Frontu Południowo-Zachodniego, czyli Kijowskiego Okręgu Wojskowego). Przy tym ten termin dotyczy sytuacji, gdy kolej pracuje w trybie przewozów wojennych; przy zachowaniu — w celu zapewnienia maksymalnej tajemnicy — trybu pracy komunikacji według czasu pokoju (a właśnie ten wariant został wybrany) czas ześrodkowania nieuchronnie wzrasta. W ten sposób Siły Zbrojne ZSRR w przypadku rozwinięcia strategicznego pod koniec maja mogłyby być w pełni gotowe do działań wojennych nie wcześniej niż w pierwszych dziesięciu dniach lipca.

Warto porównać tę chronologię z tym, jak odbywały się przygotowania do wojny po drugiej stronie przyszłego frontu. W grudniu 1940 roku Hitler powiedział do swoich generałów: „Wydam rozkaz o rozwinięciu strategicznym sił zbrojnych przeciwko Związkowi Radzieckiemu, jeżeli zajdzie taka potrzeba, osiem tygodni przed wyznaczonym terminem rozpoczęcia operacji”. Tej obietnicy (osiem tygodni) Hitler dotrzymał — dzień rozpoczęcia operacji (22 czerwca 1941 roku) został ostatecznie zatwierdzony i przekazany do wiadomości Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu 30 kwietnia, czyli 52 dni przed rozpoczęciem operacji. Licząc osiem tygodni od daty narady 24 maja, mamy 19 lipca — możliwy do wykonania termin zakończenia wszystkich działań związanych z rozwinięciem strategicznym Armii Czerwonej.

W nawiasie zauważmy, że w Archiwum Centralnym MO, w archiwach zdobycznych dokumentów nieprzyjaciela, znajduje się pewna notatka analityczna (wyraźnie przeznaczona dla służb propagandowych Wehrmachtu), w której podano powody zmuszające Führera do rozpoczęcia wojny ze Związkiem Radzieckim (CAMO, zespół 500, rejestr 12462, teka 596, karta 65). Tam między innymi wspomniano o pewnym „tajnym dokumencie odnalezionym w pomieszczeniu służbowym Armii Czerwonej w Łucku”

(Ukraina Zachodnia), według którego natarcie Armii Czerwonej rzekomo wyznaczono na 25 lipca 1941 roku.

Połowa lipca 1941 roku to „*dolna granica*” przypuszczalnej skali dat rozpoczęcia strategicznej operacji ofensywnej. Górną granicę nietrudno określić na podstawie warunków klimatycznych wschodnioeuropejskiego teatru działań wojennych.

Główne uderzenie, jak już mówiliśmy wcześniej, powinno zostać skierowane na Lwów–Kraków, z późniejszym rozwinięciem natarcia na Poznań–Berlin albo Pragę–Wiedeń. Planowany czas realizacji „*bezpośredniego zadania strategicznego*” wynosił 25–30 dni. Na wojnie jednak nie wszystko toczy się zgodnie z planem, co więcej, po zakończeniu bezpośredniego zadania będą kolejne, nastąpią jeszcze głębsze uderzenia. Ponadto nawet w południowej Polsce, Słowacji i na Węgrzech przychodzi zima — słotna, mokra, z deszczem, mgłą i śniegiem. Dla działań lotnictwa i wojsk zmotoryzowanych jest znacznie gorsza od „*normalnej*” rosyjskiej zimy z siarczystym mrozem, który zmienia ziemię w „*drogę utwardzoną*” oraz ścina jeziora i rzeki lodowym mostem. Sucho i ciepło na południu Europy Wschodniej bywa zwykle do października. W ten sposób przełom sierpnia i września można uważać za ostateczny termin, po którym rozpoczęcie dużego natarcia w południowej Polsce i na Bałkanach było zbyt ryzykowne.

Dalsze wyjaśnienie chronologii trzeciego planu Stalina będzie możliwe tylko po radykalnym zwiększeniu ilości i składu bazy źródłowej znajdującej się do dyspozycji rosyjskich historyków. Do tego czasu ma sens omówienie tylko jednej, ale bardzo istotnej sprawy: Być może tradycyjna wersja radzieckiej historiografii nie mija się z prawdą? Być może naprawdę „*partia i rząd przejrzały podstępne plany hitlerowskich agresorów i na początku czerwca 1941 roku rozpoczęły działania zmierzające do zwiększenia obronności naszego kraju*”?

Nie może tak być. Rozwinięcie strategiczne rozpoczęte pod koniec maja w żaden sposób nie mogło być rozwinięciem obronnym. Tak zdecydowany wniosek wynika wprost z oceny oczywistych i bezspornych geograficznych i klimatycznych warunków teatru przypuszczalnych działań wojennych. Logika i chronologia są tu nadzwyczaj proste. Oddziały, które rozpoczęły rozwinięcie strategiczne pod koniec maja, zakończą ześrodkowanie i tworzenie zgrupowań obronnych nie wcześniej niż na początku lipca. Dla przeprowadzenia

strategicznej defensywnej operacji jest to zdecydowanie zbyt późno (co zostało z bezlitosną oczywistością pokazane na polach walk latem 1941 roku).

Naiwnie byłoby oczekiwać, że Hitler — jeżeli zdecyduje się zaatakować ZSRR — będzie zwlekał z rozpoczęciem natarcia do połowy lata. To Armia Czerwona w „*ciasnej Europie*” mogła zrealizować zadanie strategiczne z 300–kilometrowym natarciem. Związek Radziecki miał zupełnie inną geografiją i Wehrmacht musiał nacierać na głębokość ponad tysiąca kilometrów. Jak obecnie wiadomo, zgodnie z pierwotnym planem niemieckiego dowództwa atak powinien być się rozpocząć 15 maja, po tym, jak nieutwardzone drogi europejskiej części ZSRR wyschną po wiosennych roztopach. Ale żeby być przygotowanym na odparcie ataku nieprzyjaciela 15 maja, należało rozpocząć rozwinięcie strategiczne Armii Czerwonej co najmniej na początku kwietnia. 24 maja było już zbyt późno na zakończenie rozwinięcia — nie mówiąc już o rozpoczęciu przygotowań do niego.

Kampania bałkańska „*pokrzyżowała szyki*” Hitlerowi i spowodowała opóźnienie ataku na ZSRR o całe pięć tygodni (co zdaniem wielu specjalistów wojskowych — i nie tylko „*pokonanych hitlerowskich generałów*” — miało fatalny wpływ na wyniki kampanii). Z kolei rozpoczęcie natarcia w drugiej połowie lipca byłoby dla Niemców absolutnym szaleństwem — nawet wobec braku minimalnego oporu ze strony Armii Czerwonej niemiecka piechota (a to cztery piąte nacierających wojsk) musiałaby wtedy zmierzać do wyznaczonej w planie „*Barbarossa*” linii Archangielsk–Astrachań po pas w śniegu...

Ale być może towarzysz Stalin i jego marszałkowie po prostu się pomylili? Pomylili się w ocenie planów niemieckiego dowództwa, zbyt późno uświadomili sobie, że Hitler postanowił zaatakować ZSRR już w 1941 roku, ale później, pod koniec maja, zreflektowali się, uświadomili sobie, jakie są opóźnienia, i usiłowali w trybie nadzwyczajnym zrobić coś, co jeszcze było możliwe?

Ta hipoteza jednak absolutnie zaprzecza faktom. Nie było żadnego trybu nadzwyczajnego. Wprost przeciwnie. Rozwinięcie strategiczne Armii Czerwonej zostało rozciągnięte w czasie, nie ogłoszono jawnej mobilizacji (ogłoszono ją 23 czerwca, czyli dzień po faktycznym rozpoczęciu działań wojennych — sytuacja zupełnie niebywała). Oddziały okręgów nadgranicznych kierowały się na zachód podczas krótkich nocnych marszy

przez lasy i trzęsawiska, z zachowaniem wszelkich środków maskowania. Armie Drugiego Rzutu Strategicznego przetransportowano z głębi kraju na rubież rzek Dźwiny i Dniepru przy zachowaniu trybu pracy kolei według czasu pokoju.

Ostatni fakt zasługuje na szczególną uwagę. Dla wielomilionowych armii pierwszej połowy XX wieku kolej, pociągi i lokomotywy stały się najważniejszym „rodzajem wojsk”, który bardzo często przesądzał o wyniku głównych bitew dwóch wojen światowych. Na etapie rozwinięcia strategicznego Wehrmachtu zgodnie z planem „*Barbarossa*” niemieckie koleje pracowały w trybie maksymalnych przewozów wojskowych od 23 maja 1941 roku. Tryb pracy przewozów wojskowych w europejskiej części ZSRR wprowadzono (od 12 września 1939 roku) nawet na etapie rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej przed wojną z prawie zniszczoną Polską. Jednak w czerwcu 1941 roku nic takiego się nie stało!

Faktycznie w maju i czerwcu 1941 roku rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej nie forsowano, a wręcz na wszelkie sposoby je opóźniano. Wybierając pomiędzy tempem rozwinięcia i jego utajnieniem, Stalin dokonał jednoznacznego wyboru na korzyść utajnienia kosztem tempa. Tak się nie dzieje w sytuacji opóźnionego i pośpiesznego przygotowania do odparcia agresji. Gdy jakiemuś człowiekowi pali się dom, to biegnie go gasić na złamanie karku, a nie skrada się do pogorzelniska ciemną nocą w kamuflażu. Nocą w kamuflażu ludzie skradają się w innym celu — kiedy chcą podpalić dom sąsiada...

Powyżej omawialiśmy plany Stalina. Na końcu tego artykułu będzie mowa wyłącznie o działaniach praktycznych podjętych w celu przygotowania strategicznej operacji ofensywnej, którą Armia Czerwona powinna była rozpocząć w lipcu lub sierpniu 1941 roku.

5 maja 1941 roku Stalin mianował się przewodniczącym RKL, czyli szefem rządu ZSRR. Chyba nie trzeba tłumaczyć, że również przed 5 maja 1941 roku towarzysz Stalin posiadał absolutną pełnię władzy. Zniszczenie wewnątrzpartyjnej opozycji pod koniec lat 20., przywrócenie państwu na wsi (kolektywizacja i rozkułaczanie), wielka czystka w latach 1937–1938 — wszystkie te wielkie, długo (być może na zawsze) wpływające na losy kraju przeobrażenia zrealizował Stalin, nie czując potrzeby oficjalnej legalizacji swego faktycznego statusu dyktatora. Również przed 5 maja 1941 roku

towarzysz Mołotow, nominalnie przewodniczący RKL, uzgadniał każde swoje posunięcie, każdą decyzję rządu z wolą Stalina.

Co się zmieniło na początku maja 1941 roku? Z punktu widzenia wewnątrzpolitycznej sytuacji w ZSRR nic. Samomianowanie się Stalina miało sens jedynie w ramach hipotezy, że właśnie wtedy, na początku maja 1941 roku, podjął słynną Zasadniczą Decyzję Polityczną. W epoce wielkich zmian, które tym razem należało wprowadzić w życie w skali całej Europy, towarzysz Stalin zażyczył sobie roli prawomocnego szefa rządu, zapragnął znaleźć się „na jednym poziomie” z prezydentem USA, cesarzem Japonii, królem Wielkiej Brytanii...

10 maja 1941 roku w Komitecie Obrony przy RKL ZSRR został zatwierdzony „Wykaz zagadnień poddanych pod dyskusję podczas narady” (nie podano kogo z kim). Punkt 14 porządku dziennego brzmiał następująco: „O dodatkowych preliminarzach wydatków na okres mobilizacji i pierwszy miesiąc wojny”. 4 czerwca 1941 roku ludowy komisarz marynarki wojennej F. Kuzniecowa kieruje do zastępcy przewodniczącego RKL (czyli zastępcy Stalina) M. Wozniesińskiego notatkę służbową nr 1146. Nadruk na dokumencie: „Tajne, specjalnego znaczenia”. Rzeczywiście jest to dokument specjalnego znaczenia dla historyka — obok słów „na czas wojny” pojawiają się w nim absolutnie konkretne daty:

Przekazuję jednocześnie wykaz zapotrzebowania ludowego komisariatu marynarki wojennej na uzbrojenie minowo–torpedowe na czas wojny od 1.07.41 do 1.01.43. Proszę o polecenie zwiększenia wymaganych ilości uzbrojenia minowo–torpedowego, ze względu na to, że zapotrzebowanie na nie w II półroczu 1941 br. wynosi 50% zapotrzebowania na okres do 1.01.43 r.

Jak widzimy, ludowy komisarz marynarki wojennej planuje walkę już w następnym miesiącu. Plan operacyjny tej wielkiej wojny na morzu był już gotowy — w innym wypadku M. Kuzniecowa nie mógłby prognozować dokładnej ilości zużycia minowo–torpedowego uzbrojenia na każde półrocze.

4 czerwca 1941 roku na posiedzeniu Biura Politycznego KC WKP(b) podjęto decyzję o „stworzeniu w Armii Czerwonej jednej dywizji strzeleckiej składającej się z przedstawicieli narodowości polskiej i ze znajomością języka polskiego”. Termin wykonania — 1 lipca 1941 roku. Po co Stalinowi była

potrzebna dywizja mówiąca po polsku? Co więcej, potrzebna pilnie — do 1 lipca. Czy aż tak zmalała u nas liczba dzielnych wojów, że do obrony granic ZSRR pilnie potrzebowano Polaków? Co prawda podobny przypadek już miał miejsce 11 listopada 1939 roku. Wówczas, 20 dni przed wybuchem wojny zimowej z Finlandią, podjęto decyzję o sformowaniu 106. Dywizji Strzeleckiej, do której powoływano wyłącznie żołnierzy władających fińskim lub karelskim językiem.

18 czerwca 1941 roku Biuro Polityczne KC WKP(b) podejmuje następującą decyzję: *„Wydać Ludowemu Komisariatowi Obrony w czerwcu z rezerwy państwowej 750 tysięcy sztuk opon samochodowych, które należy zwrócić do Zarządu Państwowych Rezerw Mobilizacyjnych we wrześniu. Zezwolić Ludowemu Komisariatowi Przemysłu Gumowego wstrzymać od 18 czerwca zaopatrzenie w opony samochodowe odbiorców, z wyłączeniem ludowych komisariatów i resortów wskazanych w Załączniku 1, z przeniesieniem niedoborów na IV kwartał”*.

Bardzo interesujący dokument. 18 czerwca Biuro Polityczne doskonale rozumie, że w najbliższych dniach i tygodniach w Ludowym Komisariacie Obrony pojawi się nadzwyczajne, „palące” zapotrzebowanie na opony samochodowe. To zapotrzebowanie postanowiono zaspokoić za pomocą środków nadzwyczajnych, a powstałą w zapasach i zaopatrzeniu cywilnych resortów „lukę” stopniowo uzupełnić później, począwszy od września i października. Czego spodziewano się w Biurze Politycznym? Deszczu gwoździ, który zaleje wszystkie drogi — czy zaplanowanego rozpoczęcia jawnej mobilizacji, w ramach której gospodarka powinna przekazać Armii Czerwonej około 240 tysięcy samochodów?

W przededniu wielkiej operacji ofensywnej jeszcze ważniejsza niż wymiana zużytych opon była wymiana „przestarzałych” pojęć w umysłach milionów czerwonoarmistów. Powszechnie lubiana piosenka ze słowami „*nie chcemy ani piędzi obcej ziemi*” stała się bezużyteczna. Potrzebne były nowe piosenki, z nowym tekstem, nowymi bohaterami i ideami.

26 maja szef Głównego Zarządu Propagandy Politycznej (GZPP) Armii Czerwonej Zaporozec skierował do Aleksandrowa (szefa wydziału agitacji i propagandy KC) *„Projekt rozdziału o zadaniach propagandy politycznej w Armii Czerwonej, wynikających z przemówienia towarzysza Stalina z 5 maja br., do dyrektywy przygotowywanej przez KC WKP(b)”* (oryginał notatki

znajduje się w RGASPI). Od organów politycznych wymagano „wychowania żołnierzy w duchu waleczności i zadziorności, w duchu nieuchronnego zderzenia Związku Radzieckiego ze światem kapitalistycznym i ciągłej gotowości przejścia do miażdżącego natarcia”. Żołnierzom Armii Czerwonej należało wytłumaczyć, że „Związek Radziecki, broniąc swoich interesów państwowych, dzięki rosnącej potędze politycznej, gospodarczej i wojskowej, prowadzi ofensywną politykę zagraniczną”, że „wojna ze strony ZSRR będzie wielką sprawiedliwą wojną” i że „Armia Czerwona wystąpi, zanim wróg odważy się wkroczyć na naszą ziemię”.

Ogólny wniosek: „Wszystkie formy propagandy, agitacji i wychowania skierować na jeden cel — politycznego, moralnego i wojskowego przygotowania żołnierzy do prowadzenia sprawiedliwej, ofensywnej i niszczycielskiej wojny”.

Tego samego dnia Zaporoziec skierował bezpośrednio do Żdanowa (drugiej po Stalinie osoby w KC) i Szczerbakowa (pierwszy sekretarz moskiewskiego miejskiego komitetu partii, sekretarz KC, czyli przełożony Aleksandrowa, który kierował jedynie wydziałem propagandy KC) projekt odczytów dla czerwonoarmistów. Prawie dosłownemu powtórzeniu przemówienia Stalina z 5 maja towarzyszył wniosek: „Główne zadanie polityki zagranicznej ZSRR — szczególnymi środkami zapewnić wszystkie niezbędne przesłanki dla zwycięskiego rozwiązania kwestii «kto kogo» w skali międzynarodowej”. Działacze polityczni powinni rozwiązać błędne rozumowanie mobilizowanych kołchoźników: „Wojny sprawiedliwe i niesprawiedliwe czasami tłumaczy się w następujący sposób — jeżeli kraj jako pierwszy atakuje inny kraj i prowadzi wojnę ofensywną, to tę wojnę uważa się za niesprawiedliwą, i przeciwnie, jeżeli państwo zostało napadnięte i tylko się broni, to taka wojna rzekomo powinna być uznana za sprawiedliwą, a zapomina się o tej prawdzie, że każda wojna, którą będzie prowadził Związek Radziecki, będzie wojną sprawiedliwą”. Według świadectwa ludowego komisarza marynarki wojennej admirała M. Kuzniecowa, przytoczonego w jego książce **Nakanunie**, te odczyty przeprowadzono w armii od połowy czerwca.

Ciekawa jest reakcja Aleksandrowa. Na marginesach raportu Zaporozca, obok słów: „Doświadczenie działań wojennych pokazało, że strategia obronna nie przynosiła sukcesów i kończyła się klęską. A zatem przeciwko

Niemcom należy zastosować taką samą strategię ofensywną, wzmocnioną potężnym sprzętem”, napisał: „*Takiego sformułowania nie powinno się dopuszczać. Oznaczałoby to pokazanie kart wrogowi*”.

4 czerwca projekt dyrektywy o propagandzie w armii omawiała Główna Rada Wojskowa (GRW) z udziałem Żdanowa, Malenkowa (sekretarze KC WKP(b), członkowie GRW), Timoszenki (ludowego komisarza obrony), Budionnego (zastępcy ludowego komisarza obrony). Podczas przemówienia Żdanow oświadczył: „*Jesteśmy silniejsi, możemy wyznaczać bardziej aktywne cele. Wojny z Polską i Finlandią nie były wojnami obronnymi. Już weszliśmy na szlak polityki zaczepnej*”. Po uwzględnieniu zaproponowanych uwag 9 czerwca Zaporożec (GZPP Armii Czerwonej) przygotował nowy wariant dyrektywy o zadaniach propagandy, w którym krytykę Niemiec znacznie nasilono: „*Ludy okupowanych przez Niemców państw w niemieckiej armii widzą gwałcicieli i ciemiężców, uosobienie reżimu przemocy i terroru, rekwizycji i głodu, winnych wszystkich swoich nieszczęść*”.

20 czerwca na kolejnym posiedzeniu Rady projekt dyrektywy „*O zadaniach propagandy politycznej w Armii Czerwonej w najbliższym okresie*” został ostatecznie zatwierdzony. W planie kolejnego posiedzenia Rady (w czerwcu odbywały się jedno po drugim) na 25 czerwca umieszczono omówienie dyrektywy GZPP Armii Czerwonej „*O propagandzie w armii i ludności nieprzyjaciela*”. Ta dyskusja nigdy się nie odbyła w związku z nieoczekiwaną i wiarołomną napaścią Niemiec na uśpiony Kraj Rad...

Mniej więcej w tym samym czasie, w pierwszych dniach czerwca 1941 roku, sekretarz KC WKP(b) towarzysz Szczerbakow pisze raport „*O stanie propagandy wojenno-politycznej*”. Towarzysz Szczerbakow znajdował się bardzo blisko „*szczytu drabiny administracyjnej*”, dlatego mógł (a dokładniej — polecono mu z samego „*szczytu*”) pozwolić sobie na ostrą krytykę pod adresem poprzedniego etapu pracy wychowawczej wśród żołnierzy Armii Czerwonej:

Zamiast wzmocnienia gotowości mobilizacyjnej, krzewienia odwagi i bohaterstwa w masach pracujących, kształtowania nienawiści wobec wrogów ojczyzny i ofiarnej miłości do socjalistycznej ojczyzny — w wystąpieniach agitacyjnych i prasie często pod płaszczykiem proletariackiego internacjonalizmu pojawiają się zgniłe idee drobnomieszczańskiego

pacyfizmu, łzawy humanizm i sentymentalne nastroje, powodujące jedynie osłabienie gotowości mobilizacyjnej ludu radzieckiego. (...)

Komitety obwodowe, regionalne, KC partii komunistycznych republik związkowych podczas przedstawiania kwestii wojny i zagrożenia wojennego powinny wyeliminować i nie dopuszczać zarówno w ustnej propagandzie i agitacji, jak i w prasie zgniłych, pacyfistycznych idei, łzawego humanizmu, osłabiającego gotowość mobilizacyjną ludu radzieckiego. Polityka zagraniczna Związku Radzieckiego nie ma nic wspólnego z pacyfizmem, z dążeniem do osiągnięcia pokoju za wszelką cenę.

Dalej polecenia Szczerbakowa stają się jeszcze bardziej klarowne:

Już w 1915 roku Lenin przewidział możliwość prowadzenia ofensywnej polityki po zwycięstwie socjalizmu w jednym państwie. (...) Pokojowe budownictwo, wytchnienie od konfliktów zbrojnych, Lenin określał jako środek do gromadzenia sił do ostatniej walki. Już w 1920 roku napisał: „Lecz gdy tylko będziemy na tyle silni, żeby pokonać kapitalizm, natychmiast złapiemy go za fraki”. (...) A więc leninizm uczy, że kraj socjalistyczny, korzystając ze sprzyjającej sytuacji międzynarodowej, powinien i ma obowiązek przejąć inicjatywę ofensywnych działań wojennych wobec kapitalistycznego otoczenia w celu poszerzenia frontu socjalizmu.

Do tej pory ZSRR nie mógł przystąpić do takich działań ze względu na słabość wojskową. Ale teraz ta słabość jest przeszłością. Opierając się na swojej potędze militarnej, wykorzystując sprzyjającą sytuację, ZSRR wyzwolił Ukrainę Zachodnią i Białoruś Zachodnią, zwrócił Besarabię, pomógł ludom pracującym Litwy, Łotwy i Estonii zorganizować władzę radziecką. W ten sposób kapitalizm musiał się posunąć, a front socjalizmu się rozszerzył.

Sytuacja międzynarodowa skrajnie się zaogniła, zagrożenie wojenne dla naszego kraju przybliżyło się jak nigdy.

W tych warunkach hasło Lenina „na obcej ziemi bronić ziemi własnej” może w każdej chwili zmienić się w działania praktyczne.

Pomimo istotnego znaczenia zadań dotyczących materiałowo-technicznego i propagandowego zabezpieczenia głównym elementem przygotowania do wojny było, rzecz jasna, rozwinięcie strategiczne sił zbrojnych. Podanie dokładnej daty początku rozwinięcia wydaje się możliwe (przynajmniej — w ramach dostępnej na dzień dzisiejszy bazy źródłowej).

Zgrabna metafora zaproponowana przez W. Suworowa (lew w sawannie najpierw długo i bezszelestnie skrada się do swojej ofiary i dopiero w ostatniej chwili, przeraźliwie rycząc, zdecydowanym skokiem rzuca się na nią) znakomicie ilustruje sytuację z maja i czerwca 1941 roku.

Pierwsze wyruszyły w kierunku granicy znajdujące się w odległym Zabajkalu i Mongolii oddziały 16. Armii i V Korpusu Zmechanizowanego. 22 maja 1941 roku rozpoczął się załadunek pierwszych jednostek do pociągów, które ze względu na olbrzymie odległości i zachowanie trybu pracy kolei na czas pokoju powinny były znaleźć się na Ukrainie, w rejonie Berdyczowa i Szepietówki, w okresie od 17 czerwca do 10 lipca. Między 13 i 22 maja przekazano polecenia Sztabu Generalnego o skierowaniu na granicę zachodnią jeszcze dwóch armii Odvodu Naczelnego Dowództwa: 22. Armia wyruszyła w rejon Wielkie Łuki, Witebsk, z terminem zakończenia ześrodkowania 1–3 lipca, 21. Armię ześrodkowano do rejonu Czernihów, Homel, Konotop do 2 lipca.

29 maja podjęto decyzję o formowaniu 19. Armii i rozwinięciu jej w rejonie Czerkasy, Biała Cerkiew do 7 lipca. Nie wcześniej niż 13 lipca podjęto decyzję o formowaniu na bazie oddziałów Orłowskiego i Moskiewskiego Okręgu Wojskowego jeszcze jednej, 20. Armii Odvodu Naczelnego Dowództwa, która powinna była zgrupować się w okolicach Smoleńska do 3–5 lipca.

Wspomniana już 21. Armia powstawała na bazie wojsk Nadwołżańskiego Okręgu Wojskowego. Sztab okręgu znajdował się w Kujbyszewie (obecnie Samara) i obecnie jeden z placów mojego rodzimego miasta nosi nazwę plac Bohaterów 21. Armii. A ponieważ historię współczesną młodzież (podobnie jak reszta społeczeństwa) zna słabo, postanowiono wytłumaczyć mieszkańcom miasta, jaka to była armia i jakie bohaterskie dokonania wyróżniały jej szlak bojowy. 29 kwietnia 1998 roku gazeta miejska „*Wołżskaja zaria*” zamieściła artykuł kierownika centrum prasowego Nadwołżańskiego Okręgu Wojskowego pod tytułem *Nie żegnano ich w drodze na front*. W szczerzy i niewyszukany sposób opisano w nim proces, który w prostym wojskowym języku jest określany mianem tajnej mobilizacji:

*Nie odprowadzano ich na front. Na peronach dworców kolejowych nie grały orkiestry dęte i nie ścisnęły serca dźwięki **Pożegnania Słowianki**. (...) Sformowana na Powołżu 21. Armia w nocy potajemnie wyruszyła ze swych*

garnizonów i koszar. Setki pociągów wojskowych podstawiono na niewielkie stacje kolejowe i bocznicę na poligonie Tockoje, w obozach w Tatiszczewie, do innych nierzucających się w oczy miejsc załadunku, gdzie znalazły się zmobilizowane dywizje strzeleckie z Kujbyszewa i Saratowa, Kazania i Uljanowska, Bałaszowa i Penzy. Z pełnymi składami osobowymi, zapasem materiałowym i pełnym zapasem ostrej amunicji. (...) Po 13 czerwca [właśnie tego samego dnia, kiedy TASS upowszechnił słynne oświadczenie, w którym dementowano „prowokacyjne pogłoski” o nadciągającej wojnie] zostali załadowani do wagonów towarowych i kilkoma liniami kolejowymi przetrzuceni w okolice Homla i Czernihowa, do Drugiego Rzutu Strategicznego. S k o m p l e t o w a n e w e d ł u g e t a t u n a c z a s w o j n y [podkreślenie moje — M.S.], z doskonale wyszkolonymi w obozach szkoleniowych i na poligonach żołnierzami i dowódcami składu podstawowego i rezerwowego.

Łącznie pod osłoną „szkolenia rezerwy”, bez ogłaszania jawnej mobilizacji, w maju i czerwcu 1941 roku powołano do służby około 800 tysięcy rezerwistów, z których co najmniej 668 tysięcy stawiło się do jednostek przed wybuchem wojny (ta minimalna wśród znanych mi liczb została przytoczona również w notatce szefa wydziału organizacyjno-ewidencyjnego Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego pułkownika Jefriemowa z 1 marca 1942 roku). Wydawałoby się, że posiadając tylu ludzi, można było uzupełnić wszystkie dywizje strzeleckie (a to główna siła w obronie) nadgranicznych okręgów wojskowych (przyszłych frontów) do pełnych stanów według norm na czas wojny. Arytmetyka jest tu prosta: 103 dywizje strzeleckie po przeciętnie około 10 tysięcy żołnierzy; każda z nich potrzebuje do osiągnięcia pełnego stanu średnio po 4,5 tysiąca ludzi, łącznie — 463 tysiące.

Dlaczego więc wiele (większość) dywizji strzeleckich pierwszego rzutu okręgów zachodnich w chwili wybuchu wojny miała jedynie 65–85 procent żołnierzy według norm obowiązujących na czas wojny? Odpowiedź szczerze podano w przytoczonej powyżej relacji o formowaniu 21. Armii: zmobilizowany pod osłoną „szkolenia” kontyngent był przede wszystkim i głównie skierowany do uzupełnienia oddziałów Drugiego Rzutu Strategicznego. Jest to bardzo dziwne, wręcz niewiarygodne, jeśli wziąć pod uwagę, że rozwinięcie strategiczne z maja i czerwca 1941 roku było

rozwinięciem obronnym. By się bronić, należało pilnie uzupełnić nadgraniczne dywizje strzeleckie, następnie dywizje drugiego rzutu okręgów zachodnich, i dopiero po tym — jeżeli Bóg da i jeszcze będzie czas — zająć się mobilizacją Drugiego Rzutu Strategicznego.

Ale Armia Czerwona rozwijała się nie dla obrony, a dla wykonania nagłego pierwszego uderzenia, w którego interesach wszystkie przedsięwzięcia zostały podporządkowane zapewnieniu maksymalnej tajemnicy. Właśnie dlatego działania najbardziej demaskujące strategiczny cel — zmobilizowanie pierwszego rzutu okręgów/frontów, zgrupowanie i rozwinięcie ich na przygranicznych rubieżach — zostały odłożone na koniec procesu, który rozpoczął się na najgłębszych tyłach, od wymarszu armii Odwołu Naczelnego Dowództwa (Drugi Rzut Strategiczny) na rubież rzek Dźwiny i Dniepru.

Dopiero później, gdy setki eszelonów ruszyły w drogę, w połowie lipca 1941 roku rozpoczęły działania oddziały drugiego rzutu okręgów nadgranicznych i po raz kolejny „*tyłem do przodu*”. W okresie od 12 do 15 czerwca dowództwo zachodnich okręgów wojskowych otrzymało rozkazy skierowania „*dywizji wewnętrznych bliżej granicy państwowej*”. Termin zakończenia przegrupowania — do 1 lipca. Tak opisuje te wydarzenia we wspomnieniach marszałek Bagramian (wówczas pułkownik, szef wydziału operacyjnego sztabu Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego):

15 czerwca otrzymaliśmy rozkaz, żeby od 17 czerwca wysunąć wszystkie pięć korpusów strzeleckich drugiego rzutu do granicy. Mieliśmy już w s z y s t k o p r z y g o t o w a n e [to i następne podkreślenie moje — M.S.]: jeszcze na początku maja na polecenie Moskwy wykonaliśmy znaczne prace — przygotowaliśmy rozkazy dla korpusów, przeprowadziliśmy rozpoznanie marszrut i rejonów ześrodkowania. Teraz pozostawało jedynie wydać rozkaz wykonawcom. (...) Dywizje zabrały ze sobą wszystko niezbędne do działań bojowych.

W celu zachowania tajemnicy oddziały powinny przemieszczać się tylko w nocy.

Dyrektywa o podobnej treści i ze wskazaniem tej samej daty zakończenia ześrodkowania — do 1 lipca — wpłynęła również do Zachodniego Specjalnego Okręgu Wojskowego (Białoruś). W przededniu wojny 32 dywizje

okręgów zachodnich w tajemnicy, nocnymi przemarszami, przez lasy i mokradła, skradały się do granicy. Pułkownik Nowiczkow, który na początku wojny był szefem sztabu 62. Dywizji Strzeleckiej 5. Armii Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego, pisze we wspomnieniach: „*Oddziały dywizji wyruszyły z obozu do Kiwerców i po dwóch nocnych przemarszach rano 19 czerwca znalazły się w pasie obrony, ale o b r o n n y c h r u b i e ż y n i e z a j ę ł y , t y l k o z e ś r o d k o w a ł y s i ę w l a s a c h* [podkreślenie moje — M.S.] *w okolicy*”.

Oddziały pierwszego (czyli najbliższego granicy) rzutu zachodnich okręgów wojskowych przed 22 czerwca nie zdążyły zakończyć mobilizacji i zająć wyznaczonych rejonów rozwinięcia (poza nielicznymi wyjątkami); na nie kolej i tak nie przyszła...

Ostatnie wątpliwości co do ofensywnego przeznaczenia rozwinięcia strategicznego znikają, wystarczy tylko zaznaczyć na mapie rozmieszczenie głównej siły uderzeniowej Armii Czerwonej — zmechanizowanych (czyli pancernych) korpusów.

Dzięki przezornie wyznaczonej we wrześniu 1939 roku „*linii podziału interesów państwowych ZSRR i Niemiec na terytorium dawnego Państwa Polskiego*” (właśnie tak oficjalnie określano to, co w książkach i podręcznikach nazywa się „*granicą zachodnią*”) ta „*granica*” miała dwa głębokie (120–170 km) występy zwrócone ostrzem na zachód. Gdyby Armia Czerwona zamierzała prowadzić obronę, to w tych występach należało pozostawić tylko minimalne siły osłonowe, a zasadnicze zgrupowania obronne rozwinąć u podstawy występu białostockiego i lwowskiego. Takie uszeregowanie pozwalało uniknąć okrążenia własnych wojsk na terenie występów i zmniejszyć długość frontu obrony (długość podstawy trójkąta zawsze jest krótsza od sumy jego boków). Korpusy zmechanizowane, jako narzędzie do zadania miażdżącego kontruderzenia przedzierającym się w głąb obrony nieprzyjacielowi, należało skoncentrować jeszcze dalej na wschodzie, gdzieś na linii „*starej*” granicy z 1939 roku.

W czerwcu 1941 roku wszystko zrobiono na odwrót. Prawie wszystkie korpusy zmechanizowane rozwijały się na zachód od granicy 1939 roku. Cztery najpotężniejsze korpusy zmechanizowane Armii Czerwonej (6., 4., 8. i 15.), według liczby czołgów „*nowych typów*” (czyli T-34/76 i KW)

przewyższające wszystkie inne (a innych było 27) razem wzięte, stłoczyły się na szpicach występów.

Wśród tych „czterech mocarzy” wyróżniał się VI Korpus Zmechanizowany. Na początku działań bojowych znajdowało się w nim 1131 czołgów (więcej niż norma etatowa!), 294 traktorów/ciągników (honorowe „drugie miejsce” wśród korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej), a według liczby samochodów i motorów (odpowiednio 4779 i 1042) zajmował absolutne pierwsze miejsce. Najlepszy korpus zmechanizowany Armii Czerwonej chował się w gęstwinie białostockich lasów. Można się domyślać, jak znalazł się w Białymstoku — do miasta przez stare lasy i bagna bez dna biegnie nitka kolei. Wydostać się o własnych siłach z Białegostoku korpus mógł tylko w jednym kierunku — szosą na Warszawę, do której od ówczesnej linii granicy pozostawało jedynie 80 kilometrów. Autostrady z Białegostoku na wschód, w głąb Białorusi, jak nie było wtedy, tak nie ma do dnia dzisiejszego...

Od 14 do 19 czerwca dowództwa okręgów nadgranicznych otrzymały polecenie do 22–23 czerwca skierować sztaby frontów na polowe stanowiska dowodzenia. W telegramie szefa Sztabu Generalnego z 19 czerwca do dowódcy Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego napisano: *„do 22.06.1941 r. macie się udać do Tarnopola, pozostawiając w Kijowie podległe wam dowództwo okręgu. (...) Oddzielenie i przerzucenie sztabu frontu zachować w największej tajemnicy”*.

O 16.45 21 czerwca w imieniu szefa sztabu Frontu Północno-Zachodniego (rozwijał się na bazie Nadbałtyckiego Specjalnego Okręgu Wojskowego) generała lejtnanta P. Klenowa (faktycznie dokument podpisał szef wydziału operacyjnego sztabu generał major Truchin) wszystkim szefom wydziałów sztabu i sztabów okręgów wydano za pokwitowaniem następujący rozkaz:

Niektóre sztaby jednostek i wydziały sztabu okręgowego w dokumentach i rozmowach używają słowa „front”, „FPZ” itd., przez co ujawniają miejsce i istnienie sztabu frontu. Niezwłocznie zaprzestać tego procederu i w przyszłości sztab oraz zarządy nazywać Nadbałtyckim SOW.

Zacytowany powyżej dokument jest niezwykle ważny — ukazuje, że sens i znaczenie rozwinięcia frontu były zrozumiałe dla wtajemniczonych

dowódców; doskonale wiedzieli, co to oznacza i dlaczego takiej tajemnicy nie można przekazać nawet na papierze ozdobionym nadrukami „tajne” i liniami telefonicznymi szyfrowanej łączności. Rozwijanie na bazie okręgów wojskowych frontów, tworzenie sztabów frontów i skierowanie ich na polowe stanowiska dowodzenia — to wojna. W czasie pokoju nigdy nie tworzono frontów w składzie Armii Czerwonej (rozwinęły pod koniec lat 30. Front Dalekowschodni może służyć jako przykład wyjątku potwierdzającego regułę — na granicy z okupowanymi przez Japonię Chinami nieustannie wybuchały mniejsze lub większe potyczki zbrojne). I odwrotnie, sztaby frontów tworzono przed każdym nowym natarciem (11 września 1939 roku — sześć dni przed wybuchem wojny z Polską, 9 czerwca 1940 roku — dziewiętnaście dni przed „kampanią zmuszenia Rumunii” do przekazania Besarabii i Bukowiny Północnej).

Ile dni zostawało od 19 czerwca do planowanego początku wielkiej operacji ofensywnej? Na to pytanie będziemy mogli odpowiedzieć dopiero po radykalnym rozszerzeniu dostępnej dla historyków bazy źródłowej. Jednak najważniejsze z całą pewnością wiadomo już dzisiaj — żaden z trzech planów Stalina nie został zrealizowany.

22 czerwca 1941 roku mobilizacja nie była zakończona i oddziały Armii Czerwonej nie zdążyły stworzyć ani zaplanowanych ofensywnych, ani zaimprovizowanych defensywnych zgrupowań, zostały narażone na miazdzące uderzenie i faktycznie rozgromione jako pojedyncze jednostki. I tylko gigantyczna wielkość tych „oddziałów”, gigantyczne zasoby ludzkie (w drugiej połowie 1941 roku do Armii Czerwonej wcielono 11 milionów 790 tysięcy ludzi), gigantyczne góry broni, zgromadzone w latach przedwojennych, potężny i geograficznie niedostępny dla niemieckiego lotnictwa przemysł obronny, pozwoliły uniknąć całkowitej i ostatecznej klęski.

POŻAR W MAGAZYNIE

Jest to artykuł dla tych, którzy nie są obojętni na sprawy trudne i smutne (a czasami straszne). Jest to artykuł o śmierci, cierpieniach, bohaterstwie i męczeństwie. Rozdział o ludzkich stratach Związku Radzieckiego w II wojnie światowej.

Zacniemy od rzeczy prostych i niewinnych. Od pewnego paradoksu matematycznego zwanego małą różnicą dużych liczb.

$$1000 - 999 = 1$$

Są wątpliwości? Nie ma. Teraz nieco zwiększymy pierwszą liczbę, tylko o jeden procent. A drugą liczbę nieco zmniejszymy, również o jeden procent. Co uzyskaliśmy?

$$1010 - 989 = 21$$

Właśnie to jest prawo wielkich liczb. Trochę tam, trochę tu, a różnica wzrosła dwadzieścia jeden razy!

Do czego zmierzam? Wciąż do tego samego, do 27 milionów poległych. Których wcześniej było 20 milionów. Skąd wzięły się te liczby? Dlaczego Stalin mówił o 7, Chruszczów o 20, a Gorbaczow o 27 milionach poległych?

Na pewno sądzicie, że państwo w osobach swoich specjalnie wyszkolonych urzędników zajrzało do każdego obejścia, wsi, miasteczka, miasta i metropolii, sprawdziło, policzyło i przeliczyło wszystkie kartoteki we wszystkich „*urzędach paszportowych*” (ciekawe, czy można przetłumaczyć to wyrażenie na któryś z języków europejskich?) i po dodaniu danych z każdej wsi uzyskało łączną sumę strat w całym kraju? Powiem szczerze — właśnie tak myślałem. Nawet ja po tylu latach spędzonych na lekturze dzieł rodzimych „*historyków*” nie spodziewałem się takiej bezczelności i takiej chałtury, jakie wyszły na jaw w rzeczywistości.

Okazało się, że nikt niczego nie dodawał. Okazało się, że ta święta liczba, która pojawiała się we wszystkich podręcznikach i gazetach, która brzmiała na wszystkich wiecach i uroczystych posiedzeniach („*20 milionów poległych*”) i która w 1990 roku nagle, bez podania powodu, wzrosła o 7 milionów, została

uzyskana nie przez dodawanie, a odejmowanie. Odejmovanie dwóch wielkich i zupełnie przypadkowych liczb. Zgodnie z teorią małej różnicy dużych liczb.

Teraz będę milczał, a wy uważnie przeczytacie poniższy tekst:

Ocenę liczby ludności ZSRR na dzień 22 czerwca 1941 r. uzyskano poprzez przesunięcie do wskazanej daty wyników przedwojennego spisu ludności kraju (17 stycznia 1939 r.) z korektą liczby narodzin i zgonów za 2,5 roku, które upłynęły między spisem i atakiem faszystowskich Niemiec. Liczba ludności ZSRR na koniec 1945 r. została obliczona poprzez przesunięcie do tyłu danych z ogólnozwiązkowego spisu ludności z 1959 r. (...) Ta liczba została uzyskana w rezultacie obszernych badań statystycznych prowadzonych przez uczonych demografów, a następnie pracy (pod koniec lat 80. XX wieku) komisji państwowej, która uściśliła straty Związku Radzieckiego w ludziach podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

Właśnie tak, „w rezultacie obszernych badań statystycznych” najważniejsze zagadnienie historii wojennej ZSRR zostało rozwiązane w łatwy i prosty sposób. „Liczba ludności ZSRR na koniec 1945 r. została obliczona poprzez przesunięcie do tyłu danych z ogólnozwiązkowego spisu ludności z 1959 r.” Czy trzeba udowadniać, że w ten sposób można było uzyskać każdą wcześniej ustaloną liczbę strat? O jakiej dokładności można mówić w przypadku przesunięcia danych ze spisu ludności o 13 lat do tyłu?

I to jakich 13 lat!

Kto, jacy uczeni demografowie, może wiedzieć, jak „przesunąć do tyłu” dane spisu, skoro te 13 lat było absolutnie unikatowych? Gdzie i kiedy w historii cywilizowanej ludzkości doszło do innej podobnej rzezi? Owszem, w czasach średniowiecznego okrucieństwa zdarzały się zbrodnie na jeszcze większą skalę (uważa się, że podczas wojny trzydziestoletniej w Europie zginął co trzeci mieszkaniec, a w Czechach — co drugi), ale wówczas nikt nie prowadził statystyk demograficznych z przyjętą w XX wieku dokładnością i szczegółowością. Jak, na jakiej bazie statystycznej, można było obliczyć wpływ ilościowy na wskaźniki demograficzne (narodziny, zgony, przyrost ludności) takich zjawisk, jak masowa śmierć mężczyzn w wieku rozrodczym (przy czym liczba tych zgonów nie jest znana, właśnie ją należy ustalić z zastosowaniem arytmetycznych gier w „przesuwaniu”!), jak masowe kierowanie kobiet w wieku rozrodczym do ciężkiej pracy fizycznej, masowa

bezdomność dzieci, niezwykle duża liczba rodzin niepełnych (matki z dziećmi), gigantyczna, niespotykana od czasów wielkiej wędrówki ludów migracja ludności...

Absolutnie niepodważalny moim zdaniem wniosek z powyższego jest taki, że straty ZSRR w ludziach w czasie II wojny światowej nie są nikomu znane. Jest prawdopodobne, że normalne, czyli bazujące na dodawaniu, a nie odejmowaniu „liczb wziętych z sufitu”, badanie zostało przeprowadzone od razu po zakończeniu wojny, ale jego rezultaty do dnia dzisiejszego pozostają utajnione.

Tego przypuszczenia (co do istnienia rzeczywistych, względnie wiarygodnych statystyk demograficznych) nie wziąłem z sufitu. W serii „*Dokumenty radzieckiej historii*” ukazał się zbiór (*Sowietskaja powsiedniewnost’i massowoje soznanije 1939–1945 g.g.* [„*Radziecka codzienność i świadomość masowa 1939–1945*”], ROSSPEN, Moskwa 2003), w którym powołując się na wcześniej ściśle tajne sprawozdanie z 1959 roku „*Gospodarka ZSRR podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej*”, opublikowano obszerną statystykę demograficzną lat 1943–1945. Jest tam wszystko — śluby, rozwody, liczba urodzeń, umieralność, umieralność dzieci, korelacja między liczbą mężczyzn i kobiet, zróżnicowana według sześciu grup wiekowych... Mieszkańcy wsi, mieszkańcy miast, na terenach, które były okupowane, i tych, które nie były okupowane...

Prowadzono ewidencję. Przeliczono tych, którzy przeżyli. Szczerze mówiąc, nie mogło być inaczej w państwie, w którym bez meldunku (lub rejestracji w radzie wiejskiej) człowiek po prostu nie mógł istnieć (kartki żywnościowe, przedszkole, szkoła, zatrudnienie, pochówek — wszędzie było potrzebne zaświadczenie o meldunku). Tylko że wszystkie opublikowane dane demograficzne podano w procentach. Lub w takich wskaźnikach, jak „na tysiąc urodzeń”, „na tysiąc małżeństw”... Ale przecież człowiek, który przeliczał procenty i wskaźniki, nie mógł nie znać liczb wyjściowych!

Wobec braku wiarygodnej informacji społeczeństwo miało najpierw uwierzyć w liczbę 20, a później — 27 milionów. Te liczby uzyskano poprzez szyderczo bezsensowną metodę odejmowania dwóch wielkości uzyskanych w rezultacie absolutnie dowolnych manipulacji danymi ogólnozwiązkowych spisów ludności w 1939 i 1959 roku. Taka „*metodologia*” pozwoliła na uzyskanie dowolnej liczby w skali 10–50 milionów. Faktycznie jedyne

rozsądne pytanie w tej sytuacji brzmi tak: Dlaczego Chruszczów chciał, żeby liczba ofiar wojny wyniosła 20 milionów, a Gorbaczow chciał zwiększyć tę liczbę do 27 milionów? Próbie uzyskania odpowiedzi na to pytanie jest poświęcony ten rozdział. Nie będę was długo trzymał w niepewności i od razu powiem, że moim zdaniem te liczby zostały zawyżone. Liczba ofiar wojny jest mniejsza niż 20 milionów i już tym bardziej — mniejsza niż 27 milionów Gorbaczowa.

Najogólniej straty w ludziach składają się z dwóch części: strat składu osobowego sił zbrojnych i ofiar wśród ludności cywilnej. Względny porządek w ewidencji panuje tylko w odniesieniu do pierwszej kategorii — strat Armii Czerwonej. I od tego zaczniemy.

Zacniemy od tradycyjnego szkolnego „*zadania z basenem*” — z jednej rury się wlewa, z drugiej wylewa... Postarajmy się oderwać od tego morza ludzkich cierpień, które kryje się za poniższymi liczbami, i zajmijmy się czystą arytmetyką.

Na początku czerwca 1941 roku w Armii Czerwonej, Siłach Powietrznych, marynarce i zmilitaryzowanych formacjach instytucji cywilnych odbywały służbę 4 901 852 osoby (tu i dalej — jeżeli nie podano inaczej — wszystkie liczby pochodzą ze zbioru statystycznego *Grif siekrietnosti sniat* („*Nadruk «tajne» usunięty*”), opracowanego w 1993 r. przez zespół historyków wojskowości Sztabu Generalnego Rosyjskiej Armii pod redakcją generała pułkownika G. Kriwoszejewa). W ramach tajnej mobilizacji (wielkie ćwiczenia rezerwistów) do 22 czerwca 1941 roku do armii wcielono jeszcze 767 750 osób. W ciągu czterech lat wojny zmobilizowano jeszcze 28 807 150 osób. Razem: 34 476 752 osoby — oto łączne „*zasoby ludzkie*” do dyspozycji Sił Zbrojnych. Te liczby są bardzo dokładne i wiarygodne, ponieważ odzwierciedlają pracę wojskowych komend uzupełnień oraz innych służb, znajdujących się na tyłach i prowadzących szczegółową sprawozdawczość.

Według stanu na 1 lipca 1945 roku (czyli około 50 dni po zakończeniu działań bojowych w Europie) w Siłach Zbrojnych i formacjach zmilitaryzowanych innych resortów zgodnie z ewidencją znajdowało się 11 793 800 osób. Na leczeniu w szpitalach znajdowało się 1 046 000 żołnierzy. Nie widzę podstaw, by wątpić w dokładność i wiarygodność tych liczb. W ciągu 50 dni po wojnie dowódcy na wszystkich szczeblach mogli policzyć

swoich podwładnych i sporządzić stosowne doniesienia do nadrzędnych sztabów. Ci ranni, którym pisane było umrzeć, już nie żyli (wojenno-medyczna statystyka dowodzi, że w kwestii życia i śmierci rannego w absolutnej większości przypadków decyduje pierwsze kilka dni po odniesieniu ran). Z dokładnością, z którą zostaną podane inne liczby, można założyć, że spośród 1 046 000 rannych, którzy pozostawali przy życiu 1 lipca 1945 roku, nie zmarł nikt. Co się tyczy działań wojennych przeciwko Japonii, które rozpoczęły się 9 sierpnia 1945 roku, to bezpowrotne straty Armii Czerwonej podczas tej operacji wyniosły 12 tysięcy ludzi. Ta liczba stanowi mniej niż jedną dziesiątą procenta strat w wojnie z Niemcami i ich sojusznikami, dlatego dalej strat z wojny japońskiej w ogóle nie będziemy uwzględniać.

$$34\,476\,800 - 11\,793\,800 - 1\,046\,000 = 21\,637\,000$$

W czasie wojny z Sił Zbrojnych ZSRR ubyło 21 637 000 osób.

Ubytek i straty to dwa różne słowa o różnym znaczeniu w języku wojskowych. W czasie wojny z Sił Zbrojnych ubyło 8 007 100 ludzi, którzy pozostali przy życiu. A mianowicie:

— 3 614 600 skierowano do pracy w przemyśle i zmilitaryzowanych formacjach organizacji cywilnych.

— 3 798 200 zdemobilizowano z powodu ran i chorób,

— 594 300 skazano, ale przy tym nie rozstrzelano i nie wysłano do oddziałów karnych.

Ostatnia kategoria wymaga komentarza. Mówimy o dwóch możliwych sytuacjach. Pierwsza: człowiek nie popełnił żadnego przewinienia, a z armii do Gułagu wysłano go z powodu „*niewłaściwej narodowości*” (Niemiec, Fin, Rumun, Kałmuk, Czeczen), niewłaściwego miejsca urodzenia (urodzony w „*dawnej Polsce*”), budzącego wątpliwości pochodzenia społecznego (syn represjonowanego). Zabierano im broń i wysyłano do wycinania lasu albo do Workuty, gdzie wydobywał węgiel „*dla frontu i dla zwycięstwa*”. Drugi wariant: człowiek zrobił coś — z punktu widzenia „*wydziału specjalnego*” — szczególnie niebezpiecznego. Na przykład „*wykazywał terrorystyczne zamiary przeciwko wodzowi ludów*”, „*oszczerczo oświadczał, że w wyzwolonych od niemieckich okupantów rejonach chłopci są wrogo nastawieni do odbudowy kolchozów*”, „*w 1928 r. głosował za antypartyjną trockistowską rezolucją*” (mam nadzieję, że rozumiecie, że to nie są żarty, a cytaty z dokumentów Smiersza). Wykrytych wrogów „*wodza ludu*” nie

rozstrzeliwano na miejscu i nie wysyłano do batalionów karnych, żeby „odkupili krwią winy”, lecz aresztowano i kierowano z armii do dyspozycji NKWD w celu przeprowadzenia dochodzenia i następnie wydania wyroku. Wyrokiem mogła być kara śmierci, ale ta śmierć już nie znajdowała się na liście strat sił zbrojnych (co, ściśle rzecz biorąc, było całkiem zasadne — stracony nie był ofiarą wojenną).

1 te trzy liczby wydają mi się dość dokładne. Wszystko to działo się poza strefą działań wojennych, było ściśle ewidencjonowane i kontrolowane, co więcej, kontrolowane co najmniej dwustronnie: armia przekazała — zakłady przemysłu zbrojeniowego lub organy NKWD przyjęły. Rannych demobilizowano na podstawie decyzji komisji, decyzję protokołowano, po powrocie do domu inwalida okazywał dokumenty w wojskowej komendzie uzupełnień w celu uzyskania renty. Błędy czy nieścisłości są możliwe, ale stosunkowo nieistotne.

Istnieje jeszcze jedna kategoria żołnierzy, którzy ubyli z czynnej armii, ale według stanu na dzień 1 lipca 1945 roku niewątpliwie żyli. To jeńcy, którzy doczekali końca wojny. Ani dokładnej, ani nawet przybliżonej ich liczby nie zna nikt, ale istnieje jedna całkiem wiarygodna liczba: liczba jeńców, którzy przeszli przez punkty filtracyjne i zostali uwzględnieni w dokumentach Zarządu do spraw Repatriacji. Jeszcze raz powtarzam — tych, którzy przeżyli, było więcej, ale nie wszyscy jeńcy chcieli znaleźć się w bramie punktu filtracyjnego, niektórzy próbowali zostać na Zachodzie, niektórzy próbowali sfałszować dokumenty i wrócić do domu, unikając spotkania z organami NKWD, ale samych tylko zarejestrowanych i wciągniętych do ewidencji nazbierało się 1 836 000 osób.

$$21\ 637\ 000 - 8\ 007\ 000 - 1\ 836\ 000 = 11\ 794\ 000$$

11 794 000 żołnierzy zginęło lub na zawsze i bez śladu opuściło granice ZSRR. Taki jest wynik, dość wiarygodne i dokładne rozwiązanie zadania z basenem.

To oznacza, że bezpowrotne straty demograficzne żołnierzy Sił Zbrojnych ZSRR ogółem nawet w teorii nie mogą być większe niż 11 794 000 osób. Wszystko ponad to jedynie czcze histerie na temat „górnicy”. Specjalistom nazwiska współczesnych histeryków są dobrze znane, a cała reszta nie ma potrzeby utrwalania w pamięci różnych śmieci. Postarajcie się zapamiętać najważniejsze: zasady zachowania materii nikt jeszcze nie

odwołał i wszelkie brednie o „25... 37... 43... milionach poległych żołnierzy” można bez wahania wyrzucić do kosza.

Dalej pojawią się liczby coraz mniej wiarygodne, bo teraz zajmiemy się wydarzeniami i procesami, które rozegrały się w ogniu, bezpośrednio na linii frontu lub za tą linią, na terytorium kontrolowanym przez nieprzyjaciela:

— 5,23 miliona żołnierzy Armii Czerwonej, Marynarki Wojennej, Sił Powietrznych, Wojsk Ochrony Pogranicza i Wojsk Wewnętrznych NKWD zostało zabitych lub zmarło na etapie sanitarnej ewakuacji. Właśnie taką liczbę uzyskał zespół historyków pod kierownictwem Kriwoszejewa poprzez zsumowanie doniesień wojsk. Oczywiście nie uwzględnia ona wszystkich przypadków śmierci żołnierzy radzieckich w walkach (przede wszystkim wskutek chaosu i paniki pierwszych miesięcy wojny, gdy całe formacje znikały razem ze sztabami oraz kompletną dokumentacją).

— 1,1 miliona osób zmarło wskutek ran w szpitalach (choć brzmi to okropnie, potworna liczba miliona zmarłych jest potwierdzeniem najwyższych kwalifikacji i ofiarnego wypełnienia ludzkiego i wojskowego obowiązku przez wszystkich pracowników radzieckiej medycyny wojskowej — od szeregowego sanitariusza do głównego chirurga; z 22 milionów przypadków zranienia 21 milionów zakończyło się uratowaniem życia rannego; wobec braku najbardziej podstawowych — według standardów współczesnych — leków i straszliwego przeładowania wszystkich jednostek medycznych te liczby wyglądają na prawdziwy cud).

— 0,4 miliona zmarło wskutek chorób oraz zginęło wskutek nieszczęśliwych zdarzeń i wypadków (straty niebojowe).

Dla porównania zaznaczmy, że w Wehrmachcie w ciągu 6 lat wojny straty niebojowe wyniosły 0,2 miliona osób.

— 0,16 miliona rozstrzelano na podstawie wyroków trybunałów wojskowych lub decyzji nadrzędnych dowódców.

— 0,22 miliona zginęło, walcząc po stronie nieprzyjaciela. Na temat dokładności tej liczby nie będziemy się rozwodzić, niemniej w książce Kriwoszejewa (s. 392) podano taką właśnie liczbę strat formacji ochotniczych Wehrmachtu i Waffen SS, utworzonych z byłych radzieckich obywateli. W ocenie liczebności tej kategorii wszystko jest bardzo niepewne: z jednej strony jeńcy wojenni i dezercerzy byli podstawowym, lecz nie jedynym źródłem żołnierzy dla formacji ochotniczych, z drugiej strony podana liczba 0,22

miliona nie zawiera strat tych kolaborantów wśród byłych żołnierzy Armii Czerwonej, którzy walczyli z radzieckimi partyzantami w składzie batalionów policyjnych i innych formacji karnych.

W ten sposób uzyskujemy liczbę 7,11 miliona zabitych i zmarłych, których śmierć nie budzi wątpliwości.

Najbardziej niepewna i niejasna jest statystyka dotycząca wziętych do niewoli i dezertów — sama natura tych haniebnych zjawisk wyklucza możliwość prowadzenia dokładnej ewidencji. Według danych Kriwoszejewy zaginięci i „*niewuwzględnione straty pierwszych miesięcy wojny*” w sumie wynoszą 4 559 000 osób. Ale przy tym ogólny bilans zysków i strat składu osobowego Sił Zbrojnych nie pokrywa się w ogromnej liczbie 2 186 000 osób (s. 140–141). Sami autorzy zbioru tłumaczą to między innymi „*znaczłą liczbą nieodnalezionych dezertów*”. Po to, żeby arytmetyczny (nie historyczno–wojskowy, a jedynie arytmetyczny) bilans się zgodził, należy założyć, że ogólna liczba wszystkich kategorii zaginionych (jeńcy, dezertrzy, niewuwzględnieni w doniesieniach sztabów zabici, porzuceni na okupowanym przez nieprzyjaciela terytorium ranni) wynosi 6 745 000 osób (4 559 000 + 2 186 000). Olbrzymia liczba. Jak widzimy, jest większa od liczby policzonych zabitych i zmarłych w szpitalach wskutek ran. Taka była cena straszliwej klęski podczas pierwszych miesięcy wojny...

Według szacunków niemieckich historyków liczba radzieckich jeńców wojennych wynosi ogółem nie mniej niż 5,2 miliona osób. Jeszcze raz powtórzę, że są to bardzo ostrożne oceny (wielu autorów zwiększa liczby do poziomu 5,7–5,8 miliona). Za stosunkowo dokładną można uznać tylko liczbę wyzwolonych z niewoli: 319 tysięcy wyzwolono latem i jesienią 1941 r. (Ukraińcy, Bałtowie, etniczni Niemcy); kolejne 504 tysiące wyzwolono przed 1 maja 1941 r. (przeważnie w związku z wcieleniem do formacji ochotniczych Wehrmachtu i Waffen SS). Tym, których jeszcze to dziwi, mogę podać stronę (Kriwoszejew, s. 334).

Liczba zmarłych jeńców wojennych przez wiele lat pozostawała przedmiotem spekulacji politycznych. Najpierw w komunikatach Radzieckiego Biura Informacyjnego podawano nierealnie małe liczby zaginionych czerwonoarmistów, następnie na procesie w Norymberdze oświadczono o 3,9 miliona zamordowanych jeńców; zbiór Kriwoszejewy, zaniżając łączną liczbę jeńców, podaje zadziwiająco małą liczbę 1,3—1,7

miliona zmarłych w niewoli niemieckiej; niemiecka statystyka wojenna mówi o 0,67 miliona zmarłych po lutym 1942 r., ale przy tym ignorowana jest najstraszliwsza i najbardziej masowa śmierć radzieckich jeńców wojennych jesienią i zimą 1941 roku. Współcześni niemieccy historycy, analizując dokumenty Wehrmachtu i SD, uzyskują liczbę 2,2–2,6 miliona, w tym około 1,5–2,0 milionów osób, które zginęły w czasie pierwszej wojennej zimy. Nie aspirując do jakiegokolwiek dokładności, proponuję policzyć w następujący sposób: od całkowitej liczby wziętych do niewoli odjąć liczbę tych, którzy wrócili do ojczyzny, oraz wyzwolonych z niewoli przez nieprzyjaciela. Razem:

$$5,2 - 1,84 - 0,82 = 2,54 \text{ miliona.}$$

Po zsumowaniu podanej wyżej liczby zabitych, rozstrzelanych i zmarłych (7,11 miliona) z przypuszczalną liczbą zmarłych w niemieckiej niewoli (2,54 miliona) uzyskujemy pewną liczbę 9,65 miliona. To liczba żołnierzy, którzy najprawdopodobniej nie dożyli końca wojny. Porównując tę liczbę z uzyskaną metodą rozwiązania zadania z basenem maksymalnie możliwą liczbą bezpowrotnych strat demograficznych żołnierzy Sił Zbrojnych ZSRR (11,79 miliona), uzyskujemy różnicę arytmetyczną 2,14 miliona. Dwa miliony osób, o których losach nikt nie wie nic na pewno. I prawdopodobnie nigdy się już nie dowie. Nie będę się wymądrzał, proponuję po prostu podzielić tę liczbę na pół: połowę zaliczyć do kategorii poległych podczas walk, ale nieuwzględnionych w doniesieniach sztabów, drugą połowę uznać za zaginionych dezertersów i jeńców, którzy uciekli na Zachód albo ukrywali swoją przeszłość i pod zmyślonymi nazwiskami pozostali na terytorium ZSRR.

Teraz pozostaje nam tylko połączyć tę obfitość liczb w jednej tabeli:

zabici podczas walk oraz zmarli wskutek ran w szpitalach	7,40 mln
zginęli w niewoli	2,54 mln
straty niebojowe (nieszczęśliwe zdarzenia, choroby, wypadki)	0,40 mln
rozstrzelani lub zabici podczas walki po stronie nieprzyjaciela	0,38 mln
łącznie polegli żołnierze	10,72 mln
przypuszczalnie żyją (uciekli na Zachód, zdezerterowali)	1,07 mln

Za dodatkowe potwierdzenie wiarygodności podanych wyżej obliczeń mogą zostać uznane dane ewidencji zawiadomień o śmierci żołnierzy (pochoronek), które wpłynęły do wojskowych komend uzupełnień w czasie wojny. Nazbierało się ich 12 401 000 sztuk. Nie ma nic dziwnego w tym, że było ich o 600 000 więcej od sumy wszystkich wymienionych w tabeli kategorii strat. Zawiadomienia wysyłało się tak w wypadku zabitych, jak i tych, których w dokumentach sztabów uznano za zaginionych. A to oznacza, że łącznie mogło zostać wystawionych około 13,6 miliona zawiadomień. Z uwzględnieniem nieuniknionego dublowania (gdy na zapytanie krewnych w związku z ich przymusowymi przeprowadzkami do różnych komend uzupełnień wysyłało się po kilka zawiadomień dotyczących jednej osoby) pochoronek mogło okazać się jeszcze więcej. Innymi słowy — podane w tabeli liczby końcowe wcale nie są zaniżone. Być może są nawet nieco zawyżone.

Najprawdopodobniej otrzymany rezultat zdziwił cię, szanowny czytelniku, swoją „małością”. Doskonale cię rozumiem — przez ostatnie 20 lat nasi rodzimi publicyści prowadzili szalony „wyścig na trumnach”, ogłuszając siebie samych historycznym lamentem: „góry ciał”, „jeden karabin na trzech”, „dwudziestu naszych żołnierzy na jednego zabitego Niemca”. Na mniej niż 20–25 milionów poległych — przy czym tylko żołnierzy — nikt już się nie zgadzał. Ale my nie będziemy straszyć siebie lamentami. Jeżeli nieszczęsny jeden karabin na trzech ma jakieś przełożenie na rzeczywiste wydarzenia, to przypadki tak karygodnego braku organizacji mogły się zdarzać jedynie latem i jesienią 1941 roku. Co więcej, powodem podobnych sytuacji wcale nie był obiektywny brak broni — posiadaną bronią strzelecką można było wyposażać według pełnych norm etatowych czasu wojny 450–750 dywizji... W latach 1944–1945 Armia Czerwona zostawiła nieprzyjacielowi nie góry ciał, a góry pocisków artyleryjskich.

Radziecka nauka wojskowa nie bez podstaw była dumna z tego, że w końcowym etapie wojny Armia Czerwona zastosowała w praktyce takie pojęcie jak „natarcie artyleryjskie”. Średnią normą była gęstość 150–200 dział na 1 kilometr frontu natarcia i 50 tysięcy pocisków kalibru 122 mm lub większego do stłumienia obrony jednej dywizji piechoty Wehrmachtu (co daje trzy pociski o masie nie mniej niż 22 kilogramy każdy na jednego niemieckiego żołnierza). Średnio. W największych operacjach ofensywnych

końca wojny jeszcze bardziej wykorzystywano artylerię. Podczas przełamania niemieckiej obrony w czasie operacji wiślańsko–odrzańskiej (styczeń 1945 r.) w pasie głównego uderzenia zgromadzono niewiarygodną liczbę 420 dział na 1 kilometr frontu. Na każdym metrze obrony niemieckich wojsk zdetonowano po 15 pocisków średniego i dużego kalibru. W pasie natarcia 5. Armii Uderzeniowej w ciągu jednej godziny zużyto 23 kilotony amunicji — to siła bomby atomowej w Hiroszynie.

Dla zobrazowania końcowego etapu wojny należy wziąć pod uwagę wielokrotną przewagę Armii Czerwonej w czołgach i absolutną przewagę ilościową w powietrzu. Od jesieni 1944 roku na niebie na froncie wschodnim rzadko pojawiały się niemieckie myśliwce, a niemieckie bombowce — prawie nigdy (resztki niemieckiego lotnictwa, zużywając ostatnie zapasy paliwa lotniczego, usiłowały zapobiec zniszczeniu niemieckiego przemysłu i sieci transportowej, wywołanego przez nieustanne zmasowane naloty amerykańskich „latających fortec”. To, że przy takiej przytłaczającej przewadze ogniowej straty Armii Czerwonej w ludziach wielokrotnie (nie dziesięć razy, lecz wielokrotnie) przewyższały straty nieprzyjaciela, nie powinno dziwić. To, proszę wybaczyć mi cynizm, było „normalne”. Straty nacierającego powinny być większe od strat broniącego się — szczególnie gdy broniący się wykazuje bardzo wysokie zdyscyplinowanie, męstwo i odwagę.

Tu muszę na chwilę odejść od omawianego tematu, ponieważ na własnym przykładzie mogłem się przekonać, że zdanie na temat męstwa i odwagi żołnierzy niemieckich powoduje utratę zmysłu słuchu i wzroku u niektórych czytelników. Nie tak dawno, w marcu 2008 r., miałem zaszczyt występować przed zgromadzeniem szacownej peterskiej inteligencji. I nawet w tym towarzystwie wybranych po słowach o męstwie i odwadze natychmiast zadano mi następujące pytanie: „*Powiedział pan, że żołnierze Wehrmachtu walczyli w słusznej sprawie...*” Niczego takiego nie mówiłem i nie pisałem. W ogóle nie mam pojęcia, o co walczył ten czy inny konkretny Hans czy Fritz. Być może za Führera i Wielkie Niemcy, być może — w imię marzeń o własnej posiadłości i chłopach w podbitej Rosji, być może — za swojego najlepszego przyjaciela Kurta, który zginął w ubiegłym tygodniu... Nie wiem, to nie moja sprawa. Nie jestem ani poetą, ani pisarzem, ani filozofem. Jako historyk mam obowiązek stwierdzić fakt — Niemcy walczyli z największym

uporem, nie oddając bez walki ani jednego skrawka naszej ziemi; przez kilka miesięcy prowadzili walki w całkowitym okrążeniu; przy najmniejszej możliwości przechodzili do dobrze zorganizowanej kontrofensywy. Żeby przełamać opór takiego nieprzyjaciela i odrzucić go na 3 tysiące kilometrów od Wołgi na Łabę, żołnierze Armii Czerwonej musieli wykazać się nie mniejszym męstwem i odwagą. Oraz ponieść znaczące straty.

Podam kilka konkretnych przykładów.

Praktycznie jedynym przypadkiem udanej strategicznej operacji ofensywnej Armii Czerwonej na początkowym etapie wojny jest kontrnatarcie pod Moskwą. W ciągu miesiąca (od 5 grudnia do 7 stycznia) bezpowrotne straty (zabici i zaginieni) wyniosły 139 600 osób. Niemcy stracili podczas bitwy o Moskwę 77 820 zabitych i zaginionych — są to jednak straty całej operacji, od 3 października do 10 stycznia, czyli z uwzględnieniem strat dwóch miesięcy bezskutecznych prób dotarcia do murów Kremla. Z dokładnością możliwą do zaakceptowania w tym przypadku można uznać niemieckie straty z grudnia 1941 roku za jedną trzecią łącznych bezpowrotnych strat. Przy takim założeniu stosunek strat obu stron wynosi 5,35 do 1. Straty nacierającej Armii Czerwonej były pięciokrotnie wyższe od strat Wehrmachtu. Ale to grudzień 1941 roku. To natarcie wspierane samym tylko entuzjazmem, po pas w śniegu, przy trzaskającym mrozie, prawie bez artylerii. Jak pisze we wspomnieniach G. Żukow (wówczas dowódca Frontu Zachodniego), „*musieliśmy zakładać normę zużycia amunicji 1–2 strzały na jedno działo na dobę. I to, proszę zauważyć, w czasie ofensywy!*”.

Teraz weźmiemy statystyki strat drugiego półrocza 1943 roku. To okres wielkich operacji ofensywnych prowadzonych przez Armię Czerwoną (wyzwolenie Smoleńska i Donu, forsowanie Dniepru, wyzwolenie lewobrzeżnej Ukrainy i Kijowa). Straty łączne (zabici, zaginieni, ranni) Armii Czerwonej wyniosły 4 809 300 osób. Straty łączne Wehrmachtu i Waffen SS w tym samym okresie wynoszą 413 200 osób. Stosunek strat 3,4 do 1.

Warto przyrzeć się oddzielnie trzeciemu kwartałowi 1943 r. (lipiec, sierpień, wrzesień). W tym okresie odbyła się bitwa na Łuku Kurskim — jedno z największych starć II wojny światowej. Łączne straty Armii Czerwonej wyniosły 2 748 000, w tym bezpowrotne (zabici i zaginieni) — 694 000. Straty Wehrmachtu i Waffen SS: łączne — 709 000, w tym

bezpowrotne — 231 000. Stosunek strat łącznych: 3,8 do 1. Stosunek bezpowrotnych strat: 3 do 1.

Drugie półrocze 1944 roku. Armia Czerwona praktycznie ciągle naciera na całej linii frontu. W tym okresie prowadzono trzy wielkie strategiczne operacje ofensywne: „*Bagratiun*” (rozbitcie niemieckiej Grupy Armii „*Środek*” na Białorusi), lwowsko–sandomierską i jasso–kiszyniowską.

Przy tym w liczbach absolutnych straty Armii Czerwonej (w porównaniu z drugim półroczem 1943 r.) są wyraźnie mniejsze: łączne — 3 258 800 i bezpowrotne — 690 200. Niemcy stracili 1 300 300, w tym bezpowrotnie — 650 400. W strukturze strat nieprzyjaciela po raz pierwszy olbrzymi odsetek stanowią zaginiony (463 300). Stosunek strat łącznych: 2,5 do 1. Przy szacowaniu stosunku strat bezpowrotnych powstaje problem ustalenia liczby poległych wśród „*zaginionych*” Niemców. Faktycznie musimy zgadywać. Biorąc pod uwagę, że masowego oddawania się do niewoli, porównywalnego z sytuacją z 1941 roku, w Wehrmachcie mimo wszystko nie było, można bardzo i to bardzo umownie przypuszczać, że połowę liczby zaginionych żołnierzy niemieckich stanowią polegli. Przy takim założeniu stosunek liczby poległych zmniejsza się do 1,7 do 1.

Bezpośrednio podczas operacji „*Bagratiun*” (a jest to największa — zarówno według liczebności wojsk radzieckich, jak i osiągniętego sukcesu — strategiczna operacja ofensywna) straty Armii Czerwonej wyniosły: łączne — 765 800, w tym bezpowrotne — 178 500 osób. Straty nieprzyjaciela: 26 400 zabitych, 263 100 zaginionych, 109 700 rannych. Stosunek łącznych strat: 1,9 do 1. Stosunek liczby poległych (przy takich samych założeniach co do ich liczby) wynosi 1,13 do 1.

Rzecz jasna, dokładność każdej z podanych powyżej liczb można zakwestionować. Nie ma dwóch źródeł, w których liczby strat (według okresów lub operacji) nie różniłyby się o 10–15 procent. Niemniej jednak te wszystkie zastrzeżenia nie zmieniają istotnie ogólnego obrazu, który jest całkowicie jasny i oczywisty — stosunek strat stale się zmieniał w lepszą (jeżeli w historii śmierci milionów ludzi może być coś „*dobrego*” czy nawet „*lepszego*”) dla Armii Czerwonej proporcję. I mimo że w nieodpowiedzialnej publicystyce ostatnich dziesięcioleci przyjęło się piętnować „*nieudolnych i krwawych generałów Stalina*”, nie można nie przyznać, że stosunek strat osiągnięty podczas operacji „*Bagratiun*” można uznać za wzorcowy (choć

oczywiście najlepszym wzorem do naśladowania nie jest ta potworna rzeź, a pokój i harmonia, panujące w Europie w ostatnim półwieczu).

Łącznie od 22 czerwca 1941 r. do 31 grudnia 1944 r. Wehrmacht i Waffen SS bezpowrotnie (z uwzględnieniem zaginionych i wziętych do niewoli) straciły na froncie wschodnim 2,62 miliona. Między innymi Grupa Armii „Środek”, której oficerowie w listopadzie 1941 r. przez lornetkę oglądali ulice Moskwy, bezpowrotnie straciła 844 000 żołnierzy (w tym 401 000 zabitych i 443 000 zaginionych). Dla porównania zaznaczmy, że na wszystkich frontach od 1 września 1939 r. do 31 grudnia 1944 r. straty Wehrmachtu i oddziałów SS wyniosły 3 360 000 zabitych i zaginionych (w tym około 2 850 000 na początku lat 50. uznano za poległych). Inaczej mówiąc, straty na froncie wschodnim wyniosły 78 procent (ponad trzy czwarte) wszystkich niemieckich strat — to całkiem wymowna odpowiedź na pytanie, jaka armia „*przetrąciła kręgosłup faszystowskiej bestii*”.

Trudno powiedzieć — z czym, z jakimi liczbami strat Armii Czerwonej, ma sens porównywanie liczby strat bezpowrotnych wojsk lądowych Rzeszy. Czy właściwe będzie porównanie ich z ogólnymi stratami bezpowrotnymi Armii Czerwonej, których znaczną część stanowią zmarli w niewoli, ci, którzy zginęli od kul radzieckich żołnierzy czy oddziałów egzekucyjnych NKWD? Najogólniej rzecz biorąc, można stwierdzić, że straty Armii Czerwonej były większe trzy, cztery razy od strat nieprzyjaciela. Chyba nie ma sensu dyskutować o możliwości sprawdzenia tej liczby. Trzy, cztery razy. Te proporcje dość realistycznie odzwierciedlają to, co działo się na polach wielkiej bitwy.

Na zakończenie tego tematu muszę zaznaczyć, że zespół Kriwoszejewa dołął jednak sporą chochlę dziegciu do wyników swojej niezwyklej i profesjonalnej pracy. Być może ktoś złożył Kriwoszejewowi propozycję nie do odrzucenia. Nie wiem — ale na stronie 390, po szczegółowej i całkowicie poprawnej (czyli w całości pokrywającej się z wynikami fundamentalnych prac niemieckich historyków) analizie struktury i liczby niemieckich strat nagle niczym diabeł z pudełka pojawia się następujące zdanie: „*Analiza niektórych materiałów archiwalnych oraz publikacji w prasie radzieckiej i zagranicznej pokazuje, że...*” Po czym bezpowrotne straty Niemiec tylko na froncie wschodnim zwiększają się do nieprawdopodobnej liczby 6 923 700 osób! A to dopiero początek. Następnie zostają do nich dodane równie

oszałamiające straty sojuszników Niemiec w ilości 1 725 800 osób. Same tylko Węgry, jak się okazuje, „zdołały” stracić na froncie wschodnim 864 tysiące żołnierzy! W przybliżeniu dziewięć razy więcej niż Włochy i dokładnie dziesięć razy więcej niż Finlandia (s. 392), mimo że Finowie wystawili do walki z ZSRR 16 dywizji, które latem 1941 roku i latem 1944 roku prowadziły krwawe starcia, nawet z grubsza nieprzypominające „dokonań” oddziałów węgierskich pod Stalingradem. Ale tego też wydało się mało — w ogólnej masie „*bezpowrotnych strat nieprzyjaciela*” pojawiają się Japończycy, Chińczycy i Koreańczycy w bardzo skromnych (dla nich) liczbach 723 800 osób. Wskutek tych wszystkich manipulacji udało się uzyskać stosunek strat Armii Czerwonej i nieprzyjaciela wynoszący 1,3 do 1.

Rozwiązanie tej zagadki jest nadzwyczaj proste. Dla Niemiec wojna zakończyła się całkowitą i bezwarunkową kapitulacją. Następnie każdy niemiecki żołnierz (na przykład wartownik przy składzie amunicji w Niemczech, który w czasie wojny nie strzelił ani razu) mógł na zasadach formalno–prawnych zostać uznany za jeńca wojennego. Ta kolizja prawna otwiera olbrzymie możliwości do manipulowania liczbami (nie zapominajmy, że na dwóch żołnierzy czynnej armii i u nas, i u Niemców przypadało „*półtorej osoby*” w różnego rodzaju służbach tyłowych i pomocniczych). Właśnie wskutek zsumowania rzeczywistych strat bojowych Wehrmachtu z olbrzymią liczbą „*jeńców majowych*” zostały uzyskane powyższe liczby. Ten sam chwyt zastosowano wobec Węgier. Natomiast Finlandia nie skapitulowała, druga wojna radziecko–fińska zakończyła się podpisaniem układu o zawieszeniu broni (19 września 1944 r.), więc na s. 392 rzeczywiste straty fińskiej armii okazały się 10 razy mniejsze od spekulacyjnej liczby węgierskich „*strat*”. Pojawienie się w obliczeniach 640 tysięcy Japończyków i Chińczyków wziętych do niewoli w Mandżurii (przeważnie już po kapitulacji Japonii) można określić tylko jako „*czarny humor*”...

$$20 - 11 = 9$$

$$27 - 11 = 16$$

Są wątpliwości? Myślę, że już są. I zupełnie nieprzypadkowo o liczbie 20 (a później 27) milionów radzieckich obywateli, którzy zginęli w czasie wojny, wiedzą (lub przynajmniej słyszeli) wszyscy, o liczebności strat sił zbrojnych (9–10–11 milionów) wie każdy czytelnik literatury historyczno–wojskowej i

publicystycznej — ale przy tym o oczywistej i niezaprzeczalnej różnicy arytmetycznej pomiędzy liczbą 27 i liczbą 11 nie wspomina się praktycznie nigdzie i nigdy. Co też można wyjaśnić — nawet tym, którzy zamówili liczbę 27 milionów, zabrakło odwagi, żeby głośno i otwarcie założyć, że Niemcy wymordowali 16 milionów cywilów. To przesada — nawet dla późnoradzieckich, jak i obecnych „*imperialnych*” propagandystów. Dlatego różnica arytmetyczna pomiędzy założoną na najwyższym szczeblu liczbą 27 milionów i liczbą bezpowrotnych strat Armii Czerwonej istnieje jak „*rzecz sama w sobie*” u Kanta. Nie mówi się o niej głośno — nawet wówczas, gdy, wydawałoby się, nie można jej nie zauważyć.

Na przykład w 2001 roku wspomniany już zespół historyków wojskowości pod kierownictwem generała pułkownika G.F. Kriwoszejewy wydał nowy, poprawiony i uzupełniony wariant swego studium statystycznego (*Rossija i SSSR w wojnach XX wieku. Potieri woorużonnych sił. Statisticeskoje issledowanije*, Olma Press, Moskwa). Liczbę bezpowrotnych demograficznych strat wojskowych autorzy pozostawili bez zmian, czyli 8,7 miliona osób. A co za tym idzie, do 27 musieli „*dolożyć*” całe 18,3 miliona. Dzięki rozpacziwym staraniom (o których mowa będzie później) udało się doliczyć 13,7 miliona. Po czym pojawia się następujące zdanie: „*Liczba poległych w czasie wojny cywilów wskutek okupacji niemieckiej wynosi ponad połowę wszystkich strat Związku Radzieckiego w ludziach (porównajcie 13,7 miliona osób i 26,6 miliona osób)*”. Do porównania podanej liczby 13,7 z arytmetycznie pożądaną liczbą 18,3 i dyskusji nad olbrzymim „*niedoborem*” 4,6 miliona ludzi autorzy zbioru rozsądnie nie nawołują...

Oczywiście liczba strat 13,7 miliona osób wśród ludności cywilnej również jest potworna. Na szczęście jest znacznie zawyżona. Doliczono brakujące 13,7 miliona w następujący sposób. Po oczywistym i nie budzącym żadnych zastrzeżeń stwierdzeniu straszliwego faktu („*barbarzyńskie unicestwienie ludności cywilnej przeprowadzono we wszystkich republikach ZSRR, które narażone zostały na zajęcie przez wroga*”) natychmiast pojawia się wniosek końcowy: „*Ogółem z premedytacją zamordowano ponad 7,4 miliona cywilów na terenach okupowanych*”. Odsyłacz do źródła nr 526. Czym jest 526? To informator encyklopedyczny **Wielikaja Oteczestwiennaja wojna. 1941–1945** („*Wielka Wojna Ojczyźniana. 1941–*

1945”), wydany w 1985 roku. Nie mówię już o tym, że w fundamentalnej monografii z 2001 roku sam tylko odsyłacz do wydanego w epoce totalnej cenzury informatora encyklopedycznego wygląda dość dziwnie. Jak odsyłacz do powieści Juliusza Verne’a we współczesnej monografii poświęconej projektowaniu okrętów podwodnych. Ważne jest co innego — w 1985 r. prawdę o wojnie wyrażała liczba 20 milionów poległych. W jaki sposób te liczby mogą pasować do „nowej prawdy” o 27 milionach?

I nie pasują. Dlatego autorzy zbioru, bez krzty zażenowania, do liczby ofiar hitlerowskiego terroru dodają uzyskaną na podstawie jakichś „*badań socjologicznych*” nadwyżkę rzeczywistej liczby umieralności ludzi na terenach okupowanych wobec średnich liczb czasu pokoju. W rezultacie zyskują jeszcze 4,1 miliona. Kto i jak ustalił tę „*nadwyżkę*”, skoro nawet liczba ludności, która znalazła się pod okupacją, znana jest z dokładnością nie większą niż „*plus minus 5 milionów*”? A skoro istnieją, jak się okazuje, konkretne statystyki zgonów gwałtownych i naturalnych na terenach okupowanych, to po co potrzebna była gra w „*przesunięcie*” wyników spisu ludności o 13 lat? Na te pytania udzielono zwięzłej i przekonującej odpowiedzi: „*Na podstawie posiadanych danych*”.

Kolejne 2,16 miliona poległych autorzy zbioru odnaleźli wśród tak zwanych ostarbeiterów — obywateli radzieckich wywiezionych do prac przymusowych do Niemiec. Metodologia uzyskania tej liczby jest tradycyjna: odejmowanie zamiast dodawania. Liczba ostarbeiterów, którzy powrócili do Związku Radzieckiego, jest znana. Dokumenty Zarządu do spraw Repatriacji podają liczbę 2 654 000 osób. Wielki rozrzut jest w szacunkach liczb ludzi wywiezionych do prac przymusowych. Według niemieckich danych to nie więcej niż 2,8–3,0 miliona osób (przy czym ta liczba zawiera zarówno cywilów, jak i jeńców przekazanych do dyspozycji niemieckich przemysłowców). Według danych Nadzwyczajnej Komisji Państwowej do spraw Ustalenia i Zbadania Zbrodni Niemieckich Najeźdźców oraz Ich Wspólników okupanci wywieźli do prac przymusowych 4,3 miliona osób. Autorzy zbioru statystycznego podają „*dokładną liczbę*” 5 269 513 osób. Później poprzez odejmowanie zostaje uzyskana liczba zmarłych.

Jednocześnie autorzy zbioru nie zwrócili uwagi na to, że sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem są podane przez nich stosunki liczby zmarłych jeńców wojennych (1,78 miliona) i ostarbeiterów (2,16 miliona). Oczywiście warunki

pracy i życia pracowników przymusowych były bardzo ciężkie. Szczególnie w porównaniu do tych wyobrażeń o „pracy”, które ma współczesny pracownik biurowy. W istocie w jednej z moskiewskich gazet niedawno przeczytałem bardzo dramatyczną historię dwóch Ukrainek, które przymusowo zostały wywiezione do Niemiec. Trafiły do gospodarstwa, gdzie właściciel kazał im zajmować się stadem 40 krów. Zdaniem moskiewskiego dziennikarza była to katorga. Niestety, syty głodnego nie zrozumie. 40 krów w gospodarstwie zamożnego niemieckiego „kułaka” to co najmniej 400 litrów mleka dziennie. Kraina mlekiem i miodem płynąca. Nawet jeżeli ten „kułak” był nieczułym i złośliwym bydlakiem, dla którego nieszczęsne, oderwane od domu i rodziny dziewczęta były jedynie częścią trzody chlewnej, to nawet w tym przypadku kapitalistyczna natura podpowiedziała mu, że trzodę chlewną trzeba nakarmić. O takiej „katordze” nie mógł nawet marzyć umierający z głodu radziecki jeńiec, którego latem 1941 r. rozstrzelano za próbę doczołgania się do kałuży i napicia się wody, a katowano codziennie bez jakiegokolwiek powodu...

Zdumiewające liczby dotyczące losów ostarbeiterów autorzy „*nowego Kriwoszejewa*” popierają odsyłaczem nr 537. To artykuł w magazynie „*Sociologiczeskije issledowanija*” nr 12, 1991 r. Do tego odsyłacza dołączono również godny uwagi przypis autorów zbioru: „*Oprócz zmarłych w czasie prac przymusowych w Niemczech do łącznych strat ludności cywilnej zaliczono 451 100 tak zwanych „zbiegów” wśród ostarbeiterów, którzy przy aktywnym udziale władz wojskowych Anglii, USA i Francji zostali zwerbowani jako tania siła robocza do krajów Europy Zachodniej, Ameryki Łacińskiej, USA i Australii*”.

Oto brutalne oblicze kapitalizmu — zwabili naiwnych kołchoźników i wykorzystali ich jako „*tanią siłę roboczą*”. Liczbę oszukanych „*socjolodzy*” policzyli po raz kolejny z godną pozazdroszczenia dokładnością — do 100 osób. Musieli po prostu objechać całą Australię, Kanadę i USA. Szkoda, że nie podali równie dokładnych kwot zarobków „*tanich pracowników*”...

Wracając do „*nowego Kriwoszejewa*”, należy zwrócić uwagę na ostatnie i najważniejsze — na główne, oficjalne i fundamentalne źródło informacji o ofiarach ludności cywilnej ZSRR autorzy zbioru powołali się tylko raz. Na samym początku artykułu o stratach w ludziach pojawia się odsyłacz do dokumentów Nadzwyczajnej Komisji Państwowej. Co prawda, z tego źródła

skorzystano nie po to, żeby odszukać tam chociażby minimalnie wiarygodne liczby strat. Autorytetem Komisji postanowiono wesprzeć starą i, jak myślałem, dawno przebrzmiałą fałszywkę — słynny „*Poradnik niemieckiego żołnierza*”. Moi rówieśnicy powinni jeszcze pamiętać ten tekst: „*Zniszcz w sobie litość i współczucie, zabij każdego Rosjanina, nie zawahaj się, jeżeli przed tobą jest starzec lub kobieta, dziewczynka lub chłopiec. Zabijaj, tym samym unikniesz śmierci, zapewnisz przyszłość swojej rodzinie i na wieki okryjesz się sławą*”.

Oczywiście nikt nigdy takiego poradnika nie wydał i nie widział. Przed nami absolutnie „*normalny*”, typowy przykład propagandy czasu wojny. Jej zadanie jest od wieków niezmiennie — ukazać nieprzyjacielskiego żołnierza jako diabelskie nasienie. Zwykłe działanie bojowe: załoga czołgu miotacza płomieni OT-130 pali nieprzyjaciela, wojenny propagandysta „*pali serca ludzi*” płomiennym słowem. Mówienie przy tym wyłącznie prawdy jest taką samą zdradą ojczyzny, jak umyślna zamiana mieszanki zapalającej na szampon. Na wojnie — jak na wojnie. Ale co robi ta fałszywka w poważnym historyczno-wojskowym opracowaniu z 2001 roku?

Zresztą 2001 rok to już przeszłość. Wobec szybkości zachodzących w Rosji zmian — zamierzchłe czasy. Sięgnijmy na półkę po książkę pierwszej kategorii świeżości. Ukazała się w 2007 roku. A. Diukow, **Za czto srażalis' sowietskije ludi**, Jauza-EKSMO, Moskwa. I książka jest nowa, i autor wystarczająco młody. Notka wydawnictwa przekonuje: „*Przed wami książka—przypomnienie, oparta na dokumentach Nadzwyczajnej Komisji Państwowej do ustalenia zbrodni niemieckich najeźdźców, materiałach procesu w Norymberdze, licznych relacjach świadków z obu stron. Pierwsza od wielu lat! Książka, którą każdy powinien przeczytać!*”. A oto zdanie samego autora o swoim dziele: „*Książka, którą trzymacie w ręku, to pierwsze rodzime opracowanie, w którym dostatecznie kompleksowo omówiono główne aspekty niszczycielskiej polityki nazistów na okupowanych terytoriach radzieckich*”.

Kilka stron dalej A. Diukow szczerze przedstawia czytelnikom swoją twórczą metodę. Relacjonuje tragiczny epizod ze wspomnień K. Simonowa: w wyzwolonych od Niemców Czerniowcach (Bukowina Północna) cudem ocalały Żyd, krzycząc i płacząc, opowiedział Simonowowi o koszmarze eksterminacji żydowskiej ludności miasta; nieszczęśnik nie mógł się powstrzymać „*i wciąż wykrzykiwał to samo, co krzyczał do mnie, do jakichś*

ludzi, którzy zgromadzili się obok naszego samochodu”. Opowiedziawszy to, Diukow wyciąga następujący wniosek: *„Właśnie tak — krzyząc i płacząc — powinniśmy opowiadać o faszystowskiej zbrodni ludobójstwa popełnionej na narodzie radzieckim”*.

Gotów jestem zgodzić się z tym, ale tylko pod jednym zasadniczym i nieodłącznym warunkiem: krzyk i płacz jest dopuszczalny w każdym tekście (powieść, opowiadanie, wiersz, scenariusz filmowy, nawet esej filozoficzny) oprócz naukowo–historycznego. Tam, gdzie czytelnikowi podgrzewa się emocje *„krzykiem i płaczem”*, kończy się nauka historyczna. I zaczyna propaganda. A krzykliwa propaganda, podszywająca się przy tym pod *„kompleksowe omówienie głównych aspektów”*, jest szczególnie szkodliwa. Co natychmiast demonstruje książka A. Diukowa. Ta monografia zawiera 500 stron tekstu autorskiego oraz 76 stron załączników. Przy tym wszystko, co ma związek z głównym i konkretnym zagadnieniem historii zbrodniczej (bez żadnych cudzysłówów) polityki nazistów na okupowanym terytorium radzieckim, mieści się na mniej niż połowie strony. Otóż i to *„wszystko”* bez skrótów:

Do tej pory nie wiadomo, ilu cywilnych obywateli zamordowano na terenach okupowanych. Radzieccy historycy mówili o 10 milionach (772), współcześni rosyjscy badacze mówią o liczbie 13,5–14 milionów cywilów, do których należałoby dodać 2,5 miliona zabitych jeńców wojennych (ostatnia liczba jest ewidentnie zaniżona) (773). Istnieje jednak inna, jeszcze bardziej wstrząsająca ocena. Według tych obliczeń przed wojną w rejonach, które zostały okupowane, mieszkało łącznie 88 milionów osób, a w chwili wyzwolenia pozostało w nich 55 milionów osób (774). Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę ewakuację części ludności, mobilizację do Armii Czerwonej, tych, którzy mieli szczęście wrócić z obozów faszystowskich, liczba strat wśród cywilów wyniesie ponad 20 milionów.

Dziwne, ale przy całym szacunku dla towarzysza Stalina (każdy rozdział swej książki A. Diukow ozdobił mottem wziętym z przemówień i wystąpień Wodza Ludów) autor zapomniał zacytować jego słynne słowa o tym, że *„wskutek niemieckiej agresji Związek Radziecki bezpowrotnie stracił podczas walk z Niemcami oraz w związku z niemiecką okupacją i wywiezieniem radzieckich obywateli do niemieckiej niewoli około siedmiu milionów osób”*.

Siedem milionów ze stratami Sił Zbrojnych włącznie, a nie ponad 20 milionów strat wśród ludności cywilnej. Przyjmujemy do wiadomości, że nawet swojemu idolowi A. Diukow nie do końca wierzy, i przyjrzyjmy się uważnie wykorzystanym źródłom.

772 to podręcznik **Istorija KPSS** („*Historia KPZR*”), z 1970 roku. 773 to właśnie „*nowy Kriwoszejew*”, o którym wspominaliśmy wcześniej. Ale najciekawsza jest pozycja 774. Źródłem „*wstrząsającej oceny*” liczby ludności na terenach okupowanych przed i po wojnie okazał się signore G. Boffa (**Historia Związku Radzieckiego**, tłum. z włoskiego, Progres, Moskwa 1980). Skąd Włoch w 1980 r. mógł uzyskać informację, do której nie dopuszczano radzieckich historyków? Poza tym dlaczego signore? Poprawniej będzie — towarzysz Giuseppe. Moskiewski korespondent gazety „*Unita*”. Unikalne liczby mogły zostać mu przekazane tylko w jednym miejscu — podczas kolejnego instruktazu w instytucji, która utrzymywała przez lata włoską partię komunistyczną.

Wróćmy jednak od „*wstrząsającej oceny*” towarzysza Giuseppe do towarzysza Diukowa. Skoro najważniejsze zagadnienie („*ilu cywilnych obywateli zamordowano na terenach okupowanych*”) zajmuje pół strony, to co zawiera cała książka? Na pierwszy rzut oka to, co autor obiecał: krzyki i płacz. Przy tym czasami książka–przypomnienie zaczyna się sprowadzać do krótkiego kursu dla początkujących sadystów („*Na skraju wsi w okolicach Białegostoku na pięciu ostrych palach wisiało pięć kobiecych ciał. Były nagie, z rozciętymi brzuchami, bez piersi i głów. Głowy kobiet leżały w kałuży krwi razem z ciałami zamordowanych dzieci*”). Czasami — do jakiejś wprawki z czarnego humoru. Jak wam się podoba na przykład taki fragment: „*Wzięli w zęby długie sztylety, podwinęli rękawy bluz, trzymając broń w pogotowiu. Ich widok był odrażający. Jak opętani, głośno pokrzykując, z pianą na ustach, z oszalałym wzrokiem, pędzili po ulicach Lwowa*”.

Głośno pokrzykując, z pianą na ustach i długimi (a więc ciężkimi!) sztyletami w zębach... Pierwsze dni wojny w relacji A. Diukowa wyglądają tak: „*Żołnierze piechoty rozpierzchli się po Baranowiczach jak szarańcza. Wpadali do domów w poszukiwaniu łupów. Tam, gdzie drzwi były otwarte, zabijali za krzywe spojrzenie; tam, gdzie drzwi były zamknięte od środka, zabijali wszystkich. Pierwszych radzieckich jeńców, którzy trafili w łapy Niemców, czekał okrutny los. Na ulicy Pionierskiej żołnierze Wehrmachtu*

przywiązali do słupów czterech wziętych do niewoli czerwonoarmistów, położyli im pod nogi siano, oblali benzyną i spalili żywcem (12)''.

Pod numerem 12 znajduje się odsyłacz do s. 169 książki A. Szejniera **Plen** („*Niewola*”). Być może jest tu jakiś błąd drukarski i w rękopisie Diukowa podano inną stronę, ale w egzemplarzu, który stoi na mojej półce, z dedykacją autora, na stronie 169 podanego fragmentu nie ma. Ale ten szczegół jest nieistotny — godne uwagi jest co innego. Dziwnym zbiegiem okoliczności na s. 169 można przeczytać następującą rzecz:

Zazwyczaj na punktach zbiorczych gromadziło się od dziesiątków i setek do kilku tysięcy osób. Ochrona tych punktów składała się tylko z 2–10 żołnierzy. Małą ilość ochrony tłumaczy się tym, że według doniesień zwiadowców NKWD wśród jeńców panują defetystyczne nastroje i jeńcy, mając możliwość ucieczki, nie opuszczają obozów (...). We wsi Kriwopole pilnuje ich tylko 6 konwojentów. W Umaniu duża ilość jeńców. Są tak pilnowani, że spokojnie mogliby odejść.

Jak można uwierzyć w to, że kilkuset (czy nawet parę tysięcy) młodych mężczyzn pod ochroną kilku konwojentów, „*mając możliwość ucieczki*”, siedziało i cierpliwie czekało na moment, kiedy spalą ich żywcem albo nabiją na pal? Niezależnie od tego wszystkiego potworny przypadek spalenia czterech jeńców w Baranowiczach był możliwy w rzeczywistości. Dopuszczam to — z tego prostego powodu, że w armii niemieckiej były 3 miliony żołnierzy i oficerów. Wśród takiej liczby uzbrojonych ludzi statystycznie nieuchronnie powinno się znaleźć kilka tysięcy psychicznie chorych sadystów, którzy w warunkach potężnego stresu, czyli wojny, ostatecznie zszikowali. Towarzysz Diukow jednak „*łzami i krzykiem*” usiłuje doprowadzić do obłędu swoich czytelników tylko po to, żeby podać te, odosobnione w sytuacji zwycięskiego natarcia Wehrmachtu podczas pierwszych tygodni wojny, przypadki jako normę. Powszechną regułę. Co więcej, regułę rzekomo wręcz zalecaną w rozkazach niemieckiego dowództwa.

Książka Diukowa zaczyna się od „*żywych obrazków*” takiego rodzaju:

Erich von Manstein rozmyślał o wspaniałej niemieckiej ziemi; ze wzruszenia ścisnęło go w gardle. Obowiązek wobec ojczyzny wymagał jej opuszczenia; generał i jego żołnierze wyruszyli do walki na dzikich

wschodnich ziemiach, zamieszkanym przez hordy podludzi [A. Diukow z jakimś maniakalnym uporem, prawie na każdej stronie powtarza — rzekomo w imieniu niemieckich żołnierzy i generałów, rozprawiających o Rosjanach — to słowo: „podludzie”, „podludzie”, „podludzie”...].

Generał von Manstein wspominał swoją wspaniałą ojczyznę.

W tym czasie w dywizjach jego LVI Korpusu Pancernego oficerom odczytano rozkaz dowództwa dotyczący bezwzględnej eksterminacji wszystkich pracowników politycznych, Żydów i radzieckiej inteligencji [podkreślenie moje — M.S.].

Nie wiem, o czym rozmyślał Manstein wieczorem 21 czerwca 1941 roku i od czego ścisnęło go w gardle. Nie pasjonuje mnie spirytyzm. Ale słynne wspomnienia Mansteina (**Stracone zwycięstwa**) obecnie może przy odrobinie chęci przeczytać każdy:

Kilka dni przed rozpoczęciem natarcia otrzymaliśmy rozkaz OKW, który później był znany pod nazwą „rozkaz o komisarzach”. Jego idea polegała na tym, że nakazywano w nim niezwłoczne rozstrzelanie wszystkich wziętych do niewoli komisarzy politycznych Armii Czerwonej — głosiciele bolszewickiej ideologii. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego komisarze polityczni bynajmniej nie mogli korzystać z przywilejów dotyczących żołnierzy. Naturalnie nie byli żołnierzami. Nie traktowałbym jako żołnierza na przykład gauleitera przydzielonego mi jako nadzorcę politycznego. (...) Ale jakiego nie mielibyśmy zdania odnośnie do statusu komisarzy z punktu widzenia prawa międzynarodowego, rozstrzelanie ich po wzięciu do niewoli w czasie walki było sprzeczne z pojęciem żołnierskiego honoru.

Wykonanie tego rozkazu zagrażało nie tylko honorowi wojsk, lecz również ich morale. Dlatego byłem zmuszony zameldować mojemu przełożonemu, że w moich wojskach ten rozkaz nie będzie wykonywany. Przy tym zrobiłem to za zgodą dowódców jednostek i w swoim korpusie tak postępowałem. Co więcej, naturalnie, moi przełożeni zgodzili się całkowicie z moim zdaniem [podkreślenie moje — M.S.]. Próby odwołania tego rozkazu zakończyły się sukcesem dopiero dużo

później [rozkaz został wycofany w marcu 1942 roku — M.S.], gdy stało się jasne, że jedynym skutkiem „rozkazu o komisarzach” było to, że komisarze w najbardziej okrutny sposób zmuszali wojska do walki do końca.

Można oczywiście nie wierzyć w to, o czym pisze Manstein. Ale wtedy zupełnie już nie sposób pojąć — dlaczego mamy wierzyć wizjom Diukowa? W każdym razie słynny „rozkaz o komisarzach” nakazywał rozstrzeliwanie nie radzieckiej inteligencji i nawet nie komunistów jako takich, ale tylko i wyłącznie wziętych do niewoli pracowników politycznych Armii Czerwonej, czyli uzbrojonych mężczyzn, którzy za pomocą słowa partyjnego oraz pistoletu TT mieli obowiązek przeszkodzić nawet najmniejszemu zamiarowi oddania się do niewoli wśród szeregowych czerwonoarmistów. Przy czym 8 czerwca 1941 r. (czyli jeszcze przed rozpoczęciem działań bojowych na froncie wschodnim) głównodowodzący wojsk lądowych Brauchitsch wydał uzupełnienie do rozkazu o komisarzach, zgodnie z którym „przesłanką do podjęcia środków wobec każdego komisarza politycznego są otwarcie prowadzone lub zamierzone działania skierowane przeciwko niemieckim siłom zbrojnym”.

A skoro już zaczęliśmy czytać wspomnienia Mansteina, warto przerzucić kolejne dwie strony:

Już pierwszego dnia mieliśmy poznać metody, którymi prowadzona była wojna ze strony radzieckiej. Jeden z naszych patroli rozpoznawczych, odcięty przez wroga, odnalazły później nasze wojska — został wycięty i bestialsko okaleczony. Mój adiutant i ja sporo jeździliśmy w terenie, w którym jeszcze mogły znajdować się oddziały wroga, i postanowiliśmy nie oddawać się żywcem w ręce takiego nieprzyjaciela.

Od Mansteina polot fantazji twórczej przenosi Diukowa na pozycje oddziałów 2. Grupy Pancерnej Wehrmachtu:

Przed ustawionym według kompanii szeregiem pułku saperskiego dowódcy odczytali rozkaz Führera i naczelnego dowództwa Wehrmachtu. W szybko zapadającym zmroku czytanie sprawiało trudność i Hauptmann świecił latarką na kartkę; nierówne światło nadawało jego twarzy złowieszczy wyraz. (...) Żołnierze wiedzieli: w tym czasie te same słowa są odczytywane na całej długości frontu wschodniego. Rozkaz Führera odczytywany jest w sąsiednich

dywizjach piechoty, w przygotowanych do uderzenia formacjach pancernych. (...)

Szeregowy Otto Tischler wpatrywał się we wschodni brzeg Bugu. Na całym ogromnym froncie od Bałtyku do Morza Czarnego miliony takich jak on żołnierzy niemieckich spoglądały na wschód. Tam za słupami granicznymi znajdowała się bogata, hojna, żyzna ziemia. Za sprawą kaprysu historii tę wspaniałą ziemię zajmowali tępi i brudni Rosjanie, przemieszani z licznymi azjatyckimi dzikusami, (...) ci degeneraci–Słowianie, (...) żydo–bolszewickie bydło, (...) podludzie, (...) słowiańsko–azjatyckie hordy.

Teraz dokładnie zamkniemy książkę Diukowa, wrzucimy ją do kosza na śmieci, umyjemy ręce, przepłuczemy usta i nos, przewietrzmy pomieszczenie. A następnie postaramy się zorientować się w tych rozkazach, które odczytano (albo których nigdy nie odczytywano!) wszystkim żołnierzom Wehrmachtu oraz w szczególności żołnierzom Grupy Pancerniej Guderiana. Określenie „zorientować się” (w odróżnieniu od „krzyczeć i płakać”) zakłada pewien wysiłek intelektualny, więc proszę nie mieć mi za złe, szanowny czytelniku — cytaty będą długie i trudne.

Do wiadomości każdego żołnierza powinna zostać przekazana treść „Rozkazu o zachowaniu się wojsk w Rosji” (zatwierdzony przez Naczelne Dowództwo Wehrmachtu 19 maja 1941 roku tekst znajduje się w Państwowym Archiwum Wojskowym Niemiec pod sygnaturą BA–MA, RW4/v. 534). Oto ten dokument od pierwszego do ostatniego słowa:

Naczelne Dowództwo Wehrmachtu. Rozkaz o zachowaniu się wojsk w Rosji.

1. Bolszewizm to śmiertelny wróg narodowo–socjalistycznego ludu niemieckiego. Niemcy prowadzą walkę z jego szkodliwym światopoglądem oraz jego głosicielami.

2. Walka ta wymaga bezceremonialnego i energicznego przeciwdziałania bolszewickim podżegaczom, partyzantom, sabotażystom. Żydom oraz całkowitego wyeliminowania najmniejszego aktywnego i pasywnego oporu.

3. W stosunku do wszystkich żołnierzy Armii Czerwonej — również wobec jeńców — należy wykazywać szczególną ostrożność i nadzwyczajną czujność, ponieważ należy liczyć się z podstępными metodami prowadzenia

walki. Szczególnie nieprzeniknieni, nieprzewidywalni, podstępni i pozbawieni uczuć są azjatyccy żołnierze Armii Czerwonej.

4. Podczas wzięcia do niewoli oddziałów wojskowych ich dowództwo powinno od razu zostać odizolowane od podwładnych.

5. Żołnierz niemiecki znajduje się w Związku Radzieckim w obliczu niejednorodności mieszkańców. ZSRR jest formacją państwową, która skupia wiele ludów słowiańskich, kaukaskich i azjatyckich, utrzymywaną w ryzach przez przemoc bolszewickich władców. W ZSRR żydostwo jest szeroko reprezentowane.

6. Znaczna część rosyjskiej ludności, szczególnie zubożała pod wpływem działań bolszewickiego systemu ludność wiejska, wykazuje wewnętrzną niechęć wobec bolszewizmu.

Wśród niebolszewickiej ludności rosyjskiej świadomość narodowa wiąże się z głęboką religijnością i najczęściej będzie wyrażana poprzez radość oraz wdzięczność za wyzwolenie przed bolszewizmem w obrzędach religijnych. Dziękczynnych nabożeństw oraz procesji w żadnym wypadku nie przerywać i nie przeszkadzać w ich prowadzeniu.

7. W rozmowach z ludnością i w zachowaniu wobec kobiet należy wykazać się szczególną ostrożnością. Wielu Rosjan rozumie język niemiecki, ale nim nie mówi. Wywiad wroga będzie szczególnie aktywny na zajętych [przez Wehrmacht] terenach, żeby zdobyć dane na temat strategicznego sprzętu i przedsięwzięć w czasie operacji. Dlatego każda nieroztropność, niedocenianie nieprzyjaciela oraz ufność mogą mieć bardzo poważne konsekwencje.

8. Wszelkiego rodzaju dobra materialne oraz zdobycze wojenne — szczególnie żywność i furaz, paliwo i ubrania — należy oszczędzać i ochraniać. Wszelka defraudacja lub strata szkodzi armii. Rozboje będą karane zgodnie z prawem wojennym najsurowszymi wyrokami.

9. Ostrożnie ze spożywaniem zdobytej żywności! Wody można używać wyłącznie po przegotowaniu (tyfus, cholera). Każde dotknięcie miejscowego kryje w sobie zagrożenie sanitarne. Dbanie o własne zdrowie to obowiązek żołnierza.

10. Obowiązuje przyjmowanie reichsmarek w formie banknotów i monet, a także niemieckich drobnych monet o nominałach 1 i 2 fenigów oraz 1, 2, 5 i 10 reichsfenigów. Zakazuje się płacenia innymi niemieckimi pieniędzmi.

Gdzie tu „*podludzie*”, „*degeneraci–Słowianie*”, „*brudni Rosjanie*”? Jako śmiertelnego wroga w sposób jasny i jednoznaczny wskazano „*bolszewizm*”, „*jego szkodliwy światopogląd*” oraz „*jego głosicieli*”. Celem walki nie byli wcale „*rosyjscy podludzie*” (w tekście nie ma takich słów), a „*bolszewiccy podżegacze, partyzanci, sabotażyści*”. A czy istnieje na świecie armia, w której od żołnierzy nie wymaga się bezceremonialnego i zdecydowanego przeciwdziałania partyzantom i sabotażystom? Jediną grupą narodową, która jednoznacznie została określona jako wroga, są Żydzi. W stosunku do wszystkich innych zaleca się zachowanie „*szczególnej ostrożności*”, należy dosłownie „*nie dotykać*” miejscowych, szanować zwyczaje religijne mieszkańców. Za rozboje zapowiada się najsurowsze wyroki. Nie wiem, jak wam, ale mnie wydaje się, że gdyby armia rosyjska w Czeczenii ściśle przestrzegała podobnego „*rozkazu o zachowaniu się wojsk*” (oczywiście po zmianie słowa „*bolszewizm*” na „*terroryzm*”), to przelanej tam krwi byłoby dziesięć razy mniej...

Warto zacytować jeszcze jeden dokument. Mimo że nie ma bezpośredniego związku z wydarzeniami z początku wojny, dokument jest interesujący, ponieważ ukazuje ewolucję poglądów dowództwa Wehrmachtu na metody współpracy z ludnością okupowanych rejonów ZSRR. Mowa będzie o poradniku „*Dziesięć przykazań żołnierza niemieckiego*”, rozpowszechnianym w wojskach w 1943 roku przed dowództwo Grupy Armii „*Południe*”. Do każdego przykazania dołączono krótkie wyjaśnienie, ale z braku miejsca wszystkie komentarze pominię:

1. *Zawsze utrzymujcie autorytet wśród miejscowej ludności.*
2. *Bądźcie sprawiedliwi.*
3. *Zachęcajcie Rosjanina, jeżeli dobrze pracuje.*
4. *Nie bijcie Rosjan.*
5. *Unikajcie wszelkich wypowiedzi pod adresem Rosjan, które dają do zrozumienia, że Niemcy w stosunku do nich są wyższą rasą.*
6. *Szanujcie rosyjskie kobiety i dziewczęta tak samo, jak szanujecie kobiety niemieckie.*
7. *Zrezygnujcie z samowolnych konfiskat i bezprawnego rekwirowania żywności i mienia.*
8. *Podczas rozmów z Rosjanami zawsze podkreślajcie różnicę między Rosjanami i bolszewikami.*

9. *Bądźcie powściągliwi w rozmowach z Rosjanami o religii.*

10. *W kontaktach z Rosjanami zachowujcie spokój i poczucie własnej godności: tym osiągniecie więcej niż krzykiem i przekleństwami.*

Jasne, że między rozkazami i ich wykonaniem w praktyce zawsze jest pewna rozbieżność. I chociaż zdyscyplinowanie nie bez podstaw uważane jest za charakterystyczną cechę narodową Niemców, wyciąganie wniosków na temat zachowania żołnierzy Wehrmachtu tylko na podstawie rozkazów i przykazań byłoby zbyt pochopne. Na szczęście dożyliśmy czasów, gdy zarówno wspomnienia zwykłych ludzi, którzy przeżyli okupację niemiecką, jak i wcześniej utajnione sprawozdania dowództwa wojskowego mogą zostać opublikowane. Z braku czasu i miejsca ograniczymy się do dwóch relacji. Dotyczą wydarzeń pierwszych tygodni wojny i są szczególnie godne uwagi przez to, że zostały napisane przez nieprzyjaciół — w najbardziej podstawowym znaczeniu tego słowa. Walczyli prawie naprzeciwko siebie: IX Korpus (Grupa Armii „Środek”) nacierał w pasie od Białegostoku do Mińska, a resztki rozgromionej 3. Armii Frontu Zachodniego przedzierały się z okrążenia w kierunku Mińsk–Mohylew.

Pod koniec czerwca 1941 roku dowódca IX Korpusu, generał Geier, meldował przełożonym:

Większość żołnierzy ma dobroduszny stosunek do ludności, chociaż konieczność rekwirowania żywności i koni oraz inne przyczyny mogą sprzyjać pewnym aktom brutalności.

Nastawienie ludności waha się od zadziwiającej obojętności do zwykle bojaźliwej ciekawości i ufności. W związku ze zbyt dużymi zniszczeniami jest sporo uchodźców, przemieszczających się z całym swoim dobytkiem, ale żadnego grabienia domów nie odnotowano. Na terytorium należącym do Polski [czyli tak zwanej Białorusi Zachodniej — M.S.] niemieckich żołnierzy entuzjastycznie witano jak wyzwolicieli. Jednak również na byłym rosyjskim terytorium zdarza się, że rzucają kwiaty i witają przyjaźnie. Zaufanie mieszkańców przede wszystkim przejawia się w tym, że ukryta żywność oraz inne mienie są odkopywane, gdy wkraczamy, ponieważ żołnierz niemiecki, rzecz jasna, jej nie zabierze.

Żadnych aktów sabotażu ze strony ludności w pasie korpusu nie odnotowano. Przeciwnie, gdy zastraszona ludność w ogóle odważa się

cokolwiek powiedzieć, okazuje spore niezadowolenie z ustroju kolchozowego i całego bolszewickiego panowania. Ogólnie dowództwo korpusu szacuje zagrożenie wojną partyzancką z udziałem ludności jako niewielkie. Ludzie w mijanych przez nas rejonach poprzez swój tryb życia i wypowiedzi nie sprawiają wrażenia takich, którzy w ogóle mogą fanatycznie trzymać się jakichkolwiek idei.

A oto fragment sprawozdania, które 1 sierpnia 1941 roku po wyjściu z okrążenia skierował do Głównego Zarządu Politycznego Armii Czerwonej członek Rady Wojskowej 3. Armii, armijny komisarz 2 rangi M.I. Biriukow:

Od pierwszych dni wojny do czasu walk na Dnieprze Niemcy starali się prowadzić na wsi politykę, która nie nastawiała chłopów przeciwko Niemcom. Dlatego pierwszy okres, jeśli tak go można określić, charakteryzował się tym, że Niemcy nie dopuszczali się we wsiach rabunku i przemocy. W tym okresie Niemcy mówili chłopom, że „również są za socjalizmem, ale bez komunistów i Żydów”. W tym okresie Niemcy zabierali chłopom tylko jajka, mleko, czasami kury, ale bydła, własności prywatnej, nie brali. Nie zaglądali do chłopskich kufrów i nie rabowali chłopów.

Jak widzimy, niemiecki general opisuje stosunek niemieckiej armii do mieszkańców nawet w bardziej krytycznym tonie („konieczność rekwirowania żywności i koni oraz inne przyczyny mogą sprzyjać pewnym aktom brutalności”), natomiast radziecki komisarz przekonuje, że w pierwszych tygodniach wojny żołnierze Wehrmachtu zabierali chłopom tylko to, co można zjeść i wypić w drodze (kubek mleka, surowe jajko...). Na tle tej rzeczywistości niedorzeczne wizje Diukowa („tam, gdzie drzwi były otwarte, zabijali za krzywe spojrzenie; tam, gdzie drzwi były zamknięte od środka, zabijali wszystkich”) wyglądają absurdalnie.

Teraz przejdźmy do owianego złą sławą słynnego rozkazu z 13 maja 1941 r. „O zastosowaniu wojennej jurysdykcji [czasami jest to tłumaczone jako „o szczególnym trybie jurysdykcji”] w rejonie Barbarossa”. Według A. Diukowa właśnie ten rozkaz odczytał żołnierzom Guderiana anonimowy Hauptmann i „nierówne światło latarki nadawało jego twarzy złowieszczy wyraz”. Towarzysz Diukow źle pracuje. Odstawia fuszerkę. „Za towarzysza Stalina tak nie pracowano...” Trzeba było przenieść anonimowego Hauptmanna z latarką na jakiś inny odcinek frontu wschodniego. Ponieważ przy wzmiance o

2. Grupie Pancерnej od razu przychodzi na myśl następujący fragment ze wspomnień Guderiana:

Tuż przed rozpoczęciem wojny na Wschodzie do korpusów i dywizji dotarł rozkaz Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych dotyczący traktowania ludności cywilnej i jeńców wojennych. Ten rozkaz znosił obowiązek stosowania odpowiedzialności karnej wobec żołnierzy oskarżonych o rabunek, morderstwa i gwałty na ludności cywilnej i jeńcach wojennych oraz
przekazywał wyznaczenie kary
bezpośrednim przełożonym i dowódcom
według ich uznania [tu i dalej podkreślenia moje — M.S.].
Taki rozkaz mógł przyczynić się tylko do demoralizacji żołnierzy. Widocznie takie odczucia wywołał również u dowódcy sił lądowych, ponieważ feldmarszałek von Brauchitsch dołączył do rozkazu instrukcję
zezwalającą nie stosować tego rozkazu w
przypadku, gdy grozi to upadkiem dyscypliny.

Moim zdaniem oraz zdaniem wszystkich dowódców moich korpusów rozkaz z góry stwarzał takie niebezpieczeństwo, dlatego zabroniłem rozsyłać go do dywizji oraz poleciłem odesłać z powrotem do Berlina. Tego rozkazu nigdy nie wykonywano w mojej Grupie Pancерnej. (...) Z perspektywy czasu można tylko z bólem serca ubolewać, że oba te rozkazy [chodzi również o rozkaz o komisarzach — M.S.] nie zostały wstrzymane już w Naczelnym Dowództwie. Wówczas wielu odważnych i dobrych żołnierzy nie musiałyby poczuć goryczy wielkiej hańby, którą dźwigają Niemcy.

Pokonany hitlerowski generał kłamie i usiłuje wybielić swoją przeszłość? Być może. A być może nie. W każdym razie zalecenie dyscyplinarne von Brauchitscha, w którym podkreślał, że „głównym zadaniem wojsk jest walka z uzbrojonym nieprzyjacielem”, i faktycznie przekazał kwestię wprowadzenia rozkazu o szczególnym trybie jurysdykcji dowódcom armii i korpusów według ich uznania, rzeczywiście istniało. Co więcej, już pod koniec lipca 1941 r. Naczelne Dowództwo Wehrmachtu w ogóle wydało polecenie zniszczenia wszystkich egzemplarzy rozkazu o szczególnym trybie jurysdykcji we wszystkich instancjach służbowych.

Rozkaz o szczególnym trybie jurysdykcji oczywiście prowadził do upadku dyscypliny, a w tej jego części, która zalecała rozprawianie się z ludnością cywilną (*„Gdy okoliczności nie pozwalają na szybkie wskazanie poszczególnych winnych, w miejscowościach, z których Wehrmacht został podstępnie lub zdradziecko zaatakowany, natychmiast na rozkaz oficera na stanowisku co najmniej dowódcy batalionu przeprowadza się zbiorowe egzekucje”*), był poza wszelką wątpliwością zbrodniczy. I to, że Wehrmacht bynajmniej nie był jedyną armią na świecie, która odpowiadała zbiorowymi egzekucjami na ataki ze strony nieznanych osób, w żaden sposób nie zmienia tej oceny: to był zbrodniczy rozkaz, sprzeczny ze wszelkimi normami i wyobrażeniami o prawie. Jednak nawet ten, wkrótce odwołany, a w części formacji nigdy nie wprowadzony, zbrodniczy rozkaz, bynajmniej nie zwalniał żołnierzy Wehrmachtu od odpowiedzialności za samowolne rozprawianie się z cywilami i tym bardziej — nie nawoływał do rabunków i gwałtów:

Sędzia ustala, czy wystarcza pociągnięcie do odpowiedzialności żołnierza i wymierzenie kary dyscyplinarnej, czy niezbędna jest ingerencja sądu.

Sędzia prowadzi rozprawę w kwestii działań przeciwko ludności cywilnej w trybie jurysdykcji wojskowej tylko wówczas, gdy wymaga tego utrzymanie dyscypliny lub ochrony wojsk. Mowa na przykład o ciężkich przewinieniach, związanych z rozwiązłością seksualną, wynikających ze zbrodniczych skłonności lub wskazujących na to, że wojskom grozi zdziczenie.

Podlegają karze przestępstwa, wskutek których zadaje się szkody własnym wojskom poprzez niszczenie krów, zapasów żywności lub innego zdobycznego mienia.

Prawie jednocześnie z rozkazem o szczególnym trybie jurysdykcji 7 czerwca 1941 r. sekretarz stanu w Ministerstwie Wyżywienia i Gospodarki Rolnej Rzeszy Backe podpisał zalecenia dla pracowników administracji cywilnej na Wschodzie. Dokument jest obszerny, ale nawet niektóre jego fragmenty wystarczająco wyraźnie charakteryzują rzeczywistą treść planów przymusowej kolonizacji i eksploatacji Rosji. Kolonizacji i eksploatacji. Ni mniej, ni więcej:

Nie rozmawiajcie, lecz działajcie. Rosjanina nigdy nie uda się wam przegadać ani przekonać słowami. Potrafi lepiej mówić od was, ponieważ jest urodzonym dialektykiem i odziedziczył „skłonność do filozofowania”. (...)

Powinniście być ludźmi czynu, którzy bez żadnych debat, bez długich bezowocnych rozmów i bez filozofowania wyznaczają i przeprowadzają niezbędne przedsięwzięcia. Wówczas Rosjanin z chęcią się wam podporządkuje. (...)

Trzymajcie się jak najdalej od Rosjan, nie są Niemcami, lecz Słowianami. Nie urządzajcie żadnych libacji z Rosjanami. Nie wiążcie się z kobietami i dziewczętami z podlegających wam przedsiębiorstw. Zadbajcie o to, żeby zachować autorytet Niemca. Podnoście go swoimi spokojnymi, rzeczowymi rozkazami, stanowczymi decyzjami, naśmiewając się z gadatliwości i ignorancji. (...)

Rosyjska młodzież w ciągu dwóch dziesięcioleci była wychowywana w duchu komunistycznym. Nie zna innego wychowania. Dlatego bezsensowne byłoby karanie jej za przeszłość. Nie chcemy nawracać Rosjan na drogę narodowego socjalizmu, chcemy tylko uczynić z nich narzędzie w naszych rękach. Powinniście podporządkować młodzież, wyznaczając jej zadania, zdecydowanie zająć się nią i bezlitośnie karać, gdy sabotuje lub nie wykonuje tych zadań.

A co z generalnym planem Ost? Doprawdy, jak się bez niego obejść... Ani jeden artykuł i ani jedna książka nie obeszły się bez wzmianki o tym barbarzyńskim planie fizycznej eksterminacji narodu rosyjskiego. Również autorzy „nowego Kriwoszejewa” w 2001 roku piszą o „generalnym planie Ost — potwornym dokumencie programowym hitlerowskiej zagłady”.

Generalny plan Ost (Wschód) nigdy nie istniał jako dokument dyrektywny. Co więcej — w ogóle nie istniał w skończonej wersji. Pod tą nazwą zazwyczaj wymienia się jeden z dokumentów (jedyne odnaleziony i okazany na procesie w Norymberdze) przygotowywanego planu powojennego (!!!) zagospodarowania olbrzymiego terytorium Europy Wschodniej w interesie III Rzeszy. Mowa o „Uwagach i propozycjach do generalnego planu Ost”, podpisanych 27 kwietnia 1942 r. przez niejakiego E. Wetzla, szefa biura kolonizacji 1 Głównego Urzędu Politycznego Ministerstwa do spraw Terytoriów Okupowanych na Wschodzie. Zacytować tego dokumentu w całości nie mogę z dwóch powodów. Po pierwsze, jest spory w objętości i nudny w treści. Po drugie, obszerne dywagacje na temat porównywalnej „rasowo-biologicznej wartości” i wyników „badań antropometrycznych” różnych ludów wschodnioeuropejskich są nie tylko odrażające, ale wręcz

mają swoją kwalifikację prawną w kodeksie karnym Federacji Rosyjskiej. Dlatego ograniczymy się do kilku fragmentów konkretnych propozycji autora. A więc:

W chwili obecnej można już mniej lub bardziej dokładnie ustalić jako wschodnią granicę kolonizacji (w jej północnej i środkowej części) linię ciągnącą się od Jeziora Ładoskiego do Wyżyny Wałdajskiej i dalej do Briańska.

Z planu można wnioskować, że mowa tu nie o programie, który należy natychmiast wykonać, a wręcz przeciwnie, kolonizacja tej przestrzeni przez Niemców powinna odbywać się w ciągu około 30 lat po zakończeniu wojny [tu i dalej podkreślenia moje — M.S.]. Zgodnie z planem na danym terytorium powinno pozostać 14 milionów tubylców. Jednak to, czy stracą swoje cechy narodowościowe i ulegną w ciągu przewidzianych 30 lat germanizacji, jest bardzo wątpliwe, ponieważ zgodnie z omawianym planem liczba niemieckich przesiedleńców będzie niewielka. (...)

Ponadto, jak mi się wydaje, w planie nie wzięto pod uwagę, że lokalna ludność pochodzenia niemieckiego w okresie 30 lat będzie bardzo szybko się rozmnażać. (...) Po uwzględnieniu powyższego należy zakładać, że liczba ludności pochodzenia niemieckiego na tych terenach będzie znacznie większa niż 51 milionów osób. Wyniesie 60–65 milionów osób. Stąd narzuca się wniosek, że liczba ludzi, którzy powinni albo pozostać na wymienionych terenach, albo zostać przesiedleni, jest znacznie wyższa, niż przewiduje plan. (...)

Konieczne jest pokrótce omówić kwestię stosunku do Rosjan, o czym prawie nie było mowy w planie generalnym.

Przede wszystkim należy zaplanować podział terenów zamieszkałych przez Rosjan na różne rejony polityczne, z własnymi organami administracyjnymi, żeby zapewnić w każdym z nich odizolowany rozwój narodowy. (...) Rosjaninowi z gorkowskiego okręgu generalnego powinno się zaszczyć poczucie, że różni się czymś od Rosjanina z tulskiego okręgu. Niewątpliwie taki podział administracyjny rosyjskiego terytorium i planowe

wyodrębnienie poszczególnych regionów będzie jednym z narzędzi walki z umocnieniem się narodu rosyjskiego. (...)

Na tych obszarach powinniśmy świadomie dążyć do zmniejszenia się liczby ludności. Środkami propagandy, szczególnie poprzez prasę, radio, kino, ulotki, krótkie broszury, odczyty itd., p o w i n n i ś m y n i e u s t a n n i e w p a j a ć l u d n o ś c i m y ś l , ż e s z k o d l i w e j e s t p o s i a d a n i e l i c z n e g o p o t o m s t w a. Należy pokazać, ilu nakładów finansowych wymaga wychowywanie dzieci i co można nabyć za te środki. (...) Ponadto powinno się prowadzić szeroko zakrojoną propagandę środków antykonceptyjnych. Należy uruchomić powszechną produkcję tych środków. Rozpowszechnienia tych środków i wykonywania aborcji w żadnym wypadku nie powinno się ograniczać. Należy na wszelkie sposoby popierać zwiększenie sieci klinik aborcyjnych. (...)

Jednocześnie z prowadzeniem takich działań w zakresie opieki zdrowotnej nie powinno się utrudniać rozwodów. Nie należy pomagać dzieciom pozamążelńskim. Nie należy wprowadzać przywilejów podatkowych dla rodzin wielodzietnych ani udzielać im wsparcia finansowego w postaci dodatków do pensji. (...) Dla nas, Niemców, ważne jest osłabienie narodu rosyjskiego do takiego stopnia, żeby nie był w stanie więcej przeszkodzić nam we wprowadzeniu niemieckiego panowania w Europie. Ten cel możemy osiągnąć powyższymi środkami.

Owszem Jest to projekt programu k o l o n i z a c j i. Przymusowej kolonizacji. Żadnego bawarskiego piwa z hanowerskimi parówkami dla aborygenów program kolonizacji nie przewiduje. Komór gazowych, masowych egzekucji i pieców krematorium ten program również n i e przewiduje.

Propaganda aborcji i rozdawanie prezerwatyw w celu zmniejszenia populacji rosyjskiej w interesach niemieckich kolonistów, podobnie jak rozdrobnienie jednolitego narodu rosyjskiego na mieszkańców pseudoniezależnych bantustanów, całkowicie odkrywa wyrachowane plany kolonizatorów. Czy można określić ten plan jako „*potworny dokument programowy zagłady*”? Kwestia jest kontrowersyjna. Chociaż jeżeli wielu ludzi, działacze religijni i partie polityczne uważają aborcję za rodzaj morderstwa, to dlaczego nie nazwać planu Ost programem zagłady? Dyskusja

na temat podstawy prawnej użycia w tym przypadku określenia „*ludobójstwo*” mnie nie interesuje. O wiele ważniejsze wydaje mi się podkreślenie następującego, absolutnie niezaprzeczalnego faktu: żadnego, nawet najmniejszego związku z wydarzeniami 1941 roku ta sporządzona w kwietniu 1942 roku notatka służbowa drugorzędного urzędnika nie miała. I jeżeli na okupowanym terytorium płonęły chaty i lały się strugi krwi niewinnych ludzi, to nie dlatego, że jakiś urzędnik „*ministerstwa wschodniego*” pisał o projekcie „*szeroko zakrojonej propagandy środków antykonceptyjnych*” na okres 30 lat „*po zakończeniu wojny*”.

To wszystko jest bardzo dziwne. Na pierwszy rzut oka. Po co było wymyślać wyimaginowane zbrodnie, skoro Hitler i jego pomagierzy dokonali tylu rzeczywistych najcięższych zbrodni, że na ich wyliczenie nie starczyłoby 576 stron 576 książek? Po co uciekać się do manipulacji, wymyślając jakieś fikcyjne liczby strat ludności cywilnej ZSRR, kiedy nawet najbardziej minimalne oceny świadczą o tym, że okupanci i ich zwolennicy wymordowali miliony ludzi? Miliony. Czy, powiedzmy, 5 milionów zabitych dzieci, kobiet i starców to mało? Koniecznie „*trzeba*” 15 czy 25 milionów, żeby uznać Hitlera za potwora? Każdy żołnierz Wehrmachtu, nawet ten, który palcem nie dotknął rosyjskiej kobiety i poczęstował czekoladą jej dziecko (a tacy żołnierze byli, i nie należeli do rzadkości), jest winny. Winny tego, że przyszedł z bronią tam, gdzie go nikt nie prosił. Winny tego, że przyprowadził ze sobą oprawców z SS. Do tej winy przyznał się sam naród niemiecki. Po co nadweręzać chorą wyobraźnię, wymyślając pianę na ustach, długie sztylety w zębach i oszalały wzrok?

„*Jeżeli zapalają gwiazdy, to znaczy, że komuś jest to potrzebne. To znaczy, że jest niezbędne*”. Uważam, że na tę całą obfitość znaków zapytania można udzielić jak najbardziej konkretnej odpowiedzi. Są co najmniej t r z y p r z y c z y n y, dla których radziecka i postradziecka propaganda gorąco pragnęła wyolbrzymić liczbę ofiar wśród ludności cywilnej na okupowanych obszarach ZSRR i odszukać nieistniejące „*plany hitlerowskiej zagłady narodu rosyjskiego*”. Te przyczyny mają bardzo różną „*wagę*” — od prawie kaprysu, małostkowego świństwa, do najważniejszego ogniwa wiążącego całą radziecką mitologię. Proponuję omówić je w odwrotnej kolejności, od trzeciorzędnej do najważniejszej.

Jako trzecią według ważności (ale jednocześnie pierwszą według chronologii) należy wymienić „*kwesnię żydowską*”.

Tak, właśnie ją. Ilf i Pietrow bardzo się mylili. Wprost przeciwnie: Żydów w Rosji prawie już nie ma, a nieszczęsna kwestia żydowska ciągle istnieje.

Doskonale rozumiem, że normalnemu człowiekowi, na dodatek nieobeznanemu z „*okolicznościami*”, moje przypuszczenie może wydać się bardzo dziwne. Jestem gotów z góry wybaczyć normalnemu człowiekowi to, co pomyślał teraz o mojej normalności. Rzeczywiście, z punktu widzenia zdrowego rozsądku trudno jest zrozumieć, dlaczego w **Wielkiej encyklopedii radzieckiej** jest hasło „*Oświęcim*”, ale w tym hasle ani razu nie podaje się słowa „*Żyd*”. Normalny człowiek nigdy się nie domyśli, jaki to dziwaczny znak widnieje na płycie nagrobku w Newelu (obwód pskowski). To sześćcioramienna gwiazda Dawida nad braterską mogiłą zamordowanych Żydów, „*skrócona*” przez czujne władze do pięcioramiennego stanu. Dlatego że „*nie ma po co epatować*”...

Normalny człowiek (jeżeli tylko sam nie zobaczył tego w telewizji) nigdy nie uwierzy, że 19 kwietnia 2001 r. kilkudziesięciu deputowanych Dumy Państwowej (najznakomitsi ludzie kraju) odmówiło uczczenia minutą ciszy pamięci ofiar ludobójstwa (19 kwietnia 1943 r. rozpoczęło się powstanie w warszawskim getcie). Zresztą minuty ciszy nie było w ogóle, ponieważ sala wypełniła się hałaśliwą pyskówką, dzikimi okrzykami Żyrinowskiego i Szandybina, a wzmocniony mikrofonami głos przewodniczącej, naszej niezrównanej L. Sliski, wzywał, żeby każdy „*ustosunkował się do tej kwestii we własnym zakresie*”.

Niby jak? Jak ustosunkować się „*do tej kwestii*”, skoro obowiązek uczczenia pamięci milionów niewinnych zamordowanych ludzi w ogóle staje się kwestią? Większość deputowanych i wyborców nie czytała niczego poza szkolnym podręcznikiem historii. W szkolnym (podobnie jak w jakimkolwiek radzieckim akademickim) podręczniku nie było ani słowa o zagładzie Żydów. Najbardziej dociekliwi mogli nabyć zbiór statystyczny **Rossija i SSSR w wojnach XX wieka**, który ukazał się właśnie w 2001 roku. I co tam mogli przeczytać? Na przykład to:

Wojna rozpętana przez hitlerowców przeciwko ZSRR była wojną w celu wymordowania całych narodów, przede wszystkim słowiańskiej, rosyjskiej

ludności. (...) Barbarzyńskie działania faszystowskich najeźdźców skierowane na eksterminację radzieckich obywateli, szczególnie ludów słowiańskich i w pierwszej kolejności narodu rosyjskiego, pochłonęły miliony ludzkich istnień. (...) Ulec zagładzie miały nie tylko ludy słowiańskie, lecz również inne narodowości zamieszkujące terytorium ZSRR. Najokrutniejszy był stosunek do Żydów, których Niemcy mordowali w pierwszej kolejności tak samo jak komunistów.

Skoro profesjonalni historycy, kandydaci i doktorzy nauk rzeczywiście uważają, że Żydów mordowano tak samo jak inne narody i komunistów, to nie są żadnymi uczonymi, tylko nieukami i samozwańcami. Skoro znają prawdę, a przy tym piszą o „*eksterminacji radzieckich obywateli, szczególnie ludów słowiańskich i w pierwszej kolejności narodu rosyjskiego*”, to są kłamcami.

Hitler nie planował zmniejszenia liczebności ludności żydowskiej w ciągu 30 lat po zakończeniu wojny poprzez rozdawanie prezerwatyw i propagowanie aborcji. W ogóle nie zamierzał zmniejszać ich liczebności. Wszyscy Żydzi — dorośli i dzieci, niemowlęta i starcy — zostali skazani na całkowitą, powszechną zagładę. Ten wyrok nie wynikał z jakiegokolwiek ekonomicznego czy politycznego celu. Nie brano pod uwagę ani wyznania ofiary, ani jej zachowania, ani nawet zgody na współpracę. Masowe mordy Żydów rozpoczęły się w pierwszych dniach (nie tygodniach — dniach!) po hitlerowskiej napaści na terytorium ZSRR. Tam, gdzie powszechna eksterminacja ludzi, których winy, poza żydowskim pochodzeniem, nie widzieli nawet kaci, odbywała się z niemiecką dyscypliną i metodycznością, ofiary mogły liczyć na szybkie i „*lekkie*” rozstrzelanie. Tam, gdzie lokalni aktywiści przejmowali inicjatywę, o rozstrzelaniu Żydzi mogli tylko marzyć...

Do 22 czerwca 1941 roku na terenach, które miały zostać okupowane, mieszkało około 4 milionów Żydów (w tym 1,9 miliona na zajętych w latach 1939–1940 terenach krajów nadbałtyckich, Polski Wschodniej, Besarabii). Na wschód zdążyło ewakuować się około miliona Żydów (głównie z rejonów lewobrzeżnej Ukrainy i środkowej Rosji, gdzie Niemcy wkroczyli dopiero jesienią 1941 roku). Spośród pozostających do dyspozycji najeźdźców 3 milionów Żydów zginęło nie mniej niż 2,83 miliona osób.

Ocalałe 150–200 tysięcy Żydów (około 5 procent pierwotnej liczby) przeżyło nie dlatego, że Niemcy okazali im łaskę. Po prostu w ramach

skomplikowanych gier politycznych Hitler zwrócił Rumunii Besarabię i Bukowinę oraz podarował tak zwaną Transylwanię, czyli terytorium Ukrainy między Dniestrem i południowym Bugiem. I jeżeli na początku wojny mordowanie Żydów przez oddziały rumuńskie oraz żandarmerię miało charakter masowy i bestialski, to po klęsce pod Stalingradem rumuńscy przywódcy zaprzestali masowych eksterminacji i nawet pozwolili na dostarczanie do żydowskiego getta żywności przez organizacje międzynarodowe. Co się tyczy strefy okupacji niemieckiej, to zginęli tam prawie wszyscy Żydzi, którzy nie zdążyli się ewakuować.

W mieście–bohaterze Brześciu przed wojną mieszkało 25 tysięcy Żydów. Do wyzwolenia dożyło 19. Nie 19 tysięcy, a 19 osób (sześciu z nich uratowała, ukrywając w swoim domu, rodzina Poliny Makarenko). Takie rodziny Sprawiedliwych wśród Narodów Świata znalazły się prawie w każdym okupowanym mieście i miasteczku. Obecnie izraelskie centrum naukowo–badawcze Yad Vashem ustaliło ponad 18 tysięcy nazwisk ludzi, którzy ratowali Żydów w czasach ludobójstwa. Ta największa i wyjątkowa w historii ofiara poświęcenia (za ukrywanie Żydów oprawcy bezwzględnie rozstrzeliwali wszystkich mających z tym związek) statystycznie daje znikomy odsetek tych, którzy przeżyli. Kolejne kilkadziesiąt tysięcy Żydów dożyło wyzwolenia, walcząc w formacjach partyzanckich.

Porównując Żydów do komunistów (Niemcy mordowali Żydów „*tak samo jak komunistów*”), historycy ze Sztabu Generalnego w najlepszym przypadku wykazali się potworną ignorancją. Komuniści na terenach okupowanych zobowiązani byli do zarejestrowania się w miejscowej komendanturze. Tylko tyle. Jeśli nie przeszkadzali Niemcom, to względnie spokojnie doczekali przyścia Armii Czerwonej. Później ich znowu rejestrowano — tym razem w organach NKWD. Rozkaz NKWD ZSRR nr 001683 z 12 grudnia 1941 r., uzupełniony 18 lutego 1942 r., zarządzał jedynie „*zapewnienie obserwacji agenturalnej*” w stosunku do takich, dwukrotnie rejestrowanych komunistów. A Żydów spędzano do rowów przeciwczołgowych wcale nie w celach „*obserwacji agenturalnej*”...

W tej sprawie rosyjscy historycy w 2001 roku jedynie kontynuowali tradycje sprzed 60 lat. W pierwszych dniach wojny radziecka propaganda straciła głowę wobec gradu niemieckich ulotek z krótkim, ale wymownym hasłem: „*Bij Żyda politruka, jego gęba cegły szuka*”. Nie wymyślono niczego

lepszego od postawy wystraszzonego strusia. Wszelkie wzmianki o mordowaniu Żydów zaczęto starannie usuwać z łamów prasy. Obecnie dobrze znana jest historia „*redagowania*” komunikatów Nadzwyczajnej Komisji Państwowej o bestialstwach faszystowskich okupantów w Kijowie. 25 grudnia 1943 r. został sporządzony i parafowany przez przewodniczącego Komisji Szvernika tekst oficjalnego komunikatu, w którym o Babim Jarze mówiło się, że „*hitlerowscy bandyci dokonali masowych bestialskich mordów na ludności żydowskiej*”. Potem, zgodnie z ustaloną procedurą, tekst komunikatu wysłano do uzgodnienia do KC WKP(b). 2 lutego 1944 r. (po upływie miesiąca!) tekst wrócił do Komisji z poprawką, naniesioną przez szefa Zarządu Agitacji i Propagandy, towarzysza G.F. Aleksandrowa (przyszłego poważnego uczonego, członka Akademii Nauk ZSRR). „*Ludność żydowska*” została skreślona i zamieniona na „*tysiące cywilnych obywateli radzieckich*”. Szvernik zrozumiał sugestię i w następnych komunikatach nie pisano już o żadnych Żydach (tylko w akcie dotyczącym Mińska — a to miasto i jego okolice było miejscem zagłady 100 tysięcy Żydów — wspomniano o istnieniu getta).

27 stycznia 1945 r. oddziały 1. Frontu Ukraińskiego wyzwoliły obóz śmierci Oświęcim. To, że w Oświęcimiu zamordowano setki tysięcy Żydów, dowództwo wojskowe ustaliło od razu. Wydział polityczny Frontu stworzył specjalną komisję, która do 5 lutego przekazała szczegółowe sprawozdanie, wskazujące między innymi na zamordowanie w Oświęcimiu latem 1944 r. 600 tysięcy węgierskich Żydów. Jednak oficjalny komunikat Komisji pojawił się dopiero trzy miesiące później, 7 maja 1945 r. Z niego wynikało, że w Oświęcimiu systematycznie mordowano nie Żydów, a „*miliony obywateli wszystkich krajów Europy*”.

Ten, kto raz skłamał, musi kłamać dalej i częściej. Gdyby w Babim Jarze i setkach innych podobnych miejsc rozstrzeliwano nie Żydów, a radzieckich cywilów, to należało wymyślić jakieś wytłumaczenie, jakiś motyw dokonanej zbrodni. W epoce radzieckiej punktem wyjścia było podejście klasowe. Faszyzm został okrzyknięty terrorystyczną dyktaturą wielkiej monopolistycznej burżuazji i zgodnie z tą logiką pisano: „*Ofiarami hitlerowskich oprawców zostały dziesiątki tysięcy robotników stachanowców i najlepszych kołchoźników*”. Ponieważ w dzisiejszych czasach wzmianka o stachanowcach i najlepszych kołchoźnikach wywołuje raczej krzywy

uśmieszek, fałszerze musieli przerzucić się na „*tory narodowe*”, czyli przypisać Niemcom zamiar fizycznej eksterminacji narodu rosyjskiego.

W porównaniu z taką niedorzecznością nawet klasyczne radzieckie sformułowanie („*chcieli zmienić kochających wolność radzieckich obywateli w niewolników*”) jest znacznie bliższe prawdy. A gdyby usunąć niestosowne określenie „*kochających wolność*” i nie zwracać uwagi na to, że status prawny radzieckich kołchoźników znajdował się gdzieś pomiędzy niewolnikiem państwowym w starożytnych Chinach i chłopem pańszczyźnianym końca XVIII wieku, to wówczas wszystko staje się jasne. Tak, właśnie tego pragnął Hitler — zmienić Rosję w kolonię, a z Rosjan zrobić „*białych Murzynów*”. Dla osiągnięcia tego zbrodniczego celu mordowano wszystkich, którzy się temu sprzeciwiali. Nie wszystkich po kolei (wszystkich bez wyjątku mordowano tylko i wyłącznie Żydów), a wszystkich, którzy się sprzeciwiali.

„*Ciężar właściwy*” eksterminacji Żydów w ogólnej skali represji okupantów zmieniał się w czasie i przestrzeni.

W pierwszych tygodniach i miesiącach wojny zabijanie ludności żydowskiej było w zasadzie jedyną formą masowego terroru hitlerowców i ich pomagierów na okupowanym terytorium. Prawie wszystkie opisy rozstrzeliwań i egzekucji latem i jesienią 1941 roku, jeżeli tylko nie zostały zmyślane, w rzeczywistości opisują masowe mordy na Żydach. Później w związku z nasileniem ruchów partyzanckich ofiarami okupantów coraz częściej stawała się ludność nieżydowska. Ale nawet na Białorusi, w tej „*partyzanckiej republice*”, gdzie ogólna liczba ofiar wśród ludności cywilnej według oświadczeń Nadzwyczajnej Komisji Państwowej wyniosła 1 547 tysięcy osób, połowę poległych (około 730 tysięcy) stanowili Żydzi. W krajach nadbałtyckich i Mołdawii pomiędzy pojęciami „*terror okupantów*” i „*eksterminacja Żydów*” praktycznie można postawić znak równości. Na wschodzie Ukrainy i w okupowanych rejonach Rosji odsetek Żydów w stosunku do ludności ogółem był znacznie niższy, ponadto wielu z nich zdążyło się ewakuować. W tych rejonach okupowanego terytorium ZSRR ludność nieżydowska przeważa wśród ogólnej liczby ofiar.

Na tym kończymy omawianie „*kwestii żydowskiej*” i przechodzimy do drugiej, nieporównywalnie ważniejszej przyczyny tego rozpaczliwego dążenia

do odszukania nieistniejącego planu eksterminacji narodu rosyjskiego, które zdradzała i zdradza komunistyczna i neostalinowska propaganda historyczna.

Nawet paranoik Hitler nie był klinicznym idiotą i doskonale rozumiał, że bułki i parówki same z siebie z ziemi nie wyrosną, ktoś na niej powinien pracować, a wymianę rosyjskich (ukraińskich, białoruskich, mołdawskich) chłopów na niemieckich kolonistów planowano, jeśli w ogóle, dopiero „w ciągu 30 lat po zakończeniu wojny”, bynajmniej nie latem 1941 roku, gdy toczyły się działania bojowe.

Pragmatyzm i wyrachowanie słusznie uchodzą za cechy narodowe Niemców, a najprostsza i oczywista kalkulacja podpowiadała, że spokój na tyłach najprościej i najtaniej jest zapewnić bez niepotrzebnego zaogniania stosunków z miejscową ludnością. Nawet jeżeli ktoś w dowództwie Wehrmachtu i niemieckiej administracji okupacyjnej widział w Rosjanach słowiańsko–azjatyckich degeneratów, to wymogi dyscypliny zmuszały go do trzymania na wodzy swych niskich uczuć. Przynajmniej do czasu, gdy Rosja zostanie całkowicie i ostatecznie rozgromiona.

Przyczyny tego, że tereny okupowane zostały ostatecznie zalane morzami krwi, nie można zrozumieć, nie biorąc pod uwagę drugiego uczestnika wojny, a fałszywki w rodzaju słynnego „Poradnika żołnierza niemieckiego” („zabij każdego Rosjanina, nie zawahaj się, jeżeli przed tobą jest starzec lub kobieta, dziewczynka lub chłopiec”) zostały wymyślane właśnie w celu odwrócenia uwagi od zamiarów i działań radzieckiego kierownictwa.

Jeśli nie sam hitlerowski plan Ost, to poszczególne dokumenty pisemne dotyczące pracy nad nim zachowały się i zostały przedstawione w Norymberdze. Stalin zachowywał się znacznie ostrożniej — nie przelewał na papier swoich przemyśleń o losie, który zgotował ludności okupowanych przez Niemców zachodnich rejonów ZSRR. Niemniej jednak zachowało się sporo dokumentów i relacji świadków, które pozwalają na dość dokładne zrekonstruowanie stalinowskiego planu West.

3 lipca 1941 r. w dwunastym dniu wojny Stalin wreszcie zwrócił się do swoich poddanych z wielkim przemówieniem. Odmawiając przyznania się chociażby do najmniejszego błędu, uczciwie uprzedził: „Wojny z faszystowskimi Niemcami nie można traktować jako zwykłej wojny. Jest ona nie tylko wojną pomiędzy dwoma armiami”. I to jest czysta prawda. Dwa totalitarne reżimy do tego czasu już zdążyły zdobyć krwawe doświadczenie w

masowych represjach, tak wobec własnych obywateli, jak i ludności podbitych państw Europy. Nie było wątpliwości, że byli współnicy rozboju w równej mierze postarają się zmienić zbrojne zderzenie własnych armii w niespotykaną w swojej brutalności rzeź. We wspomnianym przemówieniu z 3 lipca 1941 r. pojawiło się zdanie zapowiadające metody, którymi towarzysz Stalin zamierzał prowadzić tę niesłychaną wojnę: *„Przy wymuszonym odwróceniu jednostek Armii Czerwonej nie zostawić nieprzyjacielowi ani kilograma zboża, ani litra paliwa. Kolchoźnicy powinni wypędzić całe bydło, przekazać zboże organom państwowym, aby je wywieźć na tyły. Wszelkie wartościowe mienie, w tym metale kolorowe, zboże i paliwo, którego nie można wywieźć, powinno zostać zniszczone”*.

Ścisłe wykonanie tego polecenia (a przemówienie Stalina, który do tego czasu wyznaczył już siebie na przewodniczącego Państwowego Komitetu Obrony, było właśnie poleceniem, zobowiązującym każdego do jego wykonania) oznaczało śmierć głodową milionów ludzi na terenach okupowanych. Co prawda, surowość rosyjskiego prawa jest rekompensowana przez fakt, że nie jest ono wykonywane. Polecenie zniszczenia wszystkich zapasów żywności i paliwa nie zostało wykonane w pełnym zakresie, ale ogromne i liczne zniszczenia systemu zaopatrzenia mieszkańców (wodociągi, elektrownie, składy zbożowe) przeprowadzono w wielu miejscach.

Głód dla rosyjskiego chłopca nie jest niczym nowym. Niekończący się szereg wojen, buntów, najazdów i nieurodzajów nauczył ludzi gotować zupę na gwoździu. Ale w Rosji bywa zimno, a zima 1941–1942 roku na nieszczęście była bardzo wczesna i bardzo mroźna. Tę okoliczność też wzięto pod uwagę. 17 listopada 1941 roku Stalin osobiście podpisał rozkaz Naczelnego Dowództwa nr 0428:

Rozkazuję:

1. Niszczyć i palić doszczętnie wszystkie miejscowości na tyłach wojsk niemieckich w odległości 40–60 km w głąb od linii frontu i 20–30 km na prawo i na lewo od dróg. Do niszczenia miejscowości we wskazanym promieniu natychmiast skierować lotnictwo, szeroko wykorzystywać ogień z dział i moździerzy, ekipy zwiadowcze, narciarzy i wyszkolone grupy dywersyjne, zaopatrzone w butelki z płynem zapalającym, granaty i materiały wybuchowe.

Głód i chłód nie wyczerpują listy plag egipskich, które Stalin postanowił zesłać na ludność cywilną okupowanych terenów. Nawet masowe palenie domów, po którym mieszkańcy z dziećmi znaleźli się na trzydziestostopniowym mrozie, można potraktować jako niewinną zabawę w porównaniu z tą wojną ludową, którą wszelkimi dostępnymi środkami rozpętali radzieccy przywódcy.

Już 1 lipca 1941 r. KC WKP(b) Białorusi wydał dyrektywę, w której wzywał, aby *„niszczyć wrogów wszędzie, gdzie uda się ich dopaść, zabijać ich wszystkim, co wpadnie w rękę: siekierą, kosą, łopatą, widłami, nożami. (...) Likwidując wrogów, nie bójcie się używać różnych środków — duście, rąbćcie, palcie, trujcie faszystowskie potwory”*. Za kierownictwem partyjnym nie pozostało w tyle kierownictwo wojskowe. 6 sierpnia 1941 r. były ludowy komisarz obrony marszałek Timoszenko — tym razem jako dowódca wojsk Frontu Zachodniego — zwrócił się *„do wszystkich mieszkańców okupowanych przez wroga terytoriów”*. Marszałek, który zgubił swoją armię, stracił dziesiątki tysięcy czołgów, samolotów, dział, wzywał teraz bezbronnych ludzi do takich działań: *„Atakujcie i niszczone niemieckie transporty i kolumny, palcie i niszczone mosty, podpalajcie domy i lasy. (...) Bijcie wroga, zamęczcie go na śmierć głodem, palcie ogniem, niszczone go kulą i granatem. (...)*

Podpalajcie magazyny, niszczone faszystów jak wściekłe psy”.

Tak, zdaję sobie sprawę, jak powinno to brzmieć poprawnie: *„Ziemia płonęła pod nogami okupantów”*. Z tym że ta ziemia płonęła razem z mieszkańcami. I hasło *„Wszystko dla frontu, wszystko dla zwycięstwa”* jest mi znane. Chcę jedynie zrozumieć: Do jakiego stopnia sięga to *„wszystko”*? Zupełnie wszystko? Żadna cena nie jest wygórowana? I jeżeli zamianę swojego kraju w wypaloną, bezludną pustynię da się pogodzić z pojęciem zwycięstwa, to czyje to zwycięstwo?

Dla osiągnięcia zwycięstwa dowództwo brytyjskich sił powietrznych wybrało taktykę zmasowanych nocnych nalotów na niemieckie miasta. Pod zgliszczami domów i w ogniu pożarów zginęły setki tysięcy cywilów. Nie zdążyła skończyć się wojna, a w Anglii rozpętała się zagorzała polemika społeczna w sprawie dopuszczalności tak nieludzkiego traktowania kobiet i dzieci nieprzyjaciela. Temperatura dyskusji była taka, że dowódca brytyjskiego lotnictwa bombowego, generał Harris, był zmuszony do

opuszczenia kraju i udania się do Afryki Południowej. Sprzeciwiano się wpisaniu nazwisk poległych pilotów bombowców na listy bohaterów wojennych... Dlaczego więc my nie możemy nawet zastanowić się nad dopuszczalnością poświęcenia własnych kobiet i dzieci?

Co najmniej wątpliwa jest również wojskowo–operacyjna wartość wojny partyzanckiej, realizowanej za pomocą łomu, wideł, kosy i noża. Oczywiście postępując w ten sposób — i płacąc za każdego zaszlachtowanego Niemca pracującego na tyłach życiem setek radzieckich obywateli — można było zadać pewne straty żywej sile nieprzyjaciela. Czy na tym polegało główne zadanie walki zbrojnej na tyłach wroga? Wehrmacht prowadził działania bojowe na froncie znajdującym się tysiące kilometrów od fabryk w Niemczech.

I jeżeli „*jajka i mleko*” jeszcze można było zarekwirować lokalnej ludności, to naboje, pociski, miny, paliwo trzeba było tysiącami składów dowozić koleją z Bawarii i Saksonii do Wołgi, Donu i Kubania. Faktycznie cała machina wojenna Wehrmachtu wisiała na kilkunastu stalowych niciach kolei, które biegły przez olbrzymie połacie lasów Białorusi i okolic Briańska. Systematyczne niszczenie tych szlaków komunikacyjnych mogło postawić Niemców w bardzo ciężkiej sytuacji. Ale nie było to zadanie, któremu mogli podołać bezbronni chłopcy z siekierami i widłami...

Czy nie nadeszła pora, żeby przyznać się, że zdaniem towarzysza Stalina mieszkańcy terenów okupowanych stali się bezużytecznymi śmieciami, nie posiadającymi już żadnej wartości: tych ludzi nie można było wykorzystać ani jako siły roboczej, ani jako mięsa armatniego. Co gorsza — ci ludzie znajdowali się poza jego kontrolą, mogli teraz mieć własne zdanie i podzielić się nim z sąsiadem, mogli zobaczyć cudzoziemców i w miarę możliwości znakami i gestami porozumiewać się z nimi, mogli zostać zarówno wykorzystani przez nieprzyjaciela do pracy, jak i wcieleni do antyradzieckich formacji zbrojnych. Minie wiele lat, a pytanie „*czy mieszkaliście na terenach okupowanych?*” pozostanie w ankietach, które wypełniały miliony radzieckich obywateli, i odpowiedź twierdząca uważana będzie za „*plamę na biografii*”. Tym bardziej w szczytowym okresie wojny Stalin nie zamierzał patyczkować się z tymi ludźmi, więc spaloną razem z mieszkańcami wieś traktował jako dość niską cenę za zabicie kilku niemieckich żołnierzy, którzy zagapili się podczas powrotu z urlopu...

Można dyskutować, czy znalazłaby się na świecie armia, której dowództwo nie odpowiedziałoby brutalnymi represjami na takie działania („*duście, rąbacie, palcie, trujcie faszystowskie potwory*”). Nie ma wątpliwości, że reakcje dowództwa Wehrmachtu i SS łatwo było przewidzieć. Jednak radzieccy przywódcy nie tylko zdawali sobie sprawę, że następstwem obranej przez nich wojny partyzanckiej będą masowe rozprawy z ludnością — na wszelkie sposoby popychali nieprzyjaciela do jak najbrutalniejszego obchodzenia się z ludnością cywilną.

Dokumenty Wehrmachtu — na nieszczęście zbyt liczne — świadczą, że w pierwszych dniach wojny, w czerwcu 1941 roku, nacierające wojska niemieckie w wielu miejscach znajdowały trupy swoich żołnierzy, którzy z różnych przyczyn dostali się do niewoli (pozostali w tyle, ranni, załogi zestrzelonych samolotów) i zostali zamęczeni z niewyobrażalnie sadystycznym okrucieństwem. Wydaje mi się zupełnie niewyobrażalne, że czerwonoarmiści, czyli w swojej zasadniczej masie rosyjscy, ukraińscy, białoruscy chłopci, już w pierwszych dniach wojny zdążyli zapalać taką szaloną nienawiścią. Prawdziwsza wydaje się hipoteza, że tych zbrodni dokonywały specjalne jednostki NKWD, żeby prowokować niemieckie wojska do odwetowych rozpraw z ludnością cywilną i jeńcami.

Podobnie postępowały zrzucone na tyły nieprzyjaciela „*oddziały partyzantki*”, które — gdy mówimy o sytuacji z 1941 roku — składały się prawie wyłącznie z funkcjonariuszy operacyjnych NKWD, a nie, jak na obrazie radzieckiego malarza, z wyrostków i starca z karabinem. Ze względu na charakter działań w rzeczywistości były to grupy dywersyjne, które nie tylko prowokowały Niemców do represji odwetowych przeciwko cywilom, ale same również bezlitośnie rozprawiały się z chłopami, którzy nie wykazali się wystarczającą gorliwością przy wspieraniu tych „*mścicieli ludowych*”.

Ludność, która znalazła się między młotem a kowadłem, zaczęła spontanicznie zbroić się i tworzyć oddziały lokalnej samoobrony dla ochrony przed „*partyzantami*” i grasującymi w lasach bandami uzbrojonych dezertersów.

Niemcom pozostawało jedynie przejęcie tych uzbrojonych grup i przekształcenie ich w podporządkowaną im policję. Polecenia Stalina, żeby zamienić tereny okupowane w wypaloną pustynię, sprzyjały wzrostowi liczby „*policjantów*”. Legendarny patriarcha radzieckich dywersantów, uczestnik

czterech wojen, pułkownik I. Starinow w artykule napisanym w 2000 roku stwierdził: „*Stało się tak, że sami popchnęliśmy lokalną ludność ku Niemcom. (...) Po pojawieniu się hasła «wygnaj Niemca na mróz» Niemcy stworzyli policję liczącą około 900 tysięcy ludzi*”. Liczba (900 tysięcy) jest wielokrotnie przesadzona, odzwierciedla raczej osobiste odczucie praktyka wojny partyzanckiej, że „*policjanci byli na każdym kroku*”.

O stosunku cywilów do „*partyzantów spod znaku NKWD*” mogą świadczyć następujące, przerażające w swej wymowności liczby. Na Ukrainie organy bezpieczeństwa pozostawiły i przerzuciły na tyły wroga 778 oddziałów i grup liczących 28 753 ludzi. Według stanu z 25 sierpnia 1942 roku pozostały z nich 22 oddziały liczące 3310 ludzi. Na Białorusi z 437 grup i oddziałów, które przerzucono na tyły nieprzyjaciela, pod koniec stycznia 1942 roku przestało istnieć 412. Zarząd NKWD obwodu leningradzkiego skierował na tyły nieprzyjaciela 287 oddziałów liczących łącznie 11 733 ludzi. Do lutego 1942 roku pozostało z nich zaledwie 60 oddziałów liczących 1965 członków. To wszystko można określić jednym krótkim słowem — klęska.

Do listopada 1942 roku ogólna liczebność „*policji pomocniczej*” wzrosła do 320 tysięcy osób, kolejne 48 tysięcy znajdowało się w specjalnych policyjnych (według zakresu zadań — karnych) batalionach. Stworzono również większe formacje, na przykład tak zwaną Rosyjską Armię Wyzwoleńczą, liczącą 10 tysięcy żołnierzy, której Niemcy przekazali funkcje walki z radziecką partyzantką na rozległych terenach obwodów briańskiego i orłowskiego. Można długo się spierać o to, czy stosowne jest użycie określenia „*druga wojna domowa*” w stosunku do tego, co w latach 1942–1943 działo się na okupowanych terenach Rosji. Nie określenia są tu ważne, ważne jest to, że w starych briańskich lasach oddziały uzbrojonych Rosjan zawzięcie mordowały się nawzajem, podpalały wsie, rozprawały się z tymi, których każda ze stron na swój sposób uznawała za zdrajcę, nie mając litości ani dla starców, ani dla dzieci. A już o tym, że na Ukrainie Zachodniej rozpoczęła się wielka, okrutna wojna domowa z udziałem polskiej Armii Krajowej, banderowskiej Ukraińskiej Armii Powstańczej, radzieckiej partyzantki, ukraińskich policjantów, nie może być nawet dyskusji.

A strzelanina już ze wszystkich stron. Już się pali. Schowaliśmy się, a Gala sąsiadów — nie. I wujka mojego nie ma, wcześniej wyszedł do chlewa. (...) Kiedy się wszystko uspokoiło, dowiedzieliśmy się, że to piotrowcy okrążyli

Starą Rafałówkę i walczyli z banderowcami. Zabili kilku banderowców, a nasze miasteczko prawie całe zniszczyli. I ludzi pomordowali, nie powiem nawet ilu. Gałę żywcem rzucili do ognia. Nadpalone ciało wujka znaleźliśmy koło chlewu.

A na podwórku i obok domu — jeszcze sześć spalonych trupów. W naszym gospodarstwie ocalała tylko piwnica. W nim znaleźliśmy Oleżkę sąsiadów. Był w nowiutkich, uszytych przez babcię bucikach i z rozprutym przez bagnet brzuszkiem.

Stara Rafałówka to wieś na ukraińskim Polesiu, niedaleko linii kolejowej Kowel–Sarny. Piotrowcy to partyzanci z oddziału wujka Pieti (pułkownik Anton Brinski). Trzy miesiące po zakończonej sukcesem operacji w Rafałówce pułkownik Brinski został odznaczony tytułem Bohatera Związku Radzieckiego; obecnie w Niżnim Nowogrodzie jego imię nosi ulica i biblioteka dla dzieci. Historyk z Petersburga A. Gogun (z którego książki został zacytowany fragment o rzezi w Rafałówce) odnalazł jeszcze kilka relacji o tym wydarzeniu i tym Bohaterze. 20 czerwca 1943 roku szef sztabu ruchu partyzanckiego obwodu rówieńskiego, towarzysz Biegma, napisał do Malenkowa i Chruszczowa:

W obwodzie rówieńskim na początku wojny ojczyźnianej zarząd wywiadu pozostawił nieduże grupy specjalne z radiostacjami w celach wyłącznie wywiadowczych. Wraz z rozwojem ruchu partyzanckiego na Ukrainie te grupy zaczęły się szybko powiększać dzięki lokalnej ludności (...), na przykład pułkownik Brinski — wujek Pietia — miał do 300 ludzi, kapitan Kapłun — 150–400, major Miedwiediew — do 600. (...) Wszyscy znajdujący się w tych grupach ludzie zajmują się ochroną sztabów, zdobywaniem żywności, ale w ciągu roku nie przeprowadzono ani jednej operacji bojowej. (...) Ludzie się degenerują, pojawia się masa przypadków samowolnych egzekucji niewinnej ludności, masowe libacje, chuligaństwo itd.

W doniesieniu sztabu UPA okręgu Zagrawa o wydarzeniach w Starej Rafałówce pisze się jak o zwyczajnym wydarzeniu: „Bolszewicy zaatakowali Starą Rafałówkę, którą spalili. Zabili 60 osób, w tym 8 z rejonowego aktywu. Zabito referenta politycznego Tiemerię”. Rzeczywiście niczego nadzwyczajnego w tym nie było. W sprawozdaniu okręgu Dunaj z listopada 1943 roku odnotowano następujące zdarzenia: „Wieś Karpilówkę zaatakowały

w nocy czerwone bandy, obrabowano, spalono i zabito przy tym 183 naszych chłopów. Wieś Diert' okrążono, obrabowano, zabrano 300 szt. bydła. 3 listopada znowu napadli wieś Borowoje, spalili gospodarstwa, których nie podpalili Niemcy, i zabili 20 chłopów". Łącznie jesienią 1943 roku czerwona partyzantka rozprawiła się z mieszkańcami 29 wsi ukraińskiego Polesia, Niemcy w tym samym okresie spalili tam 77 wsi...

Oczywiście Hitler (określając w ten sposób całą machinę totalitarnego faszystowskiego reżimu) jest głównym winnym tej tragedii. Wszyscy polegli w krwawej orgii masowego terroru na terenach okupowanych ZSRR powinni zostać uznani za ofiary faszystowskiej agresji — nawet gdy ich oprawcy mówili po rosyjsku czy po ukraińsku. Właśnie hitlerowska agresja umożliwiła tę wieloletnią rzeź, właśnie Hitler włożył w ręce broń, skierował i rozpałił ogień bratobójczej wojny. Nie mam co do tego żadnej wątpliwości. Chcę tylko zapytać: A towarzysza Stalina to nie dotyczy? Nie ponosi winy za tę krew? Czy to nie stalinowski reżim doprowadził naród do takiego szaleństwa, w którym obcy uzbrojony wróg przez chwilę wydał mu się wyzwolicielem?

A teraz przejdziemy do najważniejszego. Do pożaru w magazynie.

Pożar w magazynie zdarza się wówczas, gdy nieuczciwy pracownik musi ukryć ślady swych wieloletnich przekrętów. Doświadczeni oszuści zdają sobie sprawę, że pożar powinien być duży, „solidny” i przede wszystkim odnotowany w rejestrach w policji i straży pożarnej. A wtedy można spisać na straty wszystko, czego dusza zapragnie. No a gdy pożar wybuchł samoistnie z powodu wykluczającego podpalenie — na przykład od uderzenia pioruna — wtedy jest to najszcześniejszy dzień w życiu oszusta...

W styczniu 1937 roku w ZSRR przeprowadzono ogólnozwiązkowy spis powszechny. Jednak obywatele nie dowiedzieli się o wynikach tego wielkiego przedsięwzięcia. Wyniki spisu uznano za szkodliwe, utajniono sprawozdania końcowe, aresztowano szefów zespołu naukowego przeprowadzającego spis. Dwa lata później, w styczniu 1939 roku, przeprowadzono jeszcze jeden spis ludności, a przy tym zanim podano jego rezultaty, towarzysz Stalin ogłosił „poprawny” wynik: w kraju zwycięskiego socjalizmu mieszka 170 milionów osób.

Obecnie na temat spisu 1937 roku napisano monografie i setki artykułów prasowych. Uważa się, że rzeczywista liczba ludności ZSRR na początku 1937 roku wynosiła 160–162 miliony osób (według danych rachmistrzów

spisano 155,6 miliona, kolejne 5,5 miliona spodziewano się odnaleźć w systemie NKWD i Ludowego Komisariatu Obrony, choć w rzeczywistości „mieszkańców” GUŁagu było — wskutek wysokiej śmiertelności — 1,5 miliona mniej). Po uwzględnieniu przyrostu ludności w latach 1937–1938 (a był to okres największych represji, więc przyrost nie był szczególnie duży i według ocen współczesnych demografów roczny przyrost zmniejszył się do 2,3–2,5 miliona osób) ogłoszone oficjalnie rezultaty spisu 1939 roku zawyżono o 3–5 milionów osób. Innymi słowy rzeczywistą liczbę ofiar stalinowskich represji w latach 30. (a to nie tylko „wielki terror” 1937 roku, ale też likwidacja kułaków, wielki głód okresu kolektywizacji, usuwanie z miast elementu niepracującego, czystki etniczne) odzwierciedlają nie te setki tysięcy istnień, które bezpośrednio zostały potwierdzone w dokumentach organów partyjnych i represyjnych, a wiele milionów ludzi.

W ten sposób „w magazynie” powstało wielomilionowe „manko”. W przyszłości tylko się zwiększało, ponieważ wojna i powojenny „okres odbudowy” nie zmniejszyły ani nacisku na bezlitosne wykorzystywanie niewolniczej siły roboczej, ani skali represyjnej polityki państwa. Miliony ludzi w zupełnie nieludzkich warunkach nadal kopały kanały, budowały drogi, wydobywały węgiel i wznosiły kolejne „giganty stalinowskiego przemysłu”. Spośród niekończącego się szeregu świadectw zacytujemy tylko jedno — list anonimowego robotnika do M.I. Kalinina z 18 czerwca 1945 roku:

Jedzenie jest gorsze od tego, jakim dobry gospodarz karmiłby świnie. Siła robocza jest wykorzystywana nie tylko na budowie, ale nawet bardziej do prywatnych celów: kierownika budowy, majstrów i innych urzędników. (...) Warto powiedzieć kilka słów o dzieciach, które jak ich rodzice prowadzą tu żałosny żywot. Maluchy oprócz 300 gramów czarnego kwaśnego (od którego za uszami trzeszczy) chleba nie dostają nic.

W sklepie pojawia się raz na trzy miesiące cukier, ale jest wydawany z różnych niejasnych powodów w całości. (...) Zeszłej zimy robotników, nie tylko głodnych, ale dosłownie nagich, zmuszono do pracy przy dwudziestostopniowym mrozie, część z nich zmarła, a reszta doznała poważnych odmrożeń.

Iludzi na zawsze pozostało na tych „budowach wieku” — Bóg jeden wie. Na pewno nie wie nikt, czy Stalin wierzył w Boga i gotów był stanąć

przed Nim na Sądzie Ostatecznym. Ale doskonale wiadomo, że Stalin nie planował stanąć przed sądem ludzkim, nie spodziewał się komisji rewizyjnej i nie zamierzał się tłumaczyć przed otaczającą go hałastrą cienkoszyich wodzów. Stalin uznał, że nie musi uciekać się do sztuczek, żeby ukryć „*brak*” wielu milionów swoich niewolników, więc bez cienia zażenowania podał liczbę 7 milionów poległych w wojnie — mniej więcej tyle, ile zginęło w Niemczech. I na tym koniec.

Chruszczów również nie przygotowywał się do wizyty komisji rewizyjnej (i właśnie ten brak przygotowania doprowadził go ostatecznie w październiku 1964 roku do plenum KC), a gwałtownego, trzykrotnego zwiększenia liczby ofiar wojny potrzebował tylko do celów zewnętrznych. W zasadzie Chruszczów był pierwszym przywódcą, który zaczął prowadzić normalną politykę zagraniczną. Normalną w formie: wyjeżdżał za granicę, do niego przyjeżdżali przywódcy obcych państw; Moskwa zgodziła się na Międzynarodowy Festiwal Młodzięzy i burżuazyjnych reżyserów z burżuazyjnymi filmami. Normalną w treści: świat w końcu przestano traktować jak wrogie otoczenie, a słowo „*pokój*” przestało być synonimem krótkiego zacisza przed nową wojną. W tej nowej rzeczywistości olbrzymia liczba ludzkich strat ZSRR potrzebna była Chruszczowowi jako „*ideologiczny but*”, którym mógł w odpowiednim momencie uderzyć w stół podczas negocjacji.

Na wszystkie „*niewygodne*” pytania — od nieśmiałych przypomnień o konieczności zapłacenia za dostarczoną w ramach land-lease’u broń do żądań zwrócenia niezależności państwom Europy Wschodniej — padała jedna ogłuszająca odpowiedź: „*Dwadzieścia milionów ludzkich istnień! Jakie pieniądze? Uratowaliśmy świat! Zapłaciliśmy własną krwią...*” Doskonale pamiętam, jak w sierpniu 1968 roku naród radziecki wrzał szczerym oburzeniem: „*Wyzwoliliśmy ich! Tylu ludzi straciliśmy, a oni chcą nas wyrzucić?*”

A później nastąpiła wspaniała epoka pierestrojki i głośności. Przeglądając to, co dostał w spadku, Gorbaczow nie mógł nie zauważyć „*cudów*” stalinowskiej statystyki demograficznej. Co za tym idzie, w szeregu działań zmierzających do budowy państwa prawa postanowiono uporządkować kwestie związane ze statystyką ludności. Prawdopodobnie tak pojawiła się liczba 27 milionów. W nie budzącym żadnych wątpliwości „*pożarze*” II

wojny światowej postanowiono spalić „*manko*” ogólnozwiązkowego spisu 1939 roku, przerażający wzrost śmiertelności cywilów na tyłach, masowe ucieczki z „*kraju zwycięskiego socjalizmu*” i masowe represje okresu przed- i powojennego.

Jednym słowem — przypisać Hitlerowi zbrodnie Stalina.

Powołano szacowną komisję sprawdzonych przez partię docentów i kandydatów pod kierownictwem członka Akademii Nauk ZSRR J.A. Poliakowa. Jeden z wybitnych członków tej komisji, doktor nauk historycznych A. A. Szewiakow, opublikował bardzo interesujący artykuł („*Sociologiczeskije issledowanija*”, nr 12, 1991 r.), w którym opowiadał o pracy komisji i uzyskanych przez nią rezultatach. A dokładniej mówiąc, o tym, jak komisja walczyła, żeby uzyskać zlecony jej wynik 27 milionów. Jak się okazuje, istnieją jakieś „*dane Gosplanu i Centralnego Zarządu Statystycznego ZSRR*”, ale „*jeszcze nie udało się ich odnaleźć*”. Co znaczy „*nie udało się*”? Co znaczy „*odnaleźć*”? Rozumiem, dlaczego wyprawom zapaleńców jeszcze nie udało się odnaleźć w dzikiej bezludnej tajdze resztek tunguskiego meteorytu. Co oznacza zastosowanie czasownika „*odnaleźć*” do pracy komisji państwowej z dokumentami Gosplanu?

Z artykułu Szewiakowa wynika, że jedyną udokumentowaną podstawą były i pozostają akta i sprawozdania Nadzwyczajnej Komisji Państwowej. A z tych dokumentów wynika, że na terenach okupowanych zginęło 6 390 tysięcy osób. Ponieważ komisja Poliakowa już wiedziała, że straty sił zbrojnych zostały wyznaczone na 8,7 miliona i wojskowi nie chcą zwiększać tej liczby, więc musiała do zadanych jej 27 milionów dodać 18,3 miliona. Co za tym idzie, jedyne stosunkowo wiarygodne źródło — dokumenty Nadzwyczajnej Komisji Państwowej — od razu zostało posądzone o to, że podane w nim liczby „*są znacznie zaniżone*”. Jak przystało doktorowi nauk, Szewiakow nie tylko stwierdza fakt zaniżenia, ale też go tłumaczy. Podaje trzy powody. Jeden jest lepszy od drugiego. Pierwsze dwa są takie: „*intensywna migracja ludności*” i „*niezakończona repatriacja obywateli radzieckich zza granicy*”.

Dziwne. I jedno, i drugie może prowadzić tylko i wyłącznie do zwiększenia liczby ofiar. Na przykład oprawcy spalili białoruską wieś i rozstrzelali jej mieszkańców, więc wszystkich uznano za zmarłych. A ktoś przeżył, zaciągnął się do partyzantów, został ranny, przetransportowany do szpitala za Wołgą, tam ożenił się i z młodą żoną wyjechał do pracy na Daleki

Wschód. Człowiek żyje, ale nikt na Białorusi o tym nie wie. Właśnie na tym polega „intensywna migracja ludności” i jej wpływ na dane w sprawozdaniach. Do zawyżenia liczby ofiar prowadziła w pierwszych miesiącach po wojnie także i „niezakończona repatriacja obywateli radzieckich zza granicy” — człowieka uznano za zmarłego, a w rzeczywistości trafił na obławę, został przymusowo wywieziony do Niemiec i niedługo wróci do domu.

Najciekawszy, trzeci powód tak zwanego zaniżenia liczby ofiar w danych Nadzwyczajnej Komisji Państwowej zdaniem doktora nauk Szewiakowa polega na tym, że jej pracownicy „nie mieli wyczucia politycznego i metodyki wykrywania faszystowskich zbrodni”. A z tym muszę się kategorycznie nie zgodzić. Czego jak czego, ale wyczucia politycznego radzieccy urzędnicy epoki Stalina mieli pod dostatkiem. Bez niepotrzebnych wytycznych Komisja przypisała Niemcom rzeź w Katyniu, wykryła „faszystowskie zbrodnie” w sprawie dokonanych przez oddziały NKWD masowych egzekucji osadzonych w więzieniach Lwowa i Winnicy. Każde sprawozdanie przed publikacją przechodziło wielostopniową procedurę zatwierdzenia „na samej górze”. Więc jeśli już w 1945 roku miała za zadanie zwiększyć liczbę ofiar do 18 milionów, to pracownicy Komisji doskonale by to wyczuli. Bo inaczej sami znaleźliby się na liście „ofiar niemieckich okupantów”. Ale nie wiedzieli, jakie właściwie zadanie dostaną radzieccy historycy pod koniec lat 80. I o socjalizmie z ludzką twarzą też jeszcze nie mieli pojęcia. Ale czy to jest powód do oskarżeń o utratę czujności?

Jeżeli jednak mówimy poważnie, to liczby z dokumentów Komisji rzeczywiście budzą spore wątpliwości. Szewiakow przytacza dane w odniesieniu do każdej republiki ZSRR, podając przy tym odsetek poległych w stosunku do liczby przedwojennej (dla Rosji — w stosunku do liczby mieszkańców, którzy znaleźli się pod okupacją, ta liczba została określona jako 28 milionów). W poniższej tabeli wygląda to następująco:

	tys. osób	%
Łotwa	313,8	6,5
Litwa	436,5	5,1
Białoruś	1 547,0	5,0

Ukraina	3 256,2	8,1
Estonia	61,3	6,1
Rosja	706,0	2,5
Mołdawia	61,2	2,4

Czy może to być prawda? Oczywiście, że nie. Przed wojną Litwę zamieszkiwało 2,9 miliona ludzi, Łotwę — 1,9 miliona ludzi. A liczba ofiar wśród cywilów w tych dwóch republikach okazała się w liczbach bezwzględnych większa niż w Rosji? A odsetek ofiar na Łotwie jest większy niż w jakiegokolwiek innej republice, łącznie z Białorusią (obszarem najaktywniejszych działań partyzantów)? Jak to rozumieć?

I kim są ofiary okupantów na Łotwie? Żadnych dużych ruchów partyzanckich tam nie było w ogóle, ponadto Łotwa była „eksporterem” eksterminacyjnych batalionów policji, które dopuszczały się zbrodni na terytorium sąsiedniej Białorusi i Rosji. Na Łotwie nie było żadnego innego „terroru faszystowskich okupantów” oprócz zagłady Żydów, ale tych przed wojną było tam nie 314 tysięcy, a jedynie 90 tysięcy (w sąsiedniej Litwie 250 tysięcy). Bardzo dziwnie wygląda również stosunek strat na Ukrainie i na okupowanych terenach Rosji. Nawet jeśli uwzględnimy fakt, że na Ukrainie zginęło około 1,5 miliona Żydów — dziwne...

Smutne, że w takiej sprawie trzeba zgadywać, ale prawdopodobnie rozwiązanie zagadki sprzecznych liczb polega na tym, że w sprawozdaniach NKP (przynajmniej w wielu spośród opublikowanych) podano liczby ofiar wśród cywilów i jeńców łącznie, a Szewiakow interpretuje je jako liczbę ofiar wśród cywilów, ale nie uwzględnia jeńców wojennych. Przy takim założeniu wszystko staje się jasne: kraje nadbałtyckie były obszarem, gdzie do obozów koncentracyjnych kierowano zarówno jeńców wojennych, jak i ostarbeiterów. Owszem, brzmi to nieco dziwnie, ale „radzieckie” kraje nadbałtyckie były odbiorcą (!!!) przymusowej siły roboczej. Według danych Zarządu do spraw Repatriacji na Litwie, Łotwie i Estonii pod koniec wojny znajdowało się 227 044 cywilów i 56 363 jeńców, przywiezionych tam do prac przymusowych z innych okupowanych terenów ZSRR. Olbrzymie obozy jenieckie powstały również na Ukrainie, gdzie ponadto liczba wziętych do niewoli przez Wehrmacht jeńców była ogromna (ponad 1,1 miliona tylko w pięciu

„kotlech”: humańskim, kijowskim, melitopolskim, kerczeńskim i charkowskim).

Pozostaje przypuszczać, że wskutek błędnego (żeby nie powiedzieć — celowego) dodawania liczby ofiar wśród jeńców (które uwzględniliśmy w łącznej liczbie poległych żołnierzy) nawet liczba 6 milionów 390 tysięcy zabitych cywilów jest zawyżona. Dalsze rozważania Szewiakowa o tym, że hitlerowcy celowo szerzyli groźne choroby zakaźne na terenach okupowanych (czyli na tyłach własnych wojsk), że wielu ostarbeiterów wróciło do ojczyzny z nieuleczalnymi chorobami, do których zaliczono kiłę i rzeżączkę, że okupanci potajemnie naświetlali mężczyzn promieniami rentgenowskimi w celu zmniejszenia liczby urodzeń, są interesujące tylko dlatego, że poważne pismo naukowe nie wstydziło się czegoś takiego opublikować...

Jakie są wnioski po omówieniu tego niezwykle smutnego tematu? Tragedia, której doświadczył naród radziecki, jest potworna i nic podobnego nie wydarzyło się w historii cywilizowanego świata.

11 milionów poległych żołnierzy.

5–6 milionów zwykłych ludzi, zamordowanych i zakatowanych przez okupantów niemieckich.

Ponad milion zwykłych ludzi, którzy zginęli w okrażonym Leningradzie i doszczętnie zniszczonym Stalingradzie.

Nieznana dokładnie, lecz wielka (około 6–9 milionów) liczba ofiar stalinowskich represji.

I niewiarygodne morze kłamstwa.

Mówią, że teraz z tym kłamstwem zaczną walczyć. Mówią w radiu. Dziś, 16 kwietnia 2008 r., wystąpił z publicznym oświadczeniem zastępca szefa Sztabu Generalnego rosyjskiej armii, generał pułkownik Skworcow. *„Walka z fałszowaniem historii wielkiej wojny ojczyźnianej przestała być zadaniem tylko Ministerstwa Obrony. (...) Należy poprzeć inicjatywę MSZ dotyczącą powołania międzyresortowej grupy roboczej do spraw historii przy rządzie, która zwalczałaby próby fałszowania historii szkodzące interesom Rosji”*. Proszę bardzo! Nie wiedziałem, że wśród zadań, którymi zajmuje się resort obrony wielkiego mocarstwa atomowego, znajduje się polemika z byłym zastępcą szefa Sztabu Generalnego, profesorem M.A. Gariejewem, i adeptami jego szkoły naukowej. Mimo wszystko miła jest świadomość, że napisałem bardzo aktualną książkę. Jeżeli, szanowny czytelniku, zdążysz ją kupić i

przeczytać, zanim komisja międzyresortowa przy rządzie Federacji Rosyjskiej weźmie się do walki z fałszerstwami, będzie to oznaczało, że nie zmarnowałem ani swojego, ani twojego czasu.

DWIE BLOKADY

Najwydajniejszym i najtańszym rodzajem transportu jest transport wodny (żegluga morska i śródlądowa). Tak było kiedyś i tak będzie zawsze. Od dawien dawna „*morza łączyły rozdzielone przez nie kraje*”, a duże miasta wyrastały w ujściach rzek. Znacznie gorszy i droższy jest transport lądowy (kolejowy i samochodowy). Określenie lotnictwa jako „*rodzaju transportu*” w ogóle przychodzi z wielkim trudem. W porównaniu z parametrami techniczno-taktycznymi pośledniego drewnianego barkasu najlepszy samolot transportowy wydaje się nieporozumieniem. Masa transportowanego ładunku jest 5–10 razy większa od masy właściwej barkasu, a bardzo dobry samolot (włączając niezbędne paliwo) waży trzy razy więcej niż przewożony ładunek. O zużyciu energii (a zatem i kosztach transportu) strach w ogóle mówić. Najśłynniejszy samolot transportowy epoki lotniczych silników tłokowych (Douglas DC-3, znany jako C-47, a w radzieckiej wersji licencyjnej — Li-2) za pomocą dwóch żarłocznych silników lotniczych o mocy 1000 KM każdy wznosił w powietrze 2 tony ładunku. Wyposażony w dwa oszczędne wolnoobrotowe silniki wysokoprężne o takiej samej mocy tankowiec *Wolgonieft* przewiezie 4620 ton. Nie tak znowu powoli — 20 km/h z ładunkiem. O każdej porze, w dzień i w nocy, w deszczu i mgłę, bez przerwy na obiad i dwunastogodzinny odpoczynek załogi. Nawet po uwzględnieniu piętnastokrotnej różnicy prędkości tankowiec jest 150 razy lepszy od douglasa według parametru tonokilometra na godzinę, a więc ponad (ze względu na oszczędność silnika wysokoprężnego) 150 razy bardziej opłacalny według zużycia paliwa, a jeśli weźmiemy pod uwagę różnicę w cenie oleju napędowego i wysokooktanowego paliwa lotniczego...

Zresztą nie jest to przypadek, wszystko wiąże się z pewnymi podstawowymi prawami fizyki, których oszukać się nie da. Gorszy od transportu lotniczego jest tylko raketowo-kosmiczny, gdzie 1 procent masy obciążenia użytecznego w stosunku do całkowitej masy startowej można uznać za wspaniały wynik.

Na tym kończymy niezbędne wprowadzenie do wiedzy o technice i przechodzimy do historii.

1. BLOKADA BERLINA

Współczesny (1999) i zalecany dla szkół średnich **Słowniki** po nowiejszej historii („*Leksykon historii najnowszej*”) pod redakcją A.A. Kredera podaje następujący opis tych wydarzeń:

(1948–1949), blokada Berlina Zachodniego (amerykańskiego, brytyjskiego i francuskiego sektora miasta), rozpoczęta przez władze radzieckiej strefy okupacyjnej Niemiec w odwecie za samodzielne rozpoczęcie reformy walutowej w zachodniej części Niemiec. Decyzja ta została podjęta przez kraje zachodnie pomimo sprzeciwu ZSRR i formalnie łamała zasadę wspólnej kontroli nad Niemcami, ustaloną na konferencji poczdamskiej. Blokada została sprowadzona do zamknięcia łączności lądowej Berlina Zachodniego ze strefami okupacyjnymi aliantów. Jednak kraje zachodnie nie wycofały się z przeprowadzenia reformy pieniężnej i nie opuściły miasta. Dla zaopatrzenia Berlina Zachodniego uruchomiono most powietrzny; wojska radzieckie nie utrudniały lotów nad Niemcami Wschodnimi. Gdy codzienne dostawy zaopatrzenia drogą powietrzną osiągnęły 13 tysięcy ton, blokada stała się bezużyteczna. Stalin nie zdecydował się na dalszą konfrontację z aliantami. Blokada trwała prawie 11 miesięcy. To był pierwszy przypadek otwartej konfrontacji ZSRR z państwami Zachodu.

Co jest najważniejsze w tym tekście? Mimo że jest znakomity od pierwszego do ostatniego słowa, zwracam waszą szczególną uwagę na tę oto perłę: „*Blokada została sprowadzona do zamknięcia łączności lądowej*”. W języku rosyjskim słowo „*sprowadzić się*” jest używane do określenia czegoś niespodziewanie nieznaczącego, słabego i niegodnego (dyskusja została sprowadzona do zwykłej wymiany zdań, pierestrojka sprowadziła się do kosmetycznego remontu w cenie kapitalnego itd.). Widocznie pan Kreder i ci, którzy zalecają jego **Słownik** uczniom, są zgodni co do tego, że „*zamknięcie łączności lądowej*” to taka drobna przykrość. Ale gdyby Stalin przykrył Berlin kloszem pancernym — to wtedy oj...

Druga wojna światowa zakończyła się całkowitą kapitulacją Niemiec. Armie zwycięzców spotkały się na Łabie, ale towarzysz Stalin „*nacisnął*” i alianci wycofali się 50–200 kilometrów na zachód od Łaby. Terytorium

byłych Niemiec zostało podzielone na cztery sektory okupacyjne, ale skoro imperialiści z USA, Anglii i Francji działali wspólnie, zwyczajowo mówi się o dwóch sektorach — „wschodnim” i „zachodnim”. Na terenie „strefy wschodniej” — i to w odległości 250 kilometrów od najbliższego punktu strefy „zachodniej” — znalazł się Berlin. Berlin zdobyła szturmem Armia Czerwona, ale w 1945 roku Stalin zgodził się na podział miasta na cztery (a faktycznie — na dwa) sektory. W nawiasie zaznaczymy, że powierzchnia trzech „zachodnich” sektorów Berlina w przybliżeniu równała się jednemu radzieckiemu.

W lutym 1948 roku komuniści zdobyli władzę w Czechosłowacji, w radzieckim sektorze okupacyjnym Niemiec pełną parą ruszyły „głębokie zmiany społeczno-polityczne” i Stalin stwierdził, że „burżuazyjny wrzód” na ciele przyszłych socjalistycznych Niemiec nie jest mu potrzebny. 12 czerwca 1948 roku „z powodu prac remontowych” zamknięto połączenie samochodowe z Berlinem Zachodnim, 21 czerwca zatrzymano transport rzeczny i ostatecznie 24 czerwca wprowadzono całkowitą blokadę transportową. Dla wzmocnienia efektu radzieckie władze okupacyjne odłączyły wszystkie przewody elektryczne prowadzące do Berlina Zachodniego. Jako pretekst uzasadniający te działania podano reformę finansową, przeprowadzaną przez aliantów w zachodniej strefie okupacyjnej Niemiec. Hitler, powiedzmy wprost, do takiej bezczelności się nie posuwał. Nie usiłował tłumaczyć swojego ataku na ZSRR tym, że na radzieckich banknotach widnieje Uljanow–Lenin zamiast Horsta Wesseła...

W ten sposób rozpoczęła się blokada trwająca 11 miesięcy. Żadne miasto nie przetrwa 11 miesięcy bez zaopatrzenia z zewnątrz, ale Berlin w 1948 roku był miastem szczególnym. To miasto przez kilka lat bombardowano, zresztą bardzo silnie (na przykład 3 lutego 1945 roku lotnictwo alianckie zrzuciło na Berlin 2,25 kilotony bomb), a potem doszczętnie zniszczono podczas zacieklej walk ulicznych. Mieszkańcy zaopatrywali się w żywność „na kartki”, nie mieli zapasów, wszystko, co mogło się spalić — spłonęło (i przez to Berlin bardzo różnił się od Leningradu, którego mieszkańcy przynajmniej mogli palić w „burżujkach” własnymi meblami i książkami). Miasto zostało skazane przez Stalina na śmierć głodową — lub na jeszcze jedną kapitulację.

Niemcy jako państwo wówczas nie istniały, ale właśnie z tego powodu aliancka administracja okupacyjna ponosiła w świetle prawa

odpowiedzialność za zapewnienie niemieckiej ludności minimalnych warunków życiowych. Poza tym w Berlinie Zachodnim znajdowało się około 6,5 tysiąca angielskich i amerykańskich wojskowych (nie licząc służb cywilnych). Prezydent Truman stanął wobec konieczności podjęcia decyzji. Szybkiej decyzji.

Jak wie każdy wykształcony Rosjanin, znenawidzona Ameryka knuła zbrodnicze plany uderzenia atomowego na ZSRR. Jeżeli jest to prawda, w takim wypadku w czerwcu 1948 roku można było zaczynać. Wszystkie niezbędne warunki były spełnione: absolutny monopol na broń jądrową, kilkadziesiąt gotowych bomb atomowych, strategiczny bombowiec B-29, który mógł z bazy lotniczej w zachodnich Niemczech dolecieć do Moskwy i Leningradu, oraz powód. Oczywisty, niezaprzeczalny casus belli — blokada bezbronno miasta była niewątpliwym aktem wojny, a to, że Stalin tej wojny nie wypowiedział, tylko pogarszało sytuację. Jednak Truman odrzucił usilne namowy swoich doradców wojskowych i nie usankcjonował ani uderzenia nuklearnego na ZSRR, ani przeprowadzenia operacji wojsk lądowych do przerwania blokady Berlina.

Jak wie każdy wykształcony Rosjanin, jeżeli podli Jankesi zrobili coś dobrego (albo nie zrobili czegoś złego), to, rzecz jasna, nie z pobudek humanitarnych. W tym konkretnym przypadku tak właśnie było. Nie chodzi o to, że Truman zlitował się nad cywilnymi mieszkańcami Moskwy i Leningradu, wcale nie — zrezygnował z bombardowania nuklearnego z powodu swej zdumiewającej... Stop. Nie wiem, czy można tak mówić o prezydentach (nawet obcego państwa i dawno zmarłych), dlatego ograniczę się do cytatu. Podczas przemówienia w czerwcu 1948 roku w stanie Oregon prezydent Truman powiedział: „*Bardzo dobrze poznałem Joe Stalina i podoba mi się stary Joe! To dobry człowiek. Ale Joe jest zakładnikiem Biura Politycznego. Nie może robić tego, co chce. Zawiera umowy i gdyby mógł, oczywiście wywiązałby się z nich; ale ludzie, którzy kierują rządem, bardzo wyraźnie mówią mu, że nie może tego zrobić*”.

Na podstawie tej głębokiej analizy radzieckiego systemu politycznego Truman postanowił nie zasmucać wykończonego narzanem „*starego Joe*” i nakazał zorganizować most powietrzny z Berlinem.

Czegoś takiego nikt nigdy nie zrobił. Co więcej, nikt nawet nie dopuszczał możliwości zaopatrywania z powietrza miasta z 2 milionami

mieszkańców. W czasie wojny zdarzały się precedensy zaopatrzenia poprzez mosty powietrzne okrążonych formacji: w przypadku kotła demiańskiego Niemcom się to udało, w Stalingradzie — nie. Ale zaopatrywać drogą powietrzną w żywność i paliwo całe miasto? Dalej będzie sporo liczb. Proszę zwrócić na nie szczególną uwagę.

Amerykanie zaczęli od 1000 ton zaopatrzenia dziennie. Pod koniec czerwca zwiększono je do 4400 ton dziennie. W trybie ekspresowym, z wykorzystaniem wszystkich posiadanych środków, zbudowano w Berlinie Zachodnim jeszcze dwa lotniska (!) jako dodatek do dwóch już istniejących. Na początku jesieni dostawy wynosiły 5620 ton dziennie. Co 2–3 minuty na jednym z lotnisk Berlina Zachodniego lądował olbrzymi czterosilnikowy transportowiec. „*Stary Joe*” ze zdumieniem obserwował ten air show i czekał na zimę — Berlin powinien był zamarznąć bez paliwa i dostaw energii elektrycznej z zewnątrz. Wówczas Amerykanie zaczęli transportować samolotami... węgiel! 1 421 119 ton (prawie półtora miliona ton węgla) dostarczono do odciętego od świata miasta. Dostarczono nawet rozkręconą na najdrobniejsze podzespoły elektrownię ciepłą. Absolutny rekord został ustanowiony 16 kwietnia 1949 roku: 1400 lotów, 13 tysięcy ton ładunków. Samolot na minutę.

12 maja 1949 roku towarzysz Stalin po raz kolejny potwierdził niezmiennie pokojowy kurs radzieckiej polityki zagranicznej. Blokadę przerwano, ale Amerykanie postanowili się asekurować i most powietrzny działał jeszcze do września — w ten sposób gromadzono zapasy żywności na kolejną zimę. Ogółem wykonano 278 228 lotów, dostarczono 2,32 miliona ton ładunków (średnio 8,3 tony podczas jednego lotu). Codziennie do Berlina dostarczano około 2700 ton żywności (nie licząc węgla i całej reszty). Podczas operacji zginęło 31 amerykańskich i 41 brytyjskich pilotów — potworne przepracowanie dało się we znaki i ludziom, i maszynom.

„*Stary Joe*” nie wydał na całe to przedsięwzięcie ani kopiejki. Amerykanów most powietrzny kosztował 2 miliardy dolarów (według współczesnych cen). Owszem, reputacja Związku Radzieckiego została nieco nadszarpnięta, ale mało prawdopodobne, żeby Stalina to interesowało — już dawno stracił wszelkie złudzenia...

2. BLOKADA LENINGRADU

Leningrad nie znajduje się na wyspie. I nawet nie na półwyspie, połączonym z lądem mikroskopijnym pasem ziemi (jak Sewastopol na Krymie). Na zachód od Leningradu — woda, Zatoka Fińska. 40 kilometrów na wschód od placu Pałacowego — woda, jezioro Ladoga. Dwa olbrzymie zbiorniki wodne są połączone cienką „*nitką*” Newy. Przy ujściu Newy do Zatoki Fińskiej Piotr zbudował stolicę imperium, a w miejscu, gdzie Newa wypływa z jeziora Ladoga — twierdzę Szlisselburg (Pietrokriepost’). Ale na południe i północ od Leningradu znajdują się niezmierzone połacie lądu.

Kończymy z tą podstawową (ale jakoś powszechnie zapomnianą) geografiją, przechodzimy do dramatycznej historii 1941 roku. O polityce (tzn. o przyczynach, które skłoniły pokojową socjaldemokratyczną Finlandię do przystąpienia do wojny „*po jednej stronie barykady*” z faszystowskimi Niemcami) — ani słowa, tylko przebieg działań wojennych.

W ostatnich dniach sierpnia na Przesmyku Karelskim oddziały fińskie wyszły na linię w przybliżeniu pokrywającą się z granicą radziecko–fińską z 1939 roku. Front się ustabilizował i na tym „*froncie*” nic się nie działo aż do 9 czerwca 1944 roku; Finowie nie podejmowali żadnych prób zbliżenia się do Leningradu. Nawet w najbliższej (zachodniej) części przesmyku linia dzieląca radzieckie i fińskie wojska znajdowała się w odległości 30 kilometrów na północ od Leningradu; z kolei na wschodnim skrzydle w rękach Armii Czerwonej pozostawało 60 kilometrów wybrzeża jeziora Ladoga w linii prostej (nie licząc naturalnych zakrętów linii brzegowej).

Niemcy nacierali z południowego zachodu i przecięli jedna po drugiej linie kolejowe prowadzące do Leningradu. 29 sierpnia zajęli stację Mga, ostatnią na szlaku nieprzyjaciela do jeziora Ladoga. 8 września Niemcy zajęli Szlisselburg; w ten sposób Leningrad został odcięty od Wielkiej Ziemi z południa. Do stycznia 1943 roku front ustabilizował się na linii Newy; zresztą trudno jest mówić o stabilności — na przeklętym „*newskim przyczółku*” toczyły się zacięte walki, w których według współczesnych danych zginęło 50 tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej i 10 tysięcy Niemców.

Z południa — Niemcy, 30–60 kilometrów na północ od miasta — Finowie, na zachodzie — Zalew Fiński, który odznaczona Orderem

Czerwonego Sztandaru Flota Bałtycka oddała nieprzyjacielowi bez walki. A przecież jest jeszcze czwarta strona świata — wschód. Na wschodzie znajdował się liczący ponad 60 kilometrów długości, niezajęty przez nieprzyjaciela pas brzegu jeziora Ladoga. Gdyby wytyczyć przebieg trasy transportów według najkrótszej odległości (przez tzw. „zatokę szlisselburską”), to do Wielkiej Ziemi (portowa osada Kobona) było nie więcej niż 30 kilometrów powierzchni wodnej. Jeżeli jednak ruszyć do Nowej Ładogi (miasto i port przy ujściu rzeki Wołchow do jeziora Ladoga), to droga wyniesie 100 kilometrów. W każdym razie nawet najpowolniejsza „łajba”, wlokąca się z żółwią prędkością 5 węzłów, mogła dotrzeć z zachodniego, leningradzkiego brzegu jeziora Ladoga do Nowej Ładogi w ciągu 11–12 godzin (czyli w ciągu jednej jesiennej nocy, której mrok lepiej od jakiegokolwiek obrony przeciwlotniczej chronił płynący statek przez lotnictwem wroga). Jeżeli to się nazywa „blokada”, to wówczas trzeba przyznać, że Anglia i Japonia w warunkach znacznie gorszej „blokady” walczyły przez całą wojnę. I do tej pory mają się dobrze.

Dalsze omawianie wydarzeń i wynikające z nich pytania mają sens tylko w świetle wyobrażeń o tym, jak to radzieccy przywódcy i sam „skuteczny menedżer” dążyli do tego, żeby zapewnić przetrwanie mieszkańcom Leningradu. Dążyli co najmniej z takim samym uporem, z jakim Amerykanie i Anglicy ratowali przed śmiercią głodową mieszkańców obcego (a jeszcze całkiem niedawno — wrogiego) miasta. Bez tego założenia nie ma o czym dyskutować...

Czy takie założenie jest na miejscu? Czy jest zgodne z prawdą historyczną? Bóg jeden wie. Akademik Lichaczow, człowiek zasłużony i powszechnie szanowany, który na dodatek sam przeżył blokadę, pisze we wspomnieniach: „*A tymczasem z Leningradu w pośpiechu wywożono żywność i nie podejmowano żadnych prób takiego rozproszenia jej, jak zrobili to Anglicy w Londynie. Niemcy przygotowywali się do blokady miasta, a my — do jego oddania Niemcom. Ewakuacja żywności z Leningradu ustąpiła dopiero wówczas, gdy Niemcy przecięli wszystkie połączenia kolejowe*”. Lichaczow nie podaje żadnych udokumentowanych dowodów na to, że żywność ze skazanego na zagładę miasta wywożono (a nie dostarczano), poza tym wspomnienia nie aspirują do roli monografii naukowej.

W monografii naukowej (D.W. Pawłow, **Leningrad w blokadzie**, Wojenizdat, Moskwa 1958), wydanej w bądź co bądź radzieckich czasach, czytamy: „*Główny zarząd przemysłu cukrowego, który znajdował się w Moskwie, skierował w połowie września 1941 roku telegram do leningradzkiego biura Sacharosbytu z żądaniem wysłania kilku wagonów cukru z Leningradu do Wołogdy, chociaż od 8 września Leningrad był już otoczony*”. Autor przytacza ten fakt jako kuriozalny przykład „*niewczesnego poinformowania ludzi*”. A ja proponuję zwrócić uwagę na kierunek zalecanego przemieszczenia wysokokalorycznego produktu. A gdyby Niemcy nie zajęli dróg — to wywieziono by cukier do Wołogdy? I czy tylko cukier?

Przypuszczenie, że z Leningradu przed blokadą wywożono żywność wydaje się absurdalne i bluźniercze — ale tylko na pierwszy, i na dodatek solidnie zniekształcony powszechnie narzuconym patosem, rzut oka. Na zdrowy rozum mowa tylko o odosobnionym przypadku wykonania ogólnego rozkazu towarzysza Stalina: „*Nie zostawić nieprzyjacielowi ani kilograma zboża, ani litra paliwa. Kolchoźnicy powinni wypędzić całe bydło, przekazać zboże organom państwowym, aby je wywieźć na tyły. Wszelkie wartościowe mienie, w tym metale kolorowe, zboże i paliwa, którego nie można wywieźć, powinno zostać zniszczone*”. Zwróćcie uwagę — o ewakuacji ludności z terenów, na których nie można zostawić „*ani kilograma zboża*”, nie ma ani słowa. Zatem gdyby Hitler i żołnierze Wehrmachtu byli ludożercami w dosłownym tego słowa znaczeniu — wówczas „*stary Joe*” być może rozkazałby „*wypędzić całą ludność na tyły*”. A tak — tylko bydło.

Niemniej jednak, kierując się niepodważalną zasadą domniemania niewinności (po rosyjsku to brzmi „*nikt go za rękę nie złapał*”), będziemy w dalszym ujęciu zagadnienia zakładać, że „*partia i rząd, Stawka, Państwowy Komitet Obrony i towarzysz Stalin osobiście zrobili wszystko, co było możliwe dla ratowania Leningradu*”. A ponieważ uratować wszystkich, jak wiadomo, nie udało się, to całkowicie uzasadnione będzie pytanie — dlaczego?

O blokadzie Leningradu ogólnie, a o problemach transportu i zaopatrzenia w szczególności, napisano wiele. Są całe monografie poświęcone „*aspektowi transportowemu*” tragedii Leningradu. Liczb i faktów w bród. I im bardziej się w nie zagłębiam, tym mniej zrozumiąta wydaje się sytuacja. Liczby są sprzeczne ze sobą nawet w najmniejszych kwestiach (choć dla mieszkańców oblężonego miasta nie były to wcale „*najmniejsze kwestie*”).

Na przykład w jednym akapicie czytamy co następuje: „*Od 20 listopada 1941 roku mieszkańcom Leningradu wydawano najniższą rację chleba w całym okresie blokady — 250 g dla robotników i 125 g dla pracowników umysłowych, dzieci i osób na utrzymaniu. Jeśli wziąć pod uwagę, że kartki robocze w listopadzie–grudniu 1941 roku miała tylko jedna trzecia mieszkańców, to skromność tych racji będzie jeszcze bardziej oczywista. Teraz do zaopatrzenia 2,5 miliona mieszkańców Leningradu zużywano dziennie jedynie 510 ton mąki*”. Kilka linijek wcześniej podano także przepis, według którego podczas blokady wypiekano ten straszny chleb: „*Chleb wytwarzano z mieszanki: celulozy spożywczej — 10%, sprasowanych wycieków bawełnianych — 10%, śruty zbożowej — 2%, popiołu i resztek z worków — 2%, mąki kukurydzianej — 3%, mąki żytniej — 73%. Piekarnie wypiekały tylko chleb formowy, przypiek zwiększono do 68%*”.

Gdybym był nauczycielem, zrobiłbym z tego zadanie do szkolnego podręcznika arytmetyki — mamy tu procenty, stosunki, ułamki odwrotne i powód, żeby po raz pierwszy zastanowić się nad własnym dostatnim życiem... Ale moi czytelnicy są ludźmi dorosłymi, dlatego nie będę ich męczył liczeniem na kalkulatorze i od razu podam gotową odpowiedź. Na przyrządzenie jednego kilograma takiego „*chleba*” zużywano jedynie 430 gramów mąki. A zatem, „*do zaopatrzenia 2,5 miliona mieszkańców Leningradu*” zgodnie z podanymi wyżej normami potrzebowano tylko 179 ton mąki. A dziennie zużywano — 510 ton.

To arytmetyka. Nie filozofia, nie politologia, nie dyskusja „*o skomplikowanym i w wielu aspektach niejednoznacznym okresie naszej historii...*” To zwykła arytmetyka. Gdy zużywało się 510 ton mąki, rację można było zwiększyć prawie trzykrotnie. Więc z czego upieczono te „*sto dwadzieścia pięć blokadnych gramów na pół z ogniem i krwią?*” I gdzie, przepraszam bardzo, są setki ton mąki?

Nie będziemy wszakże czepiać się szczegółów — przed nami znacznie bardziej zdumiewające fakty. Ale zanim przejdziemy do oficjalnych statystyk, wykonamy jeszcze jedno „*dyletanckie*” obliczenie. Policzymy, ile mąki potrzeba, żeby dać każdemu z 2,5 miliona mieszkańców (we wrześniu 1941 roku w Leningradzie wydano 2 miliony 544 tysięcy kartek na chleb) po 800 gramów znakomitego (zupełnie innego od tej obrzydliwej cegły z trocin i wycieków, którą w grudniu 1941 roku żywiono mieszkańców Leningradu)

chleba. 800 gramów chleba dziennie to największa racja robotnicza na Wielkiej Ziemi. O głodzie, co więcej — o głodowej śmierci, przy takiej racji nie ma mowy. Po uwzględnieniu typowego przy produkcji żytniego chleba przypieku wynoszącego 33 procent, uzyskujemy bardzo „okrągłą” i łatwą do zapamiętania liczbę 1500 ton.

Jeżeli w tym obliczeniu jest margines błędu, to nie jest on zbyt duży. Rzeczywiście w okresie działania lodowej „drogi życia” do Leningradu dostarczano średnio 1920 ton żywności dziennie. Jednocześnie od 11 lutego 1942 roku udało się zwiększyć przydział żywności do poziomu: 800 gramów dla żołnierzy na froncie, 600 — dla żołnierzy w jednostkach tyłowych, 500 — dla robotników, 400 — dla pracowników umysłowych, 300 — dla dzieci i niepracujących; rozpoczęto wypiekanie chleba z mąki prawie bez dodatku „warunkowo jadalnych” składników; od połowy lutego ludności wydawano prawdziwe mięso, jadalne tłuszcze, suszone owoce. Co więcej, przy takim ruchu towarowym udało się nawet zgromadzić znaczące zapasy żywności (według szacunków różnych autorów — na okres od 18 do 60 dni). W Berlinie, jak podkreślono wyżej, dostarczano średnio 2700 ton żywności dziennie i przy takim ruchu towarowym o głodzie nie było mowy.

Dostarczenie drogą lotniczą 1500 ton to zadanie niezwykle trudne do wykonania. Ale transport wodny rządzi się zupełnie innymi prawami. Niepozorna (mniejszej nie zdołałem znaleźć we współczesnym leksykonie) barka rzeczna („projekt R-137”) posiada ładowność 1500 ton (całkowita wyporność 1953 ton). Barka rzeczna „projekt R-165” przy długości 91,6 metrów i szerokości 15,7 metrów ma ładowność 2670 ton. Jedna taka barka może zapewnić dzienne zapotrzebowanie żywności milionowego miasta. Owszem, na początku lat 40. rzeczna (jeziorna) flota ZSRR takich statków nie miała, ale te dostępne również nie były małe.

W istocie na mocy decyzji Państwowego Komitetu Obrony z 30 sierpnia 1941 roku Ludowemu Komisariatowi Marynarki Wojennej i Śródlądowej polecono przekazać do zaopatrywania Leningradu 25 holowników i 75 barek jeziornych o ładowności po tysiąc ton każda. Faktycznie używane do nawigacji w 1941 roku barki miały przeciętną ładowność (nie wyporność, a właśnie ładowność) około 400–700 ton. Co gorsza, z powodu problemów z przystaniami, załadowaniem i holowaniem po sztormowej Ladodze ich rzeczywiste obciążenie zmniejszało się do 300–500 ton.

Cała ta obfitość liczb sprowadza się do prostego wniosku: 5–6 najskromniejszych barek na dobę rozwiązywało wszystkie problemy z zaopatrzeniem Leningradu w żywność zgodnie z przeciętnymi (czyli bardzo skromnymi) normami czasu wojny. Jeszcze 3–4 barki mogły zapewnić dostarczenie niezbędnej ilości paliwa i amunicji dla frontu (właśnie w takich proporcjach — 785 tysięcy ton żywności i 495 tysięcy ton paliw, amunicji i uzbrojenia — kształtował się ruch towarowy do Leningradu w czasie całego trwania blokady, od września 1941 do marca 1943 roku). To wszystko, czego potrzebowano do „*transportowego przelamania*” blokady.

A teraz przejdźmy od obliczeń do faktów.

Transportem wodnym w akwenie Newy, Świru i jeziora Ladoga zajmowała się instytucja pod nazwą Północno–Zachodnie Przedsiębiorstwo Transportu Riecznego (*Siewiero–Zapadnoje Riecznoje Parochodstwo* — SZRP). W 1940 roku tylko przez leningradzki port rzeczny przedsiębiorstwo przetransportowało 3,4 miliona ton ładunków. Nawet jeżeli zapomnimy, że istnieje zima, to daje 9300 ton dziennie! Tak naprawdę, biorąc pod uwagę rzeczywisty okres nawigacji na Newie, tę liczbę możemy śmiało zwiększyć półtorakrotnie. Na początku 1941 roku na stanie SZRP znajdowały się 323 holowniki i 960 jednostek holowanych o łącznej ładowności 420 tysięcy ton. Nawet jeden procent (!) takiej ładowności wynosi 4200 ton. Czy nie wydaje się wam, szanowni państwo, że po takich liczbach słowo „*blokada*” obok słowa „*Leningrad*” powinno się pisać w cudzysłowie?

Wybuchła wojna i z barkami na Newie zaczęło się dziać dokładnie to samo, co działo się z czołgami, samolotami, działami, kolosalnymi zapasami amunicji... Zaczęły rozplýwać się i znikać we mgle...

„*Duża liczba jednostek została przekazana do dyspozycji administracji wojskowej i odpłynęła z Leningradu na wschód [?] z ludnością [?] i ładunkami ewakuowanymi. Odzyskanie tych ostatnich statków oraz zwiększenie floty wodnych środków transportowych SZRP poprzez przejęcie jednostek z innych akwenów wodnych nie było możliwe. (...) W konsekwencji na początku blokady Leningradu SZRP posiadało na jeziorze Ladoga i na Wołchowiu tylko 5 jeziornych i 72 rzeczne holowniki, 29 jeziornych i około 100 rzecznych barek*”. Z jakąż to „*ludnością*” odpłynęły statki na wschód — jest mało zrozumiałe, masowej ewakuacji ludności z Leningradu, niestety, nie przeprowadzono; i już całkowicie jest niezrozumiałe, gdzie znajdował się ów

daleki „wschód”, skoro stamtąd nie można było przejąć statków, które odplynęły. Zresztą nawet przy tych wszystkich osobliwościach na stanie SZRP pozostawało 129 barek i 77 holowników. Wydawałoby się, jakie mogą być problemy?

Problemy są znane, a dokładniej mówiąc, problem był jeden — zaskoczenie. Nagle okazało się, że „z powodu złego stanu technicznego statki, szczególnie holowane, nie nadawały się do rejsów po Ładodze. Dlatego do pracy skierowano tylko 43 drewniane drobnicowce oraz 4 metalowe i 2 drewniane barki do transportu ropy. Przy czym spośród przydzielonych statków ponad 20 barek do przewozu drobnicy z powodu fatalnego stanu technicznego nie mogło pływać po jeziorze w okresie jesiennym”.

A więc olbrzymia rzeczna (jeziorna) flota skurczyła się do 29 nadających się do użycia na Ładodze barek. To bardzo mało w porównaniu z potencjalnymi możliwościami SZRP, ale w porównaniu z wymaganą wielkością „tonażu” niezbędnego do zaopatrywania Leningradu — więcej niż trzeba. Taka liczba jednostek pływających teoretycznie pozwalała nie tylko na zaspokojenie bieżących potrzeb miasta, ale też na zgromadzenie wielomiesięcznych zapasów żywności. Dlaczego więc w mieście wybuchł potworny, śmiertelny głód?

Prokuratura wojskowa Ładoskiej Flotylli Wojskowej [a jakże, oprócz cywilnego SZRP istniała jeszcze flotylla wojskowa — M.S.] i komisarz Zarządu Tyłów Frontu N.I. Zmakin, którzy skontrolowali 22 października pracę portu osinowieckiego [główny port na zachodnim, „leningradzkim” brzegu jeziora Ladoga — M.S.], stwierdzili, że pomiędzy Osinowcem i Nową Ladogą kursuje ograniczona liczba barek i są one zbyt długo rozładowywane. Barki nr 512 i 768 z amunicją wpłynęły do Osinowca 13 października, a zostały rozładowane dopiero 17 października; barka nr 367 z benzyną wpłynęła 17 października, a została rozładowana 21 października. (...) Te wszystkie trudności i uchybienia doprowadziły do tego, że obrót barek zamiast 4 dób wynosił 6–12 dób.

Możecie nie wątpić — wymienione obiektywne trudności, wskutek których pokonanie 100 kilometrów i z powrotem wynosiło 12 dób, a „w dwa tygodnie po rozpoczęciu transportu ładunków w eksploatacji pozostało tylko 9 jeziornych i 13 rzecznych barek”, zajmują kilkadziesiąt stron. I przystanie nie

zostały odpowiednio wyposażone, i brakowało latarni na trasie, i nie dostarczono węgla dla barek, i nieprzyjaciel na wszelkie sposoby przeszkadzał... Ale przecież wojnę zawsze toczy się z nieprzyjacielem. W ciągu pierwszych sześciu dni lądowania aliantów w Normandii (czerwiec 1944 roku) na francuskie wybrzeże wylądowano 104 tysiące ton sprzętu i zaopatrzenia. 17 300 ton dziennie. Te tony rozładowano nie w porcie i nie na pustej nieprzystosowanej plaży, a na wręcz znakomicie wyposażonym brzegu. Przez kilka lat Niemcy zaopatrzyli to wybrzeże we wszelkie możliwe rodzaje zasieków, tak żeby do niego nie mogła przybić nawet lekka płaskodenna łódź desantowa, a co dopiero ciężki okręt desantowy...

Ogółem w ciągu 58 dni nawigacji (od 10 września do 7 listopada 1941 roku) do okrążonego Leningradu dostarczono 58 873 ton różnych ładunków, w tym 45 tysięcy ton żywności, głównie zboża i mąki. Na zatopionych z różnych powodów, z atakami lotnictwa przeciwnika włącznie, jednostkach straty wyniosły 2,8 tysiąca ton ładunków (4,8 procent ogółu przetransportowanych ładunków). Straty były dość umiarkowane, ale nie powinno nas to dziwić, jeśli weźmiemy pod uwagę zarówno nędzne siły niemieckiego lotnictwa, które pozostały pod Leningradem po przetrzuceniu głównych sił Luftwaffe na kierunek moskiewski, jak i skład Osinowieckiego i Swirskiego Rejonu Obrony Przeciwlotniczej (które liczbą dział przeciwlotniczych i reflektorów przewyższały obronę przeciwlotniczą rafinerii ropy naftowej w Ploeszti czy największego portu w Rumunii, Konstancy).

Co się tyczy żywności, to po Ładodze do miasta dostarczano niecałe 800 ton, czyli praktycznie dwie czy trzy niepełne barki dziennie. Zrozumiałe, że potencjalne możliwości wielkiej floty rzecznej wykorzystywano wyjątkowo źle. Niezrozumiałe jest co innego — z punktu widzenia niepodważalnej arytmetyki nawet 800 ton żywności na dobę pozwalało na dostarczanie ludności znacznie więcej niż 125 gramów ceglatego chleba...

Tak czy inaczej, właśnie okoliczności pierwszych miesięcy „*blokady*” z góry przesądziły o śmierci setek tysięcy mieszkańców Leningradu. Właśnie wówczas zginęła największa liczba ludzi, a zdrowie wielu z tych, którzy przeżyli, zostało nieodwracalnie zniszczone — właśnie dlatego „*chronologia śmierci*” została przesunięta względem statystyk ruchu towarowego. W grudniu 1941 roku, kiedy racja chleba sięgnęła minimum, zmarło 53 tysiące

osób, w styczniu — 120 tysięcy, i nawet w lutym 1942 roku, gdy przydział znacznie wzrósł i stał się bardziej kaloryczny, zmarło ponad 80 tysięcy osób (takie są udokumentowane statystyki, w materiałach prasowych „z okazji rocznicy” liczby, jak wiecie, są znacznie większe — przecież dla nas „miarą pracy jest zmęczenie”, a „kucie zwycięstwa” mierzymy liczbą własnych strat).

W czasie „drugiej nawigacji” (1942 r.) przeciętna ruchu towarowego zwiększyła się do 3732 ton dziennie, w tym 1863 ton żywności (nie licząc żywej trzody chlewnej). Jednocześnie udało się nie tylko zwiększyć rację żywnościową do poziomu ogólnokrajowego, ale także dostarczyć do miasta 290 tysięcy żołnierzy uzupełnienia — 20 pełnych dywizji według przedwojennego etatu. Łącznie w ciągu półtora roku „blokady” za pośrednictwem wszystkich rodzajów transportu do Leningradu dostarczono 1,3 miliona ton różnorodnych ładunków (również 28 tysięcy sztuk trzody chlewnej). Czy to dużo? Wszystko poznaje się w porównaniu. To jedynie 8 procent ogółu masy ładunków przewożonych przez transport rzeczny ZSRR w czasie wojny. To prawie dwukrotnie mniej niż to, co Amerykanie samolotami (!!!) dostarczyli w dużo krótszym okresie do Berlina Zachodniego.

„NASZA WŁADZA BĘDZIE OKRUTNA...”

WERSJA PIERWSZA. TRADYCYJNA RADZIECKA.

Podli zdrajcy, najmici niemieckiego faszyzmu, już na długo przed agresją hitlerowską na ZSRR zaprzędali się niemieckim służbom specjalnym. W niemieckich mundurach, z niemiecką bronią w rękę, bandyci z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) przyszli na Ukrainę. Pożary i krew, brutalne rozprawianie się z radzieckimi i partyjnymi działaczami, rodzinami dowódców Armii Czerwonej — oto kamienie milowe, którymi odznaczony jest szlak zbrodni ukraińskich nacjonalistów. W tym samym czasie, żeby wprowadzić w błąd szerokie masy ludu, OUN odegrała „spektakl”, proklamując 30 czerwca 1941 roku w okupowanym Lwowie powstanie tak zwanego „*rządu niepodległej Ukrainy*” — w ten nieudolny sposób lokaje faszyzmu chcieli się zaprezentować jako równoprawni „*sojusznicy*” Niemiec. Dla większego prawdopodobieństwa autorzy „*spektaklu*” nawet zainscenizowali aresztowanie Bandery, Stecki, szeregu innych działaczy lwowskiego „*rządu*”, którzy podobno nie podporządkowali się woli niemieckich mocodawców. W rzeczywistości to wszystko było jedynie tanią farsą — rzekomo „*działający w podziemiu*” banderowcy nie podejmowali i nawet nie planowali aktywnych działań bojowych przeciwko niemieckim okupantom.

Walkę z okupantami zaczął sam naród ukraiński, kierowany przez podziemne organizacje partyjne; z każdym dniem rósł i umacniał się ruch partyzancki, eksplodowały niemieckie pociągi, w lasach Wołynia i Żytomierszczyzny pojawiły się całe „*partyzanckie rejony*”. W tej sytuacji, wykonując kolejne polecenie swoich niemieckich gospodarzy, ukraińscy nacjonaści zastosowali nowy podły chwyt — ogłosili stworzenie tak zwanej Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), która rzekomo będzie walczyć z niemieckimi okupantami. W ten sposób przywódcy OUN chcieli odwieść lud pracujący Ukrainy od stawiania rzeczywistego oporu okupantom i co więcej, wysłali uzbrojone oddziały UPA przeciwko radzieckim partyzantom. Od wiosny 1944 roku, po tym jak zwycięska Armia Czerwona rozpoczęła wyzwolenie prawobrzeżnej Ukrainy, ostatnie maski zostały zrzucone i

prowodyrzy OUN otwarcie skierowali broń przeciwko radzieckim żołnierzom–wyzwolicielom.

Bandy UPA ostrzeliwały kolumny Armii Czerwonej, minowały mosty i drogi, usiłowały atakować pojedyncze oddziały radzieckich wojsk. I nawet po zakończeniu wojny, ukrywając się w lasach i górach, bandy nacjonalistów próbowały przeszkodzić w odbudowie normalnego życia, terroryzowały ludność, mordowały lekarzy i nauczycieli, utrudniały zjednoczenie chłopów w kołchozy. Jednak władza radziecka, wykazując się niezwykle łagodnością, pięć razy ogłaszała amnestię i proponowała ludziom, których kłamstwem lub groźbami wcielono do banderowskich oddziałów, żeby wyszli z lasu, oddali broń i zajęli się pracą na rzecz odbudowy kraju. Większość żołnierzy UPA (około 80 tysięcy osób) skorzystała z możliwości zaprzestania bezsensownego oporu; w bandach pozostali tylko ci, którzy dopuścili się najcięższych zbrodni i nie mogli liczyć na łaskę. Organy porządkowe przy współpracy z oddziałami samoobrony miejscowej ludności skutecznie zlikwidowały bandytów.

WERSJA DRUGA. DEMOKRATYCZNA PIERESTROJKOWA.

Najznakomitszą kartą w historii walki narodów ZSRR z dyktaturą stalinowską była walka Ukraińskiej Powstańczej Armii. W sierpniu 1943 roku na wyzwolonym przez żołnierzy UPA terytorium Ukrainy Zachodniej odbył się III Nadzwyczajny Zjazd OUN, na którym przyjęto program ruchu pod hasłem: „*Wolność ludom! Wolność człowiekowi!*”. W lipcu 1944 roku utworzono Ukraińską Główną Radę Wyzwoleńczą (UHWR — według pierwszych liter ukraińskiej nazwy). UHWR, pełniąc rolę „*podziemnego rządu*” Ukrainy, proklamowała następujące cele i zasady: równość wszystkich narodów zamieszkujących Ukrainę; zbudowanie w niezależnym państwie ukraińskim wolnego od wyzysku człowieka przez człowieka społeczeństwa, bazującego na własności publicznej najważniejszych środków produkcji; wolność wyznania, słowa, prasy i zgromadzeń; rewolucyjna przebudowa ZSRR poprzez stworzenie niezależnych państw dla wszystkich zniewolonych przez stalinowską tyranię narodów.

Pod kierownictwem UHWR Ukraińska Powstańcza Armia prowadziła ofiarną walkę z oddziałami operacyjnymi NKWD. Nie pozwolić stalinowskiej dyktaturze na umocnienie pozycji na ziemiach Ukrainy Zachodniej, nie dopuścić do zniewolenia chłopów w kołchozach, przeszkodzić w tworzeniu wrogich narodowi ukraińskiemu organizacji młodzieżowych i kulturalnych, zniszczyć agenturę okupantów — takie były cele walki, podczas której żołnierze UPA oraz działacze podziemia w miastach wykazali bezprzykładną odwagę i bohaterstwo. Ani ciągłe zagrożenie życia, ani trudy wieloletniego przebywania w lasach i kryjówkach, ani tortury w katowniach NKWD nie mogły złamać woli bohaterów. Nigdzie i nigdy reżim stalinowski nie napotkał takiego zaciętego zbrojnego oporu, na który odpowiedział najokrutniejszym masowym terrorem. Płonęły wsie, dziesiątki tysięcy cywilów zamordowano i zakatowano, setki tysięcy zesłano na Syberię. Aby skompromitować żołnierzy UPA w oczach ludności, czekiści stworzyli specjalne oddziały bandytów — tak zwane „*specbojówki NKWD*”. Te bandy patologicznych sadystów i gwałcicieli, złożone z najgorszych zbrodniarzy, działające pod pozorem i w imieniu podziemia zbrojnego, w bestialski sposób rozprawiły się z chłopami.

W końcu olbrzymia machina wojskowa stalinowskiego imperium zmiażdżyła garstkę bohaterów, ale niezwykła odwaga, którą wykazali się żołnierze i dowódcy UPA, znalazła dzisiaj największe potwierdzenie w powstaniu niezależnej, demokratycznej Ukrainy.

WERSJA TRZECIA. NAJNOWSZA NIEPODLEGŁA.

W minionych stuleciach coraz to nowe hordy najeźdźców dzieliły między siebie ukraińską ziemię, rabowały jej bogactwa, dręczyły i demoralizowały duszę ukraińskiego narodu. Przemocą i kłamstwem cudzoziemcy próbowali zmusić Ukraińców do zapomnienia ojczystego języka, pozbawić ich wiary we własne siły, przyzwyczać do uznawania siebie za gorszy gatunek, „*chochtów*”, „*małorusów*”. W najcięższą dla losów Ukrainy godzinę, po tragicznej zagładzie Ukraińskiej Rady Narodowej i okupacji ukraińskich ziem przez Polskę i radziecką Rosję, najlepsi przedstawiciele ukraińskiego narodu stworzyli Organizację Ukraińskich Nacjonalistów. Naród, jego interesy, jego przyszłość — oto jedyna gwiazda przewodnia, która prowadziła ich na ciernistym szlaku walki i poświęcenia. Ukraiński nacjonalizm stworzył nowy typ człowieka o żelaznym, niezłomnym charakterze, gotowego w każdej chwili poświęcić siebie i innych w imię wielkiego celu — Niepodległego Państwa Ukraińskiego. Ze stanowczością i przenikliwością prawdziwych przywódców narodu liderzy OUN odrzucili fałszywy blask demoralizujących liberalnych bredni o „*prawach człowieka*” i „*swobodach demokratycznych*”. Tylko siłą, tylko ogniem i mieczem, tworzą się i upadają państwa, i nie jest winą narodu ukraińskiego, że przypadło mu w udziale odnawianie swojego państwa w XX wieku, wieku mieszczańskiej hipokryzji i panoszenia się obłudnej moralności.

Podzielona na części przez licznych wrogów Ukraina potrzebowała silnego sojusznika i przywódcy OUN zdecydowanie i konsekwentnie obrali kurs na współpracę z nową, dynamiczną europejską siłą — hitlerowskimi Niemcami. Sojusznicy mieli wspólny cel — odbudowę swojego (niemieckiego i ukraińskiego) państwa w jego sprawiedliwych granicach etnicznych — oraz wspólnego wroga — ulegającą rozkładowi Polskę i agresywny, skoncentrowany na ciągłą ekspansję Związek Radziecki. Z wielkim politycznym kunsztem liderzy ukraińskich nacjonalistów wykorzystali moment gwałtownego starcia pomiędzy światowymi mocarstwami dla osiągnięcia swojego niezmiennego celu — wyzwolenia Ukrainy spod wielowiekowego moskiewskiego jarzma. Taktycznie popierając

Niemcy, starali się w jak największym stopniu przerzucić na niemiecką armię ciężar walki ze stalinowskim imperium i oszczędzić tym samym siły witalne narodu ukraińskiego dla ostatniego, decydującego starcia. Tragiczny splot okoliczności uniemożliwił zrealizowanie tego planu, ale w obliczu nieuchronnej klęski liderzy ukraińskich nacjonalistów wykazali się wielkim hartem ducha. Walczyli na swojej, nie na obcej ziemi; widzieli śmierć tysięcy swoich współtowarzyszy, żądali całkowitego poświęcenia od tchórzliwego drobnomieszczaństwa, lecz sami również bez chwili wahania oddawali za ojczyznę swoją krew i życie. Chwała Ukrainie! Bohaterom chwała!

Najbardziej niewiarygodne jest to, że w pewnym stopniu wszystko powyższe (poza wiecową retoryką) jest bliskie prawdy (również tekst składa się z autentycznych cytatów). Czy znajdzie się w historii XX wieku jeszcze jeden równie niejednoznaczny fenomen? Czy znajdzie się jeszcze jedna organizacja polityczna, która wykonałaby tak niewiarygodny zwrot od totalitaryzmu do deklarowanego demokratyzmu i z powrotem?

Od czego należy zacząć krótki przegląd historii ruchu banderowskiego? Od geografii.

„*Daleko od ukraińskich ziem, przechodząc przez Polskę, mijając ludny Lemberg [Lwów — M.S.], biegną szeregiem wysokie szczyty gór. (...) Tam i wiara jest inna, i mowa jest inna*”. Tak pisał słynny putinowski propagandysta, doktor nauk komunistycznych, wielkomocarstwowy szowinista i ukrajinofob (niczego nie pominąłem ze standardowego wykazu negatywnych określeń?) Mikołaj Gogol. Właśnie taka („*i wiara jest inna, i mowa jest inna*”), bardzo odległa od ukraińskich ziem, wydawała się w XIX wieku Galicja.

Wschodnia (ukraińska) Galicja, czyli tereny wschodniego podgórze Karpat oraz miast Lwów, Sambor, Stryj, Galicz, Stanisławów (obecnie Iwano–Frankowsk), Kołomyja, Tarnopol, Zbaraż, Brody, nigdy nie była częścią Imperium Rosyjskiego. Rozkwit Rusi Halicko–Wołyńskiej w połowie XIII wieku załamał się po najeździe Batuchana; po tym ciosie księstwo istniało jeszcze przez całe stulecie (i było przez krótki czas pierwszym i jedynym wschodniosłowiańskim królestwem), ale pod koniec XIV wieku jego ziemie zostały ostatecznie podzielone pomiędzy Wielkie Księstwo Litewskie (Wołyń) i Polskę, w której skład weszła Galicja. Stolica regionu — Lwów —

z biegiem czasu stała się jednym z najważniejszych gospodarczych i kulturalnych ośrodków w Polsce, w 1661 roku powstał Uniwersytet Lwowski.

Po pierwszym rozbiore Rzeczypospolitej (1772 r.) i aż do I wojny światowej Galicja była częścią olbrzymiego wielonarodowego imperium Habsburgów (tzw. Austro–Węgier).

Geograficzne, historyczne i administracyjno–państwowe oderwanie Galicji od „centralnej”, naddnieprzańskiej Ukrainy pogłębiały również różnice wyznaniowe. Wielowiekowa krwawa walka prawosławia i katolicyzmu doprowadziła do powstania i umocnienia w Galicji greckokatolickiego (unickiego) Kościoła. Problem polega oczywiście nie na tym, że galicyjskiego i na przykład wołyńskiego czy żytomierskiego chłopą dzieliły różnice dogmatyczne obu wyznań (niepiśmienni chłopci raczej nie orientowali się w tych zawiłościach). Wszystko było o wiele prostsze — i bardziej rygorystyczne. Prawosławna ukraińska dziewczyna i galicyjski chłopak z rodziny unickiej nie mogli wziąć ślubu w jednym kościele, nie mogli wspólnie ochrzcić urodzonych w małżeństwie dzieci. Co więcej, z biegiem lat w Galicji pojawiła się niezwykła (może nawet unikatowa) tradycja określania narodowości w rodzinach. Tak o tym pisze ukraiński historyk Wiktor Poliszczuk:

W Galicji, z powodu dominującego tam wśród Ukraińców greckokatolickiego (unickiego) Kościoła, dogmatycznie i organizacyjnie podporządkowanego Kościołowi rzymskokatolickiemu, którego członkami byli przeważnie Polacy i galicyjscy Ukraińcy, śluby mogły odbywać się w jednym lub drugim kościele, czyli w kościele rzymsko–łacińskim lub wschodniego, tzn. unickiego, obrządku. (...) W takiej rodzinie chłopcy, jeżeli mówimy o wyznaniu, a nawet narodowości, dziedziczyli wszystko po ojcu, a dziewczynki po matce. Powstawały na pierwszy rzut oka dwuwyznaniowe rodziny, w których część dzieci była wyznania rzymskokatolickiego i narodowości polskiej, a druga — wyznania greckokatolickiego i narodowości ukraińskiej.

Rzecz jasna, że taka tradycja z jednej strony prowadziła do asymilacji Polaków i Ukraińców, z drugiej — pogłębiała podział między unicką Galicją oraz prawosławnymi centrum i wschodem Ukrainy. Wiele pokoleń, urodzonych i mieszkających w Rzeczypospolitej, nieuchronnie doprowadziło do nasycenia mowy galicyjskich Ukraińców polonizmami i germanizmami do

tego stopnia, że mieszkaniec wschodniej Ukrainy nie zawsze mógł zrozumieć mieszkańca Galicji. W każdym razie Taras Bulba raczej nie uznałby galicyjskich unitów za „swoich” — wręcz przeciwnie, powiedziała by coś w rodzaju: *„Przejmują czort wie jakie bisurmańskie zwyczaje, gardzą swoim językiem; swój ze swoim nie chce gadać”*. I strach pomyśleć, jak w rzeczywistości mogło się zakończyć spotkanie Kozaków zaporoskich z rodziną Stepana Bandery, którego ojciec był unickim duchownym, a matka — córką duchownego. (*„Dęba stanąłby włos od tych potwornych dowodów szaleństwa półdzikiego wieku, które roznieśli wszędzie zaporoscy. Skatowane niemowlęta, odcięte piersi u kobiet, po kolana zdarta skóra u puszczonech wolno — słowem, pięknym za nadobne odpłacali Kozacy za stare długie”*)

Wejście Galicji do imperium Habsburgów doprowadziło do znacznych zmian w pozycji społecznej galicyjskich Ukraińców. Imperium w ramach tradycyjnej polityki „*dziel i rządź*” prowadziło misterną grę wspierania słabych w konfrontacji z silnymi. Ziemie zdobyte przez Austro–Węgry składały się z polsko–żydowskich miast w otoczeniu ukraińsko–polskich wsi. Właśnie w takiej proporcji. Według encyklopedii Brockhousa i Efrona pod koniec XIX wieku ludność Lwowa składała się z 67 tysięcy Polaków, 36 tysięcy Żydów, 21 tysięcy Ukraińców. A ponieważ w każdej epoce władza, pieniądze i wiedza znajdowały się w mieście, a miasto było polskie, dopiero później żydowskie i tylko trochę ukraińskie, to władze austriackie uznały za stosowne wspierać Ukraińców, wykorzystując ich jako przeciwwagę wobec Polaków.

We Lwowie i Wiedniu wydawano ukraińskie gazety, drukowano książki w języku ukraińskim, otwierano ukraińskie szkoły (a w XX wieku również ukraińskie uniwersytety). W ostatnich dwóch dziesięcioleciach XIX wieku we Lwowie było wiele ukraińskich organizacji narodowo–kulturalnych, młodzieżowych, oświatowych; działała (co prawda społecznie, nie posiadając realnej władzy) Ukraińska Rada Narodowa. W atmosferze odrodzenia narodowego, w „*Piemoncie Karpat*”, jak nazywano wówczas Lwów, u mieszkańców Galicji ukształtował się bardzo osobliwy stosunek wobec wschodnich Ukraińców — jak do ubogich (w każdym znaczeniu tego słowa) krewnych, uciskanych i nawet nie uświadamiających sobie skali tego ucisku.

Wraz z wybuchem wojny światowej lwowska Rada Narodowa zaapelowała do austro–węgierskich Ukraińców, żeby stanęli w pierwszym

szeregu walczących przeciwko Imperium Rosyjskiemu, „*uciskajacemu braci Ukraińców*”. Na bazie młodzieżowych organizacji wojskowo–sportowych utworzono tak zwany Legion Strzelców Siczowych, który stał się jednym z najbardziej walecznych oddziałów armii austriackiej. Carską armię rosyjską w Karpatach przywitano bynajmniej nie kwiatami. Władze rosyjskie nie pozostały dłużne i z Galicji deportowano dziesiątki tysięcy ukraińskich działaczy, przedstawicieli inteligencji i duchowieństwa unickiego (do Syberii jednak te pociągi nie dojechały — w Rosji wybuchła rewolucja...).

Raczej nie jest zbiegiem okoliczności fakt, że książka D. Doncowa **Nacjonalizm** po raz pierwszy ukazała się w Galicji (w mieście Żółkiew), w drukarni klasztoru greckokatolickiego, że zjazd założycielski Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów odbył się w Wiedniu, pierwszym zwierzchnikiem organizacji został pułkownik Strzelców Siczowych Jewhen Konowalec, większość przywódców ruchu (S. Bandera, A. Mielnyk, J. Stecko, R. Szuchewycz, D. Klaczkiwski, W. Kuk, I. Hrynioch, M. Matwijenko) urodziła się w Galicji, i że tak zwany Akt odnowienia Państwa Ukraińskiego z 30 czerwca 1941 roku ogłoszono we Lwowie, i że pierwszą (jedyną) ukraińską dywizję Waffen SS utworzono we Lwowie oraz nadano jej nazwę *Galizien...*

W nawiasie odnotujmy, że każda dyskusja na temat tego, że nacjonalizm OUN był raczej galicyjskim niż ogólno–ukraińskim fenomenem, wywołuje u obecnych obrońców banderowszczyzny niewyobrażalną wściekłość. Jakże inaczej, przecież cała ich „*argumentacja*” zbudowana jest na stwierdzeniu, że „*banderowcy — to jest właśnie naród ukraiński*”, a „*naród ma zawsze rację, dlatego że posiada prawo*” i „*stosunek do Bandery i OUN jest papierkiem lakmusowym, który wykrywa ukrajinofobów i imperialistycznych szowinistów*”. W świetle takich wyobrażeń w ostatnich 10–15 latach przeprowadzono bardzo dokładne „*badania*”, żeby odnaleźć chociaż najmniejsze ślady ruchu banderowskiego na wschodzie Ukrainy (sprawy zaszły tak daleko, że przypisano banderowskie pochodzenie krasnodońskiej Młodej Gwardii).

W rezultacie nacjonałiści wychłostali siebie boleśniej niż wdowa podoficera u Gogola: nie udało się odnaleźć żadnego aktywnego banderowskiego podziemia na wschód od Dniepru; wśród ustalonych 254 nazwisk przywódców OUN, UPA i UHWR tylko 63 osoby nie urodziły się w Galicji (i zajmowały trzeciorzędne stanowiska). Zresztą najbardziej obiektywnym i znamienym „*badaniem*” były wyniki pierwszej tury

wyborów prezydenckich na Ukrainie w 2010 roku. Na Tiahnyboka, kandydata narodowych ekstremistów, otwarcie wystawiających banderowców, zagłosowało aż... 1,4% wyborców. Nawet we Lwowie (!!!) Tiahnybok zdobył jedynie 5,35% głosów, przegrywając z „*prorosyjskim*” Janukowiczem (5,67%). Maksymalny poziom poparcia odnotowano w rejonie brodowskim obwodu lwowskiego — 9,8%. Z kolei w centralnych i wschodnich rejonach Ukrainy na Tiahnyboka zagłosowała mikroskopijnie mała liczba wyborców, co ukształtowało ostateczny, nader opłakany dla nacjonalistów wynik. I to proszę zauważyć, w sytuacji długotrwałego kryzysu politycznego i gospodarczego, przy zamykanych fabrykach, spadającej wartości hrywny, powszechnym bezrobociu, paraliżu władzy — czyli w idealnym dla rozwoju ruchów ekstremistycznych „*środowisku*”...

Jednak wróćmy do historii. Dwa imperia (rosyjskie i austro-węgierskie) nie wytrzymały trudów wieloletniej wojny światowej i upadły; na ich zgliszczach od razu rozpoczęła się zacięta krwawa walka „*wszystkich ze wszystkimi*”. Dla narodu ukraińskiego rezultaty tej wojny były naprawdę tragiczne. Utworzona w Galicji ZURL (Zachodnioukraińska Republika Ludowa) została rozgromiona przez armię odrodzonej Polski; w Ukrainie centralnej lewicowi nacjonaści (tzw. petlurowcy) proklamowali powstanie URL (Ukraińskiej Republiki Ludowej), której armia ponosiła jedną klęskę po drugiej w walkach z radziecką Armią Czerwoną. W tej sytuacji w kwietniu 1920 roku Petlura i Piłsudski zawarli porozumienie w sprawie polsko-ukraińskiej konfederacji, przy tym granicę między Polską i Ukrainą wytyczono na Zbruczu (czyli Galicja i Wołyń znalazły się w składzie Polski). Jak wiadomo, w Moskwie „*nie pochwalono*” planu stworzenia konfederacji polsko-ukraińskiej. W maju 1920 roku wybuchła wojna polsko-radziecka, podczas której Armia Czerwona najpierw popędziła Polaków od Kijowa do Warszawy, a następnie sama w nieładzie uciekała z Warszawy do Mińska. 18 marca 1921 roku podpisano traktat pokojowy między Polską a... bynajmniej nie Związkiem Radzieckim (który wówczas w ogóle nie istniał), tylko dwoma przeciwnikami Polski — radziecką Rosją i radziecką Ukrainą. Na mocy traktatu ryskiego granica między Polską i Ukrainą również przebiegała po Zbruczu; w ten sposób przyłączenie Wołynia i Galicji (tego, co później uzyskało nazwę „*Ukrainy Zachodniej*”) do odrodzonej Polski zostało

zatwierdzone podpisami dwóch (petlurowskiego i radzieckiego) ukraińskich rządów.

Na wschód od Zbrucza pojawiła się „*niepodległa*” radziecka Ukraina, niedługo potem włączona do ZSRR. Rozgrywki polityczne dotyczące partyjno–komunistycznej „*ukrainizacji*” lat 20. szybko zakończono (prawie wszyscy „*gracze*”, podobnie jak ich oponenti i sojusznicy polityczni, zostali rozstrzelani w epoce wielkiego terroru) i na radziecką Ukrainę spadły wszystkie nieszczęścia, wszystkie „*plagi egipskie*” tyranii stalinowskiego reżimu, wraz ze sztucznie wywołanym głodem lat 1932–1933, którego ofiarami stały się miliony Ukraińców. Na Wołyniu i w Galicji, czyli w „*polskiej Ukrainie*”, powstała znacznie bardziej skomplikowana i niejednoznaczna sytuacja.

O zobowiązaniu się do udzielenia Ukraińcom prawa do szerokiej autonomii władze II Rzeczypospolitej szybko zapomniały; z drugiej strony, oficjalnie wszystkie mniejszości narodowe w Polsce (czyli przede wszystkim Ukraińcy i Żydzi) miały takie same prawa jak Polacy, Ukraińcy byli wśród posłów na Sejm, w samorządach i w korpusie oficerskim polskiej armii. Jednocześnie przeprowadzano całkiem świadomą politykę „*polonizacji*” — zmniejszano liczbę ukraińskich szkół, zamykano ukraińskie gazety i wydawnictwa. Na Wołyn z środkowej Polski przesiedlano tzw. osadników, którym oddawano najlepsze ziemie (zgodnie z wersją współczesnych historyków ukraińskich — w celu zmian w składzie narodowościowym mieszkańców na rzecz Polaków; z kolei według wersji polskich autorów był to jedynie powrót Polaków na ziemie ojców i dziadów, skonfiskowane przez carski rząd po klęsce polskiego powstania w 1863 roku). Wreszcie największe napięcia powodowały, nieuregulowane żadną ustawą, ale niestety już stereotypowe, polska pycha i polska duma. Nietrudno się domyślać, jak rozgorzały te godne pożałowania odczucia w odzyskanym państwie polskim, które postanowiło odpłacić się za dwa wieki klęsk i poniżenia narodowego.

Ogólnie rzecz biorąc, należy stwierdzić, że przywódcy II Rzeczypospolitej (którzy doprowadzili kraj do katastrofy września 1939 roku) prowadzili politykę narodową w najbardziej głupi sposób, jaki tylko można sobie wyobrazić: polski ucisk narodowy był wystarczająco silny, żeby nie można go było nie zauważyć, ale zbyt słaby, żeby (idąc za przykładem

towarzysza Stalina) stłumić jakąkolwiek możliwość oporu. Co miało całkiem przewidywalne skutki.

Gorycz porażki szczególnie ostro odczuwali galicyjscy Ukraińcy, którzy z uprzywilejowanej (w dawnych Austro–Węgrzech) mniejszości musieli się zmienić w obiekt jawnego ucisku ze strony polskich władz. Przywódcy i działacze rozgromionej ZURL przenieśli się do bliskiej (do Wiednia i Pragi) emigracji i już we wrześniu 1920 roku powstała Ukraińska Organizacja Wojskowa (UWO), na której czele stanął pułkownik Legionu Strzelców Siczowych Jewhen Konowalec (wnuk duchownego unickiego). Nazwa organizacji bez ogródek świadczyła o zakładanych metodach walki o odrodzenie ukraińskiej państwowości. Zresztą na początku lat 20. zdecydowanie negatywny stosunek do liberalno–demokratycznych idei stał się tendencją ogólnoeuropejską (a nie tylko zachodnioukraińską). Pod wpływem „wiadomości ze Wschodu” (czyli stalinowskiego ZSRR) szybko straciły dawny autorytet również bardzo powszechne wcześniej poglądy lewicowo–socjalistyczne. Powstała próżnia wymagała nowej treści. Dla galicyjskich ekstremistów trzonem konsolidacji ideowej stał się nacjonalizm integralny Dmytra Doncowa.

Ten człowiek urodził się w Melitopolu w rosyjskiej rodzinie, wcześniej stracił rodziców, mieszkał i studiował w Petersburgu, Wiedniu, Lwowie, Berlinie, osobiście znał Petlurę, pracował w proniemieckim rządzie hetmana Skoropadskiego w Kijowie. Urodził się jako Mitka Szełkopierow, ponieważ jednak zajmowanie się publicystyką z takim nazwiskiem było niewskazane, przyszłe bożyszcze ukraińskich nacjonalistów przyjęło pseudonim „Doncow”. Pierwsze antymoskalskie artykuły wydał już w 1913 roku, a w 1926 ukazała się fundamentalna praca Doncowa **Nacjonalizm**. Na tej książce wychowały się dwa pokolenia ukraińskich nacjonalistów (a u kresu prezydentury Juszczenki **Nacjonalizm** Doncowa nawet stał się podręcznikiem akademickim).

Integral (całka) to jednoczenie, połączenie, sumowanie. W tym przypadku to słowo w istocie było kalką, synonimem takiego pojęcia jak wiązka, związek, z którego w języku włoskim wywodzi się określenie fasyzm (Doncow nie tylko znał dzieła Mussoliniego, ale nawet przetłumaczył na ukraiński **La dottrina del fascismo**). Autor połączył w całość dwie na pierwszy rzut oka nie powiązane ze sobą rzeczy. Po pierwsze, sięgające

jeszcze XIX wieku idee nietzscheańskie, kult silnej jednostki, dla której nie istnieje ani prawo, ani zasady moralne. Te idee mogły być interpretowane również jako usprawiedliwienie skrajnego egoizmu i hedonizmu, ale Doncow łączy je z ideą Nacji, która staje się wartością absolutną. Nacja jest ponad jednostką, ponad partią, ponad klasą społeczną, przy tym wola nacji jest realizowana poprzez aktywne działania owładniętej fanatycznym zrywem mniejszości, wyzwolonej z „*drobnomieszczańskich ograniczeń*” moralności i prawa. Te zasady Doncow deklarował bardzo stanowczo i z rozbijającą szczerością:

Fanatyzm narodowy jest bronią silnych narodów, którą dokonuje się wielkich czynów. Fanatyk uznaje swoją prawdę za jedyną słuszną, powszechną, jaką powinni przyjąć inni. Stąd jego agresywność i brak tolerancji wobec innych poglądów. (...) Bądźcie agresorami i zdobywcami, póki nie możecie być władcami i posiadaczami. Wola życia równa się woli panowania. (...) Sens życia to posiadać i panować; jego istotą jest walka o przewagę, o rozrost i poszerzanie, o potęgę, ponieważ żądza potęgi jest właściwie żądzą życia. (...) Rodzaj ludzki, mimo że jest gatunkiem społecznym, zawsze był i pozostaje nadal gatunkiem drapieżnym. (...) Prawo natury to prawo siły, ekspansji — nie tylko afirmacji własnej woli życia, lecz również zaprzeczenia jej u innych. (...) Wola życia i dążenie do władzy przekształcają się w wolę wojny. (...) Wola wojny między narodami jest wieczna. Wieczna jest wojna. (...) Natura i historia nie znają ras agresywnych i nieagresywnych, lecz tylko rasy silne i słabe. Silne rasy uwalniają się, gdy są podbite, i rozszerzają się kosztem słabszych, gdy są wolne.

I tak dalej. Na setkach stron ciągną się niekończące się stwierdzenia na temat „*człowiek człowiekowi wilkiem*”, przy czym ta teza na poziomie stosunków między państwami i między narodami staje się Absolutną Prawdą. Bez cienia zażenowania Doncow wymienia jako podstawowe „*wymagania aktywnego nacjonalizmu*” „*romantyzm, dogmatyzm, iluzjonizm, fanatyzm i «amoralność»*”. Owszem, wyraz „*amoralność*” wziął w cudzysłów, ale jak widzimy chociażby w przytoczonych powyżej stwierdzeniach, poprzez cudzysłów Doncow chciał jedynie wzmocnić uczucie swojej pogardy wobec „*słabeuszy*”, którzy szukają pocieszenia w normach ogólne przyjętej moralności.

Idee Doncowa znalazły podatny grunt w rozpalonych umysłach galicyjskich nacjonalistów. Co ciekawe, podczas przyjęcia do OUN nowy członek składał przysięgę na wierność, kładąc rękę nie na Ewangelii, krzyżu, statucie organizacji, konstytucji przyszłej niepodległej Ukrainy czy garści ojczystej ziemi, a na... rewolwerze! W styczniu–lutym 1929 roku w Wiedniu odbył się założycielski Zjazd (1 Wielki Zbor, wielu autorów używa określenia 1 Kongres), na którym powołano Organizację Ukraińskich Nacjonalistów. Na czele OUN stanął niezmienny Jewhen Konowalec (UWO jeszcze przez jakiś czas istniała jako nieoficjalne zbrojne ramię ruchu). W odezwie Zjazdu do narodu ukraińskiego stwierdzono między innymi:

Całkowite wyrzucenie wszystkich zaborców z ukraińskich ziem, które nastąpi podczas rewolucji narodowej, otworzy możliwości szerokiego rozwoju Narodu Ukraińskiego w granicach własnego państwa. (...) W swej polityce zagranicznej Państwo Ukraińskie dąży do ustalenia granic, które ogarną wszystkie ukraińskie tereny etniczne. (...) Tylko dyktatura narodowa, powstała podczas rewolucji, zapewni potęgę wewnętrzną Narodu Ukraińskiego.

Żeby dogłębnie uświadomić sobie, co właściwie obiecali przyszli twórcy „dyktatury narodowej”, jakich „zaborców” zamierzali oni „całkowicie wyrzucić z ukraińskiej ziemi”, należy wziąć pod uwagę, że przez „ukraińskie ziemie etniczne” przywódcy OUN rozumieli nie tylko całe bez wyjątku terytorium współczesnej Ukrainy (z Krymem, Odessą i Donbasem), ale również Przemyśl, Chełm, część województwa lubelskiego w Polsce, Brześć i Pińsk na Białorusi, Kursk, Woroneż, Taganróg, Stawropol, Krasnodar w Rosji. W niektórych oficjalnych oświadczeniach granice określano w bardzo prosty sposób: „od Dunaju i Karpat do Morza Kaspijskiego”.

Słowo „dyktatura” również zostało użyte nieprzypadkowo. W punkcie 16 Postanowienia Wielkiego Zboru czytamy: „Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów została zbudowana na zasadach wszechukraiństwa, ponadpartyjności i monokratyzmu”. Wszystkie trzy słowa sprowadzają się do jednego, we współczesnym języku politycznym to się nazywa „totalitaryzm”. Jeden z głównych wówczas ideologów OUN (nawiasem mówiąc, syn duchownego unickiego) Stepan Łenkawski ułożył tekst Dekalogu, w którym w formie dziesięciu przykazań, skierowanych do członków ruchu, w wyrazistej i przystępnej formie zostały sformułowane podstawowe zasady i

zadania. Przede wszystkim proklamowano: „*Zbudujesz Państwo Ukraińskie albo zginiesz w walce o nie*”. Punkt siódmy głosił (grzechem jest nazywać to przykazaniem): „*Nie zawahasz się popełnić największej zbrodni, jeżeli będzie tego wymagało dobro Sprawy*”. Punkt ósmy: „*Nienawiścią i podstępem pokonasz wrogów Twojej Nacji*”.

Wprowadzono również formę „*wielkiego nacjonalistycznego przywitania*” — podniesiona do góry prawa ręka z otwartą dłonią. Powitanie: „*Chwała Ukrainie!*”, odpowiedź: „*Chwała przywódcy!*” (dużo później, po śmierci Konowalca i rozłamie organizacji na melnykowców i banderowców, banderowcy, którzy nie uznawali Melnyka za „*przywódcę*”, wprowadzili jako odpowiedź „*Bohaterom chwała!*”). W sierpniu 1939 roku, gdy pojawiło się pytanie, czy Niemcy po rozgromieniu Polski pozwolą OUN stworzyć na jej gruzach coś na kształt „*mini-Ukrainy*”, Melnyk i Sciborski bardzo szybko ułożyli tekst Konstytucji przyszłego państwa. Zaczynała się ona tak: „*Ukraina jest niezależnym, autorytarnym, totalitarnym, zawodowo–stanowym państwem*”. Na czele niezależnej i totalitarnej Ukrainy powinien stanąć mianowany dożywotnio Wódz Nacji, posiadający prawa powoływania i rozwiązywania rządu i parlamentu, przy tym w swoich czynach Wódz odpowiada tylko „*przed Bogiem, historią i własnym sumieniem*”.

Jest takie dobre powiedzenie: „*Jeżeli ptak chodzi jak kaczka, pływa jak kaczka i kwacze jak kaczka, to jest to kaczka*”. Więc jak powinna się nazywać organizacja, która propaguje kult siły, otwarcie namawia do agresji, ekspansji, nienawiści między narodami i wojny? Nie posiadając ku temu najmniejszych uprawnień, zaczyna wypowiadać się w imieniu całego narodu? Szykuje się do zbrojnego przejęcia władzy? Deklaruje ustanowienie dyktatury dożywotniego „*wodza*” i przeprowadzenia totalnych czystek etnicznych? Czy nie istnieje pewne dobrze znane określenie, którym zazwyczaj określa się podobne organizacje i ruchy? Milczą obecni piewcy banderowszczyzny, milczą i nie dają odpowiedzi. Albo wręcz przeciwnie, z oburzeniem krzyczą wniebogłosy, demonstrując obrażoną niewinność — zupełnie jak pensjonariuszki szkoły zakonnej, którym pokazano gołego konia. Kolejni posuwają się jeszcze dalej, zniżając się do fałszowania dokumentów — w rezultacie pod koniec lat 60. w środowisku kanadyjskiej emigracji ukraińskiej stworzono „*nowy dekalog*”, w którym zamiast otwarcie „*krwiożerczego*” siódmego punktu („*popełnić*

największą zbrodnię”) pojawia się wręcz wegetariańskie „wykonać najbardziej niebezpieczne zadanie...”

Należy przyznać, że galicyjscy faszyci nie wstydzili się swojego ideowego pokrewieństwa, nie gardzili towarzyszami broni i współwyznawcami. Już w 1923 roku w wydawanym przez UWO piśmie „*Literaturno–nawukowyj wistnyk*” Dmytro Doncow publikuje artykuł pod tytułem **Czy jesteśmy faszystami?**, w którym całkowicie popiera „*politycznego i moralno–psychologicznego ducha*” tej nowej (wówczas) ogólnoeuropejskiej zarazy. Jako dodatek literacki do „*Wistnyka*” („*Knihozbirnia Wistnyka*”) ukazała się seria publikacji opowiadających o szlaku bojowym przywódców europejskiego faszyzmu. Oto niektóre tytuły: **Mussolini — człowiek i czyn**, **A. Hitler, Ognisty krzyż — pułkownik la Rocque** (to o niedoszłym francuskim „*Führerze*”), **Franco — wódz Hiszpanów**. W przedmowie do broszury o Mussolinim Doncow pisze: „*Swoimi działaniami oczyścił naród od rozkładających go sił internacjonalizmu i rodzimej kołtunerii, a Włochy z prowincjonalnego kraju zmienił w nację, bez której nie może się odbyć nic ważnego na naszym kontynencie, a czasami i poza nim*”.

Wspomniany już Mykoła Sciborski w 1935 roku napisał dużą książkę **Naciokratia**, w której rozdział 4 nosił tytuł „*Faszyzm*”. Na tych stronach po prostu rozbrzmiewa uroczysty hymn faszyzmu:

Faszyzm oraz inne ruchy narodowe otworzyły zapomniany świat wielkich idei; za podstawę swojej działalności obrały zdrowe zasady autorytaryzmu przywódców nacji, hierarchii, obowiązku i dyscypliny. Na tych ideach i zasadach oparta została ich wielka misja uzdrowicieli chorej epoki. (...) Dyktatura jest tym twórczym, mobilizującym i wychowującym czynnikiem, który porywa za sobą masy i twardą ręką kieruje je do zbudowania duchowych i rzeczywistych wartości. Nie widzą tego tylko ślepi albo rozgoryczeni wyznawcy starych, zbankrutowanych talmudów.

Prawdę mówiąc, w którymś momencie Sciborski przypomina sobie o ukochanej „*niezależności*” i dodaje: „*Nacjonalizm ukraiński, uznając wielką zasługę historyczną faszyzmu i rzeczywiście zbliżając się do niego swoją ideologiczną treścią, jest jednocześnie ruchem na wskroś oryginalnym i niezależnym od nikogo. Jest skupiony tylko na zadaniach własnego narodu*”.

Do powyższego pozostaje tylko dodać, że w kwietniu 1941 roku na 2 Wielkim Zborze (Zjeździe) banderowskiej OUN jako symbol ruchu przyjęto czarno–czerwony sztandar (u niemieckich nazistów — czarna swastyka w białym kole na tle czerwonego sztandaru), a po tzw. „*odzyskaniu niepodległości*” (30 czerwca 1941 r.) samozwańczy rząd J. Stecki 4 lipca 1941 r. rozesłał pozdrowienia do Adolfa Hitlera, Hermanna Göringa, Joachima Ribbentropa, Benita Mussoliniego, Francisca Franco i Ante Pavelicia (przywódcy chorwackich ustaszy). Cała „*faszystowska międzynarodówka*” jak jeden mąż, pamiętali o wszystkich...

Czy warto było w ramach niedużego artykułu tyle miejsca i czasu poświęcać na omawianie ideologii i frazeologii faszyzmu galicyjskiego? Czy nie lepiej od razu zacząć opowieść o „*krwawych walkach*”? Jestem przekonany, że przynajmniej bez minimalnego zapoznania się z historią powstania i ideologią OUN niemożliwe jest zrozumienie dalszej ewolucji ukraińskiego nacjonalizmu. Trzeba między innymi właściwie ocenić ten oszałamiający, niebywały „*zwrot o 180 stopni*”, który nastąpił na przełomie lat 1943–1944. Organizacja zbudowana na ideach „*wodzostwa*”, terroru, totalitarnej dyktatury i nienawiści narodowościowej nagle deklaruje zasadę równości wszystkich obywateli Ukrainy bez względu na narodowość i wyznanie, co więcej, uzupełnia je demoralizującymi hasłami wolności osobistej, wolności wyznania, słowa, druku i zgromadzeń. Co się z nimi stało? Czy był szczerzy ten bodajże jedyny w historii błyskawiczny zwrot od przeklinania i szydzenia z ideałów wolności i demokracji do ich głoszenia?

Znając prehistorię ruchu banderowskiego, pamiętając o jego pierwotnych podstawach ideologicznych, bez trudu znajdziemy odpowiedzi na te pytania. Odpowiedź jest nadzwyczaj prosta — dla banderowskich przywódców pojęcie „*szczerzy*” w ogóle nie istniało. Równie dobrze można było zwrócić się do daltonisty z pytaniem, które tapety bardziej mu się podobają: różowe czy błękitne... Jaką „*szczerłość*” mogli przejawiać ludzie wychowani w duchu „*dogmatyzmu, iluzjonizmu, fanatyzmu i «amoralności»*”? Czy sprawiło im trud wypowiedzenie „*właściwych*” słów, skoro 15 lat wcześniej już poprzysięgli dokonać w imię sprawy największych zbrodni i niszczyć wrogów „*nienawiścią i wiarołomstwem*”?

No a ci, którym taki wniosek wydaje się bezpodstawny (czy nawet obraźliwy w stosunku do „*bojowników walczących z tyranią stalinowską*”),

niech odpowiedzą na dwa proste pytania: Czy zmienili się po III Nadzwyczajnym Zborze (sierpień 1943 r.) przywódcy ruchu? Czy potępliłi poprzednie poglądy, programy i działania? Czy wspańiałe hasło „*Wolność narodom! Wolność człowiekowi!*” wygłosili ci sami przywódcy, którzy nieco wcześniej przyjęli program „*całkowitego wyrzucenia wszystkich zaborców z ukraińskich ziem*” i poczynili w tym takie postępy, że byli zachlapani krwią niewinnych ofiar nawet nie po łokcie, a po sam czubek głowy? I wreszcie najważniejsze kryterium — pal licho słowa i programy, czy zmieniły się wraz ze słowami czyny banderowców?

I właśnie teraz nadszedł czas, żeby zwrócić się do historii czynów. O działalności OUN w latach 30. (nieustanne prowokowanie władz polskich w celu „*utrzymywania mas w stanie rewolucyjnego wrzenia*”, podarte i zdeptane polskie flagi, pobicia polskich nauczycieli, strzelanie zza rogu, „*wywłaszczanie*”, zamachy terrorystyczne na polskich urzędników, ciągłe poszukiwanie „*zdrajców*” w swoich szeregach, morderstwa „*wspólników polskich okupantów*” wśród zdrowo myślącej ukraińskiej inteligencji) napisano niemało, wszyscy zainteresowani bez trudu znajdą odpowiednią literaturę. W bardzo dużym skrócie przypomnę, że reakcja polskich władz była do przewidzenia: tysiące Ukraińców zostało aresztowanych, setki chłopskich obejść spalono podczas akcji, które przeprowadzała polska żandarmeria w ukraińskich wsiach podczas tzw. pacyfikacji w 1930 roku (co prawda, według wersji polskich historyków pacyfikacja była spowodowana falą masowych podpaleń polskich gospodarstw chłopskich). Szczytem „*osiągnięć*” bojowników OUN było zamordowanie 15 czerwca 1934 roku ministra spraw wewnętrznych Pierackiego.

Jak widzimy, do morderstwa Pierackiego i morderstwa Kirowa doszło w tym samym roku. Porównywalna była „*waga*” tych urzędników. Podobne były nawet okoliczności zabójstwa (Pieracki bez ochrony przyjechał na obiad do warszawskiej restauracji, po czym zbliżył się do niego terrorysta Maciejko i trzykrotnie strzelił z rewolweru). Zupełnie różne były konsekwencje. W stalinowskim ZSRR tego samego (nie następnego!) dnia, 1 grudnia 1934 roku, przyjęto postanowienie Centralnego Komitetu Wykonawczego „*O szczególnym trybie prowadzenia spraw dotyczących aktów terrorystycznych*”. Czas na przeprowadzenie dochodzenia zmniejszono do 10 dni, sąd rozpatrywał oskarżenie bez udziału stron (prokuratora i adwokata), wyrok

kary śmierci był ostateczny i natychmiast wykonywany. Faktycznie była to nieco przykryta figowym listkiem praworządności „*licencja na odstrzał*”.

W „*pańskiej Polsce*” sprawę zabójstwa ministra spraw wewnętrznych rozpatrywano w otwartym procesie sądowym, który rozciągnął się na 56 dni, stał się wielkim politycznym widowiskiem i przykuł uwagę „*całego postępowego społeczeństwa*”. W rezultacie żadnego z 12 oskarżonych (sam Maciejko bez trudu uciekł za granicę i mieszkał w Argentynie do 1966 roku) — wśród których byli Stepan Bandera (25 lat) i Mykoła Łebed (24 lata) — nie skazano na karę śmierci; wszyscy zostali skazani na karę więzienia, Bandera i Łebed dostali dożywocie.

Czeska policja (dotąd bardzo pobłażliwie traktująca obecność struktur OUN na swoim terytorium) aresztowała w Pradze jednego z czołowych działaczy ruchu, Omeliana Senyka, któremu skonfiskowano archiwum OUN, zawierające akta osobowe 2 tysięcy działaczy, oraz dokumentację finansową organizacji; to wszystko przekazano do dyspozycji polskich władz (według innej, mniej popularnej wersji, polska policja przejęła archiwum OUN, posługując się wdrożonym do organizacji informatorem, a historia o „*czeskiej policji*” została wymyślona w celu dezinformacji). Od razu po zamordowaniu Pierackiego w miejscowości Bereza Kartuska (obwód brzeski współczesnej Białorusi) stworzono obóz koncentracyjny, do którego z pominięciem drogi sądowej, zwykłą decyzją władz administracyjnych, kierowano na trzymiesięczną „*reedukację*”, składającą się z bicia i wymyślnego znęcania się, działaczy OUN oraz podziemnej partii komunistycznej Ukrainy Zachodniej; łącznie przed wybuchem wojny niemiecko–polskiej przez ten obóz przeszły ponad 3 tysiące osób. W 1938 roku w Rotterdamie został zamordowany (jak sądzono, przez agenta NKWD Sudopłatowa) Jewhen Konowalec. Ogólnie rzecz biorąc, kierownictwu i działaczom bojówek OUN zadano poważny cios, i organizacja miała spore szanse na zawsze zniknąć w mroku historii.

Wybuch wojny 1 września 1939 roku zmienił wszystko. Polska, przeciwko której ukraińscy nacjonałiści prowadzili wieloletnią walkę, zniknęła z politycznej mapy świata w ciągu jednego miesiąca. Ze zniszczonego przez niemieckie bomby więzienia w Brześciu uciekł (wyszedł) Stepan Bandera i jego „*towarzysze*”. Galicja i Wołyń zostały zajęte przez wojska radzieckie i uroczyście dołączyły do „*bratniej rodziny ludów*”

radzieckich” — tak mieszkańcy Galicji po raz pierwszy w historii znaleźli się w obrębie państwa ze stolicą w Moskwie. W porównaniu z metodami, za których pomocą organy NKWD wyrównywały poziom Ukrainy Zachodniej do poziomu Kraju Rad, represje byłych polskich władz mogły się wydać lekkim upomnieniem w przedszkolu...

W OUN zaczął się ostry wewnętrzny kryzys. Po śmierci Konowalca „*wodzem*” został mianowany Andrij Melnyk — dawny towarzysz broni i bliski przyjaciel Konowalca (ich żony były rodzonymi siostrami). Możliwe, że na podjęcie takiej decyzji miało wpływ stanowisko głowy Kościoła unickiego (z pochodzenia polskiego hrabiego), metropolity Szeptyckiego — osoby niesłuchanie wpływowej w Galicji (Melnyk nie tylko znał Szeptyckiego, ale przez pewien czas pracował jako zarządca w jego majątku). Uwolnieni „*młodzi bohaterowie*” nie zgodzili się z tym, że „*starzy działacze*”, próżnujący w dostatniej i bezpiecznej emigracji, znaleźli się na czele ruchu. Jak to zawsze się zdarza w podobnych organizacjach (czyli podziemnych zmilitaryzowanych strukturach, z założenia odrzucających demokratyczne metody zarządzania i godzenia interesów), konflikt przerodził się w rozłam z oskarżaniem się nawzajem o „*zdradę ideałów*” i „*prowokacje*”. W lutym 1940 roku zwolennicy Bandery ogłosili powstanie nowej „*rewolucyjnej*” partii. Na początku 1941 roku banderowska OUN–B i melnykowska OUN–M istniały faktycznie jako dwie oddzielne, rywalizujące i pod wieloma względami wrogie sobie ekstremistyczne organizacje.

Zbrojne podziemie wymaga niemałych pieniędzy. W odróżnieniu od współczesnych afgańskich talibów czy birmańskich maoistów OUN nie mogła finansować działalności ze sprzedaży heroiny czy maku. W takich okolicznościach współpraca ze służbami specjalnymi państw wrogich Polsce była całkiem naturalna i przewidywalna. W okresie międzywojennym głównym sponsorem finansującym galicyjskich faszystów była Litwa (co między innymi potwierdziły dokumenty z archiwum Senyka), a sam Konowalec do końca życia posiadał litewskie obywatelstwo, co pozwalało mu bez przeszkód podróżować po Europie.

Kontakty ze służbami specjalnymi Niemiec (najpierw — republiki weimarskiej, następnie — hitlerowskich) zaczęły się już w 1923 roku i były bardzo „*owocne*” — w niemieckich ośrodkach szkoleniowych przygotowano kilkuset agentów, a łączne wsparcie finansowe (w latach 1923–1938)

niektórzy autorzy szacują na 5 milionów marek. Z drugiej strony po zamordowaniu Pierackiego policja niemiecka na żądanie polskich władz aresztowała i deportowała do Polski Mykołę Łebedia, a także aresztowała i osadziła w niemieckim więzieniu jeszcze jednego działacza OUN, związanego z niemieckimi służbami specjalnymi Rika Jarego (urodzonego w Austrii Niemca po ojcu i Węgra po matce).

Na etapie przygotowań do radziecko–niemieckiej wojny (o ile można wnioskować z dokumentów OUN i wspomnień jej działaczy, w to, że bliska wojna między stronami paktu Mołotow–Ribbentrop jest nieunikniona, nikt nawet nie wątpił) współpraca między wszystkimi ugrupowaniami ukraińskich nacjonalistów i niemieckimi służbami gwałtownie się zacieśniła. Znacznie wzrosło również finansowanie — w samym 1940 roku obie frakcje (OUN–M i OUN–B) otrzymały ponad 5 milionów marek. W obozach szkoleniowych Abwehry (wywiadu wojskowego) na terytorium Niemiec i Austrii przygotowano dwa zwiadowczo–dywersyjne bataliony (czasami nazywane legionami), składające się z działaczy banderowskiej OUN. Bataliony, którym nadano nazwy *Roland* i *Nachtigall*, organizacyjnie podlegały niemieckiemu wywiadowi wojskowemu (a nie SS, jak czasami błędnie się pisze) i ubierały się w standardowe mundury Wehrmachtu, ale z dwoma specjalnymi elementami: żółto–błękitnym obszyciem naramienników i „trójzębem Włodzimierza” na czapkach.

Z punktu widzenia wiecowej retoryki fakt przyjęcia niemieckich pieniędzy oraz służby w niemieckich oddziałach dywersyjnych jest wyjątkowo „cenny”. Nic dziwnego, że radziecka propaganda te okoliczności chętnie podkreślała, a zwolennicy banderowszczyzny równie chętnie i nieudolnie maskowali. Nie uważam za stosowne nadawać tym szczegółom decydującego znaczenia — to nie one miały wpływ na „oblicze”, cele i zadania galicyjskich faszystów. Uljanow (Lenin) prawdopodobnie pobierał niemieckie pieniądze, ale spowodowanie wielkiego wydarzenia, jakim była bolszewicka rewolucja w Rosji, do „rozgrywek niemieckich agentów” jest po prostu śmieszne. Zresztą uwielbiany przez naród Stirlitz nosił niemiecki mundur (i to jaki — czarny mundur SS, a nie skromną szarozieloną bluzę Wehrmachtu, którą wkładał Szuchewycz), rozbijał się po Berlinie niemieckim samochodem i pensję w kasie RSHA odbierał bynajmniej nie w rublach...

Współcześni polityczni spadkobiercy banderowców bardzo by chcieli pokazać idoli w roli takich Stirlitzów, którzy sprytnie oszukali lekkomyślnych Niemców, zdobyli zaufanie, a w rzeczywistości... Ale niestety, nawet przez mikroskop elektronowy nie można dostrzec chociażby jednego ziarnka piasku, które żołnierze *Nachtigall* wsypali do silnika niemieckiego czołgu, a i doniesienia wywiadowcze, skierowane przez „justasów” z OUN do londyńskiego (waszyngtońskiego, moskiewskiego) „centrum”, w rzeczywistości nie istnieją — istnieją za to opasłe tomy dokumentów potwierdzających szpiegowską (na rzecz Niemiec oczywiście) działalność podziemia banderowskiego na terytorium Polski i ZSRR. Dlatego zainspirowani zalecanymi przez Dmytra Doncowa zasadami iluzjonizmu, obrali inną drogę: jak się okazuje, banderowcy nie oszukiwali Niemców, a wręcz przeciwnie, zostali przez nich podstępnie oszukani; jak się okazuje, przywódcy OUN mieli nadzieję, że wymiana „okupantów” radzieckich na niemieckich uszczęśliwi ukraiński naród, ale zostali oszukani mimo swych najlepszych intencji...

Te rozważania zawsze wydawały mi się czymś niewyobrażalnym. Przecież banderowscy przywódcy znajdowali się w latach 1940–1941 nie na terytorium Nowej Zelandii, a na terytorium okupowanej przez Niemców Polski; widzieli z bardzo bliska „nowy ład”, który zaprowadzili faszyci w pokonanej Europie. I nic nie zobaczyli? Nic nie zrozumieli? Niczego się nie domyślili? Zresztą na te pytania jest wyczerpująca odpowiedź. Udzielił jej najbardziej wiarygodny znawca historii ruchu banderowskiego — sam Stepan Bandera. W lipcu 1948 roku w Niemczech Zachodnich w oddzielnej broszurze ukazał się jego artykuł pod tytułem *Słowo do ukraińskich rewolucyjnych nacjonalistów za granicą*. W nim otwarcie, bez owijania w bawełnę, stwierdził: „Już wiosną 1941 roku w przededniu wybuchu niemiecko–radzieckiej wojny stały się oczywiste hitlerowskie plany wobec Ukrainy: (...) zaprząć do swojego imperialistycznego wozu, a następnie zmienić Ukrainę w teren kolonizacji, wyzysku gospodarczego i źródło niewolniczej siły roboczej”. I nieco później: „Było jasne, że hitlerowskie Niemcy nie zamierzają przychylnie się ustosunkować do kwestii niezależności państwowej Ukrainy”.

Zgodzicie się, że taki tekst świetnie by się prezentował na pierwszej stronie „Prawdy”. Oczywiście z jednym niezbędnym dodatkiem — trzeba

przywrócić na miejsce te słowa, które ja podstępnie ukryłem przed czytelnikiem, wstawiając wielokropek. A są to słowa: „*oszukanych mglistymi hasłami i obietnicami*”. No właśnie o to chodzi! Oszukali przekłęci, omamili naiwnego i ufego Banderę; tak namieszali mu w głowie, że rozkazał towarzyszom z bronią w ręku poprzeć kolonizatorów, którzy (co już wiosną 1941 roku było dla Bandery oczywiste!) zamierzali zmienić Ukrainę w obszar wyzysku i źródło niewolniczej siły roboczej.

Wszystko jasne oprócz jednego — jak? Jak, jakimi właściwie obietnicami Niemcy tak skusili Banderę? Co i przede wszystkim komu obiecali? W chwili obecnej ukazały się wielotomowe zbiory dokumentów ruchu banderowskiego, napisano dziesiątki wielkich monografii, obroniono setki prac doktorskich, wydrukowano wiele tysięcy artykułów — i nie ma chociażby jednej kartki, jednego skrawek czyichś wspomnień, z odpowiedzią na proste i najbardziej oczywiste pytanie: „*Co dobrego Niemcy obiecali zrobić dla narodu ukraińskiego?*”

Właśnie tak — dla narodu ukraińskiego, a nie dla samozwańczych „*przywódców*” krwiożerczej rasy, pochłoniętych żądzą posiadania i panowania. Czy pojawiły się ze strony niemieckiej przynajmniej obietnice — obietnice zbudowania na Ukrainie (za niemieckie pieniądze oczywiście) jeszcze kilku elektrowni wodnych i zakładów hutniczych, ruszenia z produkcją tanich volkswagenów w dawnych zakładach wojskowych w Charkowie, zbudowania 100 milionów metrów kwadratowych mieszkań (mniej więcej tyle zbudowano po wojnie w radzieckiej Ukrainie), przyznawania co roku 10 tysięcy stypendiów dla edukacji ukraińskiej młodzieży na niemieckich uniwersytetach (myślę, że nie mniejsza liczba Ukraińców co roku zdobywała wyższe wykształcenie na radzieckich uczelniach)... obrońcy banderowców milczą i nie udzielają odpowiedzi.

Długą niezręczną pauzę pozwolę sobie wypełnić starym żydowskim dowcipem. Przybiega dziewczyna z podwórka do domu cała we łzach i krzyczy:

- Mamo, mamó... tam na dworze... źli chłopcy męczą kotka!
- Co za łobuzy! Nie płacz, córeczko, zaraz ich przegonię.
- Tak, mamusiu, przegoni ich szybko! Sama chcę kotka męczyć...

Czy na miejscu jest tak obraźliwa analogia między zamiarami „*dobrej*” dziewczynki z dowcipu i planami realnych na nieszczęście przywódców

OUN? W poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie wróćmy do rzeczywistych wydarzeń.

Spędzono ludzi, bodajże ponad setkę — ukraińska inteligencja. Mówię „spędzono” dlatego, że był to pierwszy dzień wkroczenia Niemców do Lwowa. W mieście wybuchła strzelanina, z daleka było słycać huk dział. Ludzie bali się wychodzić na ulicę, a ci, co wychodzili, nie zapuszczali się daleko od domu. Wśród obecnych niemało było greckokatolickich duchownych, zebranych przez banderowskiego kapelana, ojca Iwana Hryniocha. Przedstawicielem metropolity był kardynał Josyf Slipyj, zachowujący się prawie jak patron tych, którzy zwołali tę naradę. Okazało się, że nie była to zwykła narada. Ogłoszono, że wszyscy tu obecni jesteście „wybrańcami ludu” i mamy proklamować odrodzenie państwa ukraińskiego i zatwierdzić „rząd”, utworzony zgodnie ze wskazówkami Stepana Bandery przez jakiegoś Jarosława Steckę. (...)

Głos zabrał szef „rządu” Jarosław Stecko — niepozorny człowiek, który nie potrafił się zachować przy ludziach, drżącym głosem odczytał akt odnowienia „niezależnego państwa ukraińskiego” i ogłosił, można powiedzieć, oświadczenie „rządu”. Z tego, co ogłaszał i mówił ten niepozorny człowieczek, który nazywał siebie szefem rządu, zapamiętałem dwie rzeczy: niezwykle pochwały dla niemieckiego Führera i jego niezwyciężonego wojska oraz pogroźki wobec tych wszystkich, którzy nie podporządkują się „rządowi państwa ukraińskiego”, jaki, mówił Stecko, „będzie działał w jedności z Rzeszą Führera”.

„Politykę będziemy uprawiać bez sentymentów — próbując przybrać groźny ton, całkiem poważnie oświadczył niepozorny człowieczek. — Zniszczymy wszystkich bez wyjątku, którzy staną na naszej drodze. Kierownikami wszystkich gałęzi życia będą Ukraińcy i tylko Ukraińcy, a nie obcy nieprzyjaciele: Rosjanie, Polacy, Żydzi. Nasza władza będzie polityczną i wojskową dyktaturą OUN, dyktaturą okrutną i bezlitosną dla wroga”.

Tak w powojennych wspomnieniach doktor teologii Gabriel Kostelnik opisuje wydarzenie, które banderowcy i ich polityczni spadkobiercy uważają za największe osiągnięcie — ogłoszenie Aktu odnowienia Państwa Ukraińskiego z 30 czerwca 1941 roku. Ale być może pamięć zawiodła ojca Gabriela i żadne pochwały pod adresem Führera Wielkiej Rzeszy i jego

niezwyciężonego wojska tego dnia nie padły? Być może, jak piszą inni autorzy, którzy pozbyli się resztek wstydu, „*od pierwszych dni hitlerowskiej okupacji OUN pod kierownictwem Stepana Bandery prowadziła z nimi aktywną walkę podziemną*”?

Sięgnijmy po dokumenty, po deklarację niepodległości Ukrainy, którą drżącym głosem odczytał niepozorny człowieczek. Tam, między innymi, mówiło się:

Nowe Państwo Ukraińskie, polegając na całkowitej niepodległości swojej władzy, przystępuje dobrowolnie do nowego europejskiego ładu, jaki tworzy wódz niemieckiej armii i niemieckiego narodu Adolf Hitler. Mogliśmy ogłosić akt odnowienia naszej państwowości właśnie dzięki zwycięstwom Wielkiej Armii Niemieckiej, która pod dowództwem swojego wielkiego przywódcy podjęła walkę o ten nowy ład. Z tego powodu, nawiązując do międzynarodowego aktu z 1918 roku [tu autorzy deklaracji powołują się na traktat brzeski z 1918 roku, który podpisała między innymi Ukraina], uczuć najgłębszej przyjaźni, jakie żywi ukraińskie społeczeństwo w stosunku do Armii Niemieckiej oraz światopoglądowych i ideologicznych założeń ukraińskiego rewolucyjnego nacjonalizmu, Nowe Państwo Ukraińskie i jego władze przyłączają się do procesu budowania nowego ładu w Europie i na całym świecie.

Z nieprzyzwoitym pośpiechem dzieląc teki w rządzie nieistniejącego państwa i ogłaszając zamiar wzięcia udziału w tworzeniu faszystowskiego „nowego ładu” w całej Europie (a nawet na całym świecie), banderowcy nie zadbali o przywrócenie minimalnego porządku w objętym ogólnym szaleństwem mieście. Lwów przeżył w czerwcu 1941 roku straszne dni. 23–25 czerwca w mieście toczyły się walki uliczne między jednostkami wycofującej się Armii Czerwonej i uzbrojonymi oddziałami ukraińskich nacjonalistów. Wycofując się z miasta, oprawcy z NKWD zamordowali we lwowskich więzieniach (zgodnie z raportem szefa zarządu więziennictwa NKWD Ukrainy, kapitana bezpieczeństwa państwowego A.F. Filippowa, z 12 lipca 1941 roku) 2464 więźniów. W bardzo powściągliwym (liczba ofiar była w nim znacznie zaniżona), nie pisanym dla potrzeb propagandy dokumencie niemieckim (doniesienie sztabu XLIX Korpusu Strzelców Górskich do sztabu

17. Armii z 1 lipca 1941 roku, godzina 12.00) ta „ewakuacja pierwszej kategorii” została opisana w następujący sposób:

Po wkroczeniu wojsk niemieckich 30 czerwca 1941 r. do Lwowa w trzech więzieniach miasta odnaleziono kilkaset ciał mężczyzn i kobiet, zamordowanych w ciągu ostatnich kilku dni. W lochach więzienia wojskowego Lwowa tylko w jednej celi odnaleziono około 120 ciał mężczyzn i kobiet, ułożonych jedno na drugim. (...) W celach więzienia GPU również znajduje się wielu zabitych, których dokładnej liczby nie określono, ponieważ wejście do tych cel zostało zamurowane. Jak ustalono podczas oględzin znalezionych ciał, morderstwu towarzyszyły brutalne tortury i znęcanie. Na wszystkich ciałach znaleziono ciężkie rany od uderzeń i nakłuć. Niektóre ciała miały zmiażdżone i połamane palce u rąk i stóp.

Mówiąc górnolotnie, po powrocie 30 czerwca do Lwowa działacze banderowscy powinni byli z modlitwą i stosownymi honorami wojskowymi pogrzebać zamordowanych towarzyszy. Mówiąc bardzo cynicznie i brutalnie, należało niezwłocznie, żeby uniknąć wybuchu epidemii, pochować tysiące rozkładających się w trzydziestostopniowym upale ciał (z relacji świadków wiadomo, że nad miastem unosił się potworny trupi smród, a w okolicy więzień poruszanie się bez maski gazowej było po prostu niemożliwe). Zamiast tego Stecko & Co., ogarnięci wysławianą przed Doncowa żądzą władzy, najpierw spędzili setkę niczego nie rozumiejących, prawie przypadkowych ludzi i ogłosili się rządem.

Natychmiast po zajęciu Lwowa przez wojska niemieckie (w których szeregach był również batalion *Nachtigall* pod dowództwem Romana Szuchewycza) w mieście zaczęły się masowe morderstwa Żydów i przedstawicieli polskiej inteligencji. Słowo „pogrom” w tym przypadku nie będzie właściwe. „*Te straszliwe wydarzenia nie były sprawką oszalałych, pijanych żołnierzy. Odniosłem wrażenie, że wszystko odbywało się w sposób zorganizowany, wszystko działało jak maszyna*” — pisze jeden ze świadków wydarzeń. Kwestia udziału/braku udziału w tej zbrodni batalionu *Nachtigall* i jego dowódcy od wielu lat pozostaje przedmiotem zacieklej, bezlitosnych sporów. Nie będziemy się na nich skupiać (każdy, kto chce, może zapoznać się z obszerną literaturą na ten temat), a przyznając, że przekonywających dowodów przemawiających za związkiem Szuchewycza z masowymi

mordami we Lwowie nie odnaleziono, musimy zaznaczyć, że nawet najbardziej przychylni wobec banderowców autorzy nie mogli odszukać również jakichkolwiek śladów na to, że rząd Stecki przynajmniej próbował powstrzymać brutalne bezsensowne morderstwa. Nic podobnego — myśl, że upragniona władza wiąże się z odpowiedzialnością za życie poddanych, była im równie obca jak zmykającym z miasta komunistom.

Mimo niekończących się zapewnień o wierności, mimo plakatów i ulotek z hasłami „*Heil Hitler! Chwała Hitlerowi!*”, rozklejonych przez banderowców po całym mieście, Niemcy byli bardzo oburzeni faktem samowolnego, nie uzgodnionego z Berlinem utworzenia „*rządu*”. Swoje stanowisko wyrazili bardzo klarownie: „*Nie pozwolimy, żeby na terytorium zajętego za cenę krwi żołnierzy niemieckich pojawiały się samozwańcze «rządy»*”. Moim zdaniem stanowisko jest całkiem logiczne. Z drugiej strony, nie ma żadnych podstaw, aby wyolbrzymiać znaczenie i, co najważniejsze, skutki tego konfliktu. Mimo późniejszych wysiłków banderowskich propagandystów, żeby „*przyciągnąć za uszy*” wydarzenia września 1941 roku do 30 czerwca, żadnych „*brutalnych represji*” ze strony władz niemieckich w odwecie za samowolę Stecki & Co. nie było.

9 lipca Stecko został aresztowany i przywieziony do lwowskiego Gestapo, gdzie go (jak sam pisze w powojennych wspomnieniach) nie bito i nie torturowano, lecz „*przyniesiono na kolację kakao z chlebem*”, po czym wywieziono do Krakowa, a stamtąd — do Berlina, do dyspozycji pułkownika Abwehry Erwina Stolzego. Tam Stecko „*połączył się*” z Bandera, również dostarczonym pod eskortą z Krakowa do Berlina. W ciągu kilku dni funkcjonariusze Abwehry ustnie, bez rękoczynów, wytłumaczyli przywódcom OUN–B, że miejscem lokaja jest pomieszczenie dla służby. 15 lipca uwolniono ich całych i zdrowych, ale przykazano nie opuszczać Berlina. Powiedzmy szczerze — w nieporównywalnie bardziej brutalny sposób potraktowano psa, który swoim niewinnym szczekaniem zakłócił spokój kapryśnej i okrutnej pani... Banderowcy zrozumieli lekcję i zaczęli zasypywać Niemców pełnymi skruchy listami.

14 sierpnia napisali kolejne „*memorandum*”, stylem przypominającym zadanie ze szkolnego podręcznika gramatyki, w którym dziecko ćwiczyło zasady deklinacji czasownika „*współpracować*”:

Dla OUN współpraca z Niemcami nie była sprawą pustych słów; współpraca przez wiele lat przytłaczona była wielkimi i ciężkimi ofiarami. OUN samodzielnie poprowadziła walkę o niepodległość państwową Ukrainy na szlaku współpracy z Niemcami; za to sama ponosi odpowiedzialność przed ukraińską historią. OUN nadal zamierza pracować nad odbudową Państwa Ukraińskiego poprzez współpracę z Niemcami. (...) OUN broni swojej koncepcji wyzwolenia Ukrainy oraz odnowienia Państwa Ukraińskiego we współpracy z Niemcami, w otwartej i szczerzej współpracy. (...) Niemcy powinny być zainteresowane tym, żeby współpracować z ideowymi, dynamicznymi siłami ukraińskimi, które podjęły tę współpracę z przyczyn ideowych, politycznych i patriotycznych.

Szczególnie starał się Stecko, który czuł się głównym winnym. Nie ograniczając się do „memorandum”, postanowił opowiedzieć Niemcom o swoim życiowym credo w obszernym tekście pod tytułem **Mój życiorys**. To nie była zwykła, oficjalna autobiografia, a ckliwie pochlebca „deklaracja wierności” faszystowskim ideom:

W płaszczyźnie politycznej stoję na stanowisku monopartyjnego i autorytarnego ustroju Ukrainy; w płaszczyźnie społecznej — narodowego solidaryzmu, który jest bliski narodowemu socjalizmowi. (...) Uważam za konieczną likwidację Żydów oraz potrzebę przeniesienia na Ukrainę niemieckich metod eksterminacji żydostwa. (...) Uważam, że w obecnej wojnie światowej ważą się przyszłe losy Ukrainy, i jestem świadom tego, że tylko dzięki zwycięstwu Niemiec możliwa jest odbudowa Niezależnego i Zjednoczonego Państwa Ukraińskiego. (...) Uważam za konieczne udzielenie nieograniczonej pomocy gospodarczej oraz każdej innej, jakiej tylko Niemcy będą potrzebowały, bo chodzi tu o wspólne powodzenie lub niepowodzenie. Tym bardziej, że wielkie ofiary, jakie ponosi niemiecka armia w walce z Moskwą, jesteśmy tego świadomi, muszą znaleźć zadośćuczynienie dla narodu niemieckiego. Niezależne Zjednoczone Państwo Ukraińskie tego zadośćuczynienia udzieli, bo jest do tego zobowiązane.

Gdy w odległym Berlinie Stecko obiecał „zadośćuczynienie” w postaci ukraińskiego zboża, węgla i stali oraz zrekompensowanie wszelkimi innymi możliwymi środkami wydatków wojennych Niemiec związanych z okupacją Ukrainy, we Lwowie i dalej na wschód trwała całkiem realna współpraca.

Rozpędzenie samozwańczego rządu Stecki w ogóle jej nie przeszkodziło. 12 lipca, w tym samym czasie, gdy Bandera i Stecko zostali wezwani „*na dywanik*” do Berlina, Mykoła Łebed (szef Służby Bezpieczeństwa Bandery i od sierpnia 1941 roku szef Egzekutywy Krajowej OUN–B na zachodnioukraińskich ziemiach, czyli faktyczny zastępca Bandery na Ukrainie) spotkał się we Lwowie z Theodorem Oberlanderem (profesorem ekonomii, wybitnym działaczem partii nazistowskiej, od wybuchu wojny światowej współpracownikiem Abwehry, pełniącym rolę niemieckiego „*komisarza politycznego*” przy ukraińskich nacjonalistach). W sprawozdaniu z tego spotkania Oberlander napisał: „*Obiecałem Łebediowi dalsze wsparcie i podkreśliłem, że jego wcześniejsza praca jest wysoko oceniana przez dowódcę policji i SD we Lwowie. (...) Pan Łebed zapewnił mnie, że chętnie oddaje się do naszej dyspozycji w interesach wspólnej walki z bolszewizmem i żydostwem*”.

Tak zwane „*grupy marszowe*” OUN (liczące ponad 4 tysiące ludzi) podążały za nacierającymi wojskami niemieckimi i wzniecały ogień „*narodowej rewolucji*” w każdym zajęтым mieście i wsi, czyli według wcześniej przygotowanych przez lokalnych działaczy list chwyтали (słowo „*aresztować*” będzie tu nie na miejscu) i mordowali rzeczywistych bądź potencjalnych przeciwników „*nowego ładu*”, tworzyli struktury samorządu lokalnego, kompletowali kadrę przyszłych burmistrzów i starostów, organizowali Policję Pomocniczą (*Hilfspolizei* czy, jak to określali mieszkańcy, „*policajów*”). Na ulicach ukraińskich miast sumiennie wywieszano wezwania: „*Polaków, Żydów, komunistów zabijaj bez litości, nie miej współczucia dla wrogów Ukraińskiej Narodowej Rewolucji!*”.

1 sierpnia 1941 roku niemieccy okupanci zadali miążdzący (i na dodatek obraźliwy) cios w ambicje ukraińskich nacjonalistów — ich ojczyzna Galicja została zwrócona Polsce, czyli oficjalnie przyłączona do Generalnego Gubernatorstwa (dla upamiętnienia tego wydarzenia na papierowych okupacyjnych „*złoty*ch” pojawiły się nawet wizerunki lwowskich pałaców i kościołów). Miesiąc później rozległe rejony na południu Ukrainy między Dniestrem i południowym Bugiem (czyli część obwodów odeskiego, Winnickiego i mikołajowskiego) razem z Bukowiną Północną zostały przekazane do dyspozycji Rumunii. Do utworzonego 20 sierpnia 1941 roku Reichskommissariatu Ukraina włączono tylko część prawobrzeżnej Ukrainy

(tereny na wschód od Dniepru uznane były za rejony tyłowe armii i podlegały administracji wojskowej). Teraz nawet już ślepy dostrzegł, jaki jest w Berlinie stosunek do planów utworzenia „*niezależnej zjednoczonej Ukrainy od Karpat do Morza Kaspijskiego*”, a mimo to współpraca banderowców z niemieckimi okupantami trwała bez zakłóceń do 15 września 1941 roku.

Rozłam nastąpił wskutek niepohamowanej żądy panowania, która trawiła duszę banderowców. Wcielając w życie nakazy Dmytra Doncowa (ekspansja „*to nie tylko afirmacja własnej woli życia, lecz również zaprzeczenie jej u innych*”), zaczęli systematyczny odstrzał swoich towarzyszy–konkurentów z grupy Andrija Melnyka. Minimalne liczby, które podają w badaniach specjaliści, to dziesiątki działaczy OUN–M zabitych przez banderowskie bojówki latem 1941 roku (istnieją też znacznie większe szacunki skali terroru). Armia niemiecka coraz bardziej zbliżała się do Kijowa, front Armii Czerwonej trzeszczał i załamywał się, zwycięstwo nad „*Moskalami*” wydawało się bliskie i nieuniknione, i w takiej sytuacji banderowcy nie chcieli dzielić się z zawadzającymi im już melnykowcami nawet najmniejszym kawałkiem skóry rosyjskiego niedźwiedzia.

30 sierpnia 1941 roku w Żytomierzu zamordowano Omeliana Senyka i Mykołę Sciborskiego, znanych i bardzo wpływowych weteranów OUN, należących do „*najbliższego kręgu*” Melnyka. Ten zamach przebrał miarę cierpliwości Niemców. I nie chodzi o to, że zamordowani byli im drodzy jako przypomnienie o wydanych na OUN–M milionach marek, po prostu tym aktem samowoli banderowcy — przypuszczalnie sami tego nie chcąc — złamali najważniejszą zasadę, na której opierają się wszystkie dyktatury. Iwan Groźny, jak pamiętam, sformułował ją tak: „*Tylko ja mam prawo nagradzać i karać swoich poddanych*”. Pięć wieków później Hermann Göring, spuszczając ze schodów funkcjonariuszy Gestapo, którzy zjawili się, by aresztować kogoś z „*niearyjskich*” oficerów sztabu Luftwaffe, wyraził tę myśl słowami: „*W moim sztabie ja decyduję, kto jest Żydem, a kto nie*”.

Targając się na wyłączne prawo Gospodarza do karania i nagradzania, banderowcy ostatecznie umocnili Niemców w przekonaniu, które już rok wcześniej wyraził w swojej notatce pułkownik Stolze z Abwehry: „*Jeżeli Melnyk jest spokojnym, inteligentnym urzędnikiem, to Bandera jest karierowiczem, fanatykiem i bandytą*”. Ponieważ Niemcy mieli bardzo poważne zamiary co do eksploatacji surowcowych, ludzkich i przemysłowych

zasobów Ukrainy, a w tym celu na terytorium okupowanym powinien panować prawdziwy niemiecki Ordnung, to nie ma co się dziwić, że wybrali spokojnego urzędnika.

Prawdę mówiąc, trzeba zaznaczyć, że Stolze, który znalazł się na ławie oskarżonych w procesie norymberskim, złożył zeznania, z których wynika, że zabójstwo Senyka i Scyborskiego nie było jedyną przyczyną oburzenia Niemców: *„Podstawą aresztowania był fakt, że po otrzymaniu w 1940 roku od Abwehry sporej kwoty pieniędzy dla finansowania podziemia OUN oraz zorganizowania działań wywiadowczych przeciwko ZSRR on [Bandera] próbował przywłaszczyć je sobie i przelał do jednego ze szwajcarskich banków”*. Zresztą jest to ciemna historia — niby Bandera pieniądze zwrócił, a Stolze w Norymberdze być może oczernił przywódcę OUN, broniąc siebie.

Tak czy inaczej 13 września 1941 roku sam szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) Obergruppenführer SS Heydrich wydał rozkaz dotyczący działań wobec grupy Bandery. Podwładnym Heydricha polecono:

Aresztować wszystkich odgrywających jakąkolwiek rolę w ruchu Bandery przywódców jako podejrzanych o pomoc w morderstwie przedstawicieli ruchu Melnyka. Aby zapewnić operacji powodzenie, przeprowadzić aresztowania w granicach państwa, w Generalnym Gubernatorstwie i w rejonie operacji jednocześnie, czyli w poniedziałek 15 września 1941 roku rano. Przede wszystkim powinni zostać aresztowani [tu podano listę 39 nazwisk, w tym Bandery, Stecki, Łebedia] (...). Tych zwolenników Bandery, których nie wymieniono, a którzy w rezultacie dochodzenia okażą się ważnymi działaczami w ruchu Bandery, również aresztować. Nazwiska i dane osobowe każdego aresztowanego proszę niezwłocznie przesłać do mnie, wskazując, jaką rolę odgrywali w ruchu Bandery i czy brali bezpośredni udział w zamordowaniu zwolenników Melnyka. (...) Do zbadania sprawy morderstwa przedstawicieli ruchu Melnyka stworzona zostanie komisja z siedzibą we Lwowie... O przychodzących i dotyczących morderstwa materiałach natychmiast zawiadamiać komisję.

Dobrze wyregulowana machina represji szczęknęła i ruszyła z właściwą jej energią. W ciągu 2–3 dni aresztowano około 500 osób, kilkadziesiąt rozstrzelano natychmiast po zatrzymaniu. Bandera, Stecko, Łenkawski, Rebet,

Stachiw i wielu innych działaczy OUN–B zostali wysłani do Sachsenhausen, słynnego obozu śmierci, nad którego bramą widniał szyderczy napis „*Praca czyni wolnym*”.

Jeżeli dla radzieckiej propagandy historia Bandery i ruchu banderowskiego sprowadzała się do niemieckich pieniędzy w kasie OUN i niemieckich mundurów żołnierzy batalionu *Nachtigall*, to dla zwolenników nacjonalizmu ukraińskiego ulubionym tematem jest „*Bandera w Sachsenhausen*”. No pewnie, „*czy potrzebne są dodatkowe dowody na to, że OUN ofiarnie walczyła z niemieckimi okupantami, skoro przywódcy organizacji znajdowali się w faszystowskim obozie?*”

Potrzebne. Przede wszystkim dlatego, że ze względu na dobrze znane okrucieństwo niemieckiego reżimu okupacyjnego, bardzo dziwna wydaje się sytuacja, gdy aresztowani „*przywódcy zbrojnego oporu*” nie giną w katowni czy na szafocie, a długo „*przebywają w lochach*”, po czym wychodzą na wolność cali i zdrowi, nie straciwszy ani jednego włosa na głowie. Po drugie, represje i opór bynajmniej nie zawsze są ze sobą związane — szczególnie w warunkach totalnej dyktatury. Na terytorium Ukrainy (również w jej zachodniej, dawnej polskiej części) faszyci wymordowali 1,5 miliona Żydów, ze starcami i niemowlętami włącznie, którzy w sposób oczywisty nie stanowili najmniejszego zagrożenia dla reżimu okupacyjnego. Niemniej jednak zostali poddani represjom, co więcej, zostali zamordowani. W latach wielkiego terroru 1937–1938 na Ukrainie z rąk innej, czerwonej, dyktatury, zginęły setki tysięcy ludzi, których absolutna większość nawet nie myślała o walce ze stalinowską tyranią. Wreszcie najwyższy czas przypomnieć sobie — gdzie dokładnie w Sachsenhausen przebywał Bandera?

Aresztowani członkowie OUN zostali umieszczeni w specjalnym oddziale Zellenbau, w którym przetrzymywano VIP–ów z całej Europy. Banderowcy znaleźli się w jednym towarzystwie z byłym kanclerzem Austrii Schuschniggem, synem marszałka Włoch Badogliem, synem Stalina Jakowem Dżugaszwilim, przywódcą niemieckiej partii komunistycznej Ernstem Thalmannem, byłymi premierami Francji Paulem Reynaudem i Edouardem Daladierem, ministrem obrony Łotwy generałem Dambitsem itd. Przyznajmy szczerze, w czasie pokoju do polityków o takiej randze Bandery nie wpuszczono by nawet na próg. Więźniowie znajdowali się pod ochroną Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, dostawali listy i paczki, mogli

posiadać nieduże kwoty w gotówce, swobodnie poruszać się po terenie obozu, spotykać się ze sobą. O żadnej pracy w kopalniach czy kamieniołomach nie było mowy. Faktycznie byli tam raczej internowanymi, a nie więźniami obozu śmierci.

Oczywiście w domu na wolności jest lepiej, ale tak czy owak, w październiku 1944 roku przywódcy OUN (w tym czasie znaleźli się tam również melnykowcy z Andrijem Melnykiem na czele!) wyszli z Zellenbau w dobrym zdrowiu. Bandera po uwolnieniu został zaszczycony osobistym spotkaniem z Reichsführerem SS Himmlerem (co prawda, szereg autorów temu zaprzecza, mówiąc, że wszystko ograniczyło się do przyjęcia u Brigadeführera SS Bergera), po czym wszyscy (Bandera, Melnyk i wygrzebany z naftaliny hetman Skoropadski) skierowali się do tajnego ośrodka Gestapo, gdzie zajęli się tworzeniem kolejnego „ukraińskiego komitetu narodowego”...

Jednak wróćmy do wydarzeń jesieni 1941 roku. Co działo się z OUN–B po aresztowaniu jej przywódców? Narodowi historiografowie odpowiadają na to jednogłośnie: „*Organizacja zeszła do podziemia*”. Może i tak, ale wtedy musimy przyznać, że było to najdziwniejsze podziemie w historii. Na koncie tego „*podziemia*” nie znaleziono ani wysadzonych mostów, ani wykolejonych pociągów, ani zuchwałych ataków — trudno uwierzyć, że kierowali nim ci sami ludzie, którzy na początku lat 30. swoją działalnością terrorystyczną trzymali w nerwowym napięciu całą Galicję. Przy tym stworzona przy bezpośrednim udziale OUN i składająca się w większości z działaczy banderowskich Policja Pomocnicza (wspierająca działania niemieckich władz okupacyjnych!) nadal siała strach na okupowanym ukraińskim terytorium; sprawnie kolaborowała z okupantami również lokalna administracja miast i wsi, stworzona przez grupy marszowe OUN. Gdzie i kiedy istniała jeszcze w historii sytuacja, kiedy połowa organizacji „*walczy w podziemiu*”, a druga służy w policji i brutalnie rozprawia się z rzeczywistymi działaczami podziemia i partyzantami?

Na początku października 1941 roku OUN–B pod kierownictwem Mykoły Łebedia przeprowadziła (proszę zauważyć, na okupowanym terytorium!) Pierwszą Konferencję. Jak przekonują współcześni ukraińscy historycy: „*Podczas konferencji wyraźnie sformułowano polityczne cele i podkreślono konieczność wydawania materiałów, które wychowywałyby*

ludność w duchu świadomości politycznej, ujawniały niemieckie plany eksploatacji i kolonizacji Ukrainy. Tę propagandę rozpatrywano jako przygotowawczy etap do aktywnej walki". Pozostaje tylko do tego dodać, że oprócz „wychowania w duchu świadomości” konferencja wyznaczyła jako cel bardziej aktywne namawianie świadomej młodzieży do służby w policji. Chyba po to, żeby ta na własnym przykładzie ujawniła „*niemieckie plany eksploatacji i kolonizacji Ukrainy*”.

Mijały miesiące, zaczęła się i skończyła zima 1941/1942 roku, Niemcy dotarli do murów Moskwy i zostali stamtąd wyrzuceni, do wojny przystąpiły USA, utonęła we krwi rżewska operacja Armii Czerwonej — a banderowskie „*podziemie*” ciągle przygotowywało się do walki. W kwietniu 1942 roku OUN–B przeprowadziła Drugą Konferencję — z podobnym w kwestii „*aktywnej walki*” skutkiem. „*W swych działaniach organizacje podziemne OUN koncentrowały się na propagandzie idei niezależności Ukrainy. (...) Działań, które przyniosłyby Niemcom poważne gospodarcze lub wojenne straty, podziemie OUN nie prowadziło*”. Już „*cieplej*”. Pozostaje tylko ustalić, czy istniały jakieś działania, które przyniosłyby Niemcom przynajmniej niepoważne straty wojenne. I czy mogły istnieć, skoro — jak przyznają nawet najbardziej gorliwi zwolennicy banderowców — Mykoła Łebed „*bardziej szukał wrogów wśród swojego otoczenia, niż organizował opór przeciwko Niemcom, (...) nie chciał nawet słuchać o organizowaniu oddziałów partyzanckich — jak napisał w jednym z orędzi: «Nie można rozpraszać sił na partyzantkę»*”.

W czerwcu 1942 roku kierownictwo OUN–B wydało specjalną ulotkę, w której wzywało Ukraińców do nieulegania „*radziecko–polskiej prowokacji*”, czyli nie udzielania żadnej pomocy partyzantom. Ten sam apel (rozkaz) został powtórzony pod koniec roku w ulotce pod tytułem „*Partyzanci i nasz stosunek do nich*” (przechowywany w ukraińskim archiwum państwowym dokument został przetłumaczony dwa razy — z ukraińskiego na niemiecki i z niemieckiego na rosyjski, dlatego nie można tu mówić o wielkiej dokładności tekstu). Stwierdzono tam między innymi: „*Mamy wrogi stosunek do partyzantów i dlatego ich zwalczamy. Nasz czas jeszcze nie nadszedł. Powinien nas zastać zjednoczonych pod sztandarami OUN [czyli pod mądrym kierownictwem autorów ulotki — M.S.]. (...) Nasz cel to nie walka partyzancka, a narodowo–wyzwoleńcza rewolucja ukraińskich mas*”.

Jeżeli ktoś wówczas prowadził realną walkę zbrojną, to był to przyszły dowódca Armii Niepokonanych, przyszły szef Sekretariatu Generalnego UHWR Roman Szuchewycz. 13 sierpnia 1941 roku batalion *Nachtigall* został wycofany z frontu i 27 sierpnia wrócił do Niemiec, do obozu szkoleniowego w Neuhammer. Niebawem z południa Ukrainy przybył tam również batalion *Roland*. Obie jednostki (drużyny ukraińskich nacjonalistów, jak jeszcze się je nazywa w literaturze historycznej) zostały rozwiązane, a ze składu osobowego (również dowódców) 21 października 1941 roku utworzono standardowy, tym razem już pozbawiony żółto-niebieskich doszyć naramienników, batalion policyjny (*Schutzmannschaftsbatallion*). Dowódcą batalionu został Jewhen Pobihuszczyj, a Roman Szuchewycz został dowódcą jednej z kompanii w stopniu kapitana Wehrmachtu.

W ciągu kilku miesięcy batalion odbywał szkolenia, po czym pod koniec marca 1942 roku wyruszył na Białoruś, gdzie operacyjnie podlegał 201. Dywizji Bezpieczeństwa. Do grudnia 1942 roku batalion zajmował się ochroną tyłów 3. Armii Pancerniej Wehrmachtu wspólnie z oddziałami SS pod dowództwem słynnego zbrodniarza wojennego, generała SS von dem Bacha-Zelewskiego. Warto zaznaczyć, że wszystko się odbywało w rejonie Lepiel-Witebsk, czyli w tej części Białorusi, której nawet najbardziej zawzięci nacjonałiści nie śmiały zaliczyć do kategorii „*etnicznych ukraińskich ziem*”. Czym się zajmowali „*bojownicy o niezależną Ukrainę*” w lasach Białorusi? „*Ochroną mostów*” — odpowiadają, zasłaniając oczy, współcześni adwokaci galicyjskich faszystów. Niestety, ta opinia nie pokrywa się z tym, co pisze we wspomnieniach (**Mozaika moich wspomnień**) sam Pobihuszczyj: „*Niewątpliwie zdarzały się częste walki z partyzantami, przeczesywanie lasów, ataki na miejsca ich postoju. (...) Jak to powiedział von dem Bach, (...) spośród wszystkich 9 batalionów, które zajmowały się ochroną tyłów operacyjnych Frontu Wschodniego, nasz batalion wykonywał zadania najlepiej*”.

Skoro w wydarzeniach 1941–1942 roku śladów antyfaszystowskiego oporu podziemia banderowskiego nie udało się odnaleźć (a bardzo się chciało!), dzisiejsi piewcy ukraińskiego nacjonalizmu postanowili wykorzystać obszerne doświadczenie propagandy radzieckiej (gdzie miarą pracy jest zmęczenie).

Jak wiadomo, jednym z kamieni węgielnych radzieckiej wojennej mitologii jest wyobrażenie, że „wkład w rozgromienie wroga” mierzony jest nie stratami nieprzyjaciela, a własnymi ofiarami. Zgodnie z tym dla udowodnienia tezy o „podziemnej walce OUB z niemieckimi okupantami” należy odszukać aresztowanych (a jeszcze lepiej — rozstrzelanych) nacjonalistów. Jak słusznie zauważył Kost Pankiwski (w czasie wojny szef kolaboracyjnego Ukraińskiego Komitetu Krajowego we Lwowie), „każdy chce pokazać, jakim to był zawsze przeciwnikiem Niemiec i wrogiem Hitlera, jak to nigdy nie miał żadnych powiązań z Niemcami. Co więcej, jaka była jego rola w walce z Niemcami, jak to był prześladowany i więziony, jak to cudownie ocalał w czasie okupacji niemieckiej”.

Poznajcie się, oto jeden z „przeciwników Niemiec i wrogów Hitlera”, który „cudownie ocalał w czasie okupacji niemieckiej”. Orest Masykewycz, urodzony 9 sierpnia 1911 roku na Bukowinie, poeta, muzyk, dziennikarz. Jak pisze o nim doktorantka Uniwersytetu Czerniowieckiego (nie podam nazwiska, dziewczyna jest młoda, jak Bóg da, to jeszcze się nauczy): „Pod koniec czerwca 1941 roku Orest Masykewycz z grupą studentów–patriotów przybył do Mykołajewa. Nie dbając o własne bezpieczeństwo, ta grupa organizuje antyniemieckie akcje propagandowe. Podczas jednej z takich akcji Orest oświadczył: «Niemcy przyszli, żeby zrobić z naszej Ukrainy kolonię niemiecką. Nie uda im się, przegrają wojnę!»”.

No cóż... Gdyby przyszła doktor nauk historycznych sięgnęła po dowolny podręcznik historii, to bez trudu dowiedziałyby się, że nie tylko pod koniec czerwca, ale nawet pod koniec lipca 1941 roku o tym, że „wróg zostanie pokonany, zwycięstwo będzie nasze”, w Mykołajewie można było krzyczeć zupełnie otwarcie — miasto zostało zajęte przez Niemców dopiero 16 sierpnia. Zresztą po co piętnować młodą doktorantkę, skoro w zalecanej przez Ministerstwo Oświaty i Nauki Ukrainy jako podręcznik akademicki książce **Historia OUN–UPA. Wydarzenia, fakty, dokumenty, komentarze** czytamy: „Burmistrzem Mykołajewa został wybrany poeta Orest Masykewycz. Czynna ukrainizacja irytowała faszystów, którzy zastosowali metody represyjne. Masykewycza aresztowano i skazano na karę śmierci. Wielu jego towarzyszy również zginęło”.

Grupa studentów–patriotów, na której czele Masykewycz przyjechał do Mykołajewa, to grupa marszowa OUN–M, której nazwę PuMa stanowiły

pierwsze litery nazwisk dowódców: porucznika Abwehry Puliuja i członka „*kurenia bukowińskiego*” Masykewycza. 23 sierpnia niemiecki komendant wojskowy mianował (oczywiście, o żadnych wyborach nie mogło być mowy) Masykewycza burmistrzem Mykołajewa. Na tym stanowisku znajdował się dokładnie cztery miesiące, podczas których zdążył podpisać około trzystu rozkazów i zarządzeń, a wiele z nich kończyło się słowami „*należy rozstrzelać*”.

Praca u burmistrza wrzała, ludność żydowska została wymordowana, w listopadzie pierwsze 8 tysięcy ostarbeiterów wysłano do prac przymusowych do Niemiec. W rozkazie Ministerstwa Terytoriów Wschodnich Alfreda Rosenberga o Masykewyczu mówiono jak o najmłodszym i obiecującym burmistrzu Komisariatu Rzeszy Ukraina. I nagle 24 grudnia Masykewycza aresztowało Gestapo. Tego samego dnia aresztowano burmistrzów Żytomierza i Kijowa. Za co? Jak ustalili Władimir Ginda i Siergiej Gawriłow (wykorzystałem materiały z ich artykułu), za niepohamowane łapownictwo. Handlowano wszystkim: przydziałami na „*zwalnijące się*” po aresztowaniu właścicieli mieszkania, zwolnieniami od wywózki do pracy w Niemczech, informacjami o zbliżających się obławach na miejskich targowiskach, markami niemieckimi... Niemcy próbowali wprowadzić na terytoriach okupowanych Ordnung, a nie targowisko, na którym sprzedawano to, co było dla nich własnością Rzeszy.

Zresztą nic złego Masykewyczowi się nie stało. Zamiast go rozstrzelać, już kilka miesięcy później zwolniono go z więzienia (czy nie sięgnęły również i tam macki korupcji?). Następnie Masykewycz wyjechał do Bukaresztu, gdzie w październiku 1945 roku odnalazła go długa ręka radzieckiego wymiaru sprawiedliwości. Odsiedziawszy dziesięć lat „*od dzwonka do dzwonka*”, były burmistrz wrócił do Rumunii, gdzie mieszkał do 1980 roku. Pisał wiersze, tłumaczył na język rumuński Iwana Franka i Pawła Tyczyne...

Ta tragifarsa jest namacalnym przykładem na to, jak tworzy się nowe mity. Owszem, OUN (zarówno banderowska, jak i melnykowska) brała bezpośredni udział w tworzeniu kontrolowanej przez Niemców lokalnej administracji i policji pomocniczej na Ukrainie. Dziesiątki tysięcy kolaborantów dopuściły się najcięższych zbrodni, jednak przy jakiegokolwiek wzmiance o nich piewcy banderowców robią kwadratowe z oburzenia oczy: „*Jak śmiecie! Co wspólnego ma bohaterska OUN z podłymi «policajami»*”?

Ale gdy tylko wśród tysiąca kolaborantów znajdzie się jeden represjonowany przez Niemców, to go natychmiast zaliczają do męczenników „członków podziemia OUN, którzy zginęli w walce z nazizmem”.

Oczywiście nie namawiam do wrzucania wszystkich do jednego worka. Nie każdy burmistrz czy wiejski starosta aresztowany przez Niemców był ofiarą własnej chciwości. Na tej strasznej wojnie zdarzały się bardzo skomplikowane sytuacje. Kogoś zmusili do „podwójnej gry” prawdziwi członkowie podziemia, grożąc śmiercią i rozprawieniem się z rodziną — takie były czasy i z rodziną zdrajcy Ojczyzny nikt się nie patyczkował. Kogoś celowo zdyskredytowano w oczach Niemców — mogli to zrobić konkurenci, chętni do przejęcia „cieplej posadki”, albo podziemie radzieckie. Wreszcie zdarzały się — i nie były rzadkością — przypadki szczerzej skruchy, porzucenia roli współnika zbrodni. Ludzie, którzy kiedyś uwierzyli w namowy przywódców nacjonalistów, znaleźli się w tragicznej sytuacji wyboru pomiędzy szafotem i hańbą. Ci, którzy wybrali szafot, bez wątpienia zasługują na wdzięczną pamięć potomnych, ale co mają do tego Bandera i Melnyk?

Skończył się rok 1942, zaczął się 1943; na południowym skrzydle Frontu Wschodniego wojska niemieckie dotarły do Wołgi i prawie zdobyły roponośne tereny Baku i Groźnego, w Afryce Północnej prawie rozgromiły Brytyjczyków i zbliżały się do Suez; później okazało się, że na wojnie „prawie” się nie liczy — okrążone pod Stalingradem stutysięczne zgrupowanie Wehrmachtu zostało całkowicie rozgromione, z podobnej „pułapki” na Kaukazie Północnym Niemcy ledwo się wyrwali z olbrzymimi stratami, Afrika Korps Rommla kapitulował. Na północy wojska Armii Czerwonej przerwały wielomiesięczną blokadę Leningradu i przywróciły łączność lądową z miastem, na południu — rozwijając zwycięstwo pod Stalingradem — przeszły do natarcia i w lutym–marcu zajęły Woroneż, Charków i Biełgorod. Utrzymanie dwóch ostatnich nie powiodło się, ale ogólny przełom w sytuacji na froncie wschodnim był faktem dokonany. Wiosną 1943 roku wszyscy rozsądni ludzie — niektórzy z radością i nadzieją, niektórzy ze strachem i rozpaczą — zrozumieli, że w wojnie z koalicją trzech wielkich mocarstw Niemcy czeka nieunikniona klęska.

Na poważne zmiany zanosilo się również na zachodzie Ukrainy. W latach 1942–1943 żadnych widocznych ruchów partyzanckich nie było tam w ogóle; nieliczne oddziały dywersyjne NKWD, zrzucone na spadochronach lub

przedostające się na Wołyń przez puszcze białoruskiego Polesia, natychmiast likwidowano, najczęściej przy aktywnym udziale miejscowej ludności. Jednak w ciągu od półtora roku do dwóch lat okupacji ukraiński chłop stracił ostatnie złudzenia co do niemieckiego nowego ładu, a to od razu odbiło się na sytuacji wojenno-politycznej. Co ciekawe, ten przełom w świadomości dostrzeżono (przy czym wyrażono to prawie tymi samymi słowami) po obu stronach frontu.

Szef Komisariatu Rzeszy Ukraina Erich Koch w marcu 1943 roku meldował do Berlina: *„Ludność przez półtora roku posłusznie pracowała pod władzą niemiecką i nigdy nie mogła przypuszczać, że bolszewicy powrócą. Oczywiście jest, że z powodu sytuacji na froncie oraz podobnych okoliczności [chodzi o rajd oddziałów partyzanckich pod dowództwem M. Naumowa — M.S.] bardzo wzrósł bierny opór ludności. Wskutek sytuacji na froncie działalność band zaktywizowała się wszędzie i nawet przeniosła na stepowe rejony południowe”*. A w notatce sekretarza KC ukraińskiej partii komunistycznej D. Korotczenki z 22 lipca 1943 roku czytamy: *„Nastroje ludności na terytoriach okupowanych w porównaniu z latami 1941–1942 zmieniły się radykalnie. Wcześniej część ludności rozumowała tak: «Wszystko jedno, jaka będzie władza. Niemcy też są ludźmi, przystosujemy się i damy radę». Obecnie, po dwóch latach faszystowskiej niewoli, cała ludność, z wyjątkiem skończonych wrogów władzy radzieckiej, oczekuje szybkiego powrotu Armii Czerwonej”*.

Dla zrozumienia dalszych wydarzeń ważne jest uświadomienie sobie, że sytuacja w Galicji i na Wołyniu (dwóch rejonach, które w rodzimej literaturze łączy się zazwyczaj pod wspólną nazwą Ukraina Zachodnia) bardzo się różniła. Do odmiennej historii, tradycji i wyznania (unicka Galicja i prawosławny Wołyń) dołączył bardzo istotny „czynnik subiektywny”.

Galicja, jak już powiedzieliśmy wyżej, została włączona przez Niemców w skład Generalnego Gubernatorstwa (czyli okupowanej Polski). Gubernator generalny Hans Frank oraz gubernator dystryktu galicyjskiego Otto Wachter prowadzili tam tradycyjną dla dawnych Austro-Węgier politykę popierania Ukraińców jako przeciwwagi dla Polaków; ponadto sam Wachter skłaniał się do prowadzenia dość elastycznej polityki w stylu *„i wilk syty, i owca cała”*. Popierali go lokalni ukraińscy kolaboranci.

Już w 1939 roku, od razu po rozgromieniu Polski, w Krakowie powstał tzw. Centralny Ukraiński Komitet Narodowy (CUKN), na którego czele stanął profesor Wołodymyr Kubijowycz. Po okupowaniu Galicji przez niemieckie wojska Komitet przeniósł się do Lwowa, gdzie utworzono jako jego część Ukraiński Komitet Krajowy z Kostem Pankiwskim na czele. W Galicji ukazywały się dziesiątki ukraińskich gazet, działały szkoły i gimnazja, szpitale i teatry. Dla ludności — z wyjątkiem wymordowanych Żydów — przyjscie Niemców oznaczało powrót do zrozumiałych i od dawna znanych zasad czasów austro-węgierskich. Ciekawy szczegół — zwerbowani (nie zawsze dobrowolnie) do prac w Niemczech mieszkańcy Galicji mieli na ubraniu znak „U” (Ukrainiec) i byli traktowani łagodniej niż ostarbeiterzy z Reichskommissariatu.

Wołyń, włączony w skład Komisariatu Rzeszy Ukraina, został oddany na pastwę nazistowskiemu zbrodniarzowi Kochowi, którego wszyscy bez wyjątku (prawicowi i lewicowi, radzieccy i antyradzieccy) historycy nazywają wyjątkowo zgodnie „*katem Ukrainy*”. W bardzo krótkim czasie Erich Koch potrafił nie tylko wrogo nastawić przeciwko władzom niemieckim miejscową ludność, ale również zaprzepaścić wykonanie „*zadań gospodarczych*”, co spowodowało eskalację represji wobec ograbionego ukraińskiego chłopstwa i doprowadziło do całkowitego spustoszenia kraju. Do tego należy dodać, że znaczna część Wołynia (szczególnie północno-wschodnia, czyli ukraińskie Polesie) jest mocno zalesiona, wprost stworzona do ukrywania oddziałów partyzanckich.

Przez te nieprzystępne lasy, prawie prosto z zachodu na wschód, ciągnęły się dwie magistrale kolejowe: Warszawa–Brześć–Pińsk i Lublin–Kowel–Sarny. Jeszcze jedna magistrala przebiegała bardziej na południe, przez Galicję po linii Kraków—Lwów—Tarnopol. Nic więcej. Czwartej magistrali jak nie było, tak nie ma do dnia dzisiejszego. Na tych trzech „*niciach*” wisiało zaopatrzenie całej południowej flanki niemieckiego frontu wschodniego. Każdy pocisk, litr benzyny, zużyty przez armię niemiecką w bitwach pod Stalingradem, Charkowem, Orłem i Kurskiem, powinien przejść przez te trzy punkty: Brześć, Kowel, Lwów. Biorąc pod uwagę, że rejony południowej Białorusi z Brześciem i Pińskiem znajdowały się wówczas w składzie Komisariatu Rzeszy Ukraina, staje się zrozumiałe, że aktywność partyzantów

na Wołyniu nie była dla Niemców „*drobnym zmartwieniem o znaczeniu lokalnym*”, a stanowiła zagrożenie strategiczne.

Technika militarna połowy XX wieku opierała się na wykorzystywaniu olbrzymiej ilości amunicji — ilością próbowano zrekompensować słabą celność systemów kierowania ogniem. Do obezwładnienia wszystkich środków ogniowych dywizji piechoty (strzeleckiej) nieprzyjaciela zgodnie ze szczodrymi radzieckimi normami końca wojny należało zużyć 50 tysięcy pocisków do haubicy kalibru 122 mm. Jeśli uwzględnimy masę pocisków oraz ilość skrzyń, daje to ponad 2,5 tysiąca ton! Tylko na jedną dywizję wroga... W ciągu 50 dni bitwy pod Kurskiem Armia Czerwona zużyła 14 milionów min i pocisków wszystkich kalibrów. Oprócz tego front potrzebował paliwa, części zamiennych, żywności i furazu, leków; z frontu na tyły trzeba było wywieźć rannych, w czasie wielkich operacji ofensywnych — do 20 tysięcy dziennie. Nawet od oszczędnych Niemców front wschodni wymagał 120–150 składów (nie wagonów, a właśnie składów) dziennie.

Niestety, dowództwo radzieckiego ruchu partyzanckiego nie od razu uświadomiło sobie znaczenie walki na liniach komunikacyjnych nieprzyjaciela; drogo zapłacono za zrozumienie tego, że skuteczność działań partyzanckich mierzona jest nie liczbą „*wyzwolonych*” na pół dnia wsi, a liczbą wysadzonych pociągów. Tak czy owak pod koniec 1942 roku liczba i skuteczność dywersji na magistralach kolejowych zaczyna lawinowo rosnąć: jeżeli w czerwcu 1942 roku uszkodzono i zniszczono 80 lokomotyw i 240 wagonów, to we wrześniu 1943 roku — odpowiednio 650 i 2250 (ważne jest to, że to dane niemieckie, a nie sprawozdania partyzanckich dowódców!). Innymi słowy, jesienią 1943 roku wysadzano średnio ponad 20 składów dziennie.

W podobny sposób rozwijały się wydarzenia na Ukrainie: jeżeli w czerwcu 1942 roku (według danych wydziału operacyjnego Ukraińskiego Sztabu Ruchu Partyzanckiego) wysadzono 22 składy, to w kwietniu 1943 już 116. Latem i jesienią 1943 roku, czyli gdy trwała bitwa kurska, same oddziały pod dowództwem A.F. Fiodorowa podczas operacji kowelskiej wysadziły 274 niemieckie składy. Według danych radzieckich, możliwości przepustowe magistrali Kowel–Sarny zostały zmniejszone sześciokrotnie, ruch kolejowy w nocy praktycznie całkowicie zawieszono.

Właśnie w chwili, gdy niemieckie transporty na zachodzie Ukrainy po raz pierwszy znalazły się w poważnym niebezpieczeństwie, kierownictwo banderowskiej OUN zdecydowało: „*Nadszedł czas, żeby stworzyć powstańczą armię!*”. Przy czym nie w Galicji, gdzie nacjonaści dysponowali największymi siłami, a właśnie na Wołyniu. Nieopodal magistrali.

W nawiasie zauważmy, że na mocy dekretu byłego prezydenta Ukrainy Wiktora Juszczenki za datę utworzenia UPA należy uznać 14 października 1942 roku. To dzień święta Opieki Najświętszej Bogurodzicy, która zgodnie z wielowiekową tradycją uważana jest za opiekunkę i obrończynię prawosławnego ludu. Pod tę datę podciągnięto pewien epizod z walki zbrojnego oddziału OUN z Niemcami... Z całym szacunkiem dla uczuć wiernych, taki sposób datowania wydarzeń historycznych niewiele się różni od przyjętego w byłym ZSRR (i obecnej Rosji) dnia utworzenia Armii Czerwonej, wyznaczonego na 23 lutego 1918 roku, czyli dnia panicznej ucieczki marynarzy towarzysza Dybienki z wybrzeża Narwi.

Decyzja polityczna dotycząca potrzeby utworzenia własnych sił zbrojnych (wówczas nadano im nazwę Ukraińska Wyzwoleńcza Armia, ponieważ pod nazwą Ukraińska Powstańcza Armia w tym czasie walczyły oddziały zbrojne Tarasa Borowca) została podjęta na Trzeciej Konferencji OUN–B, która odbyła się 17–21 lutego 1943 roku. Trzonem przyszłej armii zostali działacze OUN, którzy byli funkcjonariuszami Policji Pomocniczej; między 15 marca a 10 kwietnia 1943 roku na rozkaz kierownictwa banderowskiego nie mniej niż 4–5 tysiące „*policajów*” w zorganizowanych grupach po kilkaset osób (co nie bez zdziwienia odnotował w doniesieniach wywiad partyzantów) z bronią i amunicją schroniło się w lasach.

Dowódcy najniższego i średniego szczebla zazwyczaj wywodzili się z żołnierzy batalionu Pobihuszczego i zdobyli na Białorusi bogate doświadczenie w walce z radzieckimi partyzantami. Jak zgodnie przekonują nas miłośnicy banderowców, „*w grudniu 1942 roku żołnierze batalionu odmówili dalszej służby w Wehrmachcie*”. Więc tak wyglądał słynny niemiecki Ordnung — nie chcę i nie będę walczyć! Zamiast rozstrzelać zuchwalców w najbliższym rowie, dowództwo niemieckie w osobie Obergruppenführera SS von dem Bacha–Zelewskiego dziękuje im za wierną służbę i puszcza wolno. Żołnierze i dowódcy ściągają do Lwowa, gdzie

„usiłowało ich aresztować Gestapo, ale Pobihuszczyj i Szuchewycz cudem zdołali uniknąć aresztowania”.

Po tym cudownym ocaleniu (jak tu nie przypomnieć dowcipu o „nieuchwytnym Joe”) major Wehrmachtu Pobihuszczyj staje się dowódcą pułku w 14. Dywizji Grenadierów Waffen SS Galizien, której formowanie zaczęło się we Lwowie na początku marca 1943 roku (interesująca zbieżność dat?). Szuchewycz bez przeszkód opuszcza Lwów, przenosi się na Wołyń, gdzie zostaje jednym z czołowych organizatorów powstającej banderowskiej „armii” (co prawda pierwszym dowódcą został mianowany szef OUN–B północno–zachodniego rejonu Ukrainy, czyli Wołyń i Polesia, trzydziestodwuletni Dmytro Klaczywski; Szuchewycz zastąpił go na tym stanowisku dopiero późną jesienią 1943 roku).

Według banderowskich propagandystów nowo powstała armia odniosła wielki sukces. „W latach 1942–1944 pod wyłączną kontrolą UPA znajdowały się całe rejony Polesia, Wołyń, Karpat, część obszarów leśnych Galicji” — czytamy w broszurze **Kim są banderowcy i o co walczą** (wydana w podziemiu w 1950 roku w języku ukraińskim i rosyjskim, autor — szef wydziału wychowania politycznego Sztabu Głównego UPA Petro Fedun, ps. Połtawa). Gdyby była to prawda, to dyskusję na temat tego, z kim i przeciwko komu walczyła UPA, można było uznać za zamkniętą. Skoro „całe rejony Polesia, Wołyń” znajdowały się pod jej kontrolą (co więcej pod „wyłączną kontrolą”!) i przez te tereny dwa lata kierowały się z zachodu na wschód niemieckie składy z amunicją, to rola OUN i UPA jest zrozumiała — są sojusznikami Niemiec. Nawet nie „zachowującymi życzliwą bezstronność” (tranzyt ładunków wojskowych w czasie działań wojennych jest sprzeczny z pojęciem bezstronności), a właśnie sojusznikami. Ale ponieważ „wyłączna kontrola” istniała tylko w marzeniach, to kwestia celów i zadań, które miała do wykonania banderowska UPA), wciąż pozostaje otwarta.

Ta kwestia rzeczywiście jest bardzo skomplikowana, a ponadto starannie zagmatwana przez wieloletnią wojnę propagandową. Nie porywam się do rozwiązania jej w ramach krótkiego artykułu, przytoczę jedynie kilka miarodajnych opinii i relacji.

2 sierpnia 1943 roku Wasyl Makar (wówczas szef banderowskiej Służby Bezpieczeństwa na północnym zachodzie Ukrainy, czyli wysoko postawiony

funkcjonariusz, który brał bezpośredni udział w tworzeniu UPA), pisze do swojego brata Wołodymyra list, w którym tak opisuje sytuację:

Powstanie na północno–zachodnich i częściowo wschodnich terenach powinniśmy byli zacząć szybko i nie było to przedwczesne, jak twierdzą niektórzy, bo sytuacja wymykała się nam spod kontroli. Z jednej strony — zaczęli mnożyć się atamani, tacy jak Bulba–Borowiec, a z drugiej strony — czerwona partyzantka zaczęła zalewać teren. (...) Po drugie: jeszcze przed wybuchem powstania Niemcy zaczęli masowo niszczyć wsie. (...) Wszystkich rozstrzeliwali, a budynki palili.

W związku z tym masa ludzi zaczęła uciekać do lasów i błąkać się samopas. Zaczęły się rabunki, część udała się komunistycznej partyzantki, do Bulby itd. Dlatego musieliśmy zorganizować tych ludzi w lasach. Są to dwie zasadnicze przyczyny wybuchu naszego powstania. Jest jeszcze trzecia, o charakterze moralnym. Pojawiły się głosy: „Gdzie ten rząd? Dlaczego nie wydaje rozkazu walki z Niemcami?” itd. (...) Teraz niezadowolonych uciszono, a rewolucja stała się sprawą całego społeczeństwa. Ciężar walki spoczął na barkach całego społeczeństwa, czy chciało tego, czy nie, musiało go dźwigać.

Trudno o lepsze sformułowanie: sytuacja „wymykała się spod kontroli”, a ludność „błąkała się samopas” czy nawet zaciągała się do partyzantki i walczyła z Niemcami, nie czekając na wytyczne od banderowskiego rządu... Nie najmniej ważną osobą w tym rządzie był również adresat listu Wołodymyr Makar, pracownik wydziału agitacji i propagandy. Latem 1943 roku napisał on artykuł, w którym opisuje powstałą na Wołyniu sytuację:

Do początku 1943 roku prześladowani przez niemieckich okupantów Ukraińcy, którym groziła śmierć na miejscu albo w obozie w Rzeszy, musieli szukać schronienia w szeregach czerwonej partyzantki, mimo że widzieli jej wrogi stosunek do niepodległościowych dążeń Ukrainy. (...) Bolszewicka partyzantka już w 1942 roku całkowicie opanowała Polesie i lasy na północy Wołynia. (...) Pierwsze zorganizowane działania oddziałów UFA przypadają na luty–marzec 1943 roku. Sztab UPA najpierw musiał się zająć wytypowaniem korzystnych pozycji strategicznych do realizacji dalszych planowych akcji.

Te najkorzystniejsze pozycje na północnym zachodzie Ukrainy [Wołyń i Polesie] znajdowały się w rękach czerwonych partyzantów. Przede wszystkim należało zdobyć te rejony.

W ten sposób doszło do pierwszych walk UPA z czerwoną partyzantką.

Niewątpliwie po „pierwszych walkach” nastąpiły kolejne. W doniesieniach, sprawozdaniach, raportach i wspomnieniach partyzanckich dowódców ten temat — walki ze zbrojnymi oddziałami ukraińskich nacjonalistów — przewijał się przez cały czas.

Oddział im. Chruszczowa 14 czerwca wysłał na lotnisko rannych. W lasach w okolicy Rakitna [100 km na północny wschód od Równego — M.S.] 130 partyzantów z konwoju zostało zaatakowanych przez około 600 banderowców. Dwie i pół godziny trwała zacięta potyczka, momentami dochodziło do walki wręcz. (...) Nacjonałiści dobrze walczą. Wycofali się dopiero wtedy, gdy ponieśli duże straty — około 40 zabitych i 150 rannych.

8 lipca dowódca oddziału im. Stalina (oddziały A. Fiodorowa) G. Balicki:

Wczoraj natknęliśmy się na oddział wroga liczący około 300 ludzi, uzbrojonych w karabiny maszynowe, karabinki i moździerze. Sytuacja fatalna, ale nastroje bojowe. (...) Swego czasu każdy krzak był dla partyzanta twierdzą, a teraz kryje śmierć, ponieważ wróg siedzi w lasach i te lasy dobrze zna. (...) Podstępny wróg, bez dwóch zdań. Niemiec nie zawsze zapuszcza się do lasu, a ta swolocz siedzi w lesie i w małych chutorach, dlatego nacjonalistyczne bandy są niebezpieczniejsze od niemieckich oddziałów pacyfikacyjnych.

Również Balicki, 7 sierpnia, rejon kowelskiego węzła kolejowego:

Na wszelkie sposoby przeszkadzają nam — partyzantom — w zbliżaniu się do torów kolejowych, urządzają zasadzki, które nam utrudniają wykonywanie zadań, ale my orężem, duchem, wolą płoniemy i każemy im sp...

Radziecka (czerwona) partyzantka była najpotężniejszym, ale nie jedynym uzbrojonym przeciwnikiem banderowców. Przede wszystkim zadali oni miazdzący cios oddziałom Tarasa Borowca (pseudonim Bulba). Borowiec nie był czerwony, nie można go nawet nazwać bladuróżowym. Działał w imieniu rządu emigracyjnego Ukraińskiej Republiki Ludowej

(anty bolszewicki, petlurowski rząd, który kontrolował większą część Ukrainy w latach 1918–1920) i jego prezydenta Andrija Liwickiego. Już pod koniec 1932 roku Borowiec stworzył na Polesiu podziemną organizację pod nazwą Ukraińskie Odrodzenie Narodowe; organizacja nie była liczna, a jej przywódca ostatecznie wylądował w Berezie Kartuskiej. Przegrana przez Polskę wojna wyzwoliła więźniów obozu, w tym Borowca; w sierpniu 1940 roku nielegalnie przekroczył on granicę teraz już radzieckiej Ukrainy i zajął się tworzeniem struktur przyszłej Ukraińskiej Powstańczej Armii.

W napisanych po wojnie w Kanadzie wspomnieniach **Armija biez dierzawy** („*Armia bez państwa*”) Borowiec opisuje pierwsze dni wojny radziecko–niemieckiej w taki sposób:

Część frontowych czekistów i komisarzy, jeżeli ich nie pokonał i nie wystrzelał żołnierz radziecki, na swoje szczęście w samochodach i na kradzionych koniach w dzień i w nocy zwiewa przez lasy i bagna na wschód. Za nimi wynosi się chmara miejscowych enkawudzistów, milicjantów, sekretarzy i innych naczelników, którzy wcześniej jak pijawki wysysali krew z naszego ludu.

Borowiec nie tylko obserwował wydarzenia, stworzone przez niego oddziały zbrojne wzięły w nich czynny udział — ostrzeliwały wycofujące się jednostki Armii Czerwonej, likwidowały grupy dywersyjne NKWD, tworzyły organy lokalnej administracji. Po zawarciu umowy z dowództwem Wehrmachtu Borowiec stworzył w rejonie Sarny–Olewska (północny wschód Wołynia) coś w rodzaju „*antypartyzanckiej republiki*”. Jednym słowem, dla banderowców powinien być „*swój*”, co więcej, Borowiec dążył do połączenia sił z OUN, przyjeżdżał na rozmowy do Lwowa, ale przeszkodą nie do pokonania była niechęć Łebedia & Co., do dzielenia się z kimkolwiek choćby okruchami „*władzy*”.

Wiosną 1943 roku w oddziałach Borowca (alias UPA, alias Sicz Poleska) znajdowało się około 5–6 tysięcy ludzi. Była to poważna siła i banderowcy potraktowali ją bardzo poważnie. Szczycąc się znaczącą przewagą liczebną (latem 1943 roku „*armia*” banderowców liczyła około 20–30 tysięcy ludzi) oraz potężniejszą pod względem uzbrojenia i wyszkolenia kadrą dowódczą, banderowcy postawili Borowcowi ultimatum: oddać wszystko, nazwę („*ukraińska powstańcza armia*”) broń, żołnierzy. Ataman bezskutecznie

próbował przemówić do sumienia „zaślepionych totalitarystów”, bezskutecznie (list otwarty z 4 sierpnia 1943 roku) zasypywał ich lawiną pytań retorycznych („Z tych kategoriycznych powodów pozwalam sobie zapytać: O co walczyacie? O Ukrainę czy o OUN? O państwo ukraińskie czy o dyktaturę w tym państwie? O naród ukraiński czy tylko o swoją partię?”); bezskutecznie wzywał przerażoną terrorem ludność („Ludu pracujący Ukrainy! (...) Skoro banderowscy faszyci zaczynają mówić do narodu hasłami demokratycznymi i przekonują, że oni również walczą o jedność i całkowite wyzwolenie pracujących, to dlaczego oni tę jedność niszczą dążeniami do ustanowienia niekontrolowanej dyktatury”).

Jeden po drugim oddziały Siczy Poleskiej okrążano i niszczo — przekazywano dowódców dla „złożenia zeznań” w ręce Służby Bezpieczeństwa, rozbrajano szeregowych powstańców i proponowano im dobrowolnie wstąpić do banderowskiej UPA. Odmawiających rozstrzeliwano na miejscu. Ci, którzy wstąpili „dobrowolnie”, pozostawali pod nieustanną obserwacją SB i byli mordowani przy najmniejszym podejrzeniu czy po prostu w ramach kolejnej kampanii „czystek w szeregach”. 19 sierpnia 1943 roku członkowie banderowskiej SB zaatakowali sztab Siczy Poleskiej, gdzie wzięli do niewoli żonę atamana, którą podczas przesłuchania zabili. Kierownictwo OUN–B w specjalnym komunikacie nawet tłumaczyło się, że Anna Borowiec „była polskim szpiegiem wśród Ukraińców”, za co została „skazana przez trybunał rewolucyjny”...

Czy przy tylu zajęciach banderowcy mieli czas i siły do walki z Niemcami? Dziwne pytanie, nieprawdaż? Kto nie pamięta słynnego zdania z dziennika komisarza Rudniewa: „Nacjonałiści to nasi wrogowie, ale walczą z Niemcami”. Cytowano ją tysiąc i jeden razy; no jak by inaczej — sam komisarz legendarnego Kowpaka (chyba nawet Żyd) to przyznaje... Cóż, proszę mi wybaczyć, panowie, ale to nie ja zacząłem rozmowę o dzienniku Rudniewa.

Wspomniane zdanie rzeczywiście jest w dzienniku. To notatka z 24 czerwca 1943 roku:

Przez ten czas, a szczególnie w ostatnim dniu, nerwy są tak napięte, że już drugą dobę prawie nic nie jem. Sytuacja jest tak politycznie zagmatwana, że trzeba się poważnie zastanawiać. Zabić — nic trudnego, ale należy postąpić tak, żeby tego uniknąć. Nacjonałiści to nasi wrogowie, ale walczą z Niemcami.

Ani ja, ani większość moich czytelników „*nigdy nie wachaliśmy prawdziwego prochu*”. Na szczęście. Ale na obozie, mam nadzieję, był każdy, dlatego może ocenić sam — jaki powinien być stopień stresu nerwowego i fizycznego u człowieka, żeby w lesie, „*na świeżym powietrzu*”, nie mógł nic przełknąć... W takim stanie różne rzeczy mogą się wydawać... Z dziennika wnioskuję, że w przyszłości taki kryzys u komisarza się nie powtórzył, natomiast wzmianki o nacjonalistach następują jedna po drugiej.

Notatka z 30 czerwca:

Mam dość komedii z tą swołoczą. Zebrała się różna nacjonalistyczna hołota, możemy ich bez trudu pokonać, ale będzie to na rękę Niemcom i wrogo nastawimy do siebie zachodnich Ukraińców. Wśród nich tylko wierchuszka jest ideowo zaangażowana, główna masa jest ślepych narzędziem w rękach nacjonalistycznych szubrawców. To wszystko się rozpadnie przy pierwszym uderzeniu.

Notatka z 2 lipca:

W nasze ręce trafiły cenne nacjonalistyczne dokumenty, które ukazują, jak bardzo połączyli się niemieccy faszyci z ukraińskimi nacjonalistami. Jest list Melnyka, jednego z ich przywódców, do władz niemieckich [z prośbą] o przekazanie im broni dla walki z Moskwą. (...) Nie ma żadnych wątpliwości, że przywódcy nacjonalistów okłamują szeregowy masę co do tego, że prowadzą walkę z Niemcami, a w rzeczywistości razem z Niemcami i przy ich wsparciu prowadzą walkę z władzą radziecką.

Notatka z 5 lipca:

Trzonem i podstawą powstańczej Ukraińskiej Armii są policjanci z obwodów zachodnich. Po zajęciu przez Niemców zachodnich terenów Ukrainy kulacy i element represjonowany znaleźli pracę w policji, która rabowała i mordowała rodziny żydowskie, i z tych rabunków żyła, a kiedy Niemcy ukrócili ten proceder, cała ta prawicowa swołocz, którą kierowali nacjonałiści, zabrała daną przez Niemców broń i poszła do lasu.

Tu znowu się połączyli w oddziały i jako pierwsze zadanie wybrali sobie eksterminację ludności polskiej. Zaczęła się straszliwa rzeź, całe wsie, rejony, ludność polską mordowano w okrutny sposób, przy tym potwornie katowano i

mordowano dzieci, kobiety i starców, a wszystkie budynki palono. Niewątpliwie niemieckie służby w tej rzezi [odegrały] główną rolę.

Notatka w dzienniku Rudniewa z 5 lipca 1943 roku jest spisany na gorąco (niestety, w tym przypadku popularny zwrot nabiera mrocznego znaczenia) świadectwem najważniejszego, największego czynu, którego dokonały banderowska UPA i SB. Nie przez przypadek faktowi dokonania tej najcięższej zbrodni (a według obowiązujących norm prawa międzynarodowego zbrodnia ludobójstwa się nie przedawnia) z autentyczną wściekłością zaprzeczali i nadal zaprzeczają orędownicy banderowców. Dokładniej mówiąc, samego faktu masowych mordów na ludności polskiej na Wołyniu już nikt nie neguje. Praktycznie nie pozostało miejsca dla dyskusji o skali rzezi — 60 tysięcy ofiar tylko na Wołyniu (nie licząc Galicji, gdzie co prawda rzeź zaczęła się później i miała nieco mniejszą skalę) i tylko w tych miejscowościach, w których polskim badaczom udało się sporządzić listy konkretnych ofiar; jasne, że ogólna liczba ofiar jest znacznie większa. Przedmiotem zawziętej dyskusji są przyczyny tych wydarzeń oraz rola w nich kierownictwa OUN–B.

Najbardziej bezwstydni autorzy nazywają rzeź „*potyczkami zbrojnymi między oddziałami UPA i Armią Krajową*”. Okazuje się, że tak właśnie wyglądała polska armia partyzancka, w trzech czwartych składała się z kobiet i dzieci... Czy: „*Polacy zaczęli pierwsi*”. Pozostaje zapytać — po co? Przed wojną, w 1939 roku, na Wołyniu (według szacunków różnych autorów) Polacy stanowili nie więcej niż 15–18 procent ludności, przy tym większość skupiona była w miastach; wieś była przeważnie ukraińska. Po przyłączeniu tych terenów do Związku Radzieckiego większa część ludności polskiej została deportowana na Syberię i do północnego Kazachstanu; między innymi praktycznie bez wyjątku zesłano (jeżeli nie aresztowano ich jako szpiegów i wrogów władzy radzieckiej) tak zwanych osadników — polskich chłopów, którym władze II Rzeczypospolitej oddały najlepsze ziemie na kresach wschodnich. Gdy się zaczęła druga, niemiecka okupacja Wołynia, Polacy stanowili nie więcej niż 7–8 procent ludności wiejskiej, rozproszeni w morzu ukraińskich wsi i chutorów. Przy tym zostali ci, którzy mieszkali na tych ziemiach z Ukraińcami przez setki lat. I to właśnie oni w ataku zbiorowego szaleństwa zaczęli wyrzynać dziesięć razy większą rzeszę ukraińskich sąsiadów?

Ostatnia „*rubież obrony*” banderowskich adwokatów wygląda następująco: „*Terror wybuchł żywiołowo na wielką skalę jako reakcja na dwadzieścia lat poniżeń i przemocy ze strony władz polskich. (...) Kierownictwo OUN i dowództwo UPA przez jakiś czas po prostu zamykały oczy na to, co się dzieje*”. Po prostu zamykały oczy. Ze wstydu, jak przypuszczam...

Zanim przejdziemy do cytowania dokumentów, zwróćmy się do fragmentu książki **Gorkaja prawda** („*Gorzka prawda*”), napisanej w Kanadzie przez ukraińskiego historyka Wiktora Poliszczuka. Autor urodził się i dorastał na Wołyniu w chłopskiej rodzinie; życie, zasady i zwyczaje tego głuchego, biednego kraju widział na własne oczy:

Ja i moje siostry wychowywaliśmy się w patriotycznej ukraińskiej rodzinie, która wcale nie odnosiła się z pogardą do Polaków czy Żydów. Naszym najbliższym sąsiadem był Żyd Gierszko, z którym ojciec i matka rozmawiali wyłącznie po ukraińsku, tak samo jak my, dzieci, z jego dziećmi. Nigdy między nami nie dochodziło do kłótni, a na żydowską paschę sąsiad przynosił nam macę.

W naszym miasteczku nie było ukraińskiej szkoły, dlatego chodziłem do polskiej, a czytać i pisać po ukraińsku nauczył mnie ojciec. W 1939 roku skończyłem siedem klas, zdałem egzamin do gimnazjum handlowego w naszym mieście, ale wojna i aresztowanie przez bolszewików ojca 17 września 1939 roku przekreśliły plany mojej dalszej nauki. Całe wakacje, my, dzieci, spędzaliśmy na wsi u dziadków. Ani od nich, ani nikogo innego we wsi nigdy nie słyszałem złego słowa pod adresem Polaków czy Żydów. Wieś była ukraińska, spokojna, pracowita. Co charakterystyczne, nigdy, ani w lecie, ani na Boże Narodzenie czy Wielkanoc, nie widziałem tam pijanej osoby. U moich dziadka i babci rocznie zużywano nie więcej jak pół litra wódki: po małym kieliszku wypijali dziadek, mój ojciec i wujek Iwan. Obejścia nie miały zamków, drzwi zamykano kijkiem, co miało oznaczać, że nikogo nie ma w domu.

O kradzieżach nikt nie słyszał.

To samo możemy przeczytać również w mnóstwie innych wspomnień; osoby starsze mogły to słyszeć od swoich rodziców. Właśnie tak toczyło się życie: pracowano od świtu do zmierzchu, w wielkie święto wypijano po

małym kieliszku samogonu, drzwi zamykano na kijek. Teraz chcą nas przekonać, że ci ludzie tak bardzo obrazili się na polską władzę, że cztery lata po klęsce i zniknięciu z mapy II Rzeczypospolitej „żywiotowo i masowo” poszli mordować, wycinać siekierami, przebijać bagnietami, piłować piłami swoich polskich sąsiadów? Przy tym ten „żywiotowy wybuch gniewu” nastąpił właśnie tam i właśnie wtedy, gdzie i kiedy pojawiły się zbrojne oddziały UPA. Przy tym w pozostałych regionach Ukrainy ani masowych, ani nawet pojedynczych przypadków antypolskich wystąpień nie było w ogóle, a w Galicji rzeź zaczęła się mniej więcej pół roku później i znowu w czasie, gdy powstawały zbrojne oddziały ukraińskich nacjonalistów (UPA i UNS). I to się nazywa żywiotowość?

Totalna etniczna czystka („całkowite wyrzucenie wszystkich zaborców z ukraińskich ziem”) została zaprogramowana przez „ojców–założycieli” OUN już w 1929 roku. W 1943 roku pojawiło się nareszcie narzędzie (UPA), za którego pomocą można było tego dokonać. O jakiej żywiotowości można tu mówić? Przecież nikt (nikt spośród tych, którzy mieli do czynienia z tą sytuacją) nie mówi o żywiotowości. Mykoła Łebed (który szczęśliwie uniknął kary i przeniósł się za ocean) we wspomnieniach z dumą (!) pisze: „*Polacy, którzy otrzymali rozkaz opuszczenia terenu, w większości dobrowolnie ten rozkaz wykonali; ich nieruchomości stały się własnością narodu ukraińskiego*”.

Zachowany w ukraińskim archiwum państwowym dokument pozwala na sprecyzowanie tego, co Łebed nazywa „rozkazem” oraz „dobrowolnym” jego wykonaniem:

Ze względu na oficjalne stanowisko polskiego rządu w sprawie współpracy z Sowietami należy wypędzić Polaków z naszych ziem. Proszę rozumieć to tak: wiejskiej ludności rozkazać, żeby w ciągu kilku dni wyprowadziła się na rdzenne ziemie polskie. Jeżeli tego nie wykona, wówczas wysłać bojówki, które zlikwidują mężczyzn, a domy i dobytek spalą (zarekwirują). Jeszcze raz zwracam przy tym uwagę na to, żeby Polaków nakłaniać do opuszczenia ziem, a dopiero po tym likwidować, a nie odwrotnie. Proszę zwrócić na to szczególną uwagę.

Ze względu na skład kadrowy UPA latem 1943 roku (trzonem i podstawą Ukraińskiej Powstańczej Armii są policjanci z obwodów zachodnich) oraz

zwyczaje i potrzeby, które pojawiły się u „policajów” w ciągu półtora roku, nie dziwi fakt, że praktyczne wykonanie rozkazu dotyczącego czystek etnicznych na Wołyniu wiązało się z masowym „naruszeniem zasad nacjonalistycznego prawa” i przekroczyło ramy zalecanego przez kierownictwo OUN „dobrowolnego” wypędzenia Polaków. Liczne relacje świadków „rzezi wołyńskiej” zachowały takie szczegóły, jakich nikt nie zaryzykuje pokazać w żadnym horrorze. Jednocześnie nie chcę zmieniać tego artykułu w instrukcje dla początkujących sadystów ani być oskarżonym o próbę „wywarcia presji na psychikę czytelnika”, więc przytoczę tylko relację W. Poliszczuka o wydarzeniach, które dotyczyły jego najbliższych krewnych; opowieść jest bardzo powściągliwa i przerażająca właśnie z powodu zwyczajności popełnionych zbrodni:

Latem 1943 roku moja ciotka, od strony matki, Anastazja Witkowska w dzień poszła z sąsiadką Ukrainką do znajdującej się o trzy kilometry od Dubna wsi Tarakanów. Rozmawialiśmy po polsku, bo ciotka, kobieta niepiśmienna, pochodząca z Lubelszczyzny, nie nauczyła się mówić po ukraińsku. Poszły, żeby wymienić coś na chleb, bo ciotka miała sześcioro dzieci.

Ani ona, ani wujek Antoni Witkowski, też człowiek niepiśmienny, nie tylko nie mieszały się do żadnej polityki, ale nie mieli o niej żadnego pojęcia. Ją oraz tę Ukrainkę banderowcy zabili tylko za to, że rozmawiały po polsku. Zabili bestialsko, siekierami, i wrzucili do przydrożnego rowu. (...)

Rodzice mojej żony mieszkali przed wojną na Polesiu; jej ojciec — Czech, a matka — Polka. Kiedy na początku 1943 roku na południowym Polesiu zaczęły się masowe zabójstwa Polaków, cała rodzina uciekła na Krzemieńszczyznę, do rodziny ojca we wsi Uhorsk. Pewnego razu znajomy Ukrainiec powiadomił ojca mojej żony, że UPA szykuje się do zabicia jego rodziny. Uciekli do Krzemieńca. Ktoś widział rozmowę tego młodego Ukraińca z ojcem żony. Podejrzanego o „zdradę” powieszono na środku wsi i przyczepiono mu do piersi napis:

„To czeka każdego zdrajcę”. Nie pozwolono go zdjąć przez kilka dni.

Najkrwawszy był lipiec 1943 roku. 11–13 lipca oddziały banderowskie „żywiłowo” zaatakowały ponad setkę miejscowości, w których mieszkali Polacy. Według różnych ocen w ciągu tych trzech dni zginęło od 12 do 30

tysięcy osób. Właśnie po takich wydarzeniach odbył się 3 Wielki (Nadzwyczajny) Zbor banderowskiej OUN, na którym przyjęto tak miłą dla „demokratycznej publiczności” rezolucję dotyczącą „wolności narodów”, równości wszystkich obywateli Ukrainy i innych praw okrutnie mordowanych ludzi. Co prawda, należy zaznaczyć, że nawet wśród członków centralnego kierownictwa OUN–B pojawiły się różnice zdań co do ustosunkowania się do rzezi na Wołyniu, ale ostatecznie większość (między innymi Roman Szuchewycz) przyjęła stanowisko dowódcy UPA Klaczkiwskiego, głównego organizatora antypolskiej kampanii.

„UPA walczy z rosyjsko–bolszewickimi i niemieckimi okupantami” — napisano w rezolucji 3 Wielkiego Zboru. Nie jestem w stanie zrozumieć ukrytego sensu tego sformułowania. Jak można jednocześnie walczyć z jednymi i drugimi? Oczywiście wielki słoń jednym kopnięciem swojej wielkiej nogi może zabić dwa walczące kundle. Możemy jeszcze wyobrazić sobie szalonego kundla, który postanowił zaatakować dwa słonie naraz. Ale jak mucha (a w porównaniu w możliwościami militarnymi Niemiec i ZSRR kilkadziesiąt tysięcy uzbrojonych w lekką broń strzelecką żołnierzy UPA było ową „muchą”) może jednocześnie walczyć z dwoma wojującymi słoniami?

Każdy atak na czerwonych partyzantów bez wątpienia sprzyjał Niemcom, umacniając ich pozycje na okupowanym terytorium. Każdy wysadzony niemiecki pociąg osłabiał potęgę militarną Wehrmachtu i przybliżał dzień przyjscia Armii Czerwonej do Ukrainy Zachodniej (być może właśnie dlatego nie odnaleziono żadnej dywersji na kolei na koncie UPA). Niemniej jednak, wbrew wszelkiej logice, dochodziło do potyczek zbrojnych między Niemcami i żołnierzami UPA. I było ich sporo (obecnie na Ukrainie wydano zbiór **100 zwycięskich walk UPA z niemieckimi wojskami**). Co prawda, po bliższym zapoznaniu się z tymi faktami pojawia się jeszcze więcej pytań. „*19 sierpnia 1943 roku przeprowadzono natarcie na Kamień Koszyrski. W akcji brały udział: batalion Nazara–Krygi, sotnia Łysego i sotnia Kubika. Dobrze zaplanowana akcja rozpoczęła się wczesnym rankiem i zakończyła o godzinie 17. W ciągu jednego dnia oczyszczono z wroga całe miasto. Straty wroga: 120 zabitych (polscy policjanci i żołnierze Wehrmachtu). Straty UPA: 2 rannych*”.

Zrozumieliście coś? Ja nie. Walka trwała od wczesnego ranka do piątej po południu, nieprzyjaciel stracił 120 zabitych, straty własne to dwójka rannych? Czy nie kryje się za tą zwycięską relacją historia zwyczajnego pogromu? Od

rana do wieczora, bez pośpiechu, dla zabawy wycinali Polaków, zabitych mężczyzn zaliczono do „*polskich policjantów*”; na swoje nieszczęście w miasteczku znalazło się kilku niemieckich żołnierzy, którzy próbowali powstrzymać rzeź — stąd pojawia się dwójka rannych ze strony atakujących...

Albo głośna historia o zabiciu przez żołnierzy UPA weterana partii nazistowskiej, szefa sztabu SA, Obergruppenführera SS (a to, ni mniej, ni więcej, generał pułkownik!) Viktora Lutzego. 2 maja 1943 roku ów zatwardziały nazista rzekomo osobiście prowadził kolumnę czołgów, która wyruszyła na bitwę z UPA, ale została haniebnie rozgromiona wraz ze swoim dowódcą. Lutze rzeczywiście zginął tego dnia. Razem z nim w wypadku samochodowym zginęła jego córka Irma; ośmioletnia Frida i jej babcia Gizela przeżyły i zostały przewiezione do szpitala wojskowego w Poczdamie, tylko wszystko wydarzyło się dwa tysiące kilometrów od najbliższego oddziału UPA... Wszystko tak, jak uczyli się w młodości: dogmatyzm, fanatyzm, iluzjonizm. Nie zapomniałeś jeszcze, szanowny czytelniku, od czego się wszystko zaczęło?

Tak czy owak „*dziwna wojna*” UPA z Niemcami i radzieckimi partyzantami nie trwała długo — od wczesnej wiosny do jesieni 1943 roku. W doniesieniu z 13 listopada 1943 roku szef Komisariatu Rzeszy Ukraina Erich Koch z zadowoleniem stwierdza, że zbrojne oddziały nacjonalistów prowadzą walki z partyzantami, nie wykazując aktywności w stosunku do Niemców. Nic w tym dziwnego, skoro 27 października 1943 roku sam „*główny referent*” SB Mykoła Arsenycz (pseudonim Mychajło) podpisał rozkaz, w którym pod groźbą rozstrzelania zakazał wszelkich „*samowolnych*” ataków na Niemców.

W październiku–listopadzie 1943 roku wojska radzieckie doszły do Dniepru i forsowały go na szerokim froncie; na początku stycznia 1944 roku oddziały Armii Czerwonej przekroczyły byłą granicę radziecko–polską i zajęły Sarny. Do Ukrainy Zachodniej dotarła wielka wojna. W połowie kwietnia 1944 roku front przebiegał po linii Kowel, Brody, Tarnopol, Czernowce. Później nastąpiła długa „*przerwa operacyjna*”, która 13 lipca 1944 roku została przerwana hukiem rozpoczynającej się operacji lwowsko–sandomierskiej. Pod koniec miesiąca praktycznie cała Galicja była w rękach Armii Czerwonej, Niemcy utrzymywali tylko rejon Drohobycza między Dniestrem i Sanem.

Do tego czasu banderowskie gry w „*wojnę na dwa fronty*” ostatecznie się zakończyły. W styczniu–lutym 1944 roku zaczęły się pierwsze spotkania i rozmowy — na razie jeszcze na poziomie „*dowódców polowych*”, ale już 18 kwietnia 1944 roku sam Klaczkiwski (wówczas dowódca UPA Północ) pisze list do dowódcy Grupy Armii Północna Ukraina, w którym proponuje współpracę i prosi o zaopatrzenie oddziałów UPA w broń i amunicję. Na początku czerwca 1944 roku we Lwowie odbywają się oficjalne rozmowy między przedstawicielem rządu centralnego OUN–B Iwanem Hryniochem (Gerasimowskim), byłym kapelanem batalionu *Nachtigall*, jednym z organizatorów „*deklaracji niepodległości*” 30 czerwca 1941 roku, oraz przedstawicielami dowództwa Wehrmachtu i Abwehry.

Strony ustaliły plan dalszych działań, zgodnie z którym OUN powinna dostarczyć Niemcom danych wywiadowczych i prowadzić działania dywersyjne na wielką skalę na tyłach nacierającej Armii Czerwonej, natomiast Niemcy mieli przekazać banderowcom dużą ilość broni strzeleckiej, amunicji, środków łączności, leków. Jak podają współcześni ukraińscy historycy, w 1944 roku Niemcy przekazali UPA około 10 tysięcy ciężkich i ręcznych karabinów maszynowych, 26 tysięcy karabinów, 72 tysiące karabinów szturmowych, 22 tysiące pistoletów, 100 tysięcy granatów ręcznych, 300 radiostacji polowych.

Jednocześnie banderowcy próbowali wybadać możliwości zbliżenia się z aliantami. W tym celu, ustępując tradycjom i normom pogardzanej anglosaskiej demokracji, należało stworzyć jakiś „*organ przedstawicielski*” nie kojarzony w sposób oczywisty z Bandera, OUN i wcześniejszą wieloletnią współpracą z Niemcami. 11–15 lipca 1944 roku w Karpatach, w lasach w okolicy Samboru, zebrało się 20 osób, które okrzyknęły się Ukraińską Główną Radą Wyzwoleńczą. Nawet mianowano „*prezydenta*”, którym został nie związany formalnie z OUN Kyryło Ośmak. Roman Szuchewycz, coraz aktywniej odsuwający Łebedia od „*głównych ról*”, objął stanowisko szefa Sekretariatu Generalnego UHWR. Zresztą wszystkie te zabiegi okazały się bezowocne — po wszystkim, co się wydarzyło, po współudziale ukraińskich nacjonalistów w eksterminacji Żydów i zorganizowanej przez nich rzezi Polaków, o żadnym sojuszu politycznym, o żadnym uznaniu przez Zachód banderowskich „*rządów*” i „*parlamentów*” nie mogło być mowy.

Po całkowitym wypędzeniu niemieckich okupantów z terytorium Ukrainy (sierpień 1944 roku) zaczyna się nowy — i ostatni — etap w historii OUN, etap walki z władzą radziecką, Armią Czerwoną i NKWD. Właśnie w tym czasie zaczyna gwałtownie rosnać liczba członków UPA; jeżeli pod koniec 1943 roku nie przekraczała ona 30–40 tysięcy ludzi, to rok później do UPA należało, według szacunków różnych autorów, już około 70–100 tysięcy ludzi. Olbrzymia ilość broni, pozostawiona przez wycofujących się Niemców, stała się ważnym, ale bynajmniej nie jedynym powodem zwiększenia szeregów UPA. Powstańcza armia przestała nią być nawet z nazwy — banderowcy zajęli się „dobrowolno–przymusową” mobilizacją młodzieży wiejskiej; za uchylanie się od „poboru” bito wyciorami, niszczone gospodarstwa, a notorycznie „uchylających się” rozstrzeliwano. Ważnym (być może najbardziej istotnym) źródłem wielotysięcznego wojska stali się „uchylający się” zupełnie innego rodzaju — kryjący się po lasach poborowi, którzy nie chcieli walczyć w Armii Czerwonej.

O tym okresie, o tej straszliwej karcie w historii Ukrainy, napisano tak wiele, że niektórzy czytelnicy już zupełnie zapomnieli o tym, że historia OUN zaczęła się 15 lat wcześniej i że UPA powstała bynajmniej nie wskutek niepokalanego poczęcia latem 1944 roku. Zadziwiające, ale współczesna ukraińska i tradycyjna radziecka historiografia (a właściwie pseudohistoryczna mitologia) były zgodne w swojej niechęci do mówienia o pierwszych epizodach historii OUN, o wydarzeniach lat 1929–1944, kiedy właśnie wyłoniła się kadra kierownicza OUN, ukształtowało się „oblicze” ruchu, jego ideologia, priorytety, sojusznicy i przeciwnicy.

Stanowisko apologetów jest zrozumiałe — niezależnie od ich wysiłków faszystowska ideologia ruchu i wieloletnia współpraca z faszystowskimi Niemcami nie zdobią portretów szlachetnych bohaterów; prościej i wygodniej jest w ogóle wykreślić te lata z historii. Z kolei radziecka propaganda była przekonana, że większej zbrodni od niechęci do wstępowania do kołchozu nie można sobie wyobrazić, dlatego piętnując „burżuazyjnych ukraińskich nacjonalistów”, skoncentrowała się właśnie na wydarzeniach okresu powojennego. Co więcej, jakakolwiek wzmianka na temat tego, że na terenach wschodniej Polski, „wyzwolonych” we wrześniu 1939 roku na mocy umowy z Hitlerem, najwyraźniej mieszkali Polacy, była dla komunistycznych historyków niezbyt przyjemna; tak więc główna zbrodnia banderowców —

wołyńska rzeź — została w ogóle zapomniana, wymazana z pamięci, zakazano wspominania o niej w podręcznikach.

Nie próbując ogarnąć wszystkiego w jednym artykule, zwróćmy uwagę tylko na trzy punkty istotne dla zrozumienia wydarzeń ostatniego etapu historii OUN.

Wyobrażenie, że 100–tysięczna „*armia niepokonanych*” walczyła, walczyła i walczyła, aż w nierównej walce poległa cała jak jeden mąż, jest, mówiąc delikatnie, błędne.

Pierwszą amnestię dla członków ruchu banderowskiego ogłoszono już 12 lutego 1944 roku („*w imieniu Rządu USRR gwarantujemy wszystkim członkom UPA, którzy przejdą na stronę władzy radzieckiej, którzy uczciwie i całkowicie zerwą wszelką łączność z ounowcami, którzy szczerze i całkowicie zrezygnują z jakiegokolwiek walki i wrogiego knowania wobec Armii Czerwonej i Władzy Radzieckiej — całkowite wybaczenie im ciężkiego błędu, dawnych win wobec Ojczyzny*”). 27 listopada 1944 roku ogłoszono drugą amnestię, przy tym w dokumencie mówiło się, że rząd USRR ułaskawia tak szeregowych członków podziemia, jak i przywódców, jeżeli oni „*uczciwie przyznają się do winy wobec narodu i zajmą się pracą*”.

Te wezwania nie pozostały bez echa — na początku 1945 roku skorzystało z amnestii około 17 tysięcy członków UPA i podziemia OUN. Zdarzały się nawet przypadki masowego wyjścia z lasu. W lutym 1945 roku w rejonie wiżnickim obwodu czerniowieckiego oddał broń cały batalion pod dowództwem niejakiego Perebyjnisa (około 400 ludzi).

Po zakończeniu wojny, 19 maja 1945 roku, ogłoszono trzecią, a 5 listopada — czwartą amnestię. Tym razem odzew był znacznie większy — skończyła się wojna i ukrywający się po lasach uznali, że lepsze jest poddanie się władzom. Według raportu NKWD ZSRR z 22 listopada 1945 roku w okresie od lutego 1944 roku do 1 listopada 1945 roku na Ukrainie Zachodniej ujawniło się i przyznało do win łącznie 99 219 „*bandytów i uchylających się od służby w Armii Czerwonej*”. W podobnym raporcie NKWD USRR pisze, że do 25 maja 1946 roku z amnestii skorzystało 115 tysięcy osób. Współczesny ukraiński historyk I. Wiedieniejew (zresztą przychylny wobec OUN i jej przywódców) pisze o 113 tysiącach „*aktywnych członków ruchu oporu i uchylających się od służby w Armii Czerwonej*”, którzy oddali się do dyspozycji władz w okresie od 1944 roku do września 1949 roku. Jeśli wziąć

po uwagę wszelkie zastrzeżenia związane z nieodzownym dla radzieckiego systemu biurokratycznego wyolbrzymianiem, podane liczby wskazują na to, że większość członków OUN nie upierała się bezsensownie i oddała broń w ciągu pierwszych 10–15 miesięcy po wyrzuceniu Niemców z terytorium Ukrainy Zachodniej.

Drugi punkt, również związany z kwestią rzeczywistego trwania zbrojnego oporu oraz zmotywowania jego uczestników, ma związek ze skalą i brutalnością „*wewnętrzny terror*”, prowadzonego przez banderowską SB.

Jak w każdej ekstremistycznej, antydemokratycznej organizacji typu „*wodzowskiego*” w Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów pojawiła się tajna służba, która z biegiem czasu coraz bardziej podporządkowywała sobie całą organizację; w tym aspekcie historia współdziałania OUN i SB dokładnie powtarza historię WKP(b) i GPU/NKWD. Do 1943 roku SB zmieniła się w stricte pionową, nie podlegającą nikomu strukturę; poszczególne referaty SB podlegały tylko „*głównemu referentowi SB*” i przy tym miały prawo aresztować każdego działacza ruchu, z kierownikami organizacji terytorialnych włącznie. Po aresztowaniu następowało „*dochodzenie*”, po którym pozostawało tylko powieszenie przyznającego się do winy zdrajcy. Aresztowany mógł okazać się niewinny jedynie w bardzo rzadkich przypadkach. Na Wołyniu od stycznia do października 1945 roku z 938 ludzi, którzy znaleźli się w łapach SB, straconych zostało 889, przy tym w rejonach kowelskim i lubomlskim liczba straconych okazała się równa liczbie aresztowanych.

Kierujący tymi sprawami referent SB na północnym zachodzie Ukrainy B. Kozak (ps. Smok) później został skierowany do Tarnopolszczyzny, gdzie przeprowadził masową „*czystkę szeregów*” w okręgu UPA–Południe. W ciągu kilku miesięcy zabito około pięćdziesięciu dowódców, włącznie z szefem sztabu „*okręgu*”, referentem politycznym, szefem szkoły minerów, kilkunastoma dowódcami batalionów. Razem z członkami rodzin „*zdrajców*” zabito 6 tysięcy osób! I takich Smoków było w strukturze SB sporo. Złowieszczą osobą był również „*główny referent*” banderowskiej SB Mykoła Arsenycz (Mychajło). Z jego inicjatywy od jesieni 1943 roku przeprowadzano tzw. „*kapitalne czystki*” (jesień 1943 roku, wrzesień 1944 roku, wiosna i listopad 1945 roku), podczas których masowo aresztowano i zabijano

„podejrzanych”, w tym byłych bulbowców i melnykowców, osoby ze wschodnich terenów Ukrainy, przyłączających się do ruchu Rosjan i Żydów.

W wielu przypadkach dochodziło do potyczek między „funkcjonariuszami” SB a oburzonymi niepohamowanym terrorem żołnierzami UPA. W okolicy wsi Marianowka w rejonie sarneńskim wybuchła prawdziwa walka między oddziałami UPA i SB, po której powieszono 18 wziętych do niewoli esbeków. Do tego płonącego „ogniska” organy NKWD sprytnie dolewały oliwy w postaci składających się z byłych członków OUN specbojówek. W latach 1945–1946 stworzono około stu pięćdziesięciu takich grup, liczących ponad 1800 ludzi. Działając jako „bojówki SB”, ci „pseudo-banderowcy” terroryzowali ludność i potęgowali nerwowość i chaos w szeregach nacjonalistycznego podziemia.

Ogólnie rzecz biorąc, terror SB miał dwojaki wpływ na losy ruchu. Z jednej strony, strach przed wyrokiem śmierci (którego ofiarą zazwyczaj stawała się cała rodzina zdrajcy) powstrzymywał wielu przed wyjściem z lasu; z drugiej strony, terror zwiększał demoralizację UPA i, jakby nie wydawało się to na pierwszy rzut oka dziwne, skłaniał wielu do współpracy z NKWD. Jak pisze w swoich wspomnieniach były dowódca batalionu UPA M. Skorupski, „*pierwsi seksoci pochodzili głównie z tych rodzin i wsi, gdzie były ofiary SB, gdzie sami zasiali nieszczęście i nienawiść*”. A donosiciele było niemało: 18 165 informatorów (nie licząc 2249 wprowadzonych do szeregów podziemia agentów) znajdowało się na listach w organach NKWD według stanu na 1 stycznia 1946 roku.

I tu przechodzimy do trzeciego ważnego punktu: kto walczył z UPA, kto szukał i aresztował działaczy zbrojnego podziemia? Narzucany przez obecnych propagandystów schemat, w którego ramach „*na swojej ziemi Ukraińcy walczyli z Moskalami*”, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Co się tyczy dowódców wyższego i średniego szczebla, to strona radziecka kompletowała ich praktycznie wyłącznie z dowódców oddziałów partyzanckich i oficerów Ukraińskiego Sztabu Ruchu Partyzanckiego. Wszyscy byli Ukraińcami lub przynajmniej urodzili się na Ukrainie. Ludowym komisarzem spraw wewnętrznych USRR był W. Riasnyj, a potem T. Strokacz, ludowym komisarzem bezpieczeństwa państwowego USRR został S. Sawczenko, dowódcą wojsk ochrony pogranicza NKWD Okręgu Ukraińskiego — P. Burmak, dowódcą wojsk wewnętrznych NKWD Okręgu

Ukraińskiego — Marczenkow, szefem Zarządu NKWD w obwodzie lwowskim — J. Gruszko... Kierownictwo polityczne znajdowało się w ręku szefa partii komunistycznej Ukrainy Nikity Chruszczowa — niezależnie od tego, jaki mamy dziś stosunek do tej niejednoznacznej osobowości w radzieckiej historii, trudno go nazwać Moskalem.

Na najniższym szczeblu walkę z banderowcami prowadziło około 25 tysięcy żołnierzy tzw. „*oddziałów karnych*”, tworzonych z ludności lokalnej; tylko miejscowe, urodzone w Galicji i na Wołyniu, mogły być tysiące tajnych informatorów i wprowadzonych do struktur podziemia agentów NKWD — obcy, który nie posługiwałby się doskonale lokalnym dialektem, zostałby natychmiast rozszyfrowany. Faktycznie w latach 1944–1949 na Ukrainie Zachodniej toczyła się prawdziwa wojna domowa, do tego wyrosła z krwawych wydarzeń okupacji niemieckiej; właśnie to wpłynęło na nadzwyczajny poziom okrucieństwa, którym wykazała się każda z walczących stron.

Warto zaznaczyć, że próby rozpowszechnienia działalności terrorystycznej banderowskiego podziemia na środkowe i wschodnie tereny Ukrainy okazały się bezskuteczne. Ruch powrócił tam, skąd się zaczynał — do Galicji. W ciągu trzech lat (od 1 lipca 1946 roku do 30 czerwca 1949 roku) w Galicji (obwody lwowski, stanisławowski, tarnopolski, drohobycki) odnotowano 2459 „*akcji*” (akty terrorystyczne, dywersje, podpalenia itd.), na Wołyniu (obwody brzeski, wołyński, rówieński) — 560, w obwodzie żytomierskim — 75, kamieniecpodolskim — 15, czernihowskim — 3, kijowskim — 3.

W okrucieństwie, w absolutnej obojętności na losy ludności cywilnej, wbrew swej woli wciągniętej do krwawej łaźni, strony nie ustępowały sobie nawzajem. W całej reszcie absolutna przewaga była po stronie Armii Czerwonej i wojsk NKWD. Nie ma cudów i już wiosną 1946 roku UPA została praktycznie całkowicie rozgromiona. Bez cienia zażenowania w raporcie NKWD ZSRR z 25 maja 1946 roku użyto sformułowania „*zabito bandytów i innych*”. O stosunku ilościowym między „*bandytami*” i „*innymi*” można świadczyć fakt, że na 111 tysięcy zabitych i 251 tysięcy aresztowanych przypada jedynie 83 tysiące sztuk skonfiskowanej broni.

Po takich stratach (wraz z setką tysięcy tych, którzy skorzystali z amnestii) z banderowskiej „*armii*” pozostały tylko pojedyncze rozproszone

grupy, które w ciągu kilku lat, ukrywając się w lasach i górach, bezsensownie i bezlitośnie terroryzowały ludność. Ogłoszona w grudniu 1949 roku ostatnia, piąta amnestia prawie nie przyniosła oczekiwanych skutków — do tego czasu w „*kryjówkach*” pozostali tylko ci, którzy postanowili trzymać się pierwszego punktu dekalogu OUN („*Zbudujesz Państwo Ukraińskie albo zginiesz w walce o nie*”), oraz zdegradowani sadyści i mordercy, dla których powrót do ludzi był już niemożliwy z psychologicznego punktu widzenia. Chyba nikt nie może odpowiedzieć na pytanie, których było więcej — tych pierwszych czy tych drugich...

12 lutego 1945 roku zginął w walce pierwszy dowódca UPA Dmytro Klaczkiwski. 23 stycznia 1947 roku zastrzelił się okrażony w leśnej „*kryjówce*” główny referent banderowskiej SB Mykoła Arsenycz. 5 marca 1950 roku został zabity podczas zatrzymania dowódca UPA Roman Szuchewycz. Po jego śmierci w ciągu czterech lat obowiązki dowódcy nieistniejącej armii pełnił Wasyl Kuk, aresztowany 23 maja 1954 roku. Co się tyczy samego Stepana Bandery, to po uwolnieniu w październiku 1944 roku znajdował się w „*areszcie domowym*” w Berlinie; w przededniu upadku hitlerowskiej Rzeszy Niemcy wywieźli go do amerykańskiej strefy okupacyjnej — można powiedzieć, że przekazali z rąk do rąk. Następnie Bandera mieszkał w Monachium (a jest to najbogatsze i najdroższe miasto Niemiec) i kierował niekończącymi się krwawymi intrygami, kłótniami i konfliktami w tzw. „*zagranicznej części OUN*”. Został zabity w Monachium przez agenta KGB 15 października 1959 roku.

WIOSNA ZWYCIĘSTWA. ZAPOMNIANA ZBRODNIA STALINA

Patriotyzm określa się miarą wstydu, który człowiek odczuwa za zbrodnie dokonane w imieniu jego narodu.

Adam Michnik

Gdybyśmy powiedzieli, że w ZSRR dyskusja na ten temat została objęta surowym zakazem, nie powiedzielibyśmy nic. Gdybyśmy powiedzieli, że tej zbrodni po czasie wymyślono absurdalne usprawiedliwienia, powiedzielibyśmy oczywistą nieprawdę. Nie było żadnego usprawiedliwiania. Nikt niczego nie próbował tłumaczyć. Lud i partia, ojcowie i dzieci, góra i dół zjednoczyły się w zdecydowanym zaprzeczaniu istnienia samego przedmiotu dyskusji, tym bardziej — potępienia. Nie było pytań, ale była odpowiedź: niezniszczalna, wielotonowa, na wieki. W granicie i marmurze stał nad Treptower Park w Berlinie radziecki żołnierz wyzwoliciel, z uratowaną niemiecką dziewczynką w ramionach, i każdej wiosny u stóp monumentu posłusznie składano kwiaty. I nawet gdy w pierwszych latach głośności zaczęły pojawiać się sporadyczne i rozproszone wspomnienia o tym, że niemiecka dziewczynka mogła znaleźć się w ramionach radzieckiego żołnierza w innej sytuacji i z innymi dla niej konsekwencjami, tych głosów nikt nie chciał usłyszeć. A dokładniej mówiąc — nie mógł usłyszeć. Taka prawda nie docierała do świadomości normalnego radzieckiego człowieka.

Wsparcie, o dziwo, pojawiło się z Zachodu. Zagranica po raz kolejny nam pomogła. Oni tam stworzyli już całą „*tradycję naukową*”, w której ramach temat przemocy wobec ludności cywilnej Niemiec (czyli masowych bestialskich mordów, tortur, rabunków, niszczenia domów) został kokieteryjnie określony jako „*przemoc seksualna*”. A to już pozwalało odetchnąć z ulgą. Zdecydowanie nikt nie podważa tego, że gwałt — i w świetle prawa, i nawet zgodnie z zasadami świata kryminalnego — jest ciężkim przestępstwem. Ale jest to przestępstwo szczególnego rodzaju. Oskarżony zawsze może — z beczelnym uśmiechem (albo niespokojnie

biegającymi oczami, w zależności od sytuacji) — odpowiedzieć: „*O czym wy mówicie... Jaki gwałt... Sama przyszła...*”

A więc słowo zostało znalezione. Dalej już było łatwiej. Pozostawało tylko połączyć bardzo trudny historycznie i moralnie problem z kwestią sławetnej „*przemocy seksualnej*”, a następnie podważyć zarówno skalę zjawiska, jak i sam fakt przemocy. Wśród licznych przykładów takiej „*ofensywnej kontrpropagandy*” przytoczę jeden, choć bardzo charakterystyczny i szczególny. Ta publikacja jest godna uwagi również ze względu na to, gdzie się pojawiła (w najstarszej i jednej z największych gazet w kraju), oraz ze względu na wysoki formalny status zaproszonych do dyskusji osób. Powodem do dyskusji było wydanie w Rosji znanej książki brytyjskiego historyka Antony’ego Beevora **Berlin 1945. Upadek**. 21 lipca 2005 r. dziennikarz gazety „*Trud*” S. Turczenko postanowił zająć się nieproszonym „*zagranicznym konsultantem*”. Zająć się w każdym sensie, jakie ma to słowo w języku rosyjskim.

Zdecydowany bój zaczął się już od pierwszych słów. Od tytułu artykułu: **Gwałt na faktach**. Poniżej, w podtytule, pojawiła się bardzo jasna sugestia, czyje śpiewki powtarza Beevor i na czyj młyn leją wodę wtórujący mu niewymienieni z nazwiska odszczepieńcy: „*Po co brytyjski historyk i niektóre media powtarzają bajki Goebbelsa?*”. Wreszcie w twórczej wyobraźni dziennikarza powstał obraz z piekła rodem: „*Goebbels w grobie zaciera ręce...*”

Jako pierwszy mógł się wypowiedzieć sam M.A. Gariejew (generał armii, prezydent Akademii Nauk Wojskowych, członek Rosyjskiej Akademii Nauk Przyrodniczych, profesor, doktor nauk historycznych, były zastępca szefa sztabu Armii Radzieckiej itd.). Szacowny uczony żadnych wątpliwości i pytań nie miał i nie ma:

Beevor i jego koledzy są zwykłymi plagiatorami. Prawdziwym autorem mitu o „agresywnej seksualności” naszych żołnierzy jest Goebbels. Jednak Beevor pobił na głowę Goebbelsa. (...) Kolejny paszkwil na radzieckiego żołnierza wyzwoliciela. (...) Osobiście brałem udział w wyzwoleniu Prus Wschodnich. Mówię jak na spowiedzi: o przemocy seksualnej wtedy nawet nie słyszałem. Pamiętam, jak przed szeregiem odczytano nam postanowienie trybunału wojskowego. Chodziło o to, że kilku żołnierzy wpadło do obejścia zamożnego bauera, złapało kilka kur i gęsi, zaczęło je gotować. Kiedy walki o

wieś się skończyły, właściciele wyszli z piwnicy, w której się ukrywali, i podnieśli krzyk. Pojawił się patrol. Żołnierzy zatrzymano. Dowódca 184. Dywizji generał major Basan Gorodowikow, polecił zorganizować pokazową rozprawę trybunału wojskowego. Żołnierze dostali po pięć lat łagru. Nietrudno przewidzieć, że kara byłaby znacznie surowsza, gdyby któryś z nich miał ochotę, dajmy na to, na gospodynię.

Kolejny generał armii, Bohater Związku Radzieckiego, Bohater Pracy Socjalistycznej I. Trietiaak nie był tak stanowczy. Nawet gotów był przyznać, że ofiarami przemocy były nie tylko gęsi i kaczki:

Oczywiście w tak wielkim zgrupowaniu wojsk, które w 1945 roku wkroczyło do Niemiec, zdarzały się różne rzeczy. Faceci przez kilka lat nie widzieli kobiet. Któryś się nie oparł. Ale dziś wielu przyznaje, że kontakty seksualne pomiędzy naszymi żołnierzami i Niemkami nie zawsze miały przymusowy charakter. Każda ze stron miała swój interes. Dziwnie się dzisiaj czyta, jak to pewien Anglik nagle przejął się seksualnymi zdarzeniami sprzed 60 lat, o których same Niemki nie mówią głośno.

Prezydent Stowarzyszenia Historyków Drugiej Wojny Światowej, doktor nauk historycznych, profesor O. Rzeszewski też nie kryje oburzenia wywołanego kolejną próbą „odtworzenia wizerunku «azjatyckich hord», który wbijała do głów Niemców nazistowska propaganda, a później niewielka grupa historyków–neofaszystów, dawno już odrzuconych w Niemczech”. Jak można się było spodziewać, szczególne oburzenie profesora, prezydenta Stowarzyszenia Historyków, wywołuje właśnie bezpodstawność oskarżeń:

Należałoby mieć poważne podstawy, dysponować dokumentami, skoro już wysuwa się tak poważne oskarżenia pod adresem armii, na której barki spadł główny ciężar walk z faszystowską nawałą. Ale w książce Beevora ich nie ma. Informacje o „masowej przemocy” opierają się na relacjach typu „berlińczycy pamiętają...”, „pewien lekarz policzył...”, co w opracowaniu naukowym, do którego aspiruje książka, jest niedopuszczalne.

Prawda, zdaniem profesora Rzeszewskiego, polega na tym, że „lawina zemsty mogła ogarnąć Niemcy, ale tak się nie stało. Żołnierze tak radzieckiej, jak i innych sojuszniczych armii ogólnie zachowywali się humanitarnie wobec niemieckich cywilów. (...) Stawka podjęła nadzwyczajne środki, żeby zapobiec

ekscesom wobec cywilnej ludności niemieckiej”. Po takim oświadczeniu Rzeszewski, jak na profesjonalnego historyka przystało, podaje poparty dokumentami fakt. Bardzo interesujący (ale niestety niezrozumiale zreferowany) fakt: „*W pierwszych miesiącach 1945 roku za dokonane przewinienia wobec cywilów trybunały wojenne skazały 4148 oficerów i dużą liczbę zwykłych żołnierzy*”.

„*I dużą liczbę zwykłych żołnierzy*”. Duża — to ile? Bez odpowiedzi. Musimy zająć się przypuszczeniami. Na jednego oficera w czynnej armii przypada co najmniej 10 żołnierzy. Jeżeli przyjmiemy tezę, że powodem „*ekscesów*” było to, że „*faceci przez kilka lat nie widzieli kobiet*”, to spodziewane prawdopodobieństwo wystąpienia „*ekscesów*” powinno być wyższe wśród szeregowców niż oficerów. Oficerowie Armii Czerwonej (szczególnie w ostatnich latach wojny) mieli do czynienia z kobietami. Towarzysz Stalin zadbał o to.

Tylko wiosną 1942 r. w ramach „*masowej dobrowolnej mobilizacji*” (właśnie tak określono to w Postanowieniu Państwowego Komitetu Obrony) powołano ponad 450 tysięcy kobiet. Ze szczególną dumą radzieccy historycy informowali o tym, że 70 procent z nich skierowano do jednostek liniowych. Jednocześnie ze zmobilizowanymi na mocy Postanowienia w jednostkach liniowych jako pracownice wolnonajemne znajdowały się kobiety, których liczba w 1945 r. wynosiła 234 tysiące osób. Nawiasem mówiąc, w latach 1943–1945 w jednostkach tyłowych oraz służbach pomocniczych Sił Zbrojnych ZSRR było około 5 milionów powołanych do służby wojskowej mężczyzn, więc wysłania na front, na pierwszą linię walk, setek tysięcy kobiet nie można było tłumaczyć katastrofalnym brakiem składu osobowego...

Wracając do faktu, zaprezentowanego przez profesora Rzeszewskiego, możemy w przybliżeniu założyć, że skazanych za „*przewinienia wobec cywilów (...) zwykłych żołnierzy*” było 10 razy więcej niż oficerów. W tym przypadku liczba skazanych ogółem (nie ogólna liczba żołnierzy, którzy popełnili przestępstwa, a wyłącznie liczba skazanych!) wyniesie 40–50 tysięcy osób. Wiosną 1945 roku była to liczebność jednej armii polowej.

Ale na tym nie koniec. Nadal demonstrując nadgorliwość, S. Turczenko uzupełnia informacje profesora Rzeszewskiego cytatem z następującego dokumentu:

Doniesienie szefa wydziału politycznego 8. Armii Gwardii generała majora M. Skosyriewa z 25.04.1945:

W ostatnich dniach znacznie spadła liczba przypadków rabunków, gwałtów na kobietach i innych amoralnych zjawisk ze strony żołnierzy. Rejestrujemy po 2–3 przypadki w każdej miejscowości, podczas gdy wcześniej liczba przypadków zachowań amoralnych była znacznie większa.

A więc co opowiedzieli nam szanowani, cieszący się autorytetem ludzie? Słowa „*zabójstwo*” nie wypowiedział nikt. M.A. Gariejew wie o kradzieży kur, ale o gwałtach nawet nie słyszał; generał armii I. Trietiaak przyznaje, że dochodziło do pewnych „*zdarzeń seksualnych*”, niewartych zresztą, żeby o nich mówić i dyskutować; historyk Rzeszewski nie zna dokumentów, które mogłyby potwierdzić fakt „*masowej przemocy*”, ale potwierdza fakt skazania wielu tysięcy żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej za przestępstwa, których zdaniem Gariejewa wcale nie było. Generał major Gwardii z dumą informuje, że liczba gwałtów oraz innych amoralnych czynów, zmyślonych przez propagandę Goebbelsa, „*znacznie spadła*” i że w każdej miejscowości rejestruje się tylko po 2–3 przypadki. Prawie nic. „*Wcześniej liczba przypadków zachowań amoralnych była znacznie większa*”.

Teraz sięgnijmy po dokumenty i fakty, zebrane przez „*niewielką grupę historyków–neofaszystów, dawno już odrzuconych w Niemczech*”. Od razu powinienem powiedzieć, że w tym przypadku profesor Rzeszewski nie pomylił się bardzo w określeniach. W powojennych (i co jest zupełnie dziwne, w poradzieckich) Niemczech historycy, którzy nie zgadzają się z tym, że sam fakt brutalnej walki między brunatnym i czerwonym faszyzmem może być usprawiedliwieniem dla tych zbrodniczych dyktatur, są traktowani jak „*trędowaci*”, z którymi boją się mieć do czynienia ludzie aspirujący do kariery politycznej i państwowych dotacji. Niemniej jednak podczas wytrwałej wieloletniej pracy badacze zebrali i opracowali olbrzymią ilość faktów i dokumentów.

Przede wszystkim trzeba wymienić jedenastotomowy zbiór **Dokumentacja wypędzenia Niemców**, nad którym praca rozpoczęła się w sierpniu 1949 r. i trwała ponad 4 lata. Ci, którzy przeżyli, opowiadali o zbrodniach dokonanych na ich krewnych i sąsiadach; spisano relacje nauczycieli, lekarzy i urzędników państwowych. Na podstawie tych informacji badacze uzyskali liczbę 12 milionów wypędzonych z miejsc

zamieszkania Niemców, spośród których 2 miliony nadal uznawano za „*zaginionych*”, co w połowie lat 50. można było uznać za synonim słowa „*polegli*”.

Obliczenia wykonanych analiz demograficznych doprowadziły do wniosku, że we „*wschodnich rejonach*”, które po wojnie weszły w skład ZSRR, Polski i Czechosłowacji, zginęły 2 miliony 484 tysiące cywilów (nie licząc poległych na froncie mężczyzn). Oczywiście metody analiz demograficznych zakładają margines błędu i każda liczba może zostać poddana uzasadnionej krytyce. Warto jednak przypomnieć o tym, że uznawana obecnie za świętą liczba strat Związku Radzieckiego (27 milionów osób) została uzyskana prawie w ten sam sposób. Zastrzeżenie „*prawie*” dotyczy faktu, że niemieccy historycy wykorzystali dane ze spisu z 1948 roku, czyli spisu przeprowadzonego trzy lata po zakończeniu wojny, a radzieccy — dane ze spisu ludności z 1959 roku (14 lat po wojnie) oraz sfałszowanego stalinowskiego spisu z 1939 roku.

Znacznie mniejszą liczbę ofiar podało Biuro Poszukiwań kościelnych organizacji charytatywnych RFN. Ze sprawozdania z 1964 roku wynika, że we wszystkich regionach, z których Niemcy zostali wypędzeni (Prusy Wschodnie, Pomorze, Śląsk, Sudety), w sumie zginęły 473 tysiące osób. Co prawda, należy tu wziąć pod uwagę, że Biuro Poszukiwań nie uwzględniło w ogólnym obliczeniu „*zaginionych*”. Z arytmetycznego punktu widzenia liczba 473 000 bez wątpienia jest pięć razy mniejsza niż liczba 2 484 000. Z prawnego punktu widzenia różnica jest żadna: 473 tysiące cywilów, którzy zginęli w ciągu kilku miesięcy, to wystarczająco wiele, żeby mówić o „*zbrodniach wojennych i zbrodniach przeciwko ludzkości*”. Istotne jest również, że wśród 473 tysięcy ofiar cywilnych nie ma ofiar bombardowań Drezna oraz innych miast Niemiec Wschodnich (przyszłego NRD), nie ma poległych podczas szturmów i po szturmie mieszkańców Berlina, nie ma dziesiątków tysięcy etnicznych Niemców, którzy „*zniknęli*” podczas wypędzenia z Jugosławii, Węgier i Rumunii.

Jednym z najbardziej wyrazistych przedstawicieli „*niewielkiej grupy historyków*” był (zmarł w 2002 r.) Joachim Hoffmann. Przez 35 lat (od 1960 do 1995 roku) Hoffmann pracował w Wojskowo–Historycznym Urzędzie Badawczym Bundeswehry, wpinając się po drabinie służbowej od młodego specjalisty do dyrektora do spraw naukowych. W 1995 r. ukazała się książka

Hoffmanna **Stalins Vernichtungskrieg 1941–1945** („*Stalinowska wojna na wyniszczenie*”), która do końca wieku miała cztery wydania. Reakcja „*kręgów lewicowych*” Niemiec na pracę Hoffmanna była tak gwałtowna, że 28 lutego 1996 roku parlamentarzyści szeregu frakcji Bundestagu skierowali „*6 interpelacji i 14 dodatkowych pytań*” do rządu RFN (do którego zadań, nawiasem mówiąc, nie należy kierowanie dyskusją naukowo–historyczną). Komentując tę godną pożałowania próbę przekształcenia parlamentu państwa demokratycznego w rodzaj trybunału inkwizycyjnego, Hoffmann w przedmowie do czwartego wydania książki napisał:

Jeżeli badacz czasami musi argumentować tak, jakby przemawiał do ściany, winne temu są przyczyny, które są głęboko zakorzenione w powojennej niemieckiej psychologii, i dlatego nie mogą mieć racjonalnego wytłumaczenia. (...) Wielu Niemców skupionych na sobie po prostu nie widziało, że żądają od Rosjan, żeby ci nadal żyli z propagandowym kłamstwem Stalina jedynie po to, żeby Niemcy mieli alibi w osobie Hitlera. Chcieli wobec całego świata pokazać się w dobrym świetle, do tego jeszcze kosztem Rosjan, i zademonstrować, jak wielki jest dzisiaj dystans między nimi a Hitlerem.

Poniżej przytoczę obszernie fragmenty z tych rozdziałów książki, w których opisane są wydarzenia zimy i wiosny 1945 roku. Większość epizodów i cytatów jest opatrzona odsyłaczem do właściwego zasobu Federalnego Archiwum Wojskowego we Fryburgu, ale ponieważ jest to trudno dostępne archiwum dla przeciętnego czytelnika, nie podaję tych przypisów. Radzieccy żołnierze w większości przypadków zostaną wymienieni tylko z pierwszej litery nazwiska. A więc:

To, jakie skutki miała propaganda nienawiści wśród czerwonoarmistów, znalazło prawdziwe odzwierciedlenie w zdobytych listach z frontu, których fragmenty przytoczymy poniżej. Pisali je żołnierze jednostek zmechanizowanych (numer poczty polowej 20739) w okresie stycznia i lutego 1945 r. „*Każdego dnia posuwamy się w głąb Prus Wschodnich — pisał S. do rodziców w Smoleńsku — mścimy się na Niemcach za wszystkie krzywdy, które nam wyrządzili. (...) Pozwolono nam robić z niemieckimi łajdakami wszystko*”. „*Niemcy uciekają, boją się naszej zemsty — L. napisał w liście z 30 stycznia 1945 r. — ale nie każdemu udaje się wywinąć. Niech niemiecka*

matka przeklnie ten dzień, w którym urodziła syna. Niech niemieckie kobiety poczują teraz koszmary wojny. Niech oni teraz sami przeżyją to, co zgotowali innym narodom”.

„Ludność cywilna już nie ucieka — napisał K. 30 stycznia 1945 r. do obwodu władymirskiego. — To, co tutaj się dzieje, jest przerażające”. „Teraz prowadzimy wojnę w pełnym tego słowa znaczeniu — napisał 1 lutego 1945 r. P. do rodziców w Alma Acie — bijemy łajdaków w ich mateczniku w Prusach Wschodnich. (...) Teraz nasi żołnierze mogą widzieć, jak płoną domy, jak tułają się rodziny i ciągną ze sobą swoje gadzie nasienie. (...) Pewnie mają nadzieję, że przeżyją, ale nie ma dla nich litości”. „Niemieckich kobiet jest pod dostatkiem — napisał J. 3 lutego 1945 r. — nie trzeba ich prosić, po prostu celujesz z pistoletu, rozkazujesz «Na ziemię!», robisz swoje i idziesz dalej”. W liście z tego samego dnia kapitan K. pisze: „Wykurzamy stąd Prusaków tak, że wióry lecą. Nasi chłopcy już «spróbowali» wszystkich niemieckich kobiet. Ogólnie zdobyczy jest dużo”. (...)

Nawet J.U., wspomniany wyżej oficer, z natury marzyciel, o usposobieniu prawie filozoficznym, pełen humanistycznych ideałów człowiek, od dawna zmęczony wojną i skarżący się na ofiary i zniszczenia, nie oparł się propagandzie nienawiści. *„Bardzo nienawidzimy Niemiec i Niemców — pisze w pamiętniku 27 stycznia 1945 r. w Starkenbergu. — W pewnym domu nasi chłopcy widzieli na przykład zabita kobietę z dwójką dzieci. Na ulicach często widzimy zabitych cywilów. (...) Oczywiście jest to bardzo okrutne — zabijanie dzieci. (...) Ale Niemcy zasłużyli sobie na te potworności. (...)*”

Podpuszczani przez radziecką propagandę wojenną i dowódców żołnierze 16. Gwardyjskiej Dywizji Strzeleckiej II Gwardyjskiego Korpusu Pancernego 11. Armii Gwardii pod koniec października 1944 r. dokonali rzezi ludności chłopskiej na południe od Gumbinnen. W tym miejscu Niemcy po ponownym zajęciu tego terenu mogli wyjątkowo przeprowadzić bardziej szczegółowe śledztwo. W samym tylko Nemmersdorfie zabito co najmniej 72 mężczyzn, kobiet i dzieci. Kobiety i nawet dziewczynki przedtem zgwałcono, kilka kobiet przybito gwoździami do drzwi spichlerza. W pobliżu tej miejscowości z rąk radzieckich morderców zginęła duża liczba Niemców i jeńców francuskich, którzy dostali się wcześniej do niemieckiej niewoli.

Wszędzie w okolicznych miejscowościach znajdowano ciała bestialsko zamordowanych mieszkańców — w Banfeldzie, w posiadłości Teichhof, w Alt Wusterwitz (tam również odnaleziono szczątki kilku ludzi spalonych żywcem w stodole) oraz w innych miejscach. *„Przy drodze i na posesjach leżały liczne trupy cywilów. (...) — poinformował porucznik Amberger — między innymi widziałem wiele kobiet, które (...) zgwałcono i następnie zabito strzałem w tył głowy, obok leżały również zamordowane dzieci”*.

Kanonier Erich Czerkus ze 121. pułku artylerii podczas przesłuchania przez sąd wojskowy opowiedział o tym, co zobaczył w Schillmeischen pod Heidekrugiem w okolicach Memla [obecnie Kłajpeda], gdzie 26 października 1944 r. wkroczyły oddziały XXXIX Korpusu 43. Armii 1. Frontu Bałtyckiego: *„Obok szopy znalazłem swojego ojca, który leżał twarzą do ziemi z raną postrzałową w potylicy. (...) W jednym pokoju leżeli mężczyzna i kobieta, ze skrupowanymi na plecach rękami, przywiązani do siebie liną. (...) W jednym dworku widzieliśmy pięcioro dzieci z językami przybitymi gwoździami do dużego stołu. Mimo wyteżonych poszukiwań nie znalazłem śladów swojej matki. (...) Po drodze zobaczyliśmy pięć dziewcząt, związanych jedną liną, prawie bez ubrań, o mocno pokaleczonych plecach. Wyglądało na to, że dziewczyny dość długo były ciągnięte po ziemi. Oprócz tego widzieliśmy przy drodze kilka zupełnie zmiażdżonych gąsienicami kolumn uchodźców”*.

Niemożliwe jest odtworzenie wszystkich potwornych szczegółów czy tym bardziej pokazanie pełnego obrazu wydarzeń. Niech kilka wybranych przykładów da wyobrażenie o działaniach Armii Czerwonej w prowincjach wschodnich po wznowieniu natarcia w styczniu 1945 r. Archiwum Federalne w sprawozdaniu *„O wypędzeniu i zbrodniach podczas wypędzenia”* z 28 maja 1974 r. opublikowało dokładne dane z tak zwanych *„raportów końcowych”* na temat okrucieństw w dwóch wybranych okręgach, a mianowicie we wschodniopruskim okręgu przygranicznym Johannsburg [Pisz] i w śląskim okręgu przygranicznym Oppeln [Opole].

Według tych oficjalnych śledztw, w okręgu Johannsburg, na odcinku 50. Armii 2. Frontu Białoruskiego, obok innych licznych zbrodni, wyróżniło się morderstwo z 24 stycznia 1945 r., dokonane na 120 (według innych danych — 97) cywilach, a także kilku żołnierzach niemieckich i francuskich jeńcach z kolumny uchodźców, na trasie Nickelsberg–Herzogdorf na południe od Arys [Orzysz]. Przy drodze Stollendorf–Arys rozstrzelano 32 uchodźców, a przy

drodze Arys–Drigelsdorf w okolicy Schlagakrugu 1 lutego na rozkaz radzieckiego oficera — około 50 ludzi, głównie dzieci i młodzieży, wyrwanych rodzicom i krewnym z wozów uciekinierów. W okolicach Gross Rosen pod koniec stycznia 1945 r. w stodole spalono żywcem około 30 ludzi. Jeden świadek widział, jak przy drodze do Arys „leżało jedno ciało przy drugim”. W samym Arys wykonywano „dużą ilość egzekucji”, najwyraźniej w punkcie zbornym, a w lochu NKWD stosowano „najokrutniejsze tortury” włącznie z zabijaniem.

W śląskim okręgu Oppeln żołnierze 32. i 34. gwardyjskiego pułku strzeleckiego 5. Armii Gwardii 1. Frontu Ukraińskiego do końca stycznia 1945 r. zamordowali co najmniej 1264 niemieckich cywilów. (...) W Gottesdorfie żołnierze radzieccy 23 stycznia 1945 r. rozstrzelali około 270 mieszkańców, z małymi dziećmi włącznie, oraz 20–40 członków bractwa maryjnego. W Carlsruhe [Pokój] rozstrzelano 110 mieszkańców, włącznie z pensjonariuszami przytułku Sankt Anna, w Kupp — 60–70 mieszkańców, wśród nich również pensjonariuszy domu starców oraz księdza, który chciał obronić kobiety przed gwałtem. Jednak Johannsburg i Oppeln były tylko dwoma z wielu okręgów w prowincjach wschodnich niemieckiej Rzeszy, okupowanych przez oddziały Armii Czerwonej w 1945 roku.

Na podstawie doniesień służb polowego dowództwa wydział Obce Armie Wschód Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych sporządził kilka wykazów „*O łamaniu prawa międzynarodowego i okrucieństwach dokonanych przez Armię Czerwoną na okupowanych terenach niemieckich*”, które — chociaż nie obrazują całej sytuacji — po świeżych śladach wydarzeń dokumentują wiele radzieckich zbrodni, dając znaczny stopień pewności.

Dowództwo Grupy Armii „A” zameldowało 20 stycznia 1945 r., że wszyscy mieszkańcy ponownie zajętych w nocy miejscowości Reitchthal [Rychtal] i Glausche pod Namslau [Namysłów] zostali rozstrzelani przez radzieckich żołnierzy z IX Korpusu Zmechanizowanego 3. Armii Pancерnej Gwardii. 22 stycznia 1945 r., wedle doniesień Grupy Armii „Środek”, pod Grunhain w okręgu Wehlau [obecnie Znamiensk, Rosja] czołgi II Gwardyjskiego Korpusu Pancерnego „dogoniły, ostrzelały z dział i karabinów maszynowych czterokilometrową kolumnę uchodźców, przeważnie kobiet i dzieci, a pozostałych rozstrzelali żołnierze z broni ręcznej”. Do podobnego zdarzenia doszło tego samego dnia pod pobliskim Gertlauken, gdzie żołnierze

radzieccy, częściowo strzałami w tył głowy, zabili 50 osób z kolumny uchodźców.

W Prusach Zachodnich w nie wymienionej z nazwy miejscowości pod koniec stycznia długą kolumnę uchodźców również dopadł czołowy radziecki oddział pancerny. Jak powiedziało kilka kobiet, które ocalały, *„żołnierze zepchnęli wozy do rowów na poboczu i rzucili się na kobiety; biegnące im z pomocą dzieci rozstrzeliwali. Obecny przy tym radziecki pułkownik kierował kolejką gwałcicieli, a w tym czasie inny oficer strzelał do rozhisteryzowanych dzieci i starców”*. Pancerniacy z 5. Armii Pancерnej Gwardii oblali konie i wozy benzyną i podpalili: *„Część cywilów, głównie kobiet i dzieci, zeskoczyła z wozów i próbowała uciec, przy tym niektóre już przypominały żywe pochodnie. Następnie bolszewicy otworzyli ogień. Tylko nielicznym udało się uratować”*.

W ten sam sposób w rejonie Plohn [Płońsk] pod koniec stycznia czołgi 5. Armii Pancерnej Gwardii zaatakowały kolumnę uchodźców i rozstrzelały ją. *„Ciała kobiet, starców, dzieci, leżących wśród gór szmat i przewracanych wozów, pokrywały pobocza drogi po horyzont”*. Wszystkie kobiety w wieku od 13 do 60 lat z tej miejscowości, znajdującej się pod Elbing [Elbląg], czerwonoarmiści bez przerwy gwałcili w bardzo okrutny sposób. Niemieccy żołnierze z kompanii zwiadu znaleźli kobietę z rozprutym bagnetem dołem brzucha, a inną młodą kobietę — na drewnianej pryczy ze zmasakrowaną twarzą. Wybite i ograbione kolumny uchodźców na poboczach drogi, trupy pasażerów, leżące obok w przydrożnym rowie, znaleziono również w Meislaten pod Elbing.

O celowym tratowaniu gąsienicami lub ostrzeliwaniu kolumn uchodźców, które ciągnęły drogami, informowano ze wszystkich wschodnich prowincji, na przykład z rejonu walk radzieckiej 2. Armii Pancерnej Gwardii. W okręgu Waldrode 18 i 19 stycznia 1945 r. w kilku miejscach takie kolumny zatrzymywano, atakowano i częściowo niszczone; *„kobiety i dzieci, które się przewróciły, rozstrzeliwano lub rozjeżdżano czołgami”* albo, jak podaje inne doniesienie, *„większość kobiet i dzieci zabito”*. Radzieckie czołgi ostrzelały pod Waldrode z dział i karabinów maszynowych niemiecki transport sanitarny, po czym *„z 1000 rannych udało się uratować tylko 80”*. Poza tym informacje o atakach radzieckich czołgów na kolumny uchodźców pojawiają

się z Schauerkirch i Gumbinnen, gdzie „zamordowano około 800 kobiet i dzieci”. (...)

W leśniczówce pod Soldin radzieccy żołnierze z 2. Armii Pancерnej Gwardii zamordowali rodzinę leśniczego i wszystkich znajdujących się tam uchodźców, w pobliżu spalono żywcem niemieckich żołnierzy, którzy schronili się w szopie. Dopiero w 1995 r. pod Soldin [Myślubórz] odkryto masowe groby ze szczątkami 120 cywilów.

Spośród okrucieństw, które rejestrowano w Prusach Wschodnich, również można przytoczyć tylko nieliczne. Czerwonoarmiści III Gwardyjskiego Korpusu Kawalerii w okolicach niewielkiej miejscowości Tollnicken rozstrzelali siedmioosobową rodzinę, z małymi dziećmi włącznie, ponieważ rodzice próbowali przeszkodzić w zgwałceniu dwóch córek, zabili także młodego chłopaka, wieśniaka i trzech niemieckich żołnierzy.

Bardziej dokładne śledztwa, jak pod Gumbinnen, Gołdap, Elbing oraz w nielicznych innych miejscowościach, udawało się przeprowadzić jedynie w przypadku ponownego zajęcia utraconych terenów przez wojska niemieckie, co zdarzało się stosunkowo rzadko: choćby w zdobytych 28–30 stycznia 1945 r. przez oddziały X Korpusu Pancерnego miejscowościach w okolicy Preussisch Holland [Paślęk]. W meldunku dowództwa Grupy Armii „Północ” z 2 lutego 1945 r. informowano na przykład, że w Gottschendorfie, Dobern i Bordehnen mieszkańców zabito lub rozstrzelano. „*W Gottschendorfie pod Preussisch Holland — stwierdzono w doniesieniu — tylko w jednym pokoju leżało 7 zabitych cywilów, wśród nich 2 starsze kobiety, 2 mężczyzn, chłopiec w wieku około 14 lat. W kącie skulony dziewięcioletni chłopczyk z całkowicie roztrzaskaną czaszką, a nad nim piętnastoletnia dziewczynka z pociętymi rękoma i podrapaną twarzą, rozszarpanymi bagnetem piersiami i brzuchem, obnażonej dolnej części ciała. Osiemdziesięcioletni starzec leżał zastrzelony przed drzwiami*”.

Gdy niemieckim wojskom pod koniec stycznia udało się wyzwolić pomorskie miasteczko Preussisch Friedland [Debrzno] oraz okoliczne miejscowości, oficerowie sądowi i sanitarni niemieckiej 32. Dywizji Piechoty przeprowadzili przesłuchania tych, którzy przeżyli. W doniesieniu dowództwa 2. Armii z 14 lutego 1945 r. stwierdzono: „*W Preussisch Friedland oraz we wsi Ziskau 29 i 30 stycznia rozstrzelano po poddaniu potwornym torturom większość znajdujących się tam mężczyzn. Domy i mieszkania zostały*

rozgrabione, zniszczone i podpalone. Do kobiet i dzieci, które chciały ratować się ucieczką, bolszewicy mordercy strzelali z karabinów maszynowych". W znajdującym się dwa kilometry od szosy folwarku we wszystkich pokojach znaleziono ciała dzieci, starców, zgwałconych i zastrzelonych kobiet.

W Preussisch Friedland oraz okolicznych miejscowościach śledczy odkryli również inne okrucieństwa. W Linde 29 stycznia 1945 r. zabito 16 mieszkańców, zgwałcono przynajmniej 50 kobiet, z których 4 od razu potem zamordowano. Zgwałcona została między innymi osiemnastoletnia dziewczyna, która leżała zastrzelona we własnej krwi. W trzech pokojach pewnego dużego domu znaleziono pięć martwych kobiet oraz trzy martwe dziewczynki, wszystkie ofiary miały między nogami puste butelki po winie.

W Ziskau również rozstrzelano „*po poddaniu potwornym torturom*” cywilów oraz ukrywających się żołnierzy, w tym marynarza, oraz zgwałcono kobiety, niektóre wielokrotnie, wśród nich „*osiemdziesięciosześcioletnią staruszkę i osiemnastoletnią dziewczynę z Brombergu [Bydgoszcz], które zmarły w strasznych mękach*”. „*W Ziskau — napisano pod koniec sprawozdania dowództwa 2. Armii — żonę oficera przybito gwoździami do podłogi. Po czym bolszewicy znęcali się nad nią, aż zmarła*”. (...)

Posiadane oficjalne materiały są oczywiście niepełne, ponadto w danym kontekście mogą być cytowane jedynie wrywkowo, w skrócie i fragmentami. Ponieważ jednak podobne informacje pochodzą z terenów całego Śląska, Brandenburgii, Pomorza i Prus Wschodnich i wszędzie zawierają te same zbrodnie: morderstwa, gwałty, rabunki i podpalenia, to jako całość relacjonują prawdziwy obraz tych straszliwych wydarzeń. (...)

Niedaleko granicy niemieckiej, na zachód od Wielunia, radzieccy żołnierze 1. Frontu Ukraińskiego oblali benzyną wozy kolumny uchodźców i spalili je razem z pasażerami. Na drogach leżały niezliczone ciała niemieckich mężczyzn, kobiet i dzieci, niektóre mocno okaleczone — poderżnięte gardła, odcięte języki, rozprute brzuchy. Również na zachód od Wielunia 25 pracowników Organizacji Todt zostało rozstrzelanych przez załogi czołgów 3. Armii Pancerniej Gwardii. Wszystkich mężczyzn rozstrzelano, a kobiety zgwałcono również w Heinersdorfie, a pod Kunzendorfem 25–30 mężczyzn z Volkssturmu skończyło z kulą w tyle głowy.

W Beatenhofie pod Ohlau [Oława] po ponownym jego zajęciu wszystkich mężczyzn znaleziono zabitych strzałami w tył głowy. Sprawcami byli

żołnierze 5. Armii Gwardii. W Grunbergu [Zielona Góra] żołnierze IX Gwardyjskiego Korpusu Pancernego wymordowali 8 rodzin. Miejscem potwornych zbrodni była posiadłość Tannenfeld pod Grottkau [Grodków]. Tam czerwonoarmiści z 229. Dywizji Strzeleckiej zgwałcili dwie dziewczyny, a następnie je zamordowali. Pewnemu mężczyźnie wykłuto oczy i odcięto język. To samo zrobiono czterdziestotrzyletniej Polce, którą następnie torturowano do śmierci.

W Alt Grottkau żołnierze wspomnianej dywizji zamordowali 14 jeńców, odcięli im głowy, wykłuli oczy i zmiażdżyli czołgami. Czerwonoarmiści tejże dywizji strzeleckiej byli odpowiedzialni również za zbrodnie w Schwarzengrundzie pod Grottkau. Gwałcili kobiety, w tym siostry zakonne, zastrzelili chłopca Kahlerta, rozpruli brzuch jego żonie, odcięli jej rękę, zastrzelili chłopca Christopha i jego syna oraz młodą dziewczynę. W majątku Eisdorf w okolicy Marzdorfu radzieccy żołnierze z 5. Armii Gwardii wykłuli oczy starszemu mężczyźnie i starszej kobiecie, zapewne małżeństwu, odcięli im nosy i palce. Niedaleko znaleziono ciała brutalnie zamordowanych 11 żołnierzy Luftwaffe.

W ten sam sposób w Guterstadt pod Glogau [Głogów] odnaleziono 21 niemieckich jeńców, zamordowanych przez czerwonoarmistów z 4. Armii Pancerniej. We wsi Haslicht pod Striegau [Strzegom] Maria Hainke znalazła swojego męża, umierającego w radzieckiej wartowni. Badanie lekarskie stwierdziło, że miał wykłute oczy, odcięty język, w kilku miejscach złamaną rękę oraz strzaskaną czaszkę.

Żołnierze VII Gwardyjskiego Korpusu Pancernego w Ossig pod Striegau gwałcili kobiety, zamordowali 6–7 dziewcząt, zastrzelili 12 chłopów oraz dokonali podobnych ciężkich przestępstw w Hertwisswaldau pod Jauer [Jawor]. W Liegnitz [Legnica] odnaleziono ciała licznych cywilów, rozstrzelanych przez żołnierzy radzieckich z 6. Armii. W miasteczku Kostenblut pod Neumarkt [Środa Śląska], zdobytym przez oddziały VII Korpusu Pancernego, żołnierze gwałcili kobiety i dziewczęta, włącznie z ciężarną matką ośmiorga dzieci. Brat, który usiłował w tym przeszkodzić, został zastrzelony. Rozstrzelano wszystkich wziętych do niewoli cudzoziemców oraz 6 mężczyzn i 3 kobiety. (...)

W pobliżu Skampe przy drodze na Bentschen [Zbąszyń] znaleziono ciała kobiety i mężczyzny. Kobieta miała rozcięty brzuch, z którego wyrwano płód

i który następnie wypełniono śmieciami i słomą. Tuż obok znajdowały się ciała trzech powieszonych mężczyzn z Volkssturmu. W Kay pod Züllichau żołnierze 33. Armii zamordowali strzałami w tył głowy rannych oraz kobiety i dzieci z jednej z kolumn uchodźców. Miasto Neu Bentschen [Zbąszynek] czerwonoarmiści splądrowali, a następnie podpalili. Na drodze Schwiebus[Świebodzin]–Frankfurt czerwonoarmiści z 69. Armii rozstrzelali cywilów, z kobietami i dziećmi włącznie, tak że „*ciała leżały jedno na drugim*”. W Reppen en wszyscy mężczyźni z przechodzącej kolumny uchodźców zostali rozstrzelani przez żołnierzy radzieckich 19. Armii, a kobiety zostały zgwałcone. (...)

Grupa uderzeniowa Armii Własowa z pułkownikiem ROA Sacharowem na czele 9 lutego 1945 roku przy wsparciu Niemców ponownie zajęła znajdujące się w zakolu Odry miejscowości Neu Lewin i Kerstenbruch. Według niemieckiego raportu z 15 marca 1945 roku, mieszkańcy obu miejscowości „*zostali poddani potwornym torturom*”. W Neu Lewin znaleziono zastrzelonego burmistrza oraz przebywających na urlopie żołnierzy Wehrmachtu. W szopie leżały ciała trzech torturowanych i zamordowanych kobiet, z których dwie miały związane nogi. Niemiecka kobieta została zastrzelona przy drzwiach swojego domu. Starsze małżeństwo uduszono. W Neu Barnim znaleziono ciała 19 mieszkańców. Ciało właścicielki hotelu zostało okaleczone, nogi skrępowano drutem. Tu, jak również w innych miejscowościach, znęcano się nad kobietami i dziewczętami, a w Kerstenbruch nawet nad siedemdziesięcioletnią starszą kobietą z amputowanymi nogami. Obraz zbrodni wojsk radzieckich w tych wsiach w zakolu Odry, jak wszędzie, uzupełniają rabunki oraz zniszczenia. (...)

Z Pomorza w lutym 1945 r. wpłynęło stosunkowo niewiele meldunków, ponieważ walki na dobrą sprawę rozpoczęły się tu dopiero pod koniec miesiąca. (...) W Jadersdorfie żołnierze 2. Armii Pancерnej Gwardii zastrzelili 10 ewakuowanych kobiet i piętnastoletniego chłopca, dobili jeszcze żywe ofiary bagnetami i strzałami z pistoletów. (...) W Gross Silber pod Kaliszem czerwonoarmiści z VII Gwardyjskiego Korpusu zgwałcili młodą kobietę kijem od miotły, odcięli jej lewą pierś i roztrzaskali czaszkę. (...) O potwornym przypadku powiadomił dowódca niemieckiego batalionu pionierów 7. Dywizji Pancерnej. Pod koniec lutego 1945 roku radzieccy

oficerowie z 1. (lub 160.) Dywizji Strzeleckiej na północ od Konitz spędzili na pole minowe dzieci w wieku 10–12 lat, żeby sprawdzić, czy są tam miny. Niemieccy żołnierze słyszeli błagalne krzyki dzieci, ciężko rannych od wybuchów min, „*broczących krwią, która lała się z poszarpanych ciał*”.

W Prusach Wschodnich, o które toczono zaciekle walki, w lutym 1945 roku okrucieństwa trwały z niesłabnącą siłą, mimo rozkazów o zupełnie innej treści. (...) W Landsbergu radzieccy żołnierze z 331. Dywizji Strzeleckiej spędzili oszołomioną ludność, włączając kobiety i dzieci, do piwnic, podpalili domy i zaczęli strzelać do uciekających w przerażeniu ludzi. Wielu spłonęło żywcem. We wsi przy drodze Landsberg–Heilsberg żołnierze wspomnianej dywizji strzeleckiej przez sześć dni i nocy przetrzymywali w zamkniętej piwnicy kobiety i dziewczęta, niektóre z nich zostały skute łańcuchami i przy udziale oficerów były codziennie wielokrotnie gwałcone. Z powodu rozpaczliwych jęków dwójka radzieckich oficerów na oczach wszystkich odcięła dwóm kobietom języki „*półokrągłym nożem*”. Niemieccy pancerniacy zdołali uratować jedynie nieliczne spośród więźniarek, 20 kobiet zmarło wskutek ran, jakich doznały.

W Hanshagen pod Preussisch Eylau [Bagrationowsk, Rosja] czerwonoarmiści z 331. Dywizji Strzeleckiej rozstrzelali dwie matki, które chciały zapobiec zgwałceniu córek, oraz ojca, którego córkę w tym czasie wyciągnęli z kuchni i gwałcili radzieccy oficerowie. Ponadto zamordowano małżeństwo nauczycieli z trójką dzieci, nieznaną dziewczynę–uciekinierkę, właściciela zajazdu oraz chłopca, którego dwudziestojednoletnią córkę zgwałcono. W Petershagen pod Preussisch Eylau żołnierze tej dywizji zabili dwóch mężczyzn i szesnastolatka Richarda von Hoffmanna, brutalnie gwałcili kobiety i dziewczęta.

Na początku lutego 1945 roku wojska radzieckie niespodziewanie wtargnęły do zachodniej części Półwyspu Sambijskiego, zdobywając sporą liczbę miejscowości. Kilka dni później Niemcom udało się rozgromić i częściowo odrzucić czołowe siły i podczas odważnej, szeroko zakrojonej operacji ofensywnej przywrócić 19–20 lutego 1945 roku przerwana lądową i morską łączność z Królewcem. Dowództwo Armii Samland i Grupy Armii „*Środek*” przy wsparciu policji przeprowadziło śledztwo w sprawie losów ludności na odzyskanych terenach, którego rezultaty obejmują co prawda jedynie kilka miejscowości.

Żołnierze 39. Armii zabili w Georgenwalde 4 cywilów i rzucili ciała do płonących zabudowań. (...) W Kragau żołnierze 91. Gwardyjskiej Dywizji Strzeleckiej zgwałcili i udusili dwie młode kobiety, w Medenau żołnierze 358. Dywizji Strzeleckiej zamordowali co najmniej 11 cywilów. Tu przed jednym z domów leżały ciała dwóch zabitych kobiet, małego dziecka i niemowlęcia. Dwóch starszych mężczyzn i czternastoletniego chłopca zakatowano, podobnie jak dwie kobiety i dwie dziewczynki po zgwałceniu. Zupełnie nagie ciało trzydziestoletniej kobiety miało rany klute piersi, rozciętą czaszkę, ciało było podziurawione od strzałów. W Gross Ladtkeim żołnierze 91. Gwardyjskiej Dywizji Strzeleckiej rozstrzelali dwóch niemieckich jeńców i czterech cywilów oraz burmistrza i jego żonę. Ich osiemnastoletniej córki nie odnaleziono. Znaleziono jednak ciało młodej dziewczyny, której po zgwałceniu odcięto piersi i wydłubano oczy.

W Krattlau żołnierze 275. gwardyjskiego pułku strzeleckiego 91. Dywizji Strzeleckiej Gwardii zamordowali sześciu mężczyzn oraz dwóch żołnierzy niemieckich. Wszystkie kobiety i dziewczęta, z trzynastoletkami włącznie, były bez przerwy gwałcone, niektóre kobiety „przez 6–8 żołnierzy 5–8 razy dziennie”. W Annental niemieccy żołnierze znaleźli zwłoki dwóch kobiet, które sponiewierano (jedną z nich na kupie obornika), a następnie uduszono.

Szczegółowe śledztwo udało się przeprowadzić w Germau, gdzie znajdowały się sztaby 91. Gwardyjskiej Dywizji Strzeleckiej i 275. gwardyjskiego pułku strzeleckiego. W Germau odnaleziono ciała 21 osób — mężczyzn, kobiet i dzieci. 11 osób nie wytrzymało okrutnych tortur i popełniło samobójstwo. 15 niemieckich rannych zamordowano, roztrzaskując im głowy, jednemu z nich do ust wepchnięto harmonijkę. (...) Przy drodze Germau–Palmnicken [obecnie Jantarnyj, Rosja] znaleziono dwie dziewczynki. Obu z bliska strzelono w głowę, jedna miała wykłute oczy. (...)

Na przedpolach Metgethen (uzdrowiskowe przedmieście Królewca) znaleziono ciała kilkuset niemieckich żołnierzy, niektóre zmasakrowane nie do poznania. Prawie we wszystkich domach i ogrodach leżeli zabici mężczyźni, kobiety i dzieci, u kobiet były widoczne ślady gwałtu, często miały odcięte piersi, dwie dwudziestoletnie dziewczyny zostały rozerwane samochodami. Na dworcu stał co najmniej jeden pociąg z uchodźcami z Królewca. W każdym wagonie leżały ciała „brutalnie zamordowanych uchodźców obu płci w różnym wieku”. Na kort tenisowy w Metgethen

spędzono niemieckich jeńców i cywilów, a następnie zdetonowano ładunek wybuchowy. Ludzkie szczątki znajdowano nawet w odległości 200 metrów od gigantycznego leja. 27 lutego 1945 roku kapitan Sommer ze sztabu komendanta twierdzy przez przypadek znalazł na tyłach domu w żwirowisku przy skrzyżowaniu przed Metgethen ciała 12 zupełnie nagich kobiet i dzieci, leżących razem w „*bezładnej stercie*”, rozszarpanych ciosami bagnetów i noży.

Oprócz setek pojedynczych ciał porzrzucanych w całym miasteczku odkryto kilka dużych usypanych wzniesień, pod którymi, jak się okazało, pogrzebano setki (według kapitana Sommera i profesora Ipsena, 3000) zabitych. Śledztwo komisji, powołanej przez komendanta twierdzy generała piechoty Lascha, posuwało się z trudem, ponieważ radzieccy żołnierze oblali sterty ciał benzyną i usiłowali je spalić. Niemniej jednak udało się ustalić, że większości ofiar nie rozstrzelano, ale brutalnie zamordowano bronią tnącą lub kłującą. (...)

Na zachód od Metgethen, jak relacjonował kapitan Sommer, wzdłuż drogi aż do Powayen wszędzie leżały ciała cywilów, albo zabitych strzałem w tył głowy, albo „*zupełnie nagich, zgwałconych, a następnie bestialsko zamordowanych ciosami bagnetów lub kolb karabinów*”. Na skrzyżowaniu przed Powayen cztery nagie kobiety zostały zmiażdżone przez radzieckie czołgi. Kapitan Sommer i major profesor Ipsen odnotowali wprost symboliczną niegodziwość: w kościele w Gross Heydekrug ukrzyżowano młodą kobietę, a po prawej i lewej stronie powieszono niemieckich żołnierzy.

To wszystko wydarzyło się u bram dużego miasta, Królewca. Niewyobrażalnych okrucieństw i zbrodni, dokonanych przez podjudzanych radzieckich żołnierzy później, po zdobyciu miasta 7–9 kwietnia 1945 roku, nie da się opisać, mogły one znaleźć tylko schematyczne odzwierciedlenie w pamiętnikach lekarza Deichelmana i hrabiego von Lendorfa.

Na tym zatrzymamy kalejdoskop przerażających wydarzeń opisanych w zebranych przez Hoffmanna dokumentach z niemieckich archiwów. Postarajmy się teraz „*wyostrzyć obraz*” i zobaczyć, jak to się odbywało w jednym, odosobnionym niemieckim mieście. Nawet nie mieście, a niedużym śląskim miasteczku liczącym tylko 17 tysięcy mieszkańców.

Striegau [Strzegom]. Ta nazwa do niedawna nic nikomu nie mówiła (w odróżnieniu na przykład od Nemmersdorfu, o którym zapisano już wiele stron

papieru). Jedno z wielu niemieckich miast i miasteczek Saksonii, które z woli Stalina znalazły się po II wojnie światowej w Polsce. Przed wojną w Striegau mieszkało około 17–20 tysięcy osób, na początku lutego 1945 roku napływ uchodźców zwiększył liczbę mieszkańców do 30 tysięcy (choć dokładnej liczby, rzecz jasna, nie może podać nikt). 13 lutego 1945 roku wojska 1. Frontu Ukraińskiego zajęły Striegau. Cztery tygodnie później miasto znowu znalazło się w rękach niemieckich wskutek jednej z ostatnich skutecznych kontrofensyw Wehrmachtu.

W Striegau wojska niemieckie znalazły trzydziestu żywych mieszkańców oraz około dwustu ciał. Przypuszczalnie 13–15 tysięcy osób opuściło miasto przed zajęciem go przez wojska radzieckie, reszta została wypędzona ze swoich domów, część wysłano do pracy przymusowej w ZSRR (ogółem z Niemiec i krajów Europy Wschodniej do pracy przymusowej w ZSRR wywieziono 267 tysięcy Niemców — nie licząc jeńców wojennych).

Funkcjonariusze niemieckiej policji kryminalnej oraz członkowie oddziałów zbierających zabitych opisali w swych sprawozdaniach to, co ukazało się ich oczom w opustoszałym mieście. Dwóch niemieckich historyków („neofaszyści”, według określenia towarzysza Rzeszewskiego), Martin Bojanowski i Erich Bosdorf, zamieściło te relacje w książce **Striegau. Schicksale einer schlesischen Stadt**, („Strzegom. Los pewnego śląskiego miasta”), którą komisja naukowa rządu federalnego Niemiec, badająca historię wypędzeń, wykorzystwała jako materiał dokumentalny.

Doniesienia o zamordowanych w Striegau zostały podzielone na „znaleziska zespołowe” oraz „znaleziska pojedyncze” z dokładnym podaniem nazwy ulicy i numeru domu. Wyglądało to tak:

- *w rymsztoku leży zmiażdżone przez ciężki środek transportu ciało nastolatka, około 14 lat, strzał w tył głowy*
- *na kanapie leży częściowo naga martwa kobieta, dwa strzały w usta*
- *ciało siedemdziesięciodwuletniej kobiety z wyklutymi oczami*
- *przygniecione skrzynią ciało zastrzelonej kobiety*
- *wśród odłamków szkła i porcelany w obrabowanym sklepie trup zastrzelonej starszej kobiety z obnażoną dolną częścią ciała*
- *trzech mężczyzn, dwie kobiety i dziecko około lat dwóch, zastrzeleni*
- *kobieta 30–35 lat z obnażoną dolną częścią ciała, kilka metrów dalej nieco starsza kobieta, obejmująca rękami drzewo, zastrzelone*

- *ciało mężczyzny z protezami nóg, obok żona i dziecko, zastrzeleni*
- *trzy starsze kobiety z obnażoną dolną częścią ciała i śladami gwałtu, zastrzelone; na strychu domu ciało starszego mężczyzny powieszono głową w dół*
- *na zasuwie drzwi wisi ciało mężczyzny, na strychu leżą dwie nagie kobiety ze śladami sadystycznego gwałtu, zastrzeleni; na kanapie zastrzelony chłopiec około 12 lat, na łóżku nagie ciało osiemnastoletniej dziewczyny ze śladami sadystycznego gwałtu, zastrzelona*
- *w piwnicy zastrzelona starsza para małżeńska, oczy wyklute.*

Oprócz licznych brutalnych morderstw oddziały sa nitarne odnotowały w Striegau liczne przypadki samobójstw, w tym grupowe:

- *trzy kobiece ciała i jedno dziecko, samobójstwo przy użyciu gazu*
- *samobójstwo pary małżeńskiej przez powieszenie się na ramie okna; w piwnicy ciała mężczyzny i dwóch dziewczyn w różnym wieku, samobójstwo przez powieszenie się*
- *ciała czterech kobiet i jednego nastolatka, śmierć wskutek zatrucia się gazem*
- *dwa ciała kobiet, samobójstwo przez zatrucie się gazem*
- *matka i córka, siedzące przy stole, samobójstwo przez zatrucie się gazem*
- *kobieta podcięła sobie żyły, ale przedtem udusiła zwiniętym ręcznikiem leżącą obok córkę*
- *na strychu, jedna przy drugiej, wiszą dwie starsze kobiety, jedna młoda kobieta, dziewczyna, około 20 lat, oraz dziewczynka, 10–11 lat, wszystkie ze śladami gwałtu.*

Szczegóły tego zbiorowego samobójstwa na strychu domu nr 5 na Ziganstrasse znamy, chociaż to nieprawdopodobne, od jednej z uczestniczek tego potwornego wydarzenia. Zachował się list tej kobiety (miała wówczas 47 lat), który napisała do syna jednej ze zmarłych kobiet. Z szacunku dla czytelnika pomijam opis niekończących się gwałtów grupowych („zdarzeń seksualnych”, jak wyraził się generał armii I. Trietiak), przytoczę od razu koniec listu:

Około godziny 10 rano uspokoiło się i wszystkie poszłyśmy do mieszkania młodej frau K., jej jedenastoletnią córkę Trautel też zgwałcono. Tam ugotowałyśmy coś do jedzenia. Ale znowu usłyszałyśmy kroki i wszystko powtórzyło się jeszcze raz. Krzyczałyśmy, błagałyśmy ich, żeby wreszcie zostawili nas w spokoju, ale oni nie znali litości. Umówiłyśmy się wszystkie, że się powiesimy. Ale znowu ktoś przyszedł. Kiedy w końcu odeszli, my jak najszybciej pobiegłyśmy na strych. Frau R. powiesiła się pierwsza. Młoda frau K. najpierw powiesiła swoją córkę Trautel, a potem powiesiła się sama. Podobnie postąpiła pańska matka z pańską siostrą [czyli matka powiesiła własną córkę — M.S.]. Teraz zostałyśmy tylko we dwie, pańska mama i ja. Poprosiłam ją, że zrobiła dla mnie stryczek, sama nie byłam w stanie tego zrobić ze zdenerwowania. Jeszcze ostatni raz uścisnęłyśmy się i pchnęłyśmy kosz, na którym stałyśmy. Jednak sięgnęłam nogami podłogi, lina okazała się zbyt długa. Spojrzałam na prawo, potem na lewo, wszystkie wisiąły jedna przy drugiej, wszystkie nie żyły. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko spróbować się uwolnić od liny.

Czy prawdziwe są przytoczone wyżej relacje? Czy można wierzyć dokumentom, raportom, świadectwom tylko jednej, czyli niemieckiej strony? Gdzie jest ekspertyza końcowa niezależnych i bezstronnych świadków? Niestety, nie ma jej. Gdzie są dokumenty spraw śledczych radzieckich trybunałów wojskowych? Gdzie są raporty radzieckiej prokuratury wojskowej? Też ich nie ma. Dlaczego więc mamy wierzyć w oświadczenia jednej, do tego wyraźnie zainteresowanej strony?

Dobre pytanie. Mocne, można powiedzieć. Całkowicie zgodne z „nowym myśleniem”, normami i zasadami państwa prawa. Państwo prawa, jak wiadomo, zakłada istnienie dużej populacji adwokatów. Niewzruszona zasada praktyki adwokackiej jest znana: „*Nie interesuje mnie, czy mój klient dokonał zarzucanego mu przestępstwa, ale udowodnię, że oskarżenie jest niezgodne z literą prawa*”. Jak można sądzić po tym, że wielu adwokatów jest ludźmi zamożnymi, ta zasada się sprawdza.

Niemniej jednak bynajmniej nie zawsze i nie wszyscy mordercy i gwałciciele, bezczelnie szczerząc zęby, wychodzą na wolność prosto z sali sądowej. Na szczęście opłacony adwokat nie jest jedynym uczestnikiem procesu — są jeszcze ławnicy, sędziowie, którzy w świetle, mogą wydawać wyroki *ex aequo et bono* (według tego, co słuszne i dobre), opierając się nie

tylko na literze prawa, lecz również na „przekonaniu wewnętrznym” (to zresztą jest określenie zapisane w rosyjskim kodeksie karnym).

Według tego, co słuszne i dobre, dla każdego jest jasne, że potworne zbrodnie, popełnione w czasie II wojny światowej, bynajmniej nie zawsze (żeby nie powiedzieć mocniej — prawie nigdy) mogą być potwierdzone w ramach procedur formalno–biurokratycznych. Jaka „komisja niezależnych ekspertów z neutralnej Szwajcarii” ustaliła fakt brutalnego mordu na mieszkańcach białoruskiej wsi Chatyń? Gdzie są dokumenty? Gdzie są niezależni świadkowie? Zresztą jakieś dokumenty, o dziwo, się zachowały. W archiwum. Dlatego można je nie bez podstawy nazwać „dokumentami archiwalnymi” (na niektórych czytelników te dwa słowa wywierają magiczny wpływ). W raporcie dowódcy 118. batalionu policyjnego (sformowanego z jeńców Armii Czerwonej w Kijowie) operacja karna, przeprowadzona w Chatyniu 22 marca 1943 roku, została opisana w następujący sposób:

Wieś została otoczona i zaatakowana ze wszystkich stron. Nieprzyjaciel przy tym stawiał zacięty opór i prowadził ogień ze wszystkich domów, więc trzeba było użyć broni ciężkiej — dział przeciwpancernych i moździerzy. Podczas walk oprócz 34 bandytów zabito wielu mieszkańców wsi. Część z nich zginęła w ogniu.

Widzicie sami — dokumenty archiwalne „niepodważalnie” świadczą: walka, nieprzyjaciel, bandyci, część mieszkańców zginęła w ogniu. Przez przypadek, rzecz jasna... I jeżeli my — całkiem sprawiedliwie — uważamy za bluźnierstwo podobne dyskusje, podobnie jak wszelkie inne próby podważenia rzeczywistości masowych zbrodni, dokonanych przez hitlerowców i ich współników na radzieckiej ziemi, to dlaczego zbrodnie, których ofiarami były niemieckie kobiety i dzieci, powinno się mierzyć inną miarą?

31 sierpnia 1941 roku „Prawda” wydrukowała artykuł A. Tołstoja **Twarz hitlerowskiej armii**. 66 lat później wydano książkę A. Diukowa, w której autor, powołując się na ten artykuł, napisał, że „na skraju wsi w okolicach Białegostoku na pięciu ostrych palach wisiało pięć kobiecych ciał. Były nagie, z rozciętymi brzuchami, bez piersi i głów. Głowy kobiet leżały w kałuży krwi razem z ciałami zamordowanych dzieci”. W jaki sposób wybitny radziecki pisarz, znajdując się tysiąc kilometrów od zajętego przez Niemców w

pierwszych dniach wojny Białegostoku, mógł zobaczyć tak przerażające szczegóły zbrodni?

I jeżeli artykuł w „*Prawdzie*” z czasów wojny (co więcej, napisany przez słynącego ze swych „zasad” autora, który dwa lata wcześniej w tej samej gazecie i prawie tymi samymi słowami opisywał zbrodnie polskiej armii, uciekającej przed atakami zaprzyjaźnionego wówczas z Armią Czerwoną Wehrmachtu) powinien zostać uznany za „dokument”, to dlaczego za mniej wiarygodne powinny być uznane tysiące oświadczeń złożonych pod przysięgą przez całkiem konkretnych ludzi i opublikowanych przez komisję rządu federalnego demokratycznych Niemiec?

Owszem, każda z osobna informacja o zbrodniach wojennych może przy dokładnym sprawdzeniu okazać się niedokładna, przesadzona, a nawet zmyślona (poza tym w przeważającej większości przypadków weryfikacja, odpowiadająca surowym wymaganiam prawnym, okaże się praktycznie niewykonalna). I jednocześnie ogół wydarzeń, utrwalony w takim „*archiwum*” jak pamięć narodu, nie może być prawdą.

Zresztą nie myślm, że prób sprawdzenia (a dokładniej mówiąc, zanegowania) informacji o brutalnym rozprawianiu się z ludnością cywilną Niemiec nie podejmowano. Jeszcze jak podejmowano, z wielkim rozgłosem i pompą. Na przykład w 2008 roku wydawnictwo Jauza–EKSMO wydało zbiór artykułów pod tytułem *Nam nie za czto kajatsia!* („*Nie mamy za co przepraszać!*”) (zdumiewające stwierdzenie dla kraju, którego mieszkańcy, jeżeli wierzyć badaniom opinii ostatnich lat, w trzech czwartych uważają się za prawosławnych). W przedmowie do zbioru wspomniany już A. Diukow pisze (a właściwie krzyczy):

Chcą nas pozbawić Wielkiego Zwycięstwa. Wmawiają nam, że Zwycięstwo skończyło się zniewoleniem Europy Wschodniej, że radzieccy żołnierze zgwałcili Niemcy. (...) Rosji nie pozostaje nic innego, jak płacić i przepraszać, przepraszać i płacić, zmieniając się z podmiotu w przedmiot polityki międzynarodowej [o dziwo, pan Diukow nie zauważa, że demokratyczne Niemcy i płacą, i przepraszają, i pozostają przy tym jednym z najbardziej wpływowych podmiotów światowej polityki — M.S.] (...) Czas nie czeka. Jeżeli nie chcemy, żeby naszych dziadów i pradziadów nazywano mordercami, pijakami i maruderami, jeżeli nie chcemy, żeby nasze dzieci uczono pluć na groby przodków (...).

Po takim wstępie w zbiorze pojawia się artykuł pod tytułem *Nemmersdorf: między prawdą i propagandą* (autor I. Pietrow). Więc jaka jest prawda? Na początku artykułu I. Pietrow całkiem szczerze przyznaje: „*Powiem od razu: posiadane w chwili obecnej materiały praktycznie nie pozwalają wątpić w to, że zamordowanie cywilów w Nemmersdorfie jest dziełem żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej*”. Dalej stwierdza się jeszcze jeden, bardzo dziwny i niewątpliwie bolesny fakt: „*Jeżeli w jakichś archiwach znajdują się raporty służb dotyczące wydarzeń w Nemmersdorfie, to historycy jeszcze nie uzyskali do nich dostępu*”. Przypomnę: „*jeszcze*” to 64 lata później.

Więc o czym jest wielostronicowy artykuł? Ta nieudolna próba „*zdemaskowania*” sprowadza się do wyszukiwania drobnych i najdrobniejszych nieścisłości, nieporozumień i błędów w dostępnych dokumentach i świadectwach niemieckich („*porucznik Zirn widział 7 zabitych, kapral Schaible — 11, i tylko major Braumuller mówi o 15*”, „*w żadnym raporcie nie ma wzmianki o strzale w prawe oko, którym według raportu Hindrichsa zabito jedną z dziewczyn*”, „*człowieka przybitego do drzwi nie widział nikt, orzeczenie sporządzono na podstawie ran na rękach oraz zeznań ciężko rannego świadka, wywiezionego następnie w nieznanym kierunku, który później i tak nie został zidentyfikowany*”).

Oczywiście podobnych nieścisłości jest sporo. Nie mogło ich być mało ze względu na okoliczności czasu i charakteru zachowań wszystkich uczestników tragedii. Największym „*osiągnięciem*” badacza jest stwierdzenie, że w Nemmersdorfie zabito „*tylko*” 26 cywilów, a przyjęta w zachodniej historiografii liczba 70 obejmuje liczbę zabitych tak w samym Nemmersdorfie, jak i w znajdujących się w pobliżu wsiach i majątkach. A przepraszać za zabicie cywilów nie trzeba, dlatego że... Oczywiście dlatego, że powinniśmy również dziś, w 2008 roku, porównywać swoje słowa z czynami doktora Goebbelsa:

Propaganda Goebbelsa potrzebowała straszaka dla ludności wschodnich prowincji Rzeszy, i radzieccy żołnierze, rozstrzeliwując starców, kobiety i dzieci, szli jej tylko na rękę. Mroczne barwy i krwawe szczegóły w większości dodali już sami propagandyści.

Czasami rozpaczliwa niechęć do nazywania faktów po imieniu przybiera charakter zupełnej farsy. Na przykład rosyjski portal internetowy Infox.ru 12 stycznia 2009 roku zamieścił informację, że w dawnym pruskim mieście Marienburg (obecnie Malbork) podczas prac budowlanych odkryto masowy grób. Około 1800 osób, w tym kobiety i dzieci, zostało pochowanych nago, bez ubrań, butów, pasków, okularów i koronek. Ponad 100 czaszek nosiło widoczne ślady po kulach. Źródłowy artykuł w brytyjskim dzienniku „*The Guardian*” nosił tytuł ***Remains of 1,800 German civilians found in wartime mass grave***. W podtytule do artykułu wyrażono przypuszczenie, że *men, women and children* (mężczyźni, kobiety i dzieci) *have been killed as Red Army captured town* (zostali zamordowani, gdy Armia Czerwona zajęła miasto). Trudno uwierzyć, że w stołecznej Moskwie nie można było znaleźć tłumacza, który poradziłby sobie ze zwrotem *German civilians* (niemieccy cywile). Jednak artykuł w rosyjskim wydaniu internetowym uzyskał nagłówek „*W Polsce znaleziono masowy grób żołnierzy niemieckich*”, a poniżej podano jeszcze ciekawiej: „*Eksperci podejrzewają, że są to Polacy, którzy zginęli od radzieckiej broni...*” Jednak czasy się zmieniają i w 2008 roku ukazał się artykuł, w którym bez najmniejszych zastrzeżeń i uników, można powiedzieć „*otwartym tekstem*”, podano potworne liczby:

14 milionów Niemców wypędzono z domów, tylko 12 milionów zdołało przeżyć i dostać się do Niemiec. (...) Wypędzeniu Niemców z Europy Wschodniej towarzyszyła zorganizowana na wielką skalę przemoc. (...) Pozostałą ludność niemiecką umieszczono w obozach koncentracyjnych; dorosłych wykorzystywano do prac przymusowych, przy tym zimą 1945/1946 roku umieralność w obozach sięgała 50 procent. W obozie w Potulicach w okresie między 1947 i 1949 rokiem wskutek głodu, zimna, chorób i znęcania się przez wartowników zginęła połowa więźniów. (...) Do jednego z najbardziej potwornych zdarzeń doszło w nocy z 18 na 19 czerwca 1945 roku w mieście Przerów, gdzie rozstrzelano 265 Niemców, w tym 120 kobiet i 74 dzieci. Najstarszy zamordowany miał 80 lat, najmłodszy — osiem miesięcy.

Przy tym nie wydrukowała tego artykułu (***Wyniani i zamordowani***) jakaś tam gazetka niedobitych jeszcze liberałów, „*zebrzących pod drzwiami zachodnich ambasad*”, a poważne, drogie i rzetelne pismo „***Ekspert***” (nr 30, 28 lipca 2008 r.). Zwróćmy uwagę, że redakcja uważa swoje czasopismo za

„jeden z najbardziej wpływowych tygodników analitycznych Rosji, który zdobył opinię niekwestionowanego lidera wśród wydawnictw biznesowych”, a dyrektor generalny holdingu medialnego „Ekspert”, pan Fadiejew, łączy to stanowisko ze stanowiskiem dyrektora związanego z partią Jedna Rosja Instytutu Projektowania Społecznego oraz przewodniczącego komisji w Izbie Społecznej Federacji Rosyjskiej.

Najdziwniejsze w historii ukazania się artykułu w „Ekspercie” jest to, że nikt się nie oburzył! Nikt! Ani towarzysz Gariejew, który, „jak na spowiedzi”, nie słyszał o gwałtach (a co dopiero o morderstwach), ani towarzysz Rzeszewski, niezmiennie żądający okazania „ważkich udokumentowanych podstaw do wysuwania tak ciężkich oskarżeń”, ani towarzysz Diukow, skrajnie zaniepokojony tym, że Rosja będzie musiała „płacić i przepraszać”...

A odpowiedź jest banalna. Jest nią słowo składające się z trzech liter.

BMD.

Kiedy byli sojusznicy z Układu Warszawskiego przeszli do NATO, co więcej, wyrazili zgodę na rozmieszczenie elementów amerykańskiego BMD (Ballistic Missile Defense — System Obrony Antybalistycznej) na swoim terytorium, części rosyjskich historyków i dziennikarzy nagle wróciła pamięć. Naraz odświeżyli w pamięci od dawna znane fakty i postanowili przypomnieć Polsce i Czechom o pewnych zapomnianych epizodach ich powojennej historii.

Artykuł w „Ekspercie” został napisany w sposób nadzwyczaj „stonowany i politycznie wyważony”. Główny akcent położono na wypędzenie ludności niemieckiej z Czech i przekazanie Polsce wschodnich rejonów Niemiec, mimochodem napomknięto o wydarzeniach na Węgrzech i w Rumunii (tam amerykańskiej tarczy antyrakietowej jeszcze nie ma i się jej nie przewiduje) i nie wspomniano ani słowem (!!!) o Jugosławii („bratnia Serbia, walcząca z natowską agresją”), gdzie w latach 1944–1945 zginęło 69 tysięcy ludzi — co trzeci z 200 tysięcy Niemców, którzy nie zdążyli stamtąd uciec. I oczywiście „Ekspert” ani słowem nie napomknął o tym, że w miastach i miasteczkach Prus Wschodnich, które znalazły się w granicach Związku Radzieckiego, Niemców wypędzano i mordowano tak samo, jak w rejonach Prus Wschodnich i Pomorza, przekazanych Polsce; że towarzysz Stalin również ponosi pewną odpowiedzialność za wydarzenia na

okupowanych przez Armię Czerwoną terenach Czechosłowacji, Węgier i Jugosławii; że marionetkowy „polski rząd” towarzysza Bieruta bez zgody Moskwy nie tylko trzech milionów Niemców, ale nawet i trzech stołków we własnym gabinecie nie odważyłby się przenieść z miejsca na miejsce...

Kończąc wymieniać przygnębiające fakty masowej deportacji i masowych mordów ludności niemieckiej, muszę jeszcze powiedzieć czytelnikowi, że go oszukałem. Do tego trzykrotnie. Do przytoczonych wyżej fragmentów z książki Hoffmanna wstawiłem trzy epizody ze wspomnień L. Rabczewa (starszy lejtnant, na froncie od grudnia 1942 r., doszedł do Pragi, odznaczony dwoma Orderami Wojny Ojczyźnianej II stopnia i Orderem Czerwonego Sztandaru). Jego wspomnienia (wydane w piśmie „Znamia”, nr 2, 2005 r.) prawie dosłownie pokrywają się z relacjami przytoczonymi przez Hoffmanna. Przy czym plagiat (lub nieświadome skopiowanie) jest niemożliwy z definicji: Hoffmann zmarł trzy lata przed ukazaniem się wspomnień Rabczewa, a jego książka wyszła po rosyjsku dopiero w 2006 roku.

Bez widocznych „łączy” i „szwów” do cytatów z książki Hoffmanna można byłoby wstawić również ten fragment z notatki sekretarza KC Komsomołu N. Michajłowa, przekazanej 29 marca 1945 roku sekretarzowi KC WKP(b) G. Malenkowowi: „*W nocy z 23 na 24 lutego grupa oficerów i podchorążych w liczbie 35 osób wdarła się, będąc pod wpływem alkoholu, do folwarku Grutenneng, otoczyła go, wystawiła karabiny maszynowe, ostrzelała i zraniła czerwonoarmistę, który stał na warcie. Po czym zaczęły się zorganizowane gwałty znajdujących się w folwarku dziewcząt i kobiet*”. Ale taka „wstawka” byłaby niedopuszczalnym fałszerstwem, ponieważ w meldunku Michajłowa była mowa nie o okrucieństwach wobec niemieckiej ludności cywilnej, a o „*dzikim i chamskim traktowaniu uwolnionych radzieckich dziewcząt i kobiet*”. Z karabinami maszynowymi w rękę „*grupa oficerów i podchorążych w liczbie 35 osób*” szturmowała punkt czasowego pobytu wyzwolonych z niemieckiej niewoli ostarbeiterów...

Niestety, wiem, co z narastającym zniecierpliwieniem pragnie teraz usłyszeć większość czytelników. Muszę jednak oświadczyć jednoznacznie: Nie doczekacie się. Celowe bestialskie mordowanie kobiet i dzieci nie może mieć żadnego usprawiedliwienia. Żadnego. Smutne, że „*podnoszenie się z kolan*” za 147 dolarów za baryłkę zatrulo świadomość wielu moich rodaków

do tego stopnia, że już nie potrafią zrozumieć, jak potwornym znieważaniem pamięci poległych żołnierzy Wielkiej Wojny Ojczyźnianej są dyskusje o tym, że „*hitlerowcy również mordowali kobiety i dzieci*”.

Tu nie ma o czym dyskutować i nie będę tracił czasu na bezsensowne moralizowanie. Normalni ludzie mnie rozumieją. Oszołomów nie przekonam. Tym, z którymi można rozmawiać, zacytuję tylko kilka linijek z artykułu I. Erenburga, wydrukowanego w gazecie „*Krasnaja zwiezda*” 14 marca 1945 roku. Tam w przystępny sposób wytłumaczono różnicę pomiędzy podłą złością i szlachetną nienawiścią żołnierza–wyzwoliciela do wroga:

Wczoraj dostałem list od człowieka, którego już nie ma. Na kartce ślady krwi. Oficer Boris Antonowicz Kurilko zginął na niemieckiej ziemi, broniąc wolności i honoru naszej Ojczyzny. List przekazali mi jego koledzy i pragnę, żeby ostatnie słowa towarzysza Kurilki dotarły do moich czytelników tak, jak dotarły do mnie. Oto co napisał w przededniu śmierci oficer Armii Czerwonej:

„Ogień nienawiści pomagał nam w najtrudniejszych dniach. Teraz jesteśmy w Niemczech. Nasza nienawiść prowadzi nas do Berlina. Niemcy myślą, że my będziemy czynić na ich ziemi to, co oni robili na naszej. Ci oprawcy nie mogą zrozumieć wielkości radzieckiego żołnierza. Będziemy bezwzględni, ale sprawiedliwi, i nigdy, przenigdy, nasi ludzie nie znieważą się”.

Duma przepelnia moje serce, kiedy trzymam tę kartkę papieru: na niej krew bohatera i słowa, napisane krwią, wzniosłe, wspaniałe słowa. Zwycięzamy faszyzm nie tylko na polu walki, zwycięzamy go w moralnym pojedynku między dobrem i złem. (...) Nasza nienawiść jest wzniosłym uczuciem, żąda sądu, a nie wyrównania rachunków, kary, a nie przemocy. (...) Żołnierz radziecki przyszedł do Niemiec nie po łupy, zdobycze czy niewolnice, przyszedł do Niemiec po sprawiedliwość. (...) Obrońca Stalingradu, żołnierz Jelni, Rżewa i Sewastopola, jest szlachetniejszy od Niemców: szlachetny nie z „urodzenia” — pozostawmy podłym „aryjczykom” ich podle wymysły — jest szlachetniejszy świadomością, sumieniem, sercem. Gardzi Niemcami, gardzi ich blichtrzem, łupami, sztandarami, gazetami, kobietami, wczorajszym zadufaniem i dzisiejszym nadskakowaniem. Przyszedł tu niejako mściciel, przyszedł jako sędzia.

Innym tematem, którego zdaniem wielu nie można było przemilczeć, są bombardowania Niemiec przez lotnictwo alianckie. Owszem, zmasowane bombardowania (w szczególności nocne bombardowania dywanowe) doprowadziły do śmierci setek tysięcy bezbronnych Niemców, kobiet i dzieci; pozbawiły dachu nad głową i mienia miliony ludzi, zamieniły w góry gruzu największe zabytki europejskiej historii i architektury. Jednak w niniejszym artykule zupełnie świadomie nie będę omawiał tego tematu. I nie tylko dlatego, że bombardowań strategicznych Niemiec dokonali alianci, przynajmniej za całkowitą zgodą strony radzieckiej (co się tyczy słynnego zbombardowania Drezna, to dokonano go na bezpośrednie żądanie Stalina, który w Jałcie oskarżył sojuszników o celową rezygnację ze zniszczenia magistrali transportowych wschodnich Niemiec). Istnieje jednak ważniejsza przyczyna.

Bombardowania niemieckich miast przez lotnictwo aliantów były częścią strategii wojny. Lotnictwo aliantów niszczyło fabryki, w których produkowano broń dla Hitlera, burzyło stacje kolejowe, skąd przewożono wojska Hitlera, zabijało i terroryzowało niemieckich robotników, którzy (być może nie zawsze z własnej woli) pracowali na Hitlera. Do wiadomości Niemców podano warunek, przy którym bombardowania zostaną przerwane: całkowita i bezwarunkowa kapitulacja kraju.

Tej obietnicy zachodni sojusznicy bezwzględnie dotrzymani — ani jedna bomba nie spadła na żadne z niemieckich miast po podpisaniu aktu kapitulacji Niemiec. Co więcej, nawet w czasie wojny — o ile wiem — alianci nie zbombardowali ani jednego niemieckiego miasta na terenach zajętych bądź wyzwolonych. Mimo że bomb i paliwa lotniczego mieli pod dostatkiem, a „*pragnienie zemsty za zniszczone Coventry*” można było wyrazić również w taki trudny technicznie sposób. Z drugiej strony, brutalne rozprawianie się z ludnością cywilną Niemiec na terenach kontrolowanych przez Armię Czerwoną zaczęło się właśnie p o ich zajęciu i stłumieniu zbrojnego oporu.

Jeszcze raz powtarzam — zbrodnie przeciwko ludzkości nie mają ani usprawiedliwienia, ani terminu przedawnienia. Jednak celem niniejszego artykułu wcale nie jest spóźnione moralizowanie, a poszukiwanie prawdziwych przyczyn, które sprawiły, że tragiczne i haniebne wydarzenia na ziemi niemieckiej stały się możliwe. Poszukiwanie wytłumaczenia, ale nie usprawiedliwienia. I moim zdaniem, nie jest to takie proste.

Żądza zemsty za potworne zbrodnie, dokonane przez okupantów na radzieckiej ziemi, oczywiście istniała. Jednak nie zawsze i nie każda żądza jest realizowana poprzez działania, i nie każda żądza zwykłych żołnierzy zyskuje akceptację i przyzwolenie dowództwa. Wreszcie oprócz kontroli zewnętrznej każdy człowiek posiada jeszcze samokontrolę. Być może pozostaję niepoprawnym idealistą, ale trudno jest mi uwierzyć, że normalny rosyjski chłop, powołany do armii ze smoleńskiej wsi, ochrzczony w dzieciństwie, wychowany w zwykłej rodzinie, mógł przybijać języki niemieckich dzieci do stołu i krzyżować kobiety na ołtarzach kościołów. Wśród wielu ludów, które zamieszkiwały wielonarodowy Związek Radziecki, były ludy pamiętające prawa „*krwawej zemsty*”, ale nigdy nie słyszałem, żeby te zwyczaje przewidywały brutalny gwałt grupowy żony i córek wroga. I wydaje mi się, że ci, którzy przypisują żołnierzom Armii Czerwonej takie sposoby skanalizowania chęci zemsty wobec wroga, prześcignęli Goebbelsa z jego tezą o „*azjatyckich hordach bolszewików*”...

Odrzucając patetykę, możemy stwierdzić również całkowicie pewny, niezbitie potwierdzony — oraz bardzo dziwny na tle wszystkiego powyższego — fakt: niemieckich jeńców na radzieckich tyłach nie rozstrzeliwano, nie torturowano, nie krzyżowano na drzwiach budynków, nie miażdżono buldożerami. Stosunek ludności cywilnej na radzieckich tyłach do wziętych do niewoli Niemców był zadziwiająco tolerancyjny. I nie jest to „*czerwona propaganda*”, a fakt dobrze znany milionom żyjących wówczas ludzi.

Oczywiście radziecka niewola nie była „*sanatorium*”; jeńców wykorzystywano do ciężkich prac, musieli oni zamieszkać w nietypowym dla nich zimnym klimacie i w warunkach codziennego dla obywateli radzieckich głodu i nędzy. Ponieważ wielu niemieckich żołnierzy trafiło do niewoli jako ludzie chorzy, ranni, z odmrożeniami, ciężkie warunki życia prowadziły do olbrzymiej umieralności: według minimalnych oficjalnych szacunków w radzieckiej niewoli zginęło ponad 450 tysięcy niemieckich żołnierzy i oficerów.

Potwierdzając ten, bynajmniej nie chlubny, fakt, nie można nie dostrzegać również, że przypadki celowego, a tym bardziej sadystycznego zabijania niemieckich jeńców były nadzwyczaj rzadkie nawet przy linii frontu; w tyłowych obozach jenieckich uchodziły za wyjątkowe zdarzenia.

Pracujący na budowach i w kopalniach niemieccy jeńcy dostawali 600 gramów chleba (standardowa racja radzieckiego robotnika, i było to więcej niż norma dla niepracujących), a litościwe rosyjskie kobiety czasami dożywiały bezbronnych i bezradnych wrogów (o czym ze zdziwieniem i wdzięcznością wspominali wiele lat później niemieccy żołnierze). Setkom tysięcy niemieckich jeńców w radzieckich szpitalach wojskowych udzielono fachowej pomocy medycznej, która pozwoliła im przeżyć.

Ze wszystkimi zastrzeżeniami co do tego, że na wojnie nie ma miejsca dla normalnej ludzkiej logiki, trudno jest połączyć wieloletni ludzki stosunek do bezbronnych niemieckich żołnierzy (a ręce wielu z nich były splamione krwią zwykłych radzieckich obywateli) i rzekomo „*spontaniczny wybuch*” dzięki nienawiści do niemieckich kobiet i dzieci, który z niewiadomego powodu ogarnął armię w ostatnich miesiącach wojny.

Przynajmniej roboczo należy założyć, że „*żądza zemsty*”, która ogarnęła żołnierzy Armii Czerwonej z chwilą przekroczenia granicy Niemiec, nie była jedyną i najważniejszą w szeregu przyczyn wpływających na przerażające wydarzenia na niemieckiej ziemi. Nie tak trudno jest zauważyć inne, znacznie ważniejsze czynniki.

Jako pierwszy (jeżeli nie pierwszy według znaczenia, to jednak oczywisty i niezaprzeczalny) należy wymienić katastrofalny upadek dyscypliny wojskowej, który oczywiście nie spadł z nieba, a został, co było do przewidzenia, uwarunkowany przez otwarte i masowe grabieże dokonywane przez dowództwo.

Zazwyczaj przy jakiegokolwiek próbie przedyskutowania kwestii przemocy wobec ludności cywilnej Niemiec natychmiast słyszy się głosy, które śpiesznie przypominają, że „*radzieckie dowództwo wydawało rozkaz za rozkazem*”. To prawda. Rozkaz za rozkazem (porozmawiamy o nich trochę później). Ale dla zrozumienia rzeczywistego obrazu wydarzeń wydaje mi się nieporównywalnie ważniejsze zacytowanie nie licznych rozkazów, w których maruderom grożono straszliwymi karami, z rozstrzelaniem włącznie, a tego, obecnie powszechnie znanego, protokołu przeszukania daczy byłego dowódcy grupy radzieckich wojsk okupacyjnych w Niemczech, „*marszałka Zwycięstwa*” G.K. Żukowa:

Dwa pokoje daczy zamieniono w skład, gdzie przechowuje się olbrzymią ilość wszelkiego rodzaju przedmiotów i kosztowności. Na przykład: tkanin

welnianych, jedwabiu, brokatu, aksamitu oraz innych tkanin — łącznie ponad 4000 metrów; futra — sobole, mały, lisy, uchatki, brajtszwance, karakuły — łącznie 323 sztuk; giemza najwyższej jakości — 35 sztuk; kosztownych dywanów i arrasów dużych rozmiarów, wywiezionych z pałacu poczdamskiego oraz innych pałaców i domów niemieckich — łącznie 44 sztuki; (...) cennych obrazów malarstwa klasycznego dużych rozmiarów w ramach artystycznych — łącznie 55 sztuk, powieszonych w pokojach daczy oraz częściowo przechowywanych w magazynie; kosztownych serwisów, zastawy stołowej i do herbaty (porcelana zdobiona, kryształy) — 7 dużych skrzyń; kompletów srebrnych stołowych i do herbaty — 2 skrzynie; bogato zdobionych akordeonów — 8 sztuk; rzadkiej broni myśliwskiej firmy Holland&Holland oraz innych — łącznie 20 sztuk. (...)

Cale wyposażenie, od mebli, dywanów, zastawy i ozdób do zasłon w oknach — zagraniczne, głównie niemieckie. W daczy dosłownie nie ma ani jednej rzeczy produkcji radzieckiej, z wyjątkiem chodników leżących przy wejściu. W daczy nie ma ani jednej radzieckiej książki, ale na regałach znajduje się olbrzymia ilość książek w pięknych oprawach ze złotym tłoczeniem, wyłącznie w języku niemieckim. Wchodząc do domu, trudno jest sobie wyobrazić, że znajdujesz się pod Moskwą, a nie w Niemczech.

Ten protokół został podpisany przez ministra bezpieczeństwa państwowego ZSRR Abakumowa 10 stycznia 1948 roku. 20 stycznia 1948 roku Biuro Polityczne KC WKP(b) „po wysłuchaniu sprawozdania komisji w składzie tow.tow. Żdanowa, Bułganina, Kuzniecowa i Szkiriatowa” podjęło specjalne postanowienie „O tow. Żukowie G.K.”, w którym między innymi podkreślono, że „podwładni Żukowa, chcąc mu się przypochlebić, zabierali obrazy oraz inne kosztowności z pałaców i willi, rozbili sejf w sklepie jubilerskim w Łodzi [a to nie są Niemcy, tylko „wyzwolona” Polska — M.S.], zatrzymując znajdujące się w nim kosztowności itd. W konsekwencji Żukow przywłaszczył do 70 cennych wyrobów ze złota (wisiorki i pierścienie z kamieniami szlachetnymi, zegarki, kolczyki z brylantami, bransoletki, brosze itd.), do 740 przedmiotów sreber stołowych oraz zastawy srebrnej oraz ponadto do 30 kilogramów różnych wyrobów ze srebra”. (Rosyjskie Centrum Gromadzenia Dokumentacji i Badań Historii Najnowszej, zespół 17, rejestr 3, teka 2198, karty 28–29).

W tym dokumencie dla nas najważniejsza będzie wzmianka o „*podwładnych Żukowa*”. Ma się rozumieć, marszałek i dowódca frontu sam nie przeszukiwał „*pałaców i willi*” w poszukiwaniu łupów, od tego byli pułkownicy z jego świty. Ale i pułkownicy własnoręcznie nie otwierali sejfów w sklepach jubilerskich i nie zbierali „*skór małp i karakułów*”. Brudną robotę zlecano majorom i kapitanom, a ci zabierali ze sobą — dla porządku i ochrony — pluton uzbrojonych żołnierzy pod komendą lejtnanta, który z kolei miał kierowcę, młodszego sierżanta, też nie w ciemną białego. Kolczyki z brylantami sierżanci musieli, niestety, oddać przełożonym, ale co nieco z drobiazgów zostawało również w ich kieszeniach. Cały ten „*łańcuch logiczny*” w języku rosyjskim ma już dawno jasne i absolutnie jednoznaczne wytłumaczenie: Ryba gnije od głowy.

Wyłącznie i tylko od głowy. Wobec takiego zachowania starszych oficerów młodszemu sierżantowi można było odczytać nieskończoną liczbę dowolnych rozkazów. Niewiele to zmieniało w sytuacji, gdy regulamin został nieoficjalnie zastąpiony przez „*zasady*”. Od tego momentu Armia Czerwona zaczęła gwałtownie się zmieniać. Nawet zewnątrz:

Barwnie, malowniczo prezentowała się ta lawina wojsk, zmierzająca ze wschodu na zachód. Czołgi, zakopcone, zachlapane błotem, przykrywały pstrokate, jaskrawe dywany, a na dywanach siedzieli umorusani pancerniacy w czarnych, przesiąkniętych smarami kurtkach. Któryś wyciągał zza pazuchy butelkę i przechylając głowę, pił z gwinta — podawał sąsiadowi i zachrypniętym głosem, starając się przekrzyczeć ryk silnika i zgrzytanie gąsienic, wyrzaskiwał słowa piosenki. (...) Obsługa dział, która zawsze podróżuje na skrzyniach z amunicją, obłożyła się miękkimi kanapowymi poduchami, haftowanymi jedwabiem, i czuła się znakomicie: rzępoliła na niemieckich harmonijkach ustnych, rozciągała miechy akordeonów, bogato zdobionych masą perłową i srebrem.

W strumieniu czołgów, dział, samochodów, wozów i dwukółek, często trafiała się stara ziemiańska karetka, zakryta, z lustrzanymi drzwiami i lampami, lub długie lśniące lando.

W karetkach siedzieli młodziutcy oficerowie i żołnierze — w szynelach z naramiennikami, z karabinami przerzuconymi przez ramię, ale w cylindrach i z parasolami.

W rzeczy samej widok był bardzo malowniczy. Jak pisze Hoffmann, *„Armia Czerwona znajdowała się w stanie narastającego zdziczenia. (...) Radzieccy żołnierze doszli do tego, że zamiast regulaminowego nakrycia głowy wkładali bikorny, nosili laski, parasole, gumowe płaszcze, w ten sposób coraz bardziej upodabniając się do szabrowników i grabieżców”*. Czy można wierzyć niemieckiemu historykowi–neofaszyście? Można i trzeba, dlatego że później Hoffmann cytuje zachowane w archiwum wojskowym Niemiec rozkazy. Na przykład rozkaz nr 006 Rady Wojennej 2. Frontu Białoruskiego z 22 stycznia 1945 roku, w którym stwierdzano, że *„na równi z rabunkami, grabieżą, podpaleniami odnotowano powszechne pijaństwo. (...) Samochody są załadowane najróżniejszymi przedmiotami użytku codziennego, zdobytą żywnością i ubraniami do tego stopnia, że stały się obciążeniem dla wojsk, ograniczają swobodę ich przemieszczania się oraz zmniejszają siłę uderzeniową formacji pancernych”*. O karetach, cylindrach i parasolach wspomniano również w rozkazie dowódcy 1. Frontu Ukraińskiego, marszałka I. Koniewa, z 27 stycznia 1945 roku, gdzie mówiło się także, że podczas inspekcji trafiały się czołgi, wypchane łupami do tego stopnia, że nie było w nich miejsca dla załogi.

Powszechny rabunek stał się zjawiskiem na tyle zwyczajnym i codziennym, że nawet w oficjalnym raporcie Głównego Zarządu Dóbr Zdobycznych Armii Czerwonej wśród *„zdobyczy wojennych”* wymieniono 60 tysięcy fortepianów, 460 tysięcy radioodbiorników, 190 tysięcy dywanów, 940 tysięcy sztuk mebli, 265 tysięcy zegarów ściennych i stołowych. Co się tyczy zegarków ręcznych i kieszonkowych, których *„zbieranie”* wiosną 1945 roku zyskało w Armii Czerwonej charakter masowego szaleństwa, to ilości tych *„trofeów”* nie da się zliczyć...

Dyscyplina wojskowa w wiadomym sensie ma coś wspólnego z ciężą: albo jest, albo jej nie ma. Nie przewiduje stanu przejściowego. I jeżeli w armii *„można”* było wybić drzwi kolbą karabinu, wtargnąć do domu, zerwać z uszu wystraszonych kobiet złote kolczyki, wywrócić wszystko do góry nogami w poszukiwaniu nieszczęsnych zegarków i alkoholu, to już bardzo cienka linia oddzielała takie działania od kolejnych kroków ku *„zemszczeniu się za znieważoną radziecką ziemię”*. A rozkazy? Owszem, rozkazy istniały; ci, którzy mieli nieszczęście trafić *„na zły humor”*, mogli zostać surowo ukarani. Jeden z takich przypadków został barwnie opisany w autobiograficznej

powieści M. Koriakowa (której fragment został przytoczony wcześniej). Walka o dyscyplinę wyglądała następująco:

Żołnierz stał przed pułkownikiem na baczność w zsuniętym na tył czarnym damskim kapelusiku, zdobionym kwiatami i owocami. W karocy, którą żołnierz zgarnął z dworu jakiegoś śląskiego ziemianina, leżała żółta świńska tusza, a do lamp przywiązane były zaduszone kury.

— *Drobieu się zachciało? Wieprzowinki? Nasze radzieckie żarcie ci nie odpowiada? — wrzeszczał pułkownik i bił żołnierza po twarzy dłonią w skórzanej rękawiczce. — Czytałeś rozkaz towarzysza Stalina z 19 stycznia?*

— *Czytałem, towarzyszu pułkowniku — odpowiedział poblądły żołnierz.*

— *Rozkaz dowódcy frontu też?*

— *Też, towarzyszu pułkowniku.*

— *Więc co ty robisz, psia mać? — ryknął pułkownik i rozejrzał się pijanym, nieprzytomnym wzrokiem, myśląc o tym, co by tu zrobić żołnierzowi. Jego spojrzenie natknęło się na kury, powiewające na sznurku przy lampie, zerwał jedną, chwycił za szyję i z całej siły uderzył nią po twarzy żołnierza.*

Pułkownik był pijany. W willysie, na kanapie wyścielonej dywanem, leżała pękata, opleciona w wiklinę butla. Zataczając się i szeroko rozstawiając nogi, wrócił do willysa i na odchodnym rzucił żołnierzowi:

— *Będiesz szanował rozkazy towarzysza Stalina! Ja cię nauczę!*

Prawdę powiedziawszy, pułkownik miał dużo szczęścia — był pijany, ale żołnierz trzeźwy. Z pijanymi radzieckimi żołnierzami w „pokonanych Niemczech” lepiej było nie mieć do czynienia. Tenże Koriakow (kapitan, którzy przeszedł wojnę od Moskwy do Śląska) pisze:

Na Wilhelmstrasse w Bolestawcu przeżyłem najstraszniejszą noc w swoim życiu. Ani podczas bombardowań, na Wołyniu, gdzie w ciągu jednej nocy zrównano z ziemią miasto Sarny, ani na pierwszej linii frontu pod ogniem niemieckich wyrzutni rakietowych, nigdzie nie czułem takiego strachu jak tu, na tym spokojnym niemieckim osiedlu. (...) Położyliśmy się spać o dziesiątej wieczorem. Zamki w drzwiach były wylamane, do drzwi dosunęliśmy stół i wiadra z węglem. Nie minęło pół godziny, jak drzwi trzasnęły, a barykada się osunęła. (...) Pancerniacy... Sześciu. Nie tylko żołnierze, również oficerowie. Pistolety na wierzchu, wsadzone za paski. W ogóle nie zwracając na mnie uwagi, ruszyli schodami na górę. Tam, nad sufitem, rozległy się krzyki kobiet,

placz dzieci. Zdenerwowany zacząłem się ubierać. Dziewczyna i starzy Wiunsze błagali mnie, żebym tam nie szedł: zabiją! Zeszłej nocy zabito oficera miejskiej komendantury, który usiłował powstrzymać gwałcicieli. Przez całą noc słuchaliśmy w przerażeniu krzyków nieszczęsnych kobiet, płaczu dzieci i łomotania, łomotania ciężkich żołnierskich butów nad głową.

Wspomnienia M. Koriakowa potwierdzają dokumenty z niemieckich archiwów wojskowych. 10 lutego 1945 roku na stronę nieprzyjaciela przeszedł kapitan B., dowódca batalionu 510. pułku strzeleckiego 154. Dywizji Strzeleckiej. Swój czyn — dość niezwykły dla ostatnich tygodni wojny — wytłumaczył tym, że zastrzelił dwóch podwładnych, przyłapanych w chwili grupowego gwałtu na niemieckiej dziewczynce, i „*nie mógł dłużej patrzeć, jak czerwonoarmiści traktują ludność cywilną*”. Wzięty do niewoli młodszy lejtnant z 287. Dywizji Strzeleckiej na przesłuchaniu zeznał, że kilku oficerów jego dywizji, którzy usiłowali przeszkodzić w napaści na cywilów, zostało zastrzelonych przez rozwścieczonych czerwonoarmistów. Z kolei kapitan J., dowódca batalionu w składzie IV Gwardyjskiego Korpusu Strzeleckiego 2 lutego 1945 roku zastrzelił podwładnego, który próbował stanąć w obronie zgwałconej przez kapitana J. kobiety. W miejscowości Germau, zajętej przez oddziały 91. Dywizji Strzeleckiej Gwardii, radziecki komendant wojskowy, ratując niemieckie kobiety przed zgwałceniem, zebrał je w kościele i wystawił uzbrojoną wartę, której rozkazał w razie potrzeby strzelać do czerwonoarmistów...

„*Narastające zdziczenie*” Armii Czerwonej miało jeszcze jedną przyczynę — radykalna zmiana składu i „*jakości*” poborowych.

Rosja jest wielka, ale nawet i ona nie mogła w nieskończoność karmić milionami młodych mężczyzn żarłocznego potwora wieloletniej wojny. Prawie pięć milionów ludzi było w składzie Sił Zbrojnych ZSRR już w chwili wybuchu wojny. Na mocy dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z 22 czerwca 1941 roku zmobilizowano 10 milionów ludzi. Następnie, zgodnie z postanowieniem Państwowego Komitetu Obrony z 11 sierpnia 1941 roku, jeszcze 4 miliony. Jesienią 1941 roku powoływano do wojska już urodzonych w 1890 roku, czyli pięćdziesięcioletnich mężczyzn. Kolejne 2 miliony wcielono do armii przez tzw. „*oddziały ochotnicze*”.

Fale mobilizacji 1941 roku pochłonęły bez reszty cały zgromadzony w przedwojennym dziesięcioleciu zapas wyszkolonych rezerwistów, którzy

odbyli zasadniczą służbę wojskową. Ale żarłoczny potwór żądał coraz to nowej krwi. Od 1 stycznia do 1 marca 1942 roku zmobilizowano kolejne 700 tysięcy ludzi. Oczywiście na tyłach pozostawały jeszcze miliony mężczyzn, ale armia XX wieku nie mogła walczyć i zwyciężać, używając kijów i kamieni. A żeby walczyć czołgami, działami i samolotami, żeby całe te góry sprzętu bojowego zaopatrzyć w amunicję, paliwo, części zamienne, na jednego żołnierza na tyłach powinno pracować co najmniej pięciu robotników i chłopów.

W drugiej połowie 1944 roku, w chwili, gdy nacierająca Armia Czerwona zbliżała się do granic Rzeszy i jej sojuszników, w jej szeregach prawie nie było już komsomolców–ochotników, którzy oblegali punkty poborowe w czerwcu 1941 roku. Zdanie „*przeszedł całą wojnę od Bugu do Wołgi i od Wołgi do Łaby*” — jeżeli tylko nie jest dyżurnym gazetowym szablonem — obejmuje tylko ludzi, których losy były niezwykle, ludzi „*w czepku urodzonych*”... Pięć miesięcy w piechocie. Jedenaście miesięcy w wojskach pancernych. Statystyka bezlitośnie świadczy o tym, że później kolejna jednostka „*składu osobowego*” przechodziła do kategorii bezpowrotnych (zabici, zaginieni) lub sanitarnych (ranni, chorzy, okaleczeni) strat. Przy tym jest to statystyka z lat 1943–1945, która nie odzwierciedla potwornych strat pierwszego roku wojny!

Niemniej jednak pod koniec 1944 roku tylko w czynnej armii (czyli nie uwzględniając tyłowych, szkoleniowych, transportowych, sanitarnych jednostek i wydziałów Sił Zbrojnych) było 6,7 miliona ludzi. Skąd się wzięli?

Osiągnęli wiek poborowy chłopcy dorastający podczas wojny — głodni, wychudzeni, pozostający faktycznie bez opieki (ojciec na froncie, matka od świtu do zmierzchu w fabryce), wychowani przez ulicę, która w czasie wojny była kryminalną szkołą przetrwania. W okresie całej wojny „*rezerwą specjalną*” mobilizacji pozostawał GUŁag, przy czym na front wysyłano głównie recydywę, kryminalistów (skazani z artykułu 58 nie byli wystarczająco godni zaufania). Ale również z tych „*zasobów*” wyciśnięto wszystko, co było można, już wcześniej. Głównym źródłem kontyngentu poborowych w ostatnich latach wojny stało się wyzwolone spod niemieckiej okupacji terytorium zachodnich rejonów ZSRR.

Tam były możliwości mobilizacyjne: 1,5 miliona ludzi z roczników 1905–1918, którzy nie załapali się do pierwszej wojennej mobilizacji (udało

im się uchylić od poboru lub komenda uzupełnień zniknęła, zanim zdążyła wysłać wezwania); 3,6 miliona mężczyzn urodzonych w latach 1890–1904, pozostawionych i/lub pozostających na terenach okupowanych w momencie ogłoszenia drugiej fali mobilizacji (sierpień 1941 roku). Nieznana dokładnie liczba nastolatków, którzy osiągnęli do 1944 roku wiek poborowy.

I jeszcze co najmniej 1–1,5 miliona „okrążęńców”, dezertersów, „pozostałych w tyle” itd. W teorii wszyscy ci ludzie powinni byli znajdować się tam również po wkroczeniu Armii Czerwonej i stawić się do reaktywowanej komendy uzupełnień.

W praktyce wszystko okazało się bardziej skomplikowane — niełatwo było mężczyźnie w wieku poborowym przetrwać trzy lata okupacji. Zbyt wiele pytań miały do niego władze niemieckie: Jeżeli jest byłym żołnierzem Armii Czerwonej, to dlaczego nie znajduje się w obozie jenieckim? Jeżeli jest zwiadowcą partyzanckim, dlaczego go jeszcze nie aresztowano? Uchylił się przed poborem lub został pozostawiony przez NKWD do zorganizowania działań dywersyjnych? Lojalność wobec nowego ładu należało udowodnić.

Każdy udowadniał, jak mógł. 511 tysięcy obywateli radzieckich pracowało na kolei — którą regularnie wysadzali radzieccy partyzanci. Setki tysięcy zaciągnęły się do służby w zorganizowanych przez okupantów policyjnych batalionach, pułkach kozackich, oddziałach „lokalnej samoobrony”, wszelkiego rodzaju „narodowych” formacjach zbrojnych. Tylko w składzie niesławnej Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej (później „armia wyzwoleńcza” została przekształcona w 29. Dywizję Waffen SS) B. Kaminskiego z partyzantami w okolicach Briańska walczyło ponad 10 tysięcy żołnierzy.

I nawet jeżeli tych, którzy z bronią w ręku walczyli po stronie hitlerowców, było stosunkowo niewielu, to znacznie większa liczba byłych obywateli radzieckich postanowiła „załatwić co nieco”: ktoś, nie afiszując się zbyt, doniósł na sąsiada, ktoś pomógł Niemcom znaleźć ukrywającą się w piwnicy żydowską rodzinę. Ktoś w ogóle nikogo nie zdradził i nie donosił, wręcz przeciwnie — ryzykując zdrowie i życie, plądrował opuszczone mieszkania i walczył przy tym zaciekle z innymi rabusiami...

Życie pod niemiecką okupacją (jeżeli można to było nazwać życiem) szybko zmusiło do wyrzucenia z pamięci *Katiuszy* i innych popularnych radzieckich piosenek. Nowe zasady były znacznie prostsze: człowiek

człowiekowi wilkiem, „*umrzyj dziś, a ja — jutro*”. I radzieccy ludzie uczyli się teraz dialektyki nie z Hegla — od połowy 1943 roku zaczęło się masowe przechodzenie „*policajów*” na stronę partyzantów. Tak masowe, że siedmiotysięczna Rosyjska Brygada Narodowa SS pod dowództwem Gilarodionowa została 1. Antyfaszystowską Brygadą Partyzancką i latem 1944 roku jedną czwartą wszystkich partyzantów Białorusi stanowili byli „*policjanci*” i „*ochotnicy*” Wehrmachtu.

Dużym uproszczeniem rzeczywistego obrazu wydarzeń będzie założenie, że pozostałe trzy czwarte zajmowały się wyłącznie wysadzaniem niemieckich pociągów. Pewna (nie będziemy się teraz spierać o szacunki ilościowe) liczba „*oddziałów partyzanckich*” przez całą wojnę zajmowała się głównie „*samozaopatrzeniem*”, czyli banalnym ograbianiem ludności. Niektórzy aktywiści nawet zorganizowali regularne rekwirowanie zboża z okolicznych wsi, pędzili z niego samogon na skalę przemysłową i zbrojną ręką kontrolowali „*rynki zbytu*”...

Całe to niejednorodne towarzystwo „*organy*” po mniej lub więcej pobieżnym sprawdzeniu przekazywały do dyspozycji komend uzupełnień. Byli „*policjanci*”, byli dezernerzy i zwykli bandyci, z jednakowo ogolonymi głowami, wkładali mundury czerwonoarmistów i wyruszali na front. Dokładne liczby nie są mi znane. Nie mogę z pewnością powiedzieć, czy byli wśród radzieckich żołnierzy, którzy dopuścili się zbrodni w Nemmersdorfie i Striegau (podobnie jak w setkach innych miast i miasteczek Niemiec), „*reedukowani*” oprawcy ze 118. batalionu policyjnego, który spalił Chatyń razem z mieszkańcami. Ale numer batalionu w tym przypadku nie jest istotny.

Być może byli oprawcy, donosiciele, rabusie, kryminaliści stanowili 5 procent ogółu kontyngentu poborowych 1944 roku. Być może 55 procent. Historycy powinni wreszcie ustalić również te szczegóły, ale dla celów niniejszego artykułu nie mają one zasadniczego znaczenia. W każdym razie do Armii Czerwonej wcielono dziesiątki (jeżeli nie setki) tysięcy moralnie zdegradowanych, przywykłych do sadystycznej przemocy ludzi. W określonych warunkach już to wystarczyłoby, żeby dopuścić się tych krwawych zbrodni, o których była mowa. Nie procenty są ważne (psychologia społeczna już dawno doszła do wniosku, że normy zachowania masy ludzkiej wyznacza 5–10 procent mniejszości), a właśnie „*określone warunki*”. W jednej sytuacji degeneraci staraliby się zachowywać „*jak mysz pod miotłą*”, w

innej zaczęłyby aktywnie narzucać swoje kryminalne „zasady” większości. I właśnie tu zbliżyliśmy się do najważniejszego — do tego, kto wyznaczał cele i dyktował warunki. Do najważniejszego, bez którego wymienienia niemożliwa jest jakakolwiek poważna dyskusja na temat historii wojny. Do towarzysza Stalina.

Naczelnym Wódzem Generalissimem Stalin ponosi osobistą odpowiedzialność za zbrodnie wojenne, dokonane na niemieckiej ziemi, zgodnie z tą oczywistą i niezaprzeczalną zasadą, według której dowódca ponosi odpowiedzialność za działania podwładnych. Mam nadzieję, że z tym stwierdzeniem natychmiast zgodzą się wszyscy ci, którzy lubią powtarzać: „*Stalin wygrał wojnę*”. No bo skoro wygrał sam, to i osądzić za nieprzedawniające się zbrodnie wojenne należy tylko jego...

Jednak są poważniejsze powody, by sądzić, że masowa brutalna przemoc wobec ludności cywilnej Niemiec została z premedytacją zorganizowana przez Stalina i jego pomagierów. To, co na pierwszy pobieżny rzut oka wydaje się wybuchem „ślepej furii zemsty”, mogło być wcześniej zaplanowaną i zrealizowaną z cynicznym i sprytnym wyrachowaniem operacją. Żeby nie marnować więcej słów, przejdźmy od razu do stenogramu konferencji Wielkiej Trójki w Poczdamie.

Posiedzenie piąte, sobota 21 lipca 1945 roku:

Stalin: „Rząd amerykański i rząd brytyjski proponowali nam kilka razy, aby nie dopuścić administracji polskiej do rejonów zachodnich, dopóki nie zostanie definitywnie rozwiązana kwestia zachodniej granicy Polski. Nie mogliśmy tego uczynić, ponieważ ludność niemiecka odeszła na zachód w ślad za wycofującymi się wojskami niemieckimi (...)”.

Truman: „Wyznaczenie przyszłych granic to zadanie konferencji pokojowej”.

Stalin: „Bardzo ciężka jest odbudowa niemieckiej administracji na tym terytorium, wszyscy [Niemcy] uciekli”.

Truman: „Przypuszczam, że w swoim czasie osiągniemy porozumienie w sprawie przyszłych granic Polski, ale teraz interesuje mnie status tych rejonów na czas okupacji”.

Stalin: „Te rejony na papierze należą do terytorium państwa niemieckiego, w rzeczywistości są to tereny polskie, ponieważ ludności niemieckiej na nich już nie ma”.

Truman: „Dziewięć milionów Niemców to bardzo dużo”.

Stalin: „Oni wszyscy uciekli”.

Churchill: „(...) Jeszcze jedna uwaga do oświadczenia generalissimusa Stalina, że wszyscy Niemcy opuścili te rejony. Są inne dane, które mówią o tym, że tam wciąż pozostaje od dwóch do dwóch i pół miliona osób. Tę sytuację należy zbadać”.

Stalin: „Wojna doprowadziła do tego, że z tych ośmiu milionów Niemców nie został prawie nikt. (...) Kiedy wkroczyliśmy do tej strefy, którą rozpatrywano jako powiększenie polskiego terytorium, tam z Niemców nie pozostał nikt. Taka była kolej rzeczy (...)”.

Churchill: „Natychniastowe przesiedlenie ośmiu milionów ludzi to sprawa, której nie mogę poprzeć. Przesiedlenie masowe będzie szokiem dla mojego kraju. (...) Jeżeli ludności niemieckiej nie można zaopatrzyć w wystarczającą ilość żywności, to w naszej strefie okupacyjnej zapanują warunki podobne do niemieckich obozów koncentracyjnych, tylko na jeszcze większą skalę”.

Stalin: „Przecież możecie kupować zboże z Polski”.

Churchill: „Nie uważamy, że ten rejon jest polskim terytorium”.

Stalin: „Tam mieszkają Polacy, zasiali pola. Nie możemy żądać od Polaków, którzy zasiali pola, żeby oddali plony Niemcom”.

Truman: „Pojawia się wrażenie faktu dokonanego, że spora część Niemiec została oddana Polakom. (...) Uważam, że Polacy nie mają prawa przywłaszczyć tej części Niemiec i wyrwać jej z niemieckiej gospodarki”.

Następnego dnia, 22 lipca 1945 roku oszukani zachodni sojusznicy próbowali przejść do dyplomatycznej „ofensywy”. Ale Stalin twardo stał przy swoim:

Churchill: „Po pierwsze. Umówiliśmy się, że granica zostanie wytyczona tylko przy pokojowym uregulowaniu. Po drugie. Polska nie zyska na przejęciu tak dużego terytorium niemieckiego. Po trzecie. Struktura gospodarcza Niemiec zostanie rozbita, a na władze okupacyjne spadnie bardzo duże przeciążenie. Po czwarte. Wraz z przesiedleniem dużych mas ludności trzeba będzie przyjąć bardzo dużą odpowiedzialność moralną. Powiniennem powiedzieć, że uważam za niewłaściwe przesiedlenie od ośmiu do dziewięciu i pół miliona osób. Po piąte. Nie ma dokładnych danych liczbowych w tym

punkcie. Według naszych informacji, na tym terytorium znajduje się od ośmiu do dziewięciu milionów osób. Z kolei delegacja radziecka twierdzi, że ich już tam nie ma. Ta kwestia wymaga wyjaśnienia (...)”.

Stalin: „Na tym terytorium nie ma ani ośmiu, ani sześciu, ani nawet trzech milionów Niemców. Przeprowadzono tam masową mobilizację i zginęło dużo ludzi. Pozostawało tam bardzo mało Niemców, a i ci uciekli przed Armią Czerwoną”.

Więc o co się spierały wysokie strony?

Jeżeli istniało coś, o co towarzysza Stalina posadzić nie można, to była nią miłość do Polski i Polaków. Wręcz odwrotnie, właśnie wobec „*pańskiej Polski*” (inaczej tego państwa w radzieckich gazetach nie nazywano) i wszystkiego, co jej dotyczyło, Stalin czuł szczególną, prawie nie skrywaną nienawiść. I w tajnych postanowieniach KC, i w propagandzie prasowej słynni „*polscy agenci*” niezmiennie byli źródłem wszelkiego zła. Właśnie polskich komunistów w latach 1937–1938 czekał wyjątkowy los: Stalin nie ograniczył się do rozstrzelania całego znajdującego się w Moskwie kierownictwa PPK, ale doprowadził do oficjalnego rozwiązania „*szkodliwej*” polskiej partii komunistycznej (co było niecodziennym wydarzeniem nawet dla Kominternu końca lat 30.). Latem 1937 roku rozpoczęła się niesławna „*operacja polska*” (rozkaz ludowego komisarza NKWD Jeżowa nr 00485), podczas której aresztowano 143 810 osób, a z nich zamordowano 111 091. Sto jedenaście tysięcy. Co szósty mieszkający w ZSRR Polak. Rekordowy wskaźnik nawet w epoce wielkiego terroru.

W nocy z 23 na 24 sierpnia 1939 roku przy kieliszku szampana towarzysząc Stalin umówił się z Ribbentropem co do likwidacji Polski oraz podziału jej terytorium, a 31 października 1939 roku ustami swego wiernego sługusa W. Mołotowa słowiańskie państwo z wielowiekową historią „*bękartem traktatu wersalskiego*”. Nie krył triumfu również ludowy komisarz obrony Woroszyłow, który w świątecznym rozkazie z 7 listopada 1939 roku oświadczył: „*Państwo polskie już przy pierwszym poważnym starciu wojennym rozpadło się jak stary przegniły wóz*”. Po czym stosowanie określenia „*Polska*” zostało kategorycznie zakazane i nawet w ściśle tajnych dokumentach najwyższego dowództwa Armii Czerwonej to terytorium określano jako „*byłą Polskę*” lub (jak to robił Hitler) „*Generalne Gubernatorstwo*”.

Wszystko się zmieniło po tym, jak w lecie 1941 roku kadrowa Armia Czerwona „przy pierwszym poważnym starciu wojennym rozpadła się jak stary przegniły wóz”, a towarzysz Stalin — niezmiernie zdziwiony — znalazł się w szeregach „antyhitlerowskiej koalicji państw demokratycznych”. Zasady zachowania „klubu państw demokratycznych” wymagały zachowania pewnych minimalnych konwenansów i Stalin musiał przynajmniej słownie zrezygnować ze „zdobyczy”, którą tak sprytnie posiadał w sojuszu z Hitlerem. 30 lipca 1941 roku z „londyńskim” polskim rządem Sikorskiego podpisano układ, którego pierwszy punkt głosił: „Rząd ZSRR przyznaje, że traktaty radziecko–niemieckie z 1939 r. dotyczące zmian terytorialnych w Polsce utraciły swoją moc”.

Długa i zawiła historia o tym, jak to Stalin krok po kroku pozbywał się następstw „chwilowej słabości”, wskutek której zgodził się uznać prawność „burżuazyjnego rządu emigracyjnego”, a swoje zdobycze terytorialne w Polsce za bezprawne, wykracza daleko poza ramy niniejszego artykułu. Przejdźmy od razu do rezultatu: na początku 1945 roku o rządzie londyńskim Polski Stalin nawet nie chciał słyszeć; polska partyzancka Armia Krajowa została rozgromiona w istocie dzięki wspólnemu wysiłkowi Wehrmachtu i SS, Armii Czerwonej i wojsk NKWD; w składzie nacierających wojsk radzieckich do Lublina przywieziono marionetkowy „polski” rząd (Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego).

Stworzono nawet pseudopolską armię (Ludowe Wojsko Polskie), do której w trybie „dobrowolno–przymusowym” wcielano nie tylko radzieckich oficerów, ale również zwykłych żołnierzy (między innymi załogi pancerne w pełnym składzie). Organy bezpieczeństwa „Polski Ludowej” zostały od góry do dołu obsadzone przez radzieckich „doradców” i faktycznie stanowiły jeden z zarządów terenowych NKWD. Późniejsze mianowanie na stanowisko ministra obrony marionetkowej Polski marszałka Związku Radzieckiego Rokossowskiego było w tym kontekście bardzo symboliczne i znamienne.

W tej konkretnej sytuacji historycznej Stalin całkiem zasadnie uznawał zachodnią granicę „swojej” Polski za pierwszą linię rozwinięcia sił zbrojnych ZSRR. I tylko z tego powodu dążył do przesunięcia tej linii możliwie jak najdalej na zachód, możliwie jak najbliżej Berlina i Drezna — w powojennych losach Niemiec było jeszcze bardzo wiele niejasności, a kwestię polską Stalin do tego czasu już z powodzeniem (w interesach własnej

ekspansji w Europie) i ostatecznie rozwiązał. Co się tyczy losów Prus Wschodnich, to tu Stalin nie widział nawet powodów do dyskusji, i w Poczdamie zwyczajnie poinformował „sojuszników”, że zabiera sobie północną (bałtycką) część Prus Wschodnich z Królewcem i Tylżą (obecnie Kaliningrad i Sowieck).

Łącznie zabrane ziemie (Prusy Wschodnie, Pomorze, Śląsk) o powierzchni ogólnej 114 tysięcy kilometrów kwadratowych (co równa się w sumie Belgii, Holandii i Danii) stanowiły jedną czwartą terytorium Niemiec w granicach z 1937 roku. Jednak zgłaszając roszczenia do tych terytoriów (bezpośrednio — jak w przypadku północnej części Prus Wschodnich, lub pośrednio — poprzez przyłączenie ich do marionetkowego państwa polskiego), Stalin natknął się również na duży problem — wielomilionową ludność niemiecką. Znienawidzeni przez Stalina „sojusznicy” mogli upominać się o jakieś niezrozumiałe „prawa” tych Niemców, przypominać o „leninowskiej zasadzie prawa narodu do samostanowienia” i w konsekwencji — zmienić swój przychylny stosunek do roszczeń kremlowskiego szantażysty. Był tylko jeden sposób radykalnego rozwiązania tej kwestii i Stalin doskonale go znał: „*Nie ma człowieka — nie ma problemu*”.

Do tego czasu towarzysz Stalin zdobył bogate doświadczenie w podobnych przedsięwzięciach; nie raz i nie dwa przemieszczał już „*niewłaściwe ludy*” do właściwych miejsc — ale przypadek Niemców był szczególny. Było ich zbyt wielu. Ilość dialektycznie zmieniała się w jakość. Czym innym jest bez pośpiechu w czasie pokoju wysiedlić z tzw. „*zachodniej Białorusi i Ukrainy*” 400 tysięcy Polaków w ciągu półtora roku, a czym innym przesiedlić 8–9 milionów Niemców, i to w czasie wojny, gdy każda ciężarówka, każdy litr benzyny, każdy wagon i lokomotywa były na wagę złota! I dokąd Stalin miał deportować Niemców ze Śląska, Pomorza i Prus? Możliwe kierunki były tylko dwa: albo do tyłu, na wschód, w głąb terytorium radzieckiego, albo do przodu, na zachód, czyli do radzieckiej strefy okupacyjnej Niemiec. I w jednym, i w drugim przypadku nakarmienie 8 milionów niepracujących osób (a w szóstym roku wojny światowej ludność niemieckich tyłów składała się głównie z kobiet, dzieci, inwalidów i starców) spoczęłoby na barkach Związku Radzieckiego.

Hipoteza, której nie mogę poprzeć żadnymi bezpośrednimi, opartymi na dokumentach dowodami, sprowadza się do tego, że S t a l i n

postanowił wypędzić Niemców. Chciał zrobić to szybko (szybciej, niż zachodni sojusznicy zdążą zrozumieć, co się dzieje, i jakoś zareagować) i przy tym proces wypędzenia zrealizować zgodnie z zasadami samofinansowania. Postanowił stworzyć na terenach, które miały zostać zabrane, atmosferę takiego terroru i przerażenia, żeby Niemcy sami, o własnych siłach, samochodami, wozami, rowerami, łodziami rybackimi, płynęli, jechali, biegli, czołgali się na zachód. Na zachód bez zatrzymywania się, aż znajdą się w brytyjskiej albo amerykańskiej strefie okupacyjnej. To była po trzykroć „mądra” decyzja: deportacja nie kosztowała Związek Radziecki ani rubla, przy „tworzeniu” zalecanej atmosfery stalinowska nomenklatura mogła wypchać kieszenie i dacje zrabowanym mieniem, a znienawidzeni „sojusznicy” przyjęli (według posiadanych szacunkowych obliczeń) 7 milionów głodnych, chorych, pozbawionych dachu nad głową i mienia uchodźców.

Na poważną analizę zasługuje kwestia geograficznych i czasowych ram narzuconego odgórnie terroru wobec ludności cywilnej Niemiec. Są podstawy, by przypuszczać (jeszcze raz powtarzam, że obecnie mam tylko pytanie, ale nie mam odpowiedzi), że wraz z wkroczeniem nacierającej Armii Czerwonej na teren przyszłego NRD terror znacznie osłabł. Przynajmniej we wspomnianej wyżej książce Hoffmanna do wszystkich przypadków masowych mordów doszło w Prusach, na Pomorzu i Śląsku, czyli terenach, które miały zostać zabrane Niemcom. W Berlinie (na oczach oficerów alianckich oraz korespondentów zagranicznych) „żądza zemsty” ograniczyła się „jedynie” do masowego grabienia i gwałtów.

Warto zaznaczyć, że 14 kwietnia 1945 roku, czyli dwa dni przed rozpoczęciem bitwy o Berlin (ofensywy Armii Czerwonej od Odry na Berlin) w gazecie „Prawda” ukazał się słynny artykuł *Towarzysz Erenburg upraszcza*, sygnowany przez szefa Zarządu Propagandy i Agitacji KC WKP(b) G. Aleksandrowa. Styl i język artykułu (z charakterystycznymi dla Stalina powtórzeniami, pytaniami–odpowiedziami) pozwala z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że towarzysz Stalin co najmniej podyktował Aleksandrowowi główne tezy artykułu (o ile nie napisał go sam). I jeżeli na temat autorstwa dyrektywnego (a tylko tak mógł zostać odebrany w stalinowskim ZSRR artykuł, który ukazał się w centralnym organie KC partii)

jeszcze można się spierać, to pod Dyrektywą Stawki Naczelnego Dowództwa nr 11072 z 20 kwietnia 1945 roku widnieje wyraźny podpis Stalina.

Dyrektywę Stawki skierowano do „*dowódców wojsk i członków Rad Wojskowych 1. Frontu Białoruskiego i 1. Frontu Ukraińskiego*”, ale nie do dowództwa 3. i 2. Frontu Białoruskiego, które prowadziły działania bojowe w Prusach Wschodnich i na Pomorzu!

Wątpliwe, żeby dwa fronty pominięto przez nieuwagę... Nakazująca część Dyrektywy nr 11072 mówi:

Stawka Naczelnego Dowództwa rozkazuje:

1. *Z a ż ą d a j c i e z m i a n y w t r a k t o w a n i u* [podkreślenie moje — M.S.] *Niemców, zarówno jeńców, jak i cywilów. Obchodzić się z Niemcami łagodniej. Surowe traktowanie Niemców wywołuje u nich strach i zmusza do zaciętego oporu i nieoddawania się do niewoli. Ludność cywilna, obawiając się zemsty, organizuje się w bandy. Taki stan nie jest dla nas korzystny. Bardziej ludzkie traktowanie Niemców ułatwi nam prowadzenie działań bojowych na ich terenie oraz niewątpliwie zmniejszy upór Niemców przy obronie.*

2. *Na niemieckich terenach na zachód od linii ujścia rzeki Odry, Fürstenbergu i poza rzeką Nysą (na zachód) stworzyć niemieckie administracje, a w miastach powołać burmistrzów — Niemców. Szeregowych członków partii narodowosocjalistycznej, jeżeli mają lojalny stosunek do Armii Czerwonej, nie ruszać, zatrzymać tylko przywódców, jeżeli nie zdążyli uciec.*

3. *Lepsze traktowanie Niemców nie powinno prowadzić do zmniejszenia czujności i do poufności z Niemcami.*

Stawka Naczelnego Dowództwa J. Stalin Antonow

To niezwykle, że tę Dyrektywę odtajniono i opublikowano (zbiór dokumentów *Russkij archiw. Wielikaja Oteczestwiennaja. Bitwa za Bierlin*, t. 15, Moskwa, Terra, 1995) bez istotnej, czyli opisującej rzeczywistą sytuację, części. Podana w 2 punkcie linia dokładnie odpowiada granicy radzieckiej strefy okupacyjnej Niemiec, czyli przyszłego NRD. Można przypuszczać, że okupowane „*socjalistyczne Niemcy*” bez mieszkańców Stalinowi były niepotrzebne i dlatego nakazał „*zmianę w traktowaniu Niemców*”, czyli zaprzestanie przymusowego wypędzenia.

Jeszcze raz powtarzam — żadnych dokumentów z własnoręcznym podpisem Stalina nie widziałem. Najprawdopodobniej nigdy nie istniały. Towarzysz Stalin oczywiście nie wydał pisemnego rozkazu zabijania niemieckich kobiet i dzieci. Zresztą taki rozkaz nie był potrzebny. Dwadzieścia lat po przejściu przez Stalina władzy, siedem lat po wielkim terrorze otoczenie Stalina składało się z tych, którzy pojmowali wolę Gospodarza jak pies, bez słów. Tych, co nie rozumieli, szybko zmieniali inni, bardziej lotni. Niemniej jednak brak wyraźnego pisemnego polecenia tłumaczy wiele z tego, co z całą pewnością wiemy o tragicznych wydarzeniach na niemieckiej ziemi.

Przede wszystkim odnotowaną i w dokumentach, i pamięci świadków, skrajną „*niejednorodność*” sytuacji. W jednym niemieckim miasteczku mogły się odbywać niewyobrażalne okrucieństwa, w innym utrzymywano względny porządek. Sięgnijmy jeszcze raz po książkę Hoffmanna:

Niekiedy oficerom radzieckim udawało się okiełznać przestępców w mundurach — być może dlatego, że mieli podobnie myślących przełożonych. Nawet w 91. Dywizji Strzeleckiej Gwardii zachowanie nie było jednolite. Gdy sztab dywizji i 275. pułk dopuścili się w Germau i okolicach straszliwego okrucieństwa, z takich miejscowości jak Wilkau, zdobytych przez inne oddziały dywizji, nie informowano o morderstwach i gwałtach. (...) Gdy na przykład 3. batalion 14. pułku strzeleckiego 72. Dywizji Strzeleckiej dokonał potwornych zbrodni, czerwonoarmistów z 3. batalionu 187. pułku strzeleckiego tej samej dywizji przestrzegano przed samowolą wobec ludności. (...) General major Gehlen, do którego resortu trafiały wszystkie informacje na ten temat, w niektórych przypadkach rejestrował również „taktowne zachowanie” oficerów i żołnierzy radzieckich.

Wobec braku wyraźnego pisemnego rozkazu (zastąpionego, jak przypuszczam, poleceniami ustnymi), bardzo wiele zależało od stanowiska konkretnych dowódców. Im dalej od Kremla i im bliżej linii frontu, tym większa była liczba dowódców średniego szczebla, którzy nie zrozumieli (a być może nie chcieli zrozumieć) „*najwyższej woli*”. Nie wszyscy bynajmniej stracili wówczas ludzkie oblicze, a i zastraszyć dowódcę frontowego było trudniej niż moskiewskiego urzędnika. Wreszcie każdy dowódca pułku czy batalionu doskonale rozumiał, że przede wszystkim to on odpowiada za

wykonanie zadania bojowego, a wykonanie go z czołgami wypchanymi po same luki łupami i z pijanymi żołnierzami, poprzebieranymi w „*napoleońskie kapelusze i damskie płaszcze*”, było bardzo trudne. Z tego powodu wielu dowódców Armii Czerwonej na wszystkich szczeblach zdecydowanie zwalczało „*zdziczenie wojsk*”.

Z drugiej strony, wykonanie poleceń towarzysza Stalina dotyczących wypędzenia Niemców z terenów, które miały zostać zabrane, nie wymagało stosowania powszechnego (wszędzie bez wyjątku) terroru. Do tego, żeby ludność rzuciła się do panicznej ucieczki, porzucając domy i mienie, wystarczyła pewna ograniczona liczba okrutnych pacyfikacji. Innymi słowy, „*ilość*” bez uszczerbku dla wyznaczonego celu można było zamienić na „*jakość*”, czyli wyjątkową brutalność. I tu zbliżamy się do hipotezy nr 2. Wspiera ją jeszcze mniej pisemnych dowodów (archiwa NKWD/KGB do dnia dzisiejszego pozostają zamknięte), ale jest bez wątplenia prawdopodobna.

Hipoteza nr 2 zakłada, że do rozprawiania się z ludnością cywilną stworzono specjalne grupy terrorystyczne („*komanda*” NKWD), i informacje o przybitych za języki do stołu dzieciach, ukrzyżowanych w kościołach kobietach oraz innych niewyobrażalnych bestialstwach są właśnie rezultatem ich działań. Od razu zaznaczę, że hipoteza nr 2 nie wyklucza, a jedynie uzupełnia powyższe przypuszczenie o celowej i zleconej na samej „*górze*” demoralizacji Armii Czerwonej (podobnie jak bynajmniej nie hipotetyczny, a całkiem realny i aktywny udział organów OGPU w wywłaszczaniu chłopów nie wykluczał, nie zastępował, a jedynie uzupełniał i potęgował okrucieństwa mas wiejskiego lumpenproletariatu).

Ta hipoteza może wydać się zupełnie nieprawdopodobna, ale jedynie w ramach wyobrażeń starego radzieckiego (czy wręcz przeciwnie, najnowszego rosyjskiego) podręcznika szkolnego. W kontekście realnej historii ZSRR zaproponowana hipoteza jest wręcz banalna. Kłamstwo, prowokacja i terror kroczyły ramię w ramię od pierwszych dni bolszewickiej dyktatury: od zamachu na Lenina, o który oskarżono półślepą (i natychmiast rozstrzelaną) F. Kaplan; od dyrektyw Lenina, który wzywał do wykorzystania „*sprzyjającej okazji*”, gdy ciała zmarłych leżą na drogach, i powieszenia pod tym pretekstem jak największej liczby „*kontrrewolucyjnych popów*”; od operacji Trust, w której ramach GPU zorganizowało fałszywą organizację antyradziecką jako „*zatrutą przynętę*”...

Istnienie „specgrup” NKWD, które podszywając się pod partyzantów UPA, terroryzowały ludność Ukrainy Zachodniej, już dawno przestało być hipotezą. Zachowały się, zostały odnalezione i opublikowane dokumenty świadczące zarówno o skali działalności prowokacyjnej (do czerwca 1945 r. utworzono 156 specgrup liczących 1783 ludzi), jak i metodach ich działania, które wyprowadziły z równowagi prokuratora wojskowego wojsk MSW Okręgu Ukraińskiego pułkownika Koszarskiego. 15 lutego 1949 roku skierował on do pierwszego sekretarza KC Komunistycznej Partii Ukrainy N. Chruszczowa notatkę *„o faktach rażącego łamania radzieckiej praworządności w działalności tak zwanych specgrup MGB”*.

Poinformował w niej o tym, że *„głęboko prowokacyjne i niemądre działania szeregu specgrup oraz dopuszczanie się przez ich członków samowoli i przemocy wobec miejscowej ludności nie tylko nie ułatwiają walki, a wręcz ją komplikują. (...) Nie dysponując wystarczającymi danymi, tzw. specgrupy MGB działają na oślep, a w rezultacie ofiarami ich samowoli często padają osoby, niezwiązane z ukraińskim bandyckim podziemiem nacjonalistycznym”*.

Dalej prokurator Koszarski podaje długi, wielostronicowy wykaz aktów *„samowoli i przemocy”* (*„W marcu 1948 roku specgrupa kierowana przez agenta MGB Kryłatego dwukrotnie odwiedzała dom Pałamarczuka G.S., 62 lata, i podając się za bandytów UPA, brutalnie znęcała się nad nim oraz dwiema jego córkami”*, *„W nocy na 23 lipca 1948 roku specgrupa z w. Podwysockoje uprowadziła do lasu obywatelkę Riepnicką N.J., urodzoną w 1931 roku. W lesie poddano ją torturom. Członkowie specgrupy ciężko ją pobili, wieszali nogami do góry, wkładali do organu płciowego kij, a następnie po kolei gwałcili”*) i kończy go następujące stwierdzenie: *„Podobne fakty działalności specgrup MGB niestety nie są odosobnione”*.

Wracając do wydarzeń wiosny 1945 roku, z karpackich lasów do zgliszcz niemieckich miast, warto zaznaczyć, że tu *„organy”* miały nieporównywalnie łatwiejsze zadanie. Jeżeli od *„specgrup”* podszywających się pod banderowców teoretycznie wymagano przeprowadzenia skomplikowanej *„gry”* agenturalno–operacyjnej, jeżeli trzeba je było specjalnie szkolić, przygotowywać, kompletować z ludzi, którzy znali zachodnioukraińską mowę, lokalne normy i zwyczaje, to w Niemczech wszystko było dużo łatwiejsze. Trzeba było tylko *„postraszyć szkopów”*. Czyli w wielomilionowej

armii trzeba było wybrać kilka tysięcy żołnierzy, napiętnowanych wcześniejszą współpracą z hitlerowskimi okupantami, postraszyć ich zdemaskowaniem i egzekucją, a następnie zaproponować „odkupienie winy krwią”. Przy czym nie własną, a krwią niemieckich cywilów. W czwartym roku wojny szumowin o odpowiednim życiorysie było niemało i zdobyli oni bogate „doświadczenie” podczas wcześniejszych brutalnych rozpraw z kobietami i dziećmi.

Grzech tak mówić, ale nie można zaprzeczać również temu, że Niemcy mieli zupełnie inny „próg wrażliwości”. Nie nasz. Nie mieli prawdziwego „bolszewickiego hartu”. Niemcy w XX wieku nie doświadczyły ani wieloletniej wojny domowej, której towarzyszyły niekończące się pogromy i egzekucje, ani wywłaszczania, ani głodu; i rok 1937 w pamięci przeciętnego Niemca pozostał rokiem rozkwitu gospodarczego, a nie „czarnych wołg” i co noc znikających sąsiadów, przyjaciół i znajomych. Ten Niemiec nie był przygotowany na przyście prawdziwego masowego terroru, i dlatego kalkulacja Stalina okazała się słuszna: już po pierwszym spotkaniu z bandytami w mundurach żołnierzy Armii Czerwonej ludność cywilna wschodnich rejonów Niemiec rzuciła się do panicznej ucieczki.

I tylko w jednym jedynym aspekcie błyskotliwy kompleksowy plan towarzysza Stalina nie został wykonany:

Plany Stalina polegały na tym, żeby zaakceptowanym przez niego bezlitosnym wypędzeniem Niemców z terenów wschodnich poprzez ubóstwo doprowadzić Niemców w zachodnich strefach okupacyjnych do rozpaczki, zdyskredytować zachodnie mocarstwa tak, żeby ostatecznie zwrócić ludzi ku bolszewizmowi. (...) Dzieci narodu dorastały w ubóstwie i spoglądały w przyszłość, w której nie będą mogły się z niej wyrwać. Sytuacja rewolucyjna zaistniała. Ale rewolucja nie wybuchła. Polityczna kalkulacja Wschodu wzięła pod uwagę prawie wszystkie przesłanki oprócz jednej — ludzi. Miliony Niemców uciekały przed Armią Czerwoną. Miliony były świadkami tego, co się działo, gdy zjawiały się wojska radzieckie. Miliony doświadczyły komunistycznego panowania i ucierpiały z jego powodu. Skrzywdzeni i poniżeni, byli straceni dla komunizmu, niezależnie od tego, pod jaką maską i z jakimi argumentami on by nie występował.

Tymi słowami niemieckiego historyka i dziennikarza Guntera Bøddekera nie mogę zakończyć swojego artykułu, ponieważ rosyjski historyk nie ma prawa niczego nie powiedzieć o najliczniejszych ofiarach tej zapomnianej zbrodni Stalina. O żołnierzach Armii Czerwonej.

Pod koniec 1944 roku Niemcy, ich przemysł, system transportowy, siły zbrojne znajdowały się w stanie przedśmiertnej agonii. Hitlerowska „*Tysiącletnia Rzesza*” straciła wszystkich sojuszników, straciła wszystkie zewnętrzne źródła surowców (między innymi rumuńską ropę, szwedzką rudę żelaza, fiński i ukraiński nikiel). Alianckie lotnictwo, które zdobyło całkowite panowanie w powietrzu nad dowolnym punktem Niemiec, systematycznie niszczyło miasto za miastem, fabrykę za fabryką. Podczas jednego nalotu na jeden obiekt zrzucano kilka kiloton bomb. Bezpiecznych tyłów armia niemiecka już nie miała. Kiedy w maju 1944 roku głównym obiektem uderzeń z powietrza stały się system transportowy oraz zakłady przemysłu chemicznego (produkcja benzyny syntetycznej, azotu, materiałów wybuchowych), produkcja wojskowa Niemiec została zniszczona. Ukryte pod ziemią i znajdujące się na resztkach terytorium fabryki mogły jeszcze produkować czołgi i samoloty, ale cały ten sprzęt stawał się kupą bezużytecznego złomu, zanim zdążył zejść z taśmy produkcyjnej — zbiorniki paliwa były puste. Ale nawet straty zapasów paliwa, terytorium, magistrali transportowych, doświadczonych pilotów i pancerniaków nie można było porównać z utratą najważniejszego — sensu i celu. Co, oprócz zwiększenia liczby ofiar, mogło przynieść Niemcom kontynuowanie działań bojowych?

We wrześniu 1944 roku Armia Czerwona wyszła na rubież Wisły, a armie aliantów szybko zmierzały do Renu. Wynik wojny nie budził już najmniejszych wątpliwości. Przed konferencją teherańską niemieccy przywódcy jeszcze mogli liczyć na „*decyzję polityczną*”, czyli na rozłam w obozie przeciwników Niemiec oraz traktat pokojowy z jednym z nich; przed lipcem 1944 roku można było liczyć na to, że po wylądowaniu w Normandii wojska alianckie uda się okrążyć i zniszczyć. Wybuch bomby 20 lipca 1944 roku w kwaterze Hitlera poinformował cały świat o tym, że najwyższe dowództwo Wehrmachtu pozbyło się resztek złudzeń. Przy czym dotyczyło to nie tylko generałów–spiskowców. Szef sztabu w Naczelnym Dowództwie Wehrmachtu generał pułkownik Alfred Jodl, podczas przesłuchania 17 lipca 1945 roku złożył następujące zeznania:

Mniej więcej w lutym 1944 roku zameldowałem Führerowi, że jeżeli Anglicy i Amerykanie wylądują we Francji, a nam nie uda się zrzucić ich do morza, przegramy wojnę. Złożyłem ten meldunek na piśmie. (...) Hitler uznał mój punkt widzenia za słuszny, ale zabronił rozsyłania tego memorandum dowódcom lotnictwa, armii i marynarki.

Podjęte na przełomie lat 1944–1945 dwie ostatnie, rozpaczliwe próby Wehrmachtu przejścia do kontrnatarcia (w Ardenach przeciwko aliantom, w rejonie węgierskiego jeziora Balaton przeciwko Armii Czerwonej) zakończyły się miażdżącą klęską, utratą resztek zdolnych do walki oddziałów pancernych i lotniczych. Upadek niemieckiej maszyny wojennej stał się oczywisty.

I nagle na froncie wschodnim zachodzą wielkie zmiany. Wojska niemieckie jakby złapały „*drugi oddech*” — co niezwłocznie odbiło się na tempie poruszania się i poziomie strat Armii Czerwonej.

Zwróćmy się do oficjalnego i poważnego źródła — zbioru statystycznego *Grif siekrietnosti sniat* („*Nadruk «tajne» usunięty*”), który ukazał się w 1993 roku pod redakcją generała pułkownika G.F. Kriwoszejewa. Na s. 157–159 podano liczby bezpowrotnych średniodobowych strat Armii Czerwonej według okresów i kampanii wojny. Te liczby są przerażające — każdego dnia wojna zabierała tysiące żołnierzy radzieckich. Oderwijmy się jednak od zrozumiałych emocji i zwróćmy uwagę na dynamikę tych liczb:

1. Kampania letnio–jesienna 1943 r. (1.07.–31.12.1943 r., Łuk Kurski, wyzwolenie lewobrzeżnej Ukrainy, Kijowa i Smoleńska); straty bezpowrotne — 7,6 tysiąca osób dziennie.

2. Kampania zimowo–wiosenna 1944 r. (1.01.–31.05.1944 r., wyzwolenie prawobrzeżnej Ukrainy i Krymu, obwodów leningradzkiego i nowogrodzkiego); straty bezpowrotne — 5,3 tysiąca osób dziennie.

3. kampania letnio–jesienna 1944 r. (1.06.–31.12.1944 r., największe operacje ofensywne Armii Czerwonej: białoruska, lwowsko–sandomierska, jassko–kiszyniowska, bałtycka, bielgorodzka); straty bezpowrotne — 4,5 tysiąca osób dziennie.

A więc: 7,6 — 5,3 — 4,5.

Rośnie poziom sprawności żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej, nieprzerwanie zwiększa się jej liczebność i przewaga ogniowa nad nieprzyjacielem, topnieją zasoby materiałowe i moralne Wehrmachtu.

Rezultat — coraz większa skala ofensywy radzieckich wojsk na wszystkich frontach przy stale obniżającym się poziomie strat średniodobowych.

Nadchodzi 1945 rok. Przewaga liczebna Armii Czerwonej w czołgach i lotnictwie już wyraża się dwucyfrowymi liczbami, dowództwo niemieckie rzuca na front niewyszkolonych chłopców z Volkssturmu — i przy tym poziom strat osobowych w Armii Czerwonej nie tylko nie zmniejsza się, ale zauważalnie rośnie!

6,2 tysiąca osób. Taki jest poziom średniodobowych strat w 1945 roku. Dobijając konający Wehrmacht, Armia Czerwona ponosi straty o jedną trzecią większe niż w 1944 roku.

Teraz spójrzmy na liczby strat w sprzęcie.

W 1943 roku Armia Czerwona traci średnio 64 czołgi i działa samobieżne dziennie, w 1944 roku — 65 dziennie. Jak widzimy, w ciągu dwóch lat wojny średniodobowe straty czołgów i dział samobieżnych pozostają prawie na tym samym poziomie. Nadchodzi 1945 rok. Od 1 stycznia do 10 maja 1945 roku stracono 13 700 czołgów i dział samobieżnych. Sto pięć dziennie. Straty średniodobowe wzrosły prawie dwukrotnie.

Co się stało z radzieckim sprzętem pancernym? Był gorszy niż w latach 1943–1944? Nic podobnego, właśnie w 1945 roku w zasadzie zakończono przezbrajanie na nową, potężniejszą wersję „trzydziestkiczwórki” (T–34/85); w dużych ilościach zaczęły pojawiać się w jednostkach najnowsze ciężkie czołgi serii IS oraz ciężkie działa samobieżne, wyposażone w działa kalibru 122 i 152 mm (nie mylić z krótkolufową haubicą kalibru 152 mm na przedwojennym KW–2), które mogły przebić pancerz czołowy każdego niemieckiego czołgu, z PzKpfw VI Königstigerem włącznie... Statystyka świadczy, że jeżeli według stanu na 1 stycznia 1944 roku w Armii Czerwonej znajdowało się 1,6 tysiąca ciężkich czołgów i 0,8 tysiąca ciężkich dział samobieżnych, to do 9 maja 1945 roku było już odpowiednio 5,3 tysiąca i 2,7 tysiąca sztuk.

Z drugiej strony, żadna przeciwpancerna Wunderwaffe u Niemców w 1945 roku się nie pojawiła. Pogłoski o rewolucji w uzbrojeniu, dokonanej przez panzerfausty, są mocno przesadzone. W napisanej tuż po wojnie pracy pułkownika P. Igumnowa (**Issledowanije porażajemosti otieczestwiennych tanków**, 1947 r.) znajdziemy następujące liczby podziału strat czołgów w ostatnich miesiącach wojny:

- 1. Front Białoruski, styczeń–marzec 1945 r.; panzerfausty — 5,5%
- 1. Front Ukraiński, styczeń–marzec 1945 r.; panzerfausty — 8,9%
- 4. Front Ukraiński, styczeń–marzec 1945 r.; panzerfausty — 9%
- 1. Front Białoruski, kwiecień–maj 1945 r.; panzerfausty — 10,5%.

Głównym narzędziem do zwalczania czołgów pozostawała artyleria lufowa, na udział której przypada ponad 90 procent wszystkich strat. Nawet podczas operacji berlińskiej (czyli w warunkach zaciekłych walk ulicznych w wielkim mieście) straty w czołgach 2. Gwardyjskiej Armii Pancерnej wyglądały następująco: od ognia artylerii lufowej — 77 procent, od panzerfaustów — 23 procent.

Co się tyczy artylerii, to tu nic nowego na uzbrojeniu Wehrmachtu w 1945 roku się nie pojawiło. Te same działa kalibru 75 mm i 88 mm. Jeżeli były zmiany, to tylko na gorsze dla Niemców: braki wolframu zmusiły pod koniec 1944 roku do całkowitego zaprzestania produkcji przeciwpancernych pocisków podkalibrowych; brak benzyny gwałtownie zmniejszył liczbę zdolnych do walki czołgów i dział samobieżnych; w ten sposób najbardziej powszechnym narzędziem walki z radzieckimi czołgami ponownie — jak na początku wojny — zostało holowane działo przeciwpancerne, którego obsługę chroniły od kul i odłamków tylko bluzy i płaszcze. I jednocześnie — dwukrotny wzrost liczby zniszczonych radzieckich czołgów!

Jednak moim zdaniem najbardziej zadziwiająco rzeczy działy się nie na lądzie, a w powietrzu. Po klęsce kontrofensywy w Ardenach niemieckie lotnictwo praktycznie się „skończyło”. Paliwa i pilotów starczało jedynie na kilkaset samolotów, a i te, które jeszcze mogły walczyć, wykorzystywano w systemie obrony przeciwlotniczej Rzeszy. Wiosną 1945 roku zobaczyć na niebie nad frontem wschodnim niemiecki myśliwiec można było tylko w bardzo rzadkich przypadkach. A przy tym średniodobowe straty samolotów radzieckich w kategorii „zestrzelone podczas walk powietrznych” prawie się nie zmniejszyły: 7,95 samolotów w 1944 r. i 7,49 — w 1945 r. (tu i dalej przytoczono dane ze zbioru *Sowietskaja awiacyja w Wielikoj Oteczestwiennoj wojnie 1941–1945 gg. w cyfrach*, wydanego z nadrukiem „Ścisłe tajne” przez Główny Sztab Sił Powietrznych ZSRR w 1962 r.). Jeżeli przyjrzymy się statystyce strat jeszcze uważniej, to okaże się, że sumaryczne straty bombowców i samolotów szturmowych w walkach powietrznych nawet wzrosły (3,3 dziennie w 1944 r. i 4,3 — w 1945 r.). Z kolei straty

bombowców i samolotów szturmowych w kategorii „*od ognia obrony przeciwlotniczej*” zwiększyły się 1,7 raza (5,8 dziennie w 1944 r. i 10 — w 1945 r.).

Co się wydarzyło na froncie wschodnim wiosną 1945 roku? Co wyjaśnia taki wzrost strat Armii Czerwonej?

Tych faktów tradycyjna radziecka historiografia starała się nie zauważać, nieuniknionych pytań — nie zadawać. Ale przy okazji mogły zabrzmieć słowa o „*fanatycznych esesmanach, gotowych do końca bronić Hitlera*”, o „*wrodzonym zdyscyplinowaniu*” niemieckiego żołnierza, który nie przestanie strzelać bez rozkazu... Nie można zaprzeczać istnienia tych czynników. Lecz one nie powinny zasłaniać nam najważniejszego — tej „*cudownej broni*”, którą Stalin wręczył żołnierzowi niemieckiemu. Właśnie tak: Goebbels tylko krzyczał o tajemniczej Wunderwaffe, która zmieni bieg wojny, ale oszukiwał. Towarzysz Stalin jednak nie zawiódł, dał Wehrmachtowi to, co najważniejsze — cel.

Po Nemmersdorfie (oraz setkach innych podobnych „*dorfów*”) żołnierzowi niemieckiemu na froncie wschodnim nie trzeba było tłumaczyć, o co walczy. Cel był oczywisty (można go było zobaczyć gołym okiem) oraz — co jest nadzwyczaj istotne — możliwy do osiągnięcia. Żołnierz widział niekończące się kolumny uchodźców, zmierzające na zachód, bezbrzeżne morze ludzi na przystaniach bałtyckich portów, widział statki, które jeden za drugim odpływały z tysiącami uchodźców do brzegów Danii i zachodnich Niemiec. Każdy dzień i nawet każda godzina powstrzymania natarcia Armii Czerwonej zwiększały liczbę niemieckich kobiet, dzieci i starców, uratowanych przed gwałtem i śmiercią. Od tego momentu Wehrmacht odzyskał sens i cel do kontynuowania walki.

Pod koniec stycznia 1945 roku wojska 1. Frontu Ukraińskiego forsowały Odrę w rejonie Breslau (Wrocław). 15 lutego wokół Breslau zamknął się pierścień okrążenia. Garnizon miasta, który łącznie z Volkssturmem liczył nie więcej niż 50 tysięcy ludzi, bronił się przez cały luty. Następnie cały marzec. Cały kwiecień. W walkach o Breslau wzięło udział 13 dywizji radzieckich. Daleko na zachodzie upadł Berlin, krwawy tyran Hitler popełnił samobójstwo, a wśród zgliszcz Breslau trwały zacięte walki. Miasto skapitulowało dopiero 6 maja 1945 roku. Komendant Breslau, generał Niehoff, przeżył wojnę, spędził 10 lat w obozach radzieckich. W swoich wspomnieniach twierdzi, że

długotrwała obrona miasta pozwoliła odejść na zachód 1,5 milionowi niemieckich uchodźców ze Śląska.

5 marca 1945 roku oddziały 1. Frontu Białoruskiego rozpoczęły szturm na nieduże nadmorskie miasteczko Kolberg (Kołobrzeg) na Pomorzu. W mieście wówczas znajdowało się 85 tysięcy cywilów (mieszkańcy i uchodźcy). Tamtejszy garnizon liczył 3 tysiące żołnierzy. Ta garstka ludzi powstrzymywała natarcie 1. Gwardyjskiej Armii Pancernej oraz trzech dywizji Ludowego Wojska Polskiego do rana 18 marca. Z miasta nie zostało nic oprócz gruzu; garnizon stracił 2300 zabitych żołnierzy. Okręty marynarki niemieckiej wywiozły z Kolbergu 70 tysięcy uchodźców.

13 stycznia 1945 roku oddziały 2. i 3. Frontu Białoruskiego (117 dywizji strzeleckich, 7 korpusów pancernych, 9 samodzielnych brygad pancernych, milion 590 tysięcy ludzi) rozpoczęły natarcie w Prusach Wschodnich. W ostatnich dniach stycznia królewskie zgrupowanie wojsk niemieckich zostało okrążone z zachodu oraz północnego wschodu i przyciśnięte do morza. Dalsze posuwanie się zostało zatrzymane przez zaciekły opór oddziałów Wehrmachtu, które ustępowały liczebnością nacierającemu przeciwnikowi przynajmniej 6–7 razy. 19–20 lutego Niemcy przeszli do kontrnatarcia, przebili na zachodzie pierścień okrążenia i przywrócili łączność lądową pomiędzy Prusami Wschodnimi a nie zajętymi jeszcze rejonami wschodnich Niemiec.

Tę „*drogę życia*” oddziały niemieckie utrzymywały przez cały marzec, do czasu, aż na początku kwietnia zaczęło się nowe natarcie Armii Czerwonej. Królewiec został zdobyty po ciężkich walkach dopiero 12 kwietnia 1945 roku. Jednak również po tym Niemcy przez dwa tygodnie utrzymywali ostatni przyczółek Prus Wschodnich — port Pillau (obecnie Bałtyjsk, Rosja), z którego przystani aż do 27 kwietnia odpływały okręty z uchodźcami i rannymi.

Po stracie portu Pillau jedynym „*portem nadziei*” pozostawała Mierzeja Helska (na północ od Gdańska na Pomorzu). Wschodniopomorska operacja Armii Czerwonej rozpoczęła się 10 lutego 1945 roku. Obrona Gdańska trwała do 30 marca. Mikroskopijny, ostrzeliwany z każdej strony przez artylerię pas Mierzei Helskiej Niemcy utrzymywali do 8 maja! W tym czasie wywieziono morzem 400 tysięcy osób. W sumie z portów Prus Wschodnich i Pomorza

statki cywilne i okręty marynarki wojennej ewakuowały na Zachód 2 miliony osób — była to największa „morska operacja desantowa” w historii.

W masowej świadomości „wiosna zwycięstwa” związana jest z natarciem na Berlin. Właśnie ta operacja wydaje się przeciętnemu „człowiekowi z ulicy” głównym (jeżeli nie jedynym) wydarzeniem ostatnich miesięcy wojny. Niestety, jest to godny pożałowania błąd.

Podczas operacji berlińskiej (nie tylko szturm miasta, ale również wszystkich działań bojowych od Odry po Sprewę oraz okrążenia berlińskiego zgrupowania Wehrmachtu) od 16 kwietnia do 8 maja 1945 roku zginęło 78 tysięcy radzieckich żołnierzy i oficerów. A podczas wschodnio-pruskiej zginęło 126 tysięcy żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej. 53 tysiące poległy w trakcie powiązanej z nią operacji wschodniopomorskiej. Łączne straty bezpowrotne frontów, które „wyzwoliły Niemcy” (3. Białoruski, 2. Białoruski, 1. Ukraiński), wyniosły w 1945 roku 411 tysięcy żołnierzy. Razem na wszystkich frontach wojska lądowe, lotnictwo i marynarka bezpowrotnie straciły od 1 stycznia do 10 maja 1945 roku 801 tysięcy ludzi. Operacja berlińska obejmuje mniej niż jedną dziesiątą (!) tej potwornej liczby.

Grossadmiral Karl Dönitz, mianowany przez Hitlera następcą nie był „fanatycznym esesmanem”. Ponadto nigdy nie był członkiem NSDAP. Co więcej, gdy Dönitz przejął władzę oraz odpowiedzialność za resztki Niemiec, Hitler już nie żył. Niemniej jednak wojna na froncie wschodnim nie zakończyła się. Występując o godz. 22.00 1 maja 1945 roku w radiu niemieckim, Dönitz oświadczył:

Moim najważniejszym zadaniem jest uratowanie Niemiec przed zniszczeniem przez bolszewików. Tylko w imię tego jedyne go celu walka zbrojna będzie trwała. Dopóki osiągnięciu tego celu sprzeciwiają się Anglicy i Amerykanie, będziemy zmuszeni do kontynuowania walk obronnych również przeciwko nim.

Nie zaprzestano przelewu krwi. Wojska niemieckie na wschodzie nadal prowadziły działania wojenne. Grzmiały działa w Poczdamie, Wrocławiu, Gdańsku. Okrążone jeszcze w listopadzie 1944 roku w Kurlandii (wybrzeże współczesnej Litwy) zgrupowanie Wehrmachtu walczyło do 10 maja 1945 roku. Przy tym straty 1. i 2. Frontu Bałtyckiego w 1945 roku wyniosły 62 tysiące zabitych.

Dziwna historia „*powstania ludowego*” w Pradze (lud, który godził się z niemiecką okupacją przez sześć lat, jakoś stracił cierpliwość, gdy wojska amerykańskie znajdowały się 80 kilometrów od Pragi) i ruszenie Armii Czerwonej z pomocą powstańcom zwiększyło jej straty o kolejne 11 tysięcy poległych. Dopiero bezkompromisowe stanowisko Naczelnego Dowódcy Alianckich Sił Ekspedycyjnych w Europie Zachodniej, generała armii Dwighta Eisenhowera („*polecilem przekazać Jodłowi, że jeżeli oni natychmiast nie przestaną szukać różnych wymówek i zwlekać, zamknę cały aliancki front, żeby w przyszłości nie przepuszczać żadnych niemieckich uchodźców przez naszą linię frontu*”), zmusiło Dönitza do zakończenia działań bojowych na wszystkich frontach...

W zbiorze statystycznym Kriwoszejewa odpowiedni rozdział ma tytuł „*Cena misji wyzwoleńczej*”. Być może w XXI wieku przyszedł czas na zastanowienie się nad stosownością takich tytułów?

Anglo-amerykańscy sojusznicy wyzwolili Włochy, Grecję, Francję, Belgię, Holandię, Danię, prawie całą Austrię, część Czech, ponad połowę terytorium Niemiec (ponad połowę w granicach z 1937 roku, według współczesnych granic — cztery piąte). W 1938 roku ludność tych terenów wynosiła ponad 170 milionów. Przy tym straty w ludziach armii alianckich okazały się nieporównywalnie mniejsze od strat Armii Czerwonej (w 1945 roku Amerykanie stracili na europejskim teatrze działań wojennych około 55 tysięcy żołnierzy, wojska angielsko-kanadyjskie — 15 tysięcy).

Owszem, trzy czwarte niemieckiej armii znajdowały się na froncie wschodnim; owszem, w kwietniu 1945 roku na froncie zachodnim żołnierze niemieccy tłumnie oddawali się do niewoli. Z tym nikt nie dyskutuje — pytanie jest inne: Dlaczego dziesiątki tysięcy żołnierzy Wehrmachtu oddawały się do niewoli na Zachodzie i walczyły do ostatniego naboju i ostatniej kropli krwi na Wschodzie? Czy ta rażąca różnica związana jest z „*solidarnością klasową światowej burżuazji, jej śmiertelną nienawiścią do państwa robotników i chłopów*”? Czy istniały inne, znacznie bardziej przyziemne i istotne powody? 800 tysięcy poległych to „*cena misji wyzwoleńczej*”? Czy zapłata za wyrafinowane gry geopolityczne Stalina?

Statystyka, niezbędna i nieunikniona w każdym opracowaniu historyczno-wojskowym, niestety zamienia bezmierne cierpienia milionów ludzi w dokładne kolumny liczb. Jest to niesłuszne, dlatego chcę zakończyć

artykuł prostą opowieścią o losach pewnej węgierskiej kobiety, Alaine Polcz. Kim jest Alaine Polcz? Jest dobrym człowiekiem. Bardzo dobrym człowiekiem (znalazła sobie stosowną pracę — lekarz psychoterapeuta w hospicjum). Przed lekturą jej pamiętników **Kobieta i wojna** (wydrukowanych w piśmie „Niewa”, nr 2, 2004 r.) myślałem, że taką dobroć i pokorę posiadają tylko bezcielesne anioły. Niestety, ta zupełnie ziemską kobietą w wieku 19 lat pod koniec wojny znalazła się w małym węgierskim miasteczku, które przez kilka miesięcy zostało strefą przyfrontową.

Alaine Polcz opowiada o tym, co widziała i przeżyła, ze zdumiewającą pokorą i współczuciem dla wszystkich ludzi. Nawet to, co w ustach współczesnego dziennikarza wydałoby mi się odrażającą grą w „poprawność polityczną”, u niej brzmi naturalnie i ludzko. Oczywiście ciągle przypomina czytelnikowi, że „żołnierze węgierscy zachowywali się w rosyjskich wsiach niewiele przyzwoiciej”. Zdażyła wymyślić wytłumaczenia i usprawiedliwienia wszystkiego („Dowiedziałam się, że oskarża się nas o to, że jesteśmy szpiegami, ponieważ tuż po wybiciu przez zegar na dzwonnicy godziny bomba trafiła prosto w rosyjski sztab i zginęło wielu ludzi. Myśleli, że podawaliśmy sygnały z kościoła. Nie można było im wytłumaczyć, że zegar na wieży bije regularnie, bo tak jest ustawiony, bo jest to zwykły zbieg okoliczności. W ogóle Rosjanom wielu rzeczy nie dało się wytłumaczyć. Żyli w innym świecie, mieli zupełnie inne doświadczenia. Logika też była inna. Nie wiedzieli, czym jest zegar wieżowy”).

Znajduje wytłumaczenie nawet dla tego:

O świecie zrozumiałam, jak się łamie kręgosłup. Robią tak: kobietę kładą na plecach, zarzucają jej nogi na ramiona, i mężczyzna wchodzi od góry, klęcząc na kolanach. Jeżeli naciśnie się zbyt mocno, kręgosłup kobiety pęknie. Nie robi się tego celowo: po prostu w amoku gwałtu nikt się nie powstrzymuje. Kręgosłup, zwinięty jak ślimak, przez cały czas jest ściskany, poruszany w jednym punkcie i nie zauważają, gdy się łamie.

Kończy opowieść o kolejnym gwałcie bardzo pochwalną dla władzy radzieckiej uwagą:

Rosyjski oficer tymczasem zapalił zapalniczkę, najpierw dotknął palcem moich oczu — sprawdził, czy są otwarte. Potem zaczął robić swoje. Trochę bolało. Ale ponieważ mimo wszystko nie poruszyłam się, nie jęknęłam, zapalił

jeszcze jedną zapalkę — sprawdził, czy żyję. Pokiwał głową. Widocznie nie miał ze mną zbyt wiele przyjemności. Ale gdy zaczęłam się zbierać, żeby zabrać materac, przysłał do piwnicy swojego ordynansa, który też mnie wykorzystał. Wtedy nie pomyślałam, dlaczego przysłał ordynansa. Teraz mi się wydaje, że oni są sprawiedliwsi niż nasi oficerowie.

I rezygnuje z zemsty w momencie, kiedy pojawia się taka możliwość:

Przedemną ustawiono w szeregu żołnierzy i powinnam była wskazać tego, który mnie zgwałcił. Pamiętam jak przez mgłę: w mroźny zimowy poranek idę wzdłuż szeregu, żołnierze stoją wyprężeni jak na baczność. Po lewej towarzyszy mi dwójka oficerów. Póki idę wzdłuż szeregu, trzymają się trochę z tyłu. W oczach jednego z żołnierzy zobaczyłam strach. Miał niebieskie oczy, chłopak był bardzo młody. Po tym strachu domyśliłam się: to on. Ale tak silne, tak straszliwe było to, co błysnęło w jego oczach, że od razu poczułam: nie wolno. Nie ma żadnego sensu zabijać tego chłopca. Po co, skoro inni pozostaną bezkarni? A i tego jedyne go ze wszystkich, po co?

Tak jak powinno być w życiu dobrych ludzi, zakończenie historii jest szczęśliwe: Alaine Polcz przeżyła, zachowała rozum, dotarła do Budapesztu, odnalazła swoją mamę, która przeżyła... I nawet dom, w którym mieszkali jej rodzice, został zniszczony przez bombardowania z innej strony, a w mieszkaniu pozostały ślady przedwojennego bogactwa i dużo jedzenia. Czyż nie jest to bajka świąteczna?

Oczywiście mama płakała i była szczęśliwa, tuląc mnie. Też patrzyłam na nią i się cieszyłam. Cieszyłam się, że przeżyli, ale niezbyt mocno. Tak bardzo nie cieszyło mnie już nic i w nic szczególnie nie wierzyłam. Już nosiłam w sobie chorobę — rzeżączkę, z której powodu później nie mogłam rodzić, i nie wiedziałam jeszcze, czy mam kiłę czy nie. Miałam podejrzenia, że jestem bardzo chora, a nikogo nie chciałam zarazić.

Siedzieliśmy przy stole. Podano ozorki w sosie pomidorowym. Ze zdziwieniem patrzyłam na nie i jadłam powoli, bezgłośnie. Rozmawiano o tym, że Rosjanie gwałcą kobiety.

- *U was też? — zapytała mama.*
- *Tak — odpowiedziałam — u nas też.*
- *Ale ciebie nie tknęli? — zapytała mama.*

— *Nie oszczędzili nikogo — powiedziałam i jadłam dalej.*

Mama spojrzała na mnie i powiedziała ze zdziwieniem:

— *Ale dlaczego pozwoliłaś?*

— *Dlatego, że bili — powiedziałam i jadłam dalej. W tym pytaniu nie widziałam nic ważnego ani ciekawego.*

Wtedy ktoś zapytał półzartem:

— *A dużo ich było?*

— *Nie mogłam policzyć — powiedziałam i jadłam dalej.*

Po kolacji mama poprosiła mnie na słówko i powiedziała:

— *Córeczko, nie żartuj w ten sposób, jeszcze ktoś uwierzy!*

Spojrzałam na nią:

— *Mamusiu, to prawda!*

Mama rozplakała się, potem rzuciła mi się na szyję, błagając:

— *Córeczko, powiedz, że to nieprawda...*

Czy trzeba cytować dalej? Oczywiście Elaine Polcz zlitowała się nad swoją biedną mamą i powiedziała jej słowa, które chciała usłyszeć. Niestety, nie mogę i nie chcę się litować nad naszymi „zerowymi patriotami” (rosyjskimi szowinistami epoki drogiej ropy pierwszego dziesięciolecia XXI wieku) w podobny sposób. Wszystko, co zostało napisane powyżej, jest prawdą. Straszliwą, obrzydliwą prawdą.

A szanowni patrioci powinni się określić — kim są? Panami czy niewolnikami? Niewolnik nie czuje się odpowiedzialny. Rezygnując z wolności i własnej godności, nie odpowiada za swoje działania. Ale może dalej napawać się słodką melodią słów szefa Korpusu Żandarmerii, hrabiego Benkendorffa: „*Przeszłość Rosji jest zadziwiająca, jej teraźniejszość bardziej niż znakomita, a co się tyczy jej przyszłości, to jest wspanialsza, niż może ją narysować najbardziej odważna wyobraźnia. Właśnie z tego punktu widzenia rosyjska historia powinna być rozpatrywana i pisana*”.

Natomiast ludzie wolni nie mogą zgodzić się ani z wersją rosyjskiej historii rysowaną przez żandarma, ani z monopolistycznym prawem żandarmów do dysponowania teraźniejszością i przyszłością Rosji. Ludzie wolni nie powinni się bać własnej historii. Muszą odważnie przyjąć oczywistość. I podzielić ze swoim krajem całą odpowiedzialność.

WYWIAD DLA RADIA SWOBODA 23 CZERWCA 2009 ROKU

— *Sądzę, że nawet najbardziej zawzięci pana krytycy zgodzą się z tym, że pańskie książki — 22 czerwca, 23 czerwca i 25 czerwca, dotyczące wydarzeń 1941 roku — zostały napisane z prawdziwą pasją. Są historycy opanowani, którzy traktują przedmiot swojego badania beznamiętnie, a pan z kolei jest człowiekiem niewątpliwie zaangażowanym, zaangażowanym w poszukiwania prawdy o II wojnie światowej, prawdy, którą ukrywali i fałszowali radzieccy historycy. Jak narodziła się pańska pasja?*

— To oczywiście nie jest pasja, mimo wszystko jest to praca. Narodziła się bardzo dawno temu; data jej narodzin prawdopodobnie znajduje się w okolicach 1983–1984 roku. Naturalnie interesowałem się tym wcześniej, ale gdzieś w roku 1983, gdy jeszcze żył Andropow, udało mi się (ten czasownik brzmi dziwnie dla współczesnego słuchacza, ale nie było to łatwe) zdobyć radzieckie gazety centralne — „Prawdę” i „Izwiestija” z 1939 roku.

Udało mi się zdobyć te gazety oraz zobaczyć dużą mapę, na całą stronę „Prawdy”, z podziałem Polski i podziałem Finlandii. Traktat o granicach i przyjaźni. A przecież nie było o nim mowy w żadnym podręczniku szkolnym, w żadnym podręczniku akademickim. I oto leży przede mną — traktat o granicach i przyjaźni między Związkiem Radzieckim i faszystowskimi Niemcami z 28 września 1939 roku. To były silne odczucia, i ja już wtedy, w 1984 roku, przelałem je do grubego zeszytu z czarną okładką, który mam w domu do dnia dzisiejszego.

— *Miał pan znakomitego poprzednika — Aleksandra Niekricza. Niegdyś w czasach radzieckich, jak pan zdobył gazety z 1939 roku, ja zdobyłem egzemplarz jego słynnej książki 1941 — 22 czerwca. Oczywiście była to niezwykła publikacja. Książka, wydana oficjalnie przez radzieckie wydawnictwo w 1965 roku, została po pewnym czasie zakazana, skonfiskowana z bibliotek, wycofana ze sprzedaży, a autora zaszczyto w najbardziej bezlitosny sposób. Zgodzi się pan, jeżeli nazwę Aleksandra Niekricza pańskim nauczycielem?*

— Stanowczo nie zgodzę się z całą powyższą wypowiedzią. Mój los absolutnie nie jest podobny do losu towarzysza Niekricza. Towarzysza Niekricza zaszczuto: to znaczy, że wyrzucono go z radzieckiego uniwersytetu i wypędzono do amerykańskiego uniwersytetu na posadę profesora. Nie jest to najcięższa kara, która mogła przypaść w udziale radziekiemu obywatelowi w ciągu 70 lat władzy radzieckiej, zdarzały się gorsze.

Co się tyczy tamtej książki, to wiem co nieco o historii jej powstania w epoce Chruszczowa, gdy zaczęła się kształtować ta nowa, już kolejna, „*prawda wojny*”, zakładająca, że był tylko jeden zły człowiek. Wszyscy byli cacy, wszyscy byli bohaterami, znakomitymi dowódcami, cały radziecki naród stanął do walki, ale był jeden łotr, który wszystkim przeszkadzał — Iosif Wissarionowicz Stalin. I na potrzeby tych wyobrażeń, tej kolejnej „*prawdy*”, powstała książka Niekricza. Dostałby za nią kolejną Nagrodę Państwową, ale zdarzył się znany „*przewrót październikowy*”. Chruszczowa wyrzucono, mianowano Breżniewa, tamta prawda została ogłoszona nieprawdą, chruszczowowski okres nazwano „*woluntaryzmem*” i przy wymazywaniu poprzedniego chruszczowowskiego okresu oberwało się również książce Niekricza.

Obecnie ta książka stanowi jedynie pomnik historyczny i literacki; to, co w niej podano, obecnie zostało całkowicie i bezwzględnie obalone przez szereg nowych dokumentów, które zostały wprowadzone do obrotu naukowego, i te prace, które powstały w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Dlatego oczywiście ta historia nie ma nic wspólnego z tym, co dla siebie i innych nazywam „*nową historiografią Wielkiej Wojny Ojczyźnianej czy drugiej wojny światowej*”.

— ***Jaka jest ta historiografia i jaka jest pańska prawda o wojnie?***

— Historiografia oczywiście zaczęła się od książek Suworowa, zaczęła się od prawie literackiej, literacko–publicystycznej książki Bunicza **Opieracja „Groza” ili Oszibka w trietjem znacie** i wielu innych. Później były, moim zdaniem, wyjątkowo cenne prace Mieltiuchowa na ten temat, co w istocie jest najważniejsze — opublikowano dużą ilość dokumentów. Co się tyczy mojej „*prawdy*”, to w swoich książkach Suworow zatrzymał się na progu 22 czerwca. A co było dalej? Nie polemizujemy ze sobą, po prostu on pisał o jednym, a ja robię następny chronologiczny krok. Suworow napisał, że Związek Radziecki, Stalin, „*zbiorowy Stalin*”, bardzo się starał i dążył do

rozpętania wojny europejskiej, zupełnie z premedytacją, i świadomie pomógł Hitlerowi rozpętać tę wojnę, wciągnąć się, nie przestraszyć (Hitler mógł się przestraszyć, ale on bardzo mu pomógł się nie bać) rozpoczęcia wojny ogólnoeuropejskiej. Sam Stalin na tym interesie też nieco skorzystał i latem 1941 roku przygotowywał się już nie tylko do włączenia się do wojny europejskiej, a wkroczenia do Europy, czyli rozpoczęcia szeroko zakrojonej operacji ofensywnej na Zachód od już znacznie przesuniętych granic radzieckich. Właśnie to napisał Suworow i ja zgadzam się z nim w 200 procentach.

A dalej nasuwa się następne, zupełnie logiczne pytanie: Skoro tak długo, starannie i z olbrzymim wysiłkiem przygotowywano się do marszu na wybrzeże Atlantyku, to dlaczego w ciągu jednego–dwóch tygodni Armia Czerwona została wypchnięta na linię granicy 1939 roku, a trzy miesiące później Niemcy byli już pod Leningradem, Tichwinem i Moskwą? Właśnie na to pytanie odpowiadam w swoich książkach. Mówiąc w wielkim skrócie, ta odpowiedź polega na tym, co się nazywa czynnikiem ludzkim i motywacją. Nawalił czynnik ludzki.

Było bardzo dużo dywizji, czołgów, samolotów, była wielka linia umocnień na nowej granicy, olbrzymia linia umocnień żelbetowych na starej granicy, olbrzymie ilości amunicji, czegoś tam nie było. Było 4,8 miliona ludzi w siłach zbrojnych w chwili wybuchu wojny, 5 milionów powołano w pierwszym tygodniu po ogłoszeniu mobilizacji, do końca roku zmobilizowano albo 12, albo 14, według różnych danych, milionów osób. Czyli zasoby, które oddano do dyspozycji takich dowódców jak Żukow, to 5 plus 12–14 milionów uzbrojonych mężczyzn. Przy takich zasobach Armia Czerwona została w ciągu trzech miesięcy wypchnięta od granicy do Moskwy, dlatego że wszelkie możliwe zasoby były, a motywacji zabrakło.

A przy braku motywacji, przy braku umiejętności, to w istocie jest najgorsze połączenie — „*nie potrafię i nie chcę*”: nie chcę, dlatego że nie potrafię, i nie potrafię, dlatego że nie chciałem się tego nauczyć — doprowadziło do tego, że te wszystkie wielkie góry sprzętu zostały porzucone na poboczach dróg i czasami bardzo przeszkadzały Niemcom w natarciu. Był na przykład I Korpus Zmechanizowany, jeden z najlepszych w Leningradzkim Okręgu Wojskowym, w nim 3. Dywizja Pancerna, która walczyła z dywizją pancerną Mansteina jeden dzień czy maksimum dwa dni — później Manstein

pisze we wspomnieniach, że z wielkim trudem posuwali się na wschód, dlatego że marsz utrudniał porzucony sprzęt tej dywizji. A ja w archiwum w Podolsku trzymałem w ręku dokument, napisany na kawałku nie wiem czego, być może pudełka od papierosów Biełomor, napisany przez tego samego Bierzarina, który w zwycięskim 1945 roku został wojskowym komendantem Berlina. Notatka, w której wydaje rozkaz resztkom tej nieistniejącej po dwóch dniach dywizji: zebrać niedobitki żołnierzy i wycofać w celu przeformowania.

— *Chciałbym wytłumaczyć naszym słuchaczom, że pan w swojej książce 22 czerwca szczegółowo analizuje i obala powszechnie znaną od dawna tezę, że Związek Radziecki nie był przygotowany technicznie do wojny i że w czerwcu 1941 roku był uzbrojony znacznie gorzej od Niemiec. Pan udowadnia, że wszystko przedstawiało się zupełnie inaczej.*

— Żadnej mojej zasługi i nowości w tym przypadku nie ma. Bo to jest fakt. Proszę zrozumieć, hipoteza Kopernika to genialne naukowe olśnienie. Widzimy, że słońce się porusza, a to my poruszamy się dookoła słońca — na to trzeba było wpaść. A pytanie o to, kto czego więcej miał — to kwestia znajomości faktów i dokumentów. O ile rozumiem, przynajmniej w latach 1988–1989, już 20 lat temu, po raz pierwszy podano rzeczywiste liczby radzieckich korpusów zmechanizowanych, czołgów, pojazdów opancerzonych, ciężarówek, samolotów. Czyli już na początku lat 90. materiał faktycznie był dostępny, publikowany przez licznych historyków. Jeszcze raz zwracam uwagę na wspaniałą pracę Mieltiuchowa pod tytułem *Upuszczennyj szans Stalina*. Dlatego nie ma tu żadnej nowości. Być może po prostu uważniej przyjrzałem się temu faktowi. Wszyscy wiedzieli, że Niemcy w strefie Frontu Południowo–Zachodniego, czyli na Ukrainie, mieli, dajmy na to, 750 czołgów, a we wszystkich korpusach zmechanizowanych Frontu Południowo–Zachodniego było ich 5,5 tysiąca. Niby jasne, że 5,5 tysiąca to więcej niż 700, ale gdyby na to zwrócić uwagę, to można się nad tym faktem zastanowić.

— *Jeszcze jeden ważny szczegół z książki 22 czerwca: rozważa pan zagadkę wybuchu wojny, gdy, jak się wydaje, istniały wyraźne oznaki przemawiające za tym, że ktoś z radzieckiego dowództwa pracował dla Hitlera, wydając rozkazy sprzeczne z radzieckimi interesami — co do Twierdzy Brzeskiej, na przykład. A pan pisze „nie wierzę”. Sądzę, że ważne*

jest, żeby nasi słuchacze zrozumieli, że pan pod żadnym pozorem nie jest zwolennikiem spiskowych teorii.

— Niewątpliwie żadne teorie spiskowe nie są potrzebne, dlatego że wojskowa katastrofa w lecie 1941 roku jest wydarzeniem na taką skalę, jaka po prostu, moim zdaniem, nie może zmieścić się w ramach żadnych spiskowych schematów. Dlatego że taka katastrofa, taka klęska, taka porażka jest zawsze rezultatem działań jakichś wielkich sił tektonicznych, a nie spisku trójki lub czwórki zbrodniarzy.

— A dlaczego prawda o powodach klęski 1941 roku ukazuje się z takim trudem? I to państwo już od dawna nie istnieje, wszyscy generałowie nie żyją, a pan ciągle narzeka w książkach na to, jak dużo dokumentów pozostaje utajnionych. Co i po co się ukrywa? Czy jest jakieś racjonalne wytłumaczenie?

— Zadał pan bardzo ciekawe pytanie, ale ma ono wiele warstw. Teraz postaram się te warstwy odsłonić. Na pytanie, co wydarzyło się w lecie 1941 roku, jest odpowiedź. Wydarzyła się katastrofa, wielka, potworna katastrofa. Porzucono ogromne ilości sprzętu, około 10–12 tysięcy czołgów w ciągu jednego miesiąca, porównywalną liczbę samolotów w ciągu półtora miesiąca, łączna liczba jeńców i dezertersów z lata i jesieni 1941 roku jest dwukrotnie wyższa od pierwotnej liczebności walczącej armii, czyli pięciu zachodnich okręgów wojskowych w dniu 22 czerwca. W książce jest rozdział, który ma tytuł „Tyle i jeszcze raz tyle”. Więc ile ich było, nieco ponad trzy miliony, i jeszcze raz tyle — to liczba żołnierzy Armii Czerwonej, którzy znaleźli się w niewoli albo zdezerterowali. Tu nie ma żadnej zagadki, te wszystkie liczby i fakty istnieją, już nikt ich nawet nie kwestionuje.

Przyczyna, z której to się wydarzyło, jej ocena, zawsze pozostanie kwestią hipotezy. W tym przypadku to nie kwestia archiwów, w żadnym archiwum nie leży dokument, w którym podano, że katastrofa 1941 roku wydarzyła się z takiego i takiego powodu. Podobnego dokumentu nie ma, nie znajdziemy go. Ale jak mi się wydaje, tych faktów, które już są znane, które przytoczyłem na ogromnej liczbie stron moich książek, całkowicie wystarczy, żeby wyciągnąć wnioski. Są zupełnie zrozumiałe kwestie. Widzimy, że Armia Czerwona straciła w ciągu pół roku 6,3 miliona sztuk broni strzeleckiej. Karabiny nie psują się w takich ilościach.

Jest statystyka struktury strat. Na przykład Front Centralny w rejonie Brianska i Homla w ciągu 40 dni swojego istnienia stracił 11 razy więcej zaginionych niż zabitych. Są absolutnie kolosalne, od dawna wszystkim znane liczby jeńców. Podają je nasze i niemieckie dokumenty. Istnieje dobrze już znana historia radzieckich korpusów zmechanizowanych, które w ciągu dwóch, trzech, czterech dni, nie nawiązując kontaktu ogniowego z nieprzyjacielem, traciły po 80 procent czołgów. Czołgi nie psują się w takich ilościach.

We wrześniu 1939 roku Armia Czerwona na terenach Białorusi Zachodniej i Ukrainy Zachodniej, gromiąc resztki polskiej armii, przeprowadzała to, co się nazywa „wyzwoleniem” Białorusi Zachodniej i Ukrainy Zachodniej. I oto w ciągu dwóch tygodni na tych samych terenach, przy tych samych warunkach pogodowych, zepsuło się 10–12 procent czołgów w różnych zmechanizowanych brygadach. Taka skala. No tak, zepsuła się jedna dziesiąta. Ale to, żeby w ciągu trzech–czterech dni zepsuło się 80 procent czołgów z tych, które figurowały jako nadające się do walki, coś takiego się nie zdarza. Dlatego z jednej strony, jak mi się wydaje, istnieje więcej niż wystarczająca, nadmierna ilość pośrednich dowodów na to, że cała ta góra broni została porzucona, ale jeżeli chcemy uzyskać udokumentowane, w najważniejszym tego słowa znaczeniu, potwierdzenie tej hipotezy, nie znajdziemy go nigdy.

Udokumentowanym potwierdzeniem może być tylko dźwiękowa kronika filmowa, z licznikiem daty w rogu, która ukazuje, jak żołnierz Armii Czerwonej porzuca czołg, przeklinając siarczyście, z tego czołgu się gramoli i zmierza w kierunku najbliższego lasu. Nigdy nie znajdziemy takiej kroniki dla każdego z 10–12 tysięcy czołgów, a jeżeli znajdziemy, to powiedzą nam, że to tylko taki montaż. Dlatego, moim zdaniem, w tym przypadku problem archiwów niewiele zmienia. Mamy wystarczającą ilość faktów. Problem jest gdzie indziej.

Spółczesnemu, współczesnemu rosyjskiemu, byłemu radzieckiemu, brakuje odwagi lub woli zaakceptowania tych faktów. W ciągu tych wszystkich lat dostałem nieskończoną liczbę maili i opinii na temat swoich książek i artykułów, i widzę, że niektórzy ludzie zwyczajnie, otwartym tekstem piszą „*a idźcie wszyscy w cholerę*”, i mówią, że „*nie potrzebna mi prawda Sołonina, żadna inna prawda, nie chcę myśleć o tym, co robił mój*

dziadek, chcę swojego dziadka kochać”. Absolutnie normalna ludzka reakcja, tu nawet nie ma co dyskutować. Ale prawdopodobnie na jakimś etapie trzeba przejść do poziomu, gdzie mimo wszystko są oddzielone od siebie miłość i szacunek do dziadka (absolutnie niezbędna cecha każdego człowieka, dziadka trzeba kochać, szanować i nim się opiekować) oraz gotowość normalnego spojrzenia, bez różowych okularów, na historię własnego kraju.

— *Zwróciłem uwagę na to, że pan często powołuje się na „Wojenno-istoriczeskij żurnal”, ale głównie na numery z lat 1989–1991. Wszyscy widzieliśmy wzmianki o tym piśmie w wiadomościach całkiem niedawno, w związku z wywołaniem skandalizującego rezonansu przez artykuł, w którym mowa, że to niemal wina Polski, że Hitler ją zaatakował. Dlatego chcę pana zapytać, co się stało z tym głównym pismem historyków wojskowych okresu po pierestrojce?*

— Z przyjemnością przeformatuję pańskie pytanie. Uważam, że powinno brzmieć tak: Co wydarzyło się w latach 1989–1991, gdy całe to towarzystwo, które robiło kariery, życiorysy i, proszę mi wybaczyć, mieszkania w Moskwie i duże pieniądze, co się z nim takiego stało, że nagle zaczęli drukować dokumenty i zaczęli pisać, mimo wszystkich błędów i charakterystycznego stylu, jakieś poważne artykuły? Co w nich wstąpiło, że podjęli decyzję i na początku 1992 roku, w 1 i 2 numerze, opublikowali słynne „*opinie majowe z 1941 roku*” na temat planu strategicznego rozwinięcia Armii Czerwonej, gdzie czarno na białym stało, że nie należy pozwolić na przejęcie inicjatywy przez niemiecką armię i oczywiście trzeba zadać pierwszy cios. Ciekawe, co w nich wstąpiło, że nagle zaczęli przynajmniej w niewielkich ilościach publikować autentyczne dokumenty? Dla mnie jest to pewnego rodzaju zagadka. Być może poczuli albo odnieśli wrażenie, że władza się zmienia?

Nie tak dawno ukazała się znakomita książka Aleksandra Goguna, tytuł okropny, bulwarowy, **Stalinskije kommandos** [tyt. pol. **Partyzanci Stalina na Ukrainie**], ale pod tym bulwarowym tytułem — niezwykle cenna praca na temat ruchu partyzanckiego na Ukrainie. Przytoczono tam dane zdobyte przez innego ukraińskiego badacza; przeanalizował 302 akta osobowe policjantów i dowódców średniego szczebla stworzonej przez Niemców na okupowanych terenach Ukrainy policji i jeżeli pamięć mnie nie myli, co czwarty to były

pracownik NKWD, były członek partii lub były sekretarz rejonowego komitetu partii. Właśnie tak.

To znaczy, że istnieje pewna grupa ludzi, którzy bardzo się spieszą do tego, żeby jak najszybciej zademonstrować swój szacunek dla jakiegokolwiek nowej władzy. Jak obaj pamiętamy, w sierpniu 1991 roku niektórym, łącznie ze mną, wydawało się, że władza się zmienia, ale każdy reagował na swój sposób. Oni właśnie postanowili zademonstrować swój szacunek dla nowej władzy. Potem się okazało, że władza się nie zmieni, wszystko pozostaje jak jest, tylko oni teraz nazywają się inaczej. Teraz nie pierwszy sekretarz obwodowego komitetu KPZR, a szef obwodowej administracji. Czyli strach minął i wszystko wróciło „na drogi swojego krążenia”. Obecny stan radzieckiej i rosyjskiej nauki historyczno–wojennej, Instytutu Historii Wojennej, Akademii Nauk Wojskowych, którą kieruje towarzysz Gariejew, to normalny, naturalny dla nich stan. To, co się z nimi działo w latach 1989–91, było historyczną anomalią.

— *A nowa historiografia wojny, o której pan mówił na początku naszej rozmowy, to pan i Suworow czy są jeszcze inni badacze, i czuje pan, że wasze szeregi też są dość liczne?*

— Nie może nawet być mowy o tym, żeby to były dwa, trzy czy cztery nazwiska. Na przykład ukazało się już pięć tomów pod wspólną nazwą **Prawda Wiktora Suworowa**. Znowuż tytuł żółty, bulwarowy, stworzony przez dział marketingu, niemniej jednak ukazało się pięć opasłych tomów, zbiór artykułów bardzo różnych autorów, mieszkających w Rosji, Ukrainie, Stanach, Europie, piszących w różnych językach, wśród nich są ci, którzy w ogóle nigdy nie byli ludźmi radzieckimi, z urodzenia są Amerykanami i Niemcami, czyli to już dziesiątki autorów, którzy formułują tę nową historiografię wojny. Niedawno z tych pięciu książek wydano tom w Niemczech, pierwszą jaskółkę w języku niemieckim pod tytułem **Dziesięciu rosyjskich historyków oskarża Stalina**. Oczywiście nie dwa–trzy nazwiska. Powstały liczne poważne opracowania.

Jednocześnie niektórzy z jakichś powodów unikają wniosków globalnych, chociaż opracowują jakieś tematy, konkretne historie, nieustannie wprowadzają nowe fakty, analizują na nowo wydarzenia. Już są normalne, profesjonalnie wykonane opracowania większości operacji wojskowych 1941 roku, poważne opracowania historii wywiadu, okresu przedwojennego,

radzieckiego planowania wojskowego. Oczywiście należy wymienić nazwisko nieżyjącego już pułkownika Bobyliwa. Osoba urzędowa, historyk wojskowości, niemniej jednak miał znakomite prace na temat analizy radzieckiego planowania wojskowego, między innymi analizy gry wojenno-strategicznej Sztabu Generalnego, którą przeprowadzono w styczniu 1941 roku, gdy pracowano nad planem napaści na Europę. Są to dziesiątki nazwisk.

— *Właśnie nawiązaliśmy do tematu pańskiej książki 23 czerwca. Dzień „M”. Powiedział pan, że nie polemizuje z Wiktorem Suworowem, a kontynuuje pan jego pracę. Chciałbym uściślić, co do czego z Suworowem pan się zgadza, co do czego się nie zgadza i czy w ogóle, przepraszam za tak osobiste pytanie, się przyjaźnicie?*

— Jesteśmy z Wiktorem Suworowem w bardzo dobrych stosunkach, niestety, są one zaoczne, ale dość często do mnie dzwoni, mamy zupełnie normalne, można powiedzieć, przyjacielskie stosunki. Niestety, jeszcze nie mieliśmy okazji wypić bruderszafta, myślę, że wszystko przed nami.

Teraz co się tyczy poważnego pytania. Mogę odpowiedzieć w kilku słowach. Wiktor Suworow sformułował hipotezę, że Stalin planował szeroko zakrojoną strategiczną i ofensywną operację na zachodnich granicach Związku Radzieckiego wobec Europy latem 1941 roku. Całkowicie się z tym zgadzam. Wiktor Suworow potwierdził swoją hipotezę mikroskopijną, będącą wówczas do jego dyspozycji liczbą jakichś szpargałów, które wysliznęły się jak koniuszek szydła z worka, jakimiś urywkami radzieckich wspomnień, jakimiś półtajnymi źródłami. Ja jednakże pisałem 15 lat później, niż ukazał się pierwszy nakład **Lodolamacza**, i mogłem tę samą hipotezę poprzeć zupełnie innym archiwum dokumentów.

Druga hipoteza, którą sformułował Wiktor Suworow, jest taka, że Armia Czerwona poniosła miażdżącą klęskę latem 1941 roku dlatego, że przygotowywała się do natarcia i nie była w stanie się bronić. Ja się z tym stanowczo nie zgadzam, uważam, że w tej hipotezie nie ma nawet jednego procenta zdrowego rozsądku. Wiktor Suworow dobrze zna moje zdanie na ten temat. Mamy odmienne opinie. Uważam, że to absolutnie niepoważna idea. Ani jedna operacja ofensywna Armii Czerwonej latem 1941 roku niczym oprócz ciężkich strat się nie zakończyła. Dlatego Armia Czerwona niewątpliwie w tym stanie, w którym się znajdowała, nie mogła ani atakować, ani się bronić i o tym akurat bardzo, moim zdaniem, ciekawie napisałem w

mojej książce **25 czerwca**. Proszę wybaczyć mi ten PR. Tam w bardzo ciekawy sposób ukazałem, jak Armia Czerwona usiłowała zadać miażdżące uderzenie na fińskie lotniska, w rezultacie tego miażdżącego uderzenia straciła 24 bombowce i uszkodziła na fińskich lotniskach jeden samolot — zdobyczny radziecki SB. Tak więc z tą drugą częścią hipotezy Suworowa absolutnie, kategorycznie się nie zgadzam.

— *Porozmawiajmy wobec tego, skoro pan wspomniał o książce 25 czerwca, o drugiej wojnie radziecko–fińskiej. Ja, można tak powiedzieć, od najmłodszych lat mieszkałem w cieniu tej wojny, ponieważ moja działka znajduje się pod Leningradem i stara fińska granica (zresztą do tej pory nie została do końca zdemontowana, w lesie miejscami ciągną się zasieki) przebiegała przez moją działkę. Obok werandy był stary fiński schron, tam wykopywaliśmy łuski i kości. Ale nie mogę powiedzieć, że przed pańską książką w ogóle wiedziałem cokolwiek o wojnie radziecko–fińskiej, przecież to jest zapewne pierwsza w Rosji monografia o dawno zapomnianych wydarzeniach.*

— W tym przypadku muszę odrzucić resztki wszelkiej skromności i powiedzieć „*tak*”. Doszło do tego, że gdy pracowałem w Podolsku, to na wielu dokumentach, między innymi mapach działań wojennych, które wypożyczałem w archiwum, mój podpis na formularzu był pierwszy. Wyobraża pan sobie, o czym to świadczy? Przez 60 lat setkom doktorów nauk historycznych nie przyszło nawet do głowy, żeby wypożyczyć i przejrzeć te mapy i dokumenty. W pewnych wypadkach trafiały się jeszcze dwa–trzy nazwiska, ale nikt na poważnie nie zajmował się tym tematem, to całkowicie wykreślona z radzieckiej historiografii, z pamięci historycznej narodu wojna. Jeżeli kiedyś pojawiała się jakaś wzmianka, to tylko w kontekście „*udziału fińskiej soldateski w hitlerowskiej agresji przeciwko Związkowi Radzieckiemu*”.

Zrozumiałe, dlaczego o tej wojnie nikt nie chciał pamiętać. Dlatego, że czym innym jest szukanie i odnajdowanie obiektywnych przyczyn, dlaczego zwyciężała potężna niemiecka armia (w rzeczy samej faszystowski Wehrmacht pierwszego roku to najlepsza armia lądowa XX wieku) i dlaczego Armia Czerwona została zwyciężona i rozgromiona przez takiego nieprzyjaciela. Tu można jeszcze znaleźć jakieś wytłumaczenie. A w jaki sposób wytłumaczyć czymś oprócz braku motywacji klęskę zadaną Armii

Czerwonej przez armię fińską, której formacje mobilne przemieszczały się na rowerach? To nie przesada i nie żart. Mieli dwie mobilne formacje — tym, czym u Niemców była, dajmy na to, dywizja pancerna, u Finów była brygada jegierska, której mobilność polegała na tym, że leśne ścieżki pokonywali oni na rowerach. Istnieje nawet kronika filmowa. I historia o tym, jak fińscy rowerzyści rozgromili radzieckie korpusy zmechanizowane, jest oczywiście historią, o której nikt nie chce pamiętać.

— *A przecież gdyby nie ta wojna, być może nie byłoby blokady Leningradu?*

— Oczywiście. Ale tu trzeba usunąć wszelkie „by”. Oczywiście gdyby nie było tej wojny, to blokady Leningradu by nie było i być nie mogło. Dlatego, że Leningrad nie znajduje się na półwyspie, tam jest Dworzec Fiński, ten sam, na który przyjechał Władimir Iljicz w zaplombowanym wagonie, do niego prowadzi sieć torów kolejowych. Dlatego, gdyby nie wojna z Finlandią, to fakt, że Niemcy dotarli na południowe przedmieścia Leningradu, że przecięli połączenie kolejowe i wyszli przy stacji Mga do jeziora Ladoga, żadnej blokady być nie mogło, dlatego że z północy do Leningradu ciągną linie kolejowe przez Keksgolm, Pietrozawodsk i dalej, gdzie dusza zapragnie.

Tylko dlatego, że była druga wojna radziecko–fińska, stała się możliwa blokada Leningradu, cały ten koszmar i śmierć setek tysięcy ludności cywilnej. Co więcej, cały ten koszmar towarzysz Stalin mógł zakończyć jedną decyzją polityczną. Jeszcze przed wybuchem wojny (byłoby to na innych warunkach), ale nawet po wybuchu jeszcze można było się dogadać. Faktycznie od jesieni 1941 roku było de facto zawieszenie broni, chociaż nie zostało podpisane, i gdyby Związek Radziecki przyznał Finlandii prawo zabrania terytoriów, które zagarnięto w 1940 roku wskutek pierwszej wojny, gdyby na tych warunkach udało się — a ja uważam, że było to możliwe — osiągnąć pokojowe porozumienie, czy przynajmniej zawieszenie broni z Finlandią pod gwarancje zachodnich sojuszników, czyli Anglików i Amerykanów, to można było przywrócić łączność kolejową z Leningradem i nie poznalibyśmy słów „*blokada Leningradu*” i nie rozumielibyśmy, co oznacza Cmentarz Piskariewski.

— *Skoro już używamy trybu przypuszczającego, jeszcze jedno pytanie hipotetyczne. Publicysta i ekspert Aleksander Chramczichin niedawno zadał takie pytanie: Stalin planował wojnę z Niemcami, tu Suworow ma rację, i*

pan również, ale być może byłoby to lepsze dla losów świata — nie byłoby Oświęcimia... Zastanawiał się pan nad tym?

— Tak, rzeczywiście jest nad czym się zastanawiać. Przy całej mojej głębokiej i dawnej awersji do towarzysza Stalina mimo wszystko nie mogę położyć na jednej szali śmierci dziesiątków milionów ludzi z jednej strony i sukcesów wizerunkowych towarzysza Stalina. Pał go lichy, lepiej niechby już towarzysz Stalin zyskał do swojego wizerunku jeszcze coś i zwiększył swoją kapitalizację polityczną, jak się teraz mówi, gdyby tym kosztem można było uratować dziesiątki milionów ludzi, którzy zginęli w ciągu tych czterech lat. Oczywiście byłoby lepiej dla wszystkich, z normalnego, ludzkiego, humanitarnego punktu widzenia, gdyby w maju 1940 roku Stalin zadał Hitlerowi cios w plecy.

A plecy Hitler miał wtedy bardzo wątle, wszystko, co posiadał mniej lub bardziej nadającego się do walki, zostało przerzucone na front zachodni, czyli do Francji, Holandii i Belgii. Na ogromnych obszarach Europy Wschodniej było siedem niemieckich dywizji, złożonych głównie z rezerwistów o bardzo niskim poziomie wyszkolenia, we wszystkich okręgach lotniczych Niemiec nie było ani jednego samolotu i tylko w Berlinie znajdowała się jedna jedyna grupa myśliwska, gdzie były 43 gotowe do walki messerschmitty. W jednej z książek napisałem, że na jednego messerschmitta przypadały dwa radzieckie pułki bombowe. Właśnie takimi siłami towarzysz Stalin mógłby uderzyć w plecy swojego przyjaciela Hitlera w maju 1940 roku. Oczywiście przy tym Europa Wschodnia, i nie tylko Europa Wschodnia, znalazłaby się kilka lat wcześniej w łapach towarzysza Stalina. Ale jeżeli tym kosztem można było uratować dziesiątki milionów ludzkich istnień, to oczywiście jestem za.

— *Dużą reakcję wywołał umieszczony na pańskiej stronie internetowej artykuł o tak zwanej „uczcie zwycięzców”, o tym, co działo się w Prusach Wschodnich po wkroczeniu wojsk radzieckich, miałem nadzieję, że pracuje pan nad tym tematem i następna książka będzie o tym. Ale pan powiedział, że jest zbyt mało materiałów i artykuł pozostanie artykułem. W takim przypadku co będzie pańskim następnym tematem, czy pan zamierza kontynuować pracę nad wydarzeniami 1941 roku?*

— Nie jestem przecież ani poetą, ani pisarzem, dlatego moje kolejne tematy pojawiają się nie pod wpływem natchnienia, a dostępności określonych materiałów. Pan na początku naszej rozmowy zadał bardzo dobre

pytanie o to, co się stało z „*Wojenno–istoriczeskim żurnalem*” i innymi oficjalnymi czasopismami. Na przełomie lat 80. i 90. nastąpiła pewna erupcja lawy z wulkanu, która zawsze trwa krótko, pojawia się nieduża ilość masy, materii. Nastąpiła pewna erupcja i w ciągu tych kilku lat udostępniono pewną ilość dokumentów. Te dokumenty zostały przeanalizowane, zbadane, opracowane przez historyków, o których mówiłem jako o ludziach kształtujących nową historiografię wojny. Ta masa dokumentalnej informacji została już opracowana i przeanalizowana. Można oczywiście napisać szóstą, siódmą, ósmą, dziewiątą i dziesiątą książkę, ale wątpię, czy będzie to dla kogoś interesujące i potrzebne. A następny skok, następny etap rozwoju tej nowej historiografii wojny, moim zdaniem, będzie możliwy dopiero wtedy, gdy nastąpi kolejna erupcja informacji, czyli trzeba zrzucić po raz kolejny pomnik Feliksa Dzierżyńskiego przy użyciu liny i dźwigu.

— *Pewnie nie zdarzy się to w najbliższym czasie, chociaż kto wie. Sprawdziłem, co piszą na forach internetowych na temat pańskich książek, i powiem szczerze, zrobiło mi się pana żal, dlatego że natrafiłem na tyle nienawiści i złośliwych wypowiedzi, i to często od ludzi, którzy książek nie czytali, ale są przekonani, że jest pan wrogiem. Oczywiście autora nie może cieszyć, że nad jego książkami toczą dyskusje dzicy ludzie, którzy ledwo potrafią czytać. Dlatego pytanie: Jak wyobraża pan sobie swojego idealnego czytelnika? Kim jest: studentem, który interesuje się historią, starszą osobą, której większa część życia przypadła na czasy radzieckie? Do kogo adresowane są pańskie książki?*

— Po pierwsze, chcę zwrócić uwagę na to, że pan z zupełnie zrozumiałych powodów nie widzi panelu sterowania mojej strony. Na mojej stronie są setki listów, napisanych absolutnie normalnym językiem, od ludzi, jak rozumiem, w różnym wieku, wielu mogłoby być moimi dziadkami, którzy bardzo ciepło wypowiadają się o książkach i mi dziękują. Jestem im bardzo wdzięczny. Dlatego mam dość spokojny stosunek do historycznych reakcji ludzi, którzy nawet nie wzięli do ręki moich książek, ale słyszeli od Wasi, że jest taki rusofob, agent CIA, Mossadu i MI–6 jednocześnie, jak Sołonin. Co się tyczy tego, dla kogo są pisane, jasne jest, że dla ludzi w każdym wieku, o każdym wykształceniu, starałem się zachować równowagę, żeby książka była napisana ludzkim językiem, żeby mógł ją czytać między innymi czytelnik, który nie posiada wieloletniego doświadczenia pracy z dokumentami czy

tekstami, ale żeby jednocześnie przy każdej liczbie i każdym fakcie znalazł się odsyłacz do jakiegoś zbioru dokumentów.

Wydało mi się, że było jeszcze jedno ukryte pytanie w pańskich słowach, mogę na nie odpowiedzieć. Ludzie starszego pokolenia, szczególnie ci, którzy byli świadkami i uczestnikami wojny — przynajmniej bardzo duża ich część — mają do moich książek dość przychylny stosunek. Powiem więcej, przeciwnicy należą mniej więcej do dwóch kategorii wiekowych. To moskiewski „*plankton biurowy*” 20–25 letni, pokolenie, które wyrosło w epoce 147 dolarów za baryłkę, w epoce, gdy Rosja wraz z ceną za baryłkę ropy „*wstawiała z kolan*”. Właśnie oni zostali największymi patriotami. Jednak co ciekawe, już to zauważyłem, po prostu bezpośrednia zależność: co bardziej patriotyczny ujadacz w Internecie obowiązkowo ma login po angielsku albo po niemiecku; nigdy nie nazwie się Wasią, ale jakimś Red Ratem albo czymś w tym stylu.

I na dodatek ci ludzie, których nazywam „*weteranami pogadank politycznych*”. Czyli osoba, która ma teraz 60–70 lat. Rozumie pan, to prosta arytmetyka. Wojny oczywiście nie widział, lat powojennych też nie, ale latami uczestniczył w zebraniach politycznych, słuchał tego, co mówił funkcjonariusz partyjny w zakładzie pracy, słuchał tego, co mówiono podczas uroczystości poświęconych kolejnej rocznicy Zwycięstwa, i właśnie ci „*weterani pogadank politycznych*” rzeczywiście mają bardzo negatywny stosunek do każdego, nie tylko moich, prób zrewidowania starych mitów.

Co się tyczy właśnie weteranów wojny, którzy tego wszystkiego doświadczyli sami, to proszę mi wierzyć, w tym przypadku mówię nie o swoich ambicjach, mówię o ocenie poglądów, to przychodzili do mnie ludzie, których mógłbym być wnukiem, dziękowali mi, ze łzami w oczach mówili, że są wdzięczni za to, że u kresu swojego życia mogli zobaczyć, że prawda o wojnie została spisana na papierze, że nie trzeba jej przekazywać szeptem za zamkniętymi drzwiami. Dostawałem listy od ludzi, którzy pisali: Moja mama zginęła podczas blokady Leningradu, jaka szkoda, że nie dożyła i nie mogła przeczytać pańskiej książki **25 czerwca**. Jeszcze raz powtarzam, że nie mówię o swoich ambicjach i swoim autorskim samozadowoleniu, mówię o tym, na co w rzeczywistości ludzie tamtego pokolenia, weterani wojny, nie „*weterani pogadank politycznych*” — nie prowadziłem badań socjologicznych, ale jakaś część z nich, oczywiście — czekali i chcieli dożyć tego dnia, kiedy

wreszcie na temat prawdy o wojnie można będzie mówić, pisać, dyskutować publicznie, otwarcie i bez strachu.

SPIS TREŚCI

NIC DOBREGO NA WOJNIE	1
TRZY PLANY TOWARZYSZA STALINA	3
POŻAR W MAGAZYNIE	49
DWIE BLOKADY	105
1. BLOKADA BERLINA	107
2. BLOKADA LENINGRADU	111
„NASZA WŁADZA BĘDZIE OKRUTNA...”	121
WERSJA PIERWSZA. TRADYCYJNA RADZIECKA.	123
WERSJA DRUGA. DEMOKRATYCZNA PIERESTROJKOWA.	125
WERSJA TRZECIA. NAJNOWSZA NIEPODLEGŁA.	127
WIOSNA ZWYCIĘSTWA. ZAPOMNIANA ZBRODNIA STALINA	185
WYWIAD DLA RADIA SWOBODA 23 CZERWCA 2009 ROKU	247
SPIS TREŚCI	263